James Joyce

Portret artysty w wieku młodzieńczym

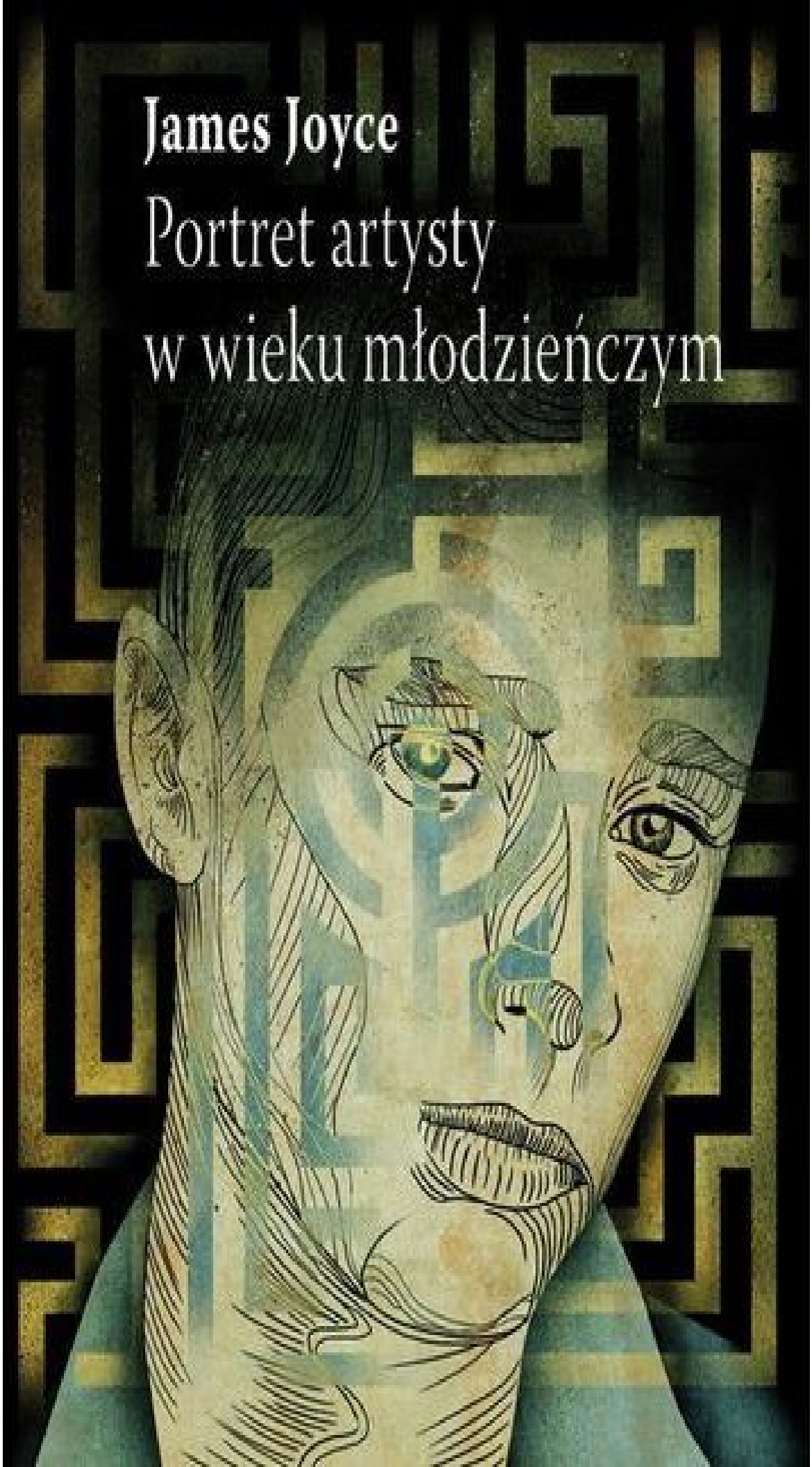

James Joyce

Portret artysty w wieku młodzieńczym

Przełożył Jerzy Jarniewicz

Biuro Literackie • Stronie Śląskie 2017

Proza 39

James Joyce: *Portret artysty w wieku młodzieńczym*
Przekład: Jerzy Jarniewicz
Wydanie drugie

Korekta: Anna Krzywania
Projekt okładki: Wojtek Świerdzewski
Projekt typograficzny i skład wersji elektronicznej: Mateusz Martyn

Copyright © by Jerzy Jarniewicz, 2017
Copyright © by Biuro Literackie, 2017

Biuro Literackie
ul. Solna 1, 72-100 Kołobrzeg
tel. 71 346 01 42, poczta@biuroliterackie.pl
www.biuroliterackie.pl

ISBN 978-83-65358-50-9

Przypisy w tekście *Portretu…* sporządził tłumacz, korzystając m.in. z następujących źródeł: Robert Welch, *Oxford Companion to Irish Literature*, Oxford 1996, Don Gifford, *Joyce Annotated*, Berkley 1982, oraz dwu edycji *A Portrait of the Artist as a Young Man*: pod redakcją Seamusa Deane'a (Hammondsworth 1992) i Jeri Johnson (Oxford 2000).

Wszelkie powielanie lub wykorzystywanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż jednorazowe pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Spis treści

I
II
III
IV
V

Posłowie (*Adam Poprawa*)

Et ignotas animum dimittit in artes.[1]
Owidiusz, Przemiany, VIII, 188

—

[1] (dosł.) I [Dedal] skierował swój umysł ku nieznanym sztukom.

I

Dawno dawno temu a było to za starych dobrych czasów żyła sobie krówka muczka która chodziła po ulicy i ta krówka muczka która chodziła po ulicy spotkała miluśkiego chłopczyka który nazywał się tuli bobo…

Tę historię opowiadał mu ojciec; ojciec patrzył na niego przez szkiełko, twarz miał zarośniętą.

To on był tuli bobo. Krówka muczka szła sobie ulicą, przy której mieszkała Betty Byrne, a Betty sprzedawała cytrynowe sopelki.

Kwitną kwiatki dzikiej róży
Na zielonej trawce.

To on śpiewał tę piosenkę. To była jego piosenka.

O, ziejone duzie rózie.

Kiedy zmoczysz się w łóżeczku, to najpierw robi się ciepło, a potem zimno. Matka podkładała ceratkę. Ceratka tak dziwnie pachniała.

Matka pachniała przyjemniej niż ojciec. Grała mu na pianinie melodię marynarskiego tańca, a on tańczył. Tak tańczył:

Tralala lala
Tralala tralalabum
Tralala lala
Tralala lala.

Wujek Charles i Dante klaskali. Oboje byli starsi od ojca i matki, a wujek Charles był starszy od Dante.

Dante miała dwie szczoteczki w swojej bieliźniarce. Szczoteczka z kasztanowym aksamitnym grzbietem była dla Michaela Davitta,

a szczoteczka z zielonym aksamitnym grzbietem dla Parnella[1]. Dante dawała mu ciasteczko z orzechami za każdym razem, kiedy przynosił jej bibułkę.

Vance'owie mieszkali pod siódemką. Mieli innego ojca i inną matkę. To byli ojciec i matka Eileen. Kiedy dorośnie, ożeni się z Eileen. Schował się pod stołem. A matka powiedziała:

– Ach, Stephen jest taki uroczy, na pewno przeprosi.

A Dante na to:

– Tak, bo jeśli nie przeprosi, nadlecą orlęta i wydziobią mu oczy.

Wydziobią mu oczy
Bądź uroczy
Bądź uroczy
Wydziobią mu oczy.

Bądź uroczy
Wydziobią mu oczy
Wydziobią mu oczy
Bądź uroczy[2].

* * *

Na rozległych boiskach roiło się od chłopców. Wszyscy darli się wniebogłosy, zaś prefekci zagrzewali ich do gry gromkimi okrzykami. Wieczór był blady i chłodny, a po każdej akcji piłkarzy, gdy rozlegało się głuche pacnięcie, tłusta skórzana kula leciała po niebie jak ciężkie ptaszysko w szarym świetle dnia. Trzymał się na obrzeżach swojej grupy, poza zasięgiem wzroku prefekta, poza zasięgiem bezlitosnych nóg, tylko od czasu do czasu udawał, że biegnie. Czuł, jak malutkie i słabe jest jego ciało w tej czeredzie graczy, a oczy miał niedowidzące i załzawione. Rody Kickham był zupełnie inny: na pewno zostanie kapitanem pierwszej i drugiej klasy, tak mówili wszyscy chłopcy.

Rody Kickham był porządnym kumplem, ale Wstręcior Roche to kawał łobuza. Rody Kickham miał nagolenniki w szafce i własny

koszyk w refektarzu. Wstręcior Roche miał olbrzymie łapska. Na piątkowy pudding mówił „pies w pieluchach". A pewnego dnia zapytał:

– Jak się nazywasz?

Stephen odpowiedział:

– Stephen Dedalus.

– A co to za nazwisko?

A kiedy Stephen nie umiał mu odpowiedzieć, Wstręcior znów zapytał:

– Kim jest twój ojciec?

Stephen odpowiedział:

– Dżentelmenem.

Wtedy Wstręcior Roche zapytał:

– Sędzią pokoju?

Łaził na obrzeżach grupy i od czasu do czasu przebiegał kilka kroków. Dłonie zsiniały mu z zimna. Trzymał ręce w bocznych kieszeniach szarej, ściągniętej paskiem marynarki. Był to pasek, który opasywał kieszenie. Ale pasek był także po to, żeby nim prać. Pewnego dnia jakiś chłopak powiedział do Cantwella:

– Czekaj, zaraz cię spiorę tym paskiem.

A Cantwell odpowiedział:

– Bij się z równym. Ciekawe, czy spierzesz Cecila Grzmota. Chciałbym to zobaczyć. Skopie ci tyłek.

To nie było ładne słowo. Matka zakazała mu rozmawiać ze szkolnymi łobuziakami. A matkę ma ładną! Pierwszego dnia, kiedy już się z nim pożegnała w sieni na zamku, podwinęła aż pod nos woalkę, żeby go pocałować, a nos i oczy miała czerwone. Udawał, że nie widzi, jak zbiera jej się na płacz. Była ładną matką, ale nie była taka ładna, kiedy płakała. A ojciec dał mu dwie pięcioszylingowe monety kieszonkowego. Powiedział, że jeśli będzie czegoś chciał, to niech pisze do domu, i żeby nigdy, ale to przenigdy nie kablował na kolegów. Przed bramą zamku rektor uścisnął dłoń ojcu i matce, a jego habit trzepotał na wietrze, potem powóz odjechał, a w nim ojciec i matka. Krzyczeli coś do niego z powozu i machali na pożegnanie:

– Do widzenia, Stephen, do widzenia!

– Do widzenia, Stephen, do widzenia!

Ani się obejrzał, jak znalazł się w samym środku młyna, a ponieważ bał się rozpalonych oczu i zabłoconych butów, zgiął się wpół i spoglądał spomiędzy rozstawionych nóg. Koledzy szamotali się i stękali, a ich nogi ścierały się ze sobą i wierzgały, i tupały. A potem żółte trampki Jacka Lawtona wyprowadziły piłkę, a pozostałe trampki i nogi pobiegły za nią. I on pobiegł za nimi, ale zaraz stanął. Na co mu było biec dalej? Wkrótce wszyscy rozjadą się do domów na święta. Po kolacji zmieni cyferkę w numerze przyklejonym od wewnątrz na pulpicie ławki w sali do nauki własnej – z siedemdziesięciu siedmiu na siedemdziesiąt sześć.

Lepiej byłoby siedzieć w sali do nauki, niż stać tu na chłodzie. Niebo było blade i zimne, ale na zamku paliły się światła. Zastanawiał się, z którego okna Hamilton Rowan[3] zrzucił kapelusz do suchej fosy i czy już wtedy były pod oknami kwietne rabatki. Pewnego razu, kiedy wezwano go na zamek, portier pokazał mu w drewnianych drzwiach ślady po kulach karabinowych i dał mu kawałek keksu, jaki jedzą profesorowie. Ładny i ciepły był ten widok świateł na zamku. Jak w książce. Może opactwo w Leicester tak właśnie wygląda. A w podręczniku do ortografii doktora Cornwella były ładne zdania. Wyglądały jak poezja, choć były to tylko zdania do nauki ortografii:

Wolsey zmarł w opactwie w Leicester,
tam pochowali go opaci.
Rakowacieją rośliny,
a zwierzęta chorują na raka.

Miło byłoby położyć się na dywaniku przed kominkiem, wsunąć dłonie pod głowę i myśleć sobie o takich zdaniach. Wzdrygnął się, jakby poczuł przez skórę zimny szlam. Wells zachował się podle, kiedy pchnął go łokciem do szamba za to, że nie chciał wymienić swojej tabakierki na jego wysuszony kasztan na nitce, którym Wells rozbił czterdziestkę. Jaka zimna i szlamowata

była ta woda! A pewien uczeń widział kiedyś ogromniastego szczura, który wskoczył do szlamu. Matka siedziała przy kominku z ciotką Dante i czekała, aż Brigid przyniesie im herbatę. Nogi położyła na osłonie kominka, a jej lśniące pantofle były takie gorące i miały taki cudowniutki zapach! Dante dużo wiedziała. Nauczyła go, gdzie leży Kanał Mozambijski i jaka jest najdłuższa rzeka Ameryki, i jak nazywa się najwyższa góra na Księżycu. Ojciec Arnall wiedział więcej niż Dante, bo był księdzem, ale jego ojciec i wujek Charles mówili, że Dante to mądra i oczytana kobieta. A po obiedzie Dante wydawała z siebie dźwięki i zakrywała dłonią usta – to była zgaga.

Gdzieś daleko na boisku rozległ się głos:

– Zbiórka!

Potem inne głosy z drugiej i pierwszej klasy:

– Zbiórka! Zbiórka!

Gracze schodzili się ze wszystkich stron, umorusani i zabłoceni, a on szedł wśród nich, szczęśliwy, że wracają z boiska. Rody Kickham niósł piłkę, trzymał ją za tłusty sznurek. Jakiś uczeń poprosił go, żeby zagrać jeszcze raz: ale on się nie zatrzymał i nawet mu nie odpowiedział. Simon Moonan poradził mu wtedy, żeby nie oddawał piłki, bo prefekt patrzy, a uczeń odwrócił się do Simona Moonana i powiedział:

– Wszyscy wiedzą, czemu tak mówisz. Jesteś cmokierem McGlade'a.

Cmokier to dziwne słowo. Chłopak nazwał tym słowem Simona Moonana, bo Simon Moonan wiązał prefektowi luźne rękawy na plecach, a prefekt udawał, że się złości. Ale dźwięk tego słowa był obrzydliwy. Kiedy pewnego dnia umył dłonie w łazience w hotelu Wicklow, a ojciec wyjął korek, ciągnąc za łańcuszek, brudna woda spłynęła przez otwór w umywalce. A kiedy wszystko powoli wyciekło, ten otwór w umywalce wydał z siebie taki właśnie odgłos: cmok. Tyle że głośniej.

Kiedy Stephen przypomniał sobie ten odgłos i tę biel umywalki, poczuł na przemian zimno i gorąco. Były tam dwa kurki, odkręcasz je i leci woda, zimna i gorąca. Poczuł zimno, a potem trochę gorąco: widział napisy na kurkach. Bardzo dziwne.

Ogarnął go powiew zimnego powietrza. Było dziwne i wilgotnawe. Wkrótce zapalą gaz, a kiedy gaz zaczyna się palić, dobywa się z niego cicha muzyka jak piosenka. Zawsze ta sama; słyszał ją, kiedy uczniowie w sali do zabaw przestawali rozmawiać.

Nadeszła lekcja rachunków. Ojciec Arnall napisał na tablicy trudne zadanie i zapytał:

– No i którzy z was zwyciężą? Do ataku, Yorkowie! Do ataku, Lancasterowie!

Stephen bardzo się starał, ale zadanie było za trudne i się pogubił. Mała jedwabna plakietka z białą różą, przypięta do kamizelki na piersi, zaczęła dygotać. Nie był dobry z rachunków, ale bardzo się starał, żeby Yorkowie nie przegrali. Wydawało mu się, że twarz ojca Arnalla jest wprost sina, ale księżulo nie był zły: śmiał się. A wtedy Jack Lawton strzelił palcami i ojciec Arnall zerknął do jego zeszytu, i rzekł:

– Dobrze. Brawo, Lancaster. Czerwona róża wygrywa[4], a teraz wy, Yorkowie! Do ataku!

Jack Lawton popatrzył na niego. Mały jedwabny znaczek z czerwoną różą prezentował się znakomicie, bo Jack miał granatową marynarską bluzę. Stephen poczuł, że robi się czerwony, przypomniał sobie wszystkie zakłady o to, który z nich, Jack Lawton czy on, zdobędzie pierwsze miejsce w przedmiotach podstawowych. Bywały tygodnie, że Jack Lawton dostawał cenzurkę prymusa, innym razem to on zdobywał pierwsze miejsce. Jego biała jedwabna plakietka ciągle dygotała, kiedy Stephen mozolił się nad rozwiązaniem kolejnego zadania i słuchał głosu ojca Arnalla. Wreszcie zapał całkiem go opuścił i poczuł, że jego twarz robi się zimna. Wydawało mu się, że jest biała, taka była zimna. Nie potrafił rozwiązać tego zadania, ale nie przejmował się tym. Białe róże i czerwone róże: miło było myśleć o takich pięknych kolorach. A laurki za zajęcie pierwszego, drugiego i trzeciego miejsca też miały piękne kolory: różowy, kremowy i lawendowy. Lawendowe, różowe i kremowe róże są piękne, kiedy się o nich myśli. Może dzika róża miałaby takie kolory. Przypomniał sobie piosenkę o dzikiej róży, co kwitnie na zielonej trawce. Ale przecież nie ma zielonych róż. Może gdzieś na świecie.

Rozległ się dzwonek, z izb zaczęli wychodzić gęsiego uczniowie i maszerowali korytarzami do refektarza. Stephen usiadł nad talerzem z dwoma plastrami masła, nie mógł jednak jeść wilgotnego chleba. Obrus też był wilgotny i zwiotczały. Ale wypił gorącą, słabą herbatę, którą nalał mu do kubka jakiś niezdarny podkuchenny w białym fartuchu. Zastanawiał się, czy fartuch podkuchennego też jest wilgotny, a może wszystko, co białe, jest zimne i wilgotne. Wstręcior Roche i Saurin pili kakao, które rodzina przysyłała im w puszkach. Mówili, że nie mogą pić herbaty, bo to zwykła lura. Ich ojcowie byli sędziami pokoju, tak mówili uczniowie.

Wszyscy chłopcy wydawali mu się bardzo dziwni. Wszyscy mieli ojców i matki, i różne ubrania, i różne głosy. Chciał być już w domu i położyć głowę na kolanach matki. Ale nie mógł: chciał więc, żeby zabawy i lekcje, i modlitwy skończyły się jak najprędzej i żeby już mógł wreszcie pójść do łóżka.

Wypił drugi kubek herbaty, a Fleming zapytał:

– Co się dzieje? Boli cię co? Co ci jest?

– Nie wiem – odparł Stephen.

– Pewnie spiżarka ci siadła – powiedział Fleming – bo masz białą twarz. Ale to przejdzie.

– Przejdzie – powiedział Stephen.

Ale to nie w żołądku robiło mu się niedobrze. Czuł, że robi mu się niedobrze w sercu, jeśli w sercu w ogóle może być komukolwiek niedobrze. Bardzo porządny ten Fleming, że go zapytał. Zbierało mu się na płacz. Oparł się łokciami o stół i zatykał, i odtykał sobie uszy. Za każdym razem, kiedy odtykał uszy, słyszał hałas refektarza. Jak stukot pociągu nocą. A kiedy uszy zatykał, stukot cichł, jakby pociąg wjeżdżał do tunelu. Tamtej nocy w Dalkey pociąg tak właśnie stukał, a potem, kiedy wjechał do tunelu, stukot ustał. Zamknął oczy, a pociąg jechał i stukał, i cichł, stukał i cichł. Przyjemnie było słyszeć, jak stuka, a potem cichnie i znowu stuka, wyjeżdżając z tunelu, i cichnie znowu.

Wkrótce zaczęli wychodzić uczniowie starszych klas, szli po dywanie biegnącym przez środek refektarza – Paddy Rath, i Jimmy Magee, i Hiszpan, któremu wolno było palić cygara, i mały Portugalczyk w wełnianej czapce. Potem ruszyły stoły średniaków,

a wreszcie stoły pierwszo- i drugoklasistów. A każdy uczeń szedł innym krokiem.

Siedział w kącie sali do zabaw i udawał, że przygląda się grze w domino, raz czy dwa słyszał przez krótką chwilę, jak śpiewa gaz. Prefekt stał przy drzwiach z jakimiś chłopakami, a Simon Moonan wiązał mu rękawy. Opowiadał im o Tullabeg.

Po chwili odszedł od drzwi, a Wells zbliżył się do Stephena i zapytał:

– Powiedz, Dedalus, całujesz matkę przed pójściem spać?

Stephen odpowiedział:

– Całuję.

Wells odwrócił się do pozostałych chłopców i powiedział:

– Och, patrzcie no, ten chłopak mówi, że całuje matkę co wieczór przed pójściem spać.

Pozostali chłopcy przerwali grę i odwrócili się do niego ze śmiechem. Pod wpływem ich spojrzeń Stephen się zarumienił. I powiedział:

– Nie całuję.

A Wells na to:

– Och, patrzcie no, ten chłopak mówi, że nie całuje matki przed pójściem spać.

Znowu się wszyscy zaśmiali. Stephen chciał śmiać się razem z nimi. Czuł, że w jednej chwili jego ciało zrobiło się gorące i że całkiem się gubi. Jak powinna brzmieć poprawna odpowiedź na to pytanie? Udzielił dwu odpowiedzi, a mimo to Wells się z niego naigrawał. Ale Wells z pewnością zna poprawną odpowiedź, jest przecież o klasę wyżej. Próbował wyobrazić sobie matkę Wellsa, ale nie śmiał podnieść wzroku, żeby spojrzeć Wellsowi w twarz. Nie podobała mu się twarz Wellsa. To właśnie Wells wepchnął go poprzedniego dnia do szamba, bo nie chciał wymienić tabakierki na dojrzały kasztan, który rozbił czterdziestkę. To świństwo, tak mówili wszyscy chłopcy. I jaka ta woda była zimna i ohydna! A jeden chłopak widział kiedyś ogromniastego szczura, który wskoczył z pluskiem do szamba.

Zimny szlam z szamba pokrył całe jego ciało; a kiedy zabrzmiał dzwonek na lekcje i z sal do zabaw zaczęły wypływać strumienie

chłopców, czuł pod ubraniem zimne powietrze z korytarza i klatki schodowej. Ciągle głowił się nad poprawną odpowiedzią. Czy to dobrze, że całuje matkę, czy niedobrze, że ją całuje? Co to w ogóle znaczy: całować? Unosisz głowę do góry w taki sposób, jakbyś chciał powiedzieć dobranoc, a matka przybliża swoją twarz do twojej. To właśnie znaczy całować. Matka przytyka wargi do jego policzka; jej wargi są miękkie i zostawiają na policzku mokry ślad; i wydają z siebie ten cichy odgłos: cmok. Czemu ludzie wyprawiają ze swoimi twarzami takie rzeczy?

Siedział w sali do nauki, podniósł pulpit ławki i zmienił naklejony w środku numer z siedemdziesięciu siedmiu na siedemdziesiąt sześć. Ferie świąteczne były jeszcze bardzo daleko, ale pewnego dnia na pewno nadejdą, bo przecież Ziemia ciągle się obraca.

Na pierwszej stronie podręcznika do geografii był rysunek Ziemi: wielka kula wśród chmur. Fleming miał pudełko kredek i pewnego wieczoru podczas zajęć wolnych pokolorował Ziemię na zielono, a chmury na kasztanowo. Wyglądało to teraz jak dwie szczoteczki w bieliźniarce Dante, szczoteczka z zielonym aksamitnym grzbietem dla Parnella, a szczoteczka z kasztanowym aksamitnym grzbietem dla Michaela Davitta. Ale to nie on kazał Flemingowi zamalować je takimi kolorami. Fleming zrobił to sam.

Otworzył podręcznik do geografii i zaczął przygotowywać się do lekcji; nie umiał jednak nauczyć się nazw miejscowości w Ameryce.

Były to różne miejscowości o różnych nazwach. Te miejscowości są w różnych krajach, a kraje są na różnych kontynentach, a kontynenty są na świecie, a świat jest we wszechświecie.

Otworzył stronę przedtytułową podręcznika do geografii i przeczytał, co wcześniej na niej napisał; swoje imię, nazwisko i miejsce zamieszkania:

Stephen Dedalus
Klasa początkowa
Gimnazjum w Clongowes Wood
Sallins

Hrabstwo Kildare
Irlandia
Europa
Świat
Wszechświat

Te słowa zapisane były jego ręką, ale pewnego wieczoru Fleming napisał dla zgrywy na sąsiedniej stronie:

Nazywam się Dedalus Stephen,
Irlandia to ojczyzna moja,
Clongowes – miejsce zamieszkania,
A niebo, jak Bóg da, ostoja.

Przeczytał te wersy wspak, ale wtedy przestały być poezją. Potem przeczytał stronę przedtytułową z dołu do góry, aż doszedł do własnego nazwiska. To właśnie on; i ponownie przeczytał od góry do dołu całą stronę. Co jest po wszechświecie? Nic. Ale czy wokół wszechświata jest coś, co stanowiłoby jego granicę, za którą zaczyna się to miejsce zwane nic? To nie mógł być mur, mogła to być za to cienka, cieniusieńka linia opasująca wszystko. Takie myślenie o tym wszystkim i o tym wszędzie to wielka sprawa. Tylko Boga byłoby na nie stać. Próbował wyobrazić sobie, jak wielka byłaby to sprawa, ale na myśl przychodził mu tylko Bóg. Bóg to imię Boga, tak jak jego imię to Stephen. *Dieu* to Bóg po francusku, to też jest imię Boga; i kiedy ktoś modli się do Boga i mówi *Dieu*, to Bóg od razu wie, że to Francuz się modli. Choć w najróżniejszych językach świata są najróżniejsze imiona Boga i chociaż Bóg rozumie, co mówią ci wszyscy ludzie modlący się do Niego w tych wszystkich najróżniejszych językach, to jednak Bóg jest tym samym Bogiem i prawdziwym imieniem Boga jest Bóg.

Tego rodzaju myśli bardzo go zmęczyły. Poczuł, że głowa mu puchnie. Odwrócił stronę przedtytułową i przyglądał się ze znużeniem zielonej okrągłej Ziemi zawieszonej pośród kasztanowych chmur. Zachodził w głowę, po której stronie

powinien stać, zielonej czy kasztanowej, bo Dante pewnego dnia odcięła nożyczkami zielony aksamit z grzbietu szczoteczki, która była dla Parnella, i powiedziała, że Parnell jest złym człowiekiem. Ciekawe, czy z tego powodu wybuchły w domu jakieś kłótnie. Nazywało się to polityka. Były dwie strony: Dante była po jednej stronie, a ojciec i pan Casey byli po drugiej, ale matka i wujek Charles nie byli po żadnej stronie. Codziennie pisały coś o tym gazety.

Nie dawała mu spokoju myśl, że nie wie, czym tak naprawdę jest polityka, i że nie wie na dodatek, gdzie kończy się wszechświat. Czuł się taki malutki i słaby. Kiedy stanie się kimś takim jak koledzy z kursu poezji i retoryki? Oni mają wielkie głosy i wielkie buty i uczą się trygonometrii. To jeszcze daleko przed nim. Najpierw przyjdą wakacje, a potem drugi rok szkolny, a potem znowu wakacje, a potem znowu kolejny rok, a potem znowu wakacje. Przypominało to pociąg, który wjeżdża do tunelu, a potem z niego wyjeżdża, i hałas w refektarzu, kiedy chłopcy jedzą, a ty zatykasz i odtykasz sobie uszy. Rok szkolny, wakacje, tunel, wyjazd; hałas, cisza. Jak daleko! Lepiej byłoby pójść spać, jeszcze tylko modlitwa w kaplicy i do łóżka. Wzdrygnął się i ziewnął. W łóżku będzie cudownie, jak się pościel trochę nagrzeje. Kiedy się w nią wśliznąć, jest najpierw taka zimna. Zadrżał na samą myśl, jak bardzo zimna. Ale potem robi się ciepła i można spać. Zmęczenie to takie cudowne uczucie! Znowu ziewnął. Wieczorna modlitwa i do łóżka: wzdrygnął się i chciał ziewnąć. Za kilka minut będzie cudownie. Poczuł falę ciepła, która wyłaniała się z zimnej, rozdygotanej pościeli, coraz cieplejsza, aż zrobiło się wokół ciepło, cieplutko, jak cieplutko, a jednak wzdrygnął się i znowu chciało mu się ziewać.

Dzwonek wzywał na modlitwę wieczorną i Stephen z innymi chłopakami wyszli jeden za drugim z sali do nauki własnej i idąc po schodach, a potem korytarzami, dotarli do kaplicy. Korytarze były słabo oświetlone i kaplica była słabo oświetlona. Wkrótce wszystko pogrąży się w mroku i we śnie. Wieczorne powietrze w kaplicy było zimne, a marmur miał kolor, jaki morze przybiera po zmierzchu. Morze jest zimne dzień i noc, ale po zmierzchu jest zimniejsze. Przy falochronie za domem ojca jest zimne i mroczne. Ale na płycie kominka na pewno stoi kociołek na poncz.

Prefekt z kaplicy modlił mu się nad głową, a on odtwarzał z pamięci wszystkie odpowiedzi:

Panie, otwórz wargi moje,
A usta moje będą głosić Twoją chwałę.
Boże, wejrzyj ku wspomożeniu memu.
Panie, pospiesz ku ratunkowi memu.

W kaplicy unosiła się zimna, nocna woń. Ale to był święty zapach. Nie przypominał zapachu starych wieśniaków, którzy klęczeli w tyle kaplicy podczas niedzielnej mszy. Ich zapach był zapachem powietrza, i deszczu, i torfu, i sztruksu. Ale to byli bardzo pobożni chłopi. Czuł na szyi ich oddech i słyszał ich westchnienia, kiedy pogrążali się w modlitwie. Mieszkali w Clane, jak mu powiedział pewien uczeń: stały tam małe chaty, a on widział jakąś kobietę w drzwiach takiej chaty z dzieckiem na ręku, kiedy wyjeżdżali wozami z Sallins. Cudownie byłoby przespać się choć raz w takiej chacie przy ogniu z dymiącego torfu, w ciemności słabo oświetlonej ogniem, w cieple mroku, i oddychać tym zapachem wieśniaków, powietrza, deszczu, torfu i sztruksu. Ale, och, jakże mroczna jest ta zadrzewiona droga, która tam prowadzi! Można się było w tej ciemności zagubić. Na samą myśl o tym ze strachu przechodziły go ciarki.

Usłyszał głos prefekta odmawiającego ostatnią modlitwę. On też ją odmówił w intencji ochrony przed tym mrokiem, który czyhał na niego na dworze pod tymi drzewami.

Boże, nasz Ojcze, nawiedź ten dom i oddal od niego wszelkie wrogie zasadzki; niech w nim przebywają Twoi święci aniołowie i strzegą nas w pokoju, a Twoje błogosławieństwo niech nam zawsze towarzyszy. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.

Drżały mu palce, kiedy rozbierał się w dormitorium. Kazał swoim palcom się spieszyć. Musiał się rozebrać, a potem klęknąć i odmówić pacierz, i wejść do łóżka, zanim wyłączą gaz, żeby w razie

nagłej śmierci nie pójść do piekła. Ściągnął pończochy, szybko włożył koszulę nocną, uklęknął rozdygotany przy łóżku i zmówił pacierz, szybko, szybciuteńko, bo bał się, że wyłączą gaz. Czuł, jak drżą mu ramiona, kiedy szeptał:

Niech Bóg ma w opiece ojca mego i matkę moją i zachowa ich dla mnie!

Niech Bóg ma w opiece moich młodszych braci i siostry i zachowa ich dla mnie!

Niech Bóg ma w opiece Dante i wujka Charlesa i zachowa ich dla mnie!

Przeżegnał się i szybko wdrapał na łóżko, podwinął pod stopy skrawek koszuli nocnej i skulił się w zimnej białej pościeli, drżąc i trzęsąc się cały. Ale jeśli teraz umrze, nie pójdzie do piekła; a drżenie ustanie. Jakiś głos życzył chłopcom w dormitorium dobrej nocy. Stephen wystawił na chwilę głowę spod kołdry i zobaczył żółte zasłonki po bokach i u nóg łóżka, które z czterech stron odcinały go od świata. Po cichu wygaszono światła.

Buty prefekta oddalały się. Dokąd? Po schodach i po korytarzach, czy do izby na końcu budynku? Zobaczył mrok. Czy to prawda, co mówią, że po nocach wałęsa się tutaj czarny pies, a ślepia ma wielkie jak lampy u wozu? Mówią, że to duch mordercy. Przeciągły dreszcz strachu przebiegł mu po plecach. Stephen ujrzał ciemną sień zamku. Starzy lokaje w starych liberiach zebrali się w zbrojowni nad schodami. Dzieje się to bardzo dawno temu. Starzy lokaje nic nie mówią. Płonie ogień, ale izbę spowija mrok. Jakaś postać wchodzi po schodach, idzie z sieni. Z ramion jej spływa biały płaszcz marszałka; twarz bladą ma i niezwykłą; dłoń do boku przyciska. Niezwykłymi oczyma na starych lokajów spogląda. A oni na postać tę patrzą i widzą twarz pana, i płaszcz jego widzą, i wiedzą już, że śmiertelną ranę otrzymał. Ale patrzą tylko w mrok, w czarną cichą przestrzeń. Ich pan otrzymał ranę śmiertelną na polu bitewnym pod Pragą, daleko, w zamorskiej krainie. Stoi na polu; rękę

do boku przyciska, twarz bladą ma i niezwykłą, a z ramion jego spływa biały płaszcz marszałka.

Jak zimno i dziwnie robi się na myśl o tym wszystkim! Cały ten mrok jest zimny i niezwykły. Widzi tam blade niezwykłe twarze, oczy wielkie jak lampy u wozu. To duchy morderców, postaci marszałków, którzy odnieśli rany śmiertelne na polach bitewnych w zamorskich krainach. Co chcieli powiedzieć tymi swoimi niezwykłymi twarzami?

Boże, nasz Ojcze, nawiedź ten dom i oddal od niego wszelkie wrogie zasadzki.

Do domu na ferie! Będzie cudownie – koledzy mu powiedzieli. Wczesnym rankiem zasiedli w powozach, które czekały na nich przed bramami zamku. Powozy potoczyły się po żwirze. Wiwat rektor!

Hurra! Hurra! Hurra!

Powozy mijały kaplicę i wszystkie czapki poszły w górę. Jechali radośnie po wiejskich drogach. Woźnice wskazali batami na Bodenstown[5]. Chłopcy wznosili wiwaty i okrzyki. Minęli gospodarstwo Wesołego Gospodarza. Okrzykom nie było końca. Jechali przez Clane, okrzykami odpowiadając na okrzyki. Wieśniaczki stały we wpółotwartych drzwiach, tu i ówdzie stali mężczyźni. W zimowym powietrzu unosił się cudowny zapach: zapach Clane, deszczu i zimowego powietrza, i tlącego się torfu, i sztruksu.

Pociąg był pełen uczniów; długi, bardzo długi czekoladowy pociąg z kremową okładziną. Konduktorzy chodzili tam i z powrotem, uchylali drzwiczki i domykali je, otwierali kluczem i na klucz zamykali. Ubrani byli w granatowe uniformy ze srebrnym szlifem; mieli srebrne gwizdki, a klucze wygrywały skoczną melodyjkę: klik, klik, klik, klik.

A pociąg pędził po płaskich polach i u stóp Wzgórza Allena. Mijały ich słupy telegraficzne, jeden za drugim. Pociąg jechał dalej. Pociąg wiedział. W sieni ojcowskiego domu są kolorowe lampiony

i łańcuchy z zielonych gałązek. Ostrokrzew i bluszcz oplatają lustro między oknami, ostrokrzew i bluszcz, zielony i czerwony, opasują świecznik. Czerwony ostrokrzew i zielony bluszcz oplatają stare portrety na ścianie. Ostrokrzew i bluszcz na jego cześć i z okazji świąt Bożego Narodzenia.

Cudowne…

Nikogo nie brakło. Witaj w domu, Stephen! Rozgwar powitania. Matka go pocałowała. Czy to w porządku? Ojciec był teraz marszałkiem – był ważniejszy niż sędzia pokoju. Witaj w domu, Stephen!

Odgłosy…

Słychać odgłos pierścieni na karniszach, gdy przesuwają się zasłony, słychać odgłos wody pluskającej o dno miski. Słychać odgłosy wstawania i ubierania się, i mycia w dormitorium: odgłos klaszczących dłoni prefekta, który wspina się co chwila na górę i przypomina chłopcom, że mają wyglądać elegancko. Blade światło wydobywa na jaw odsunięte pożółkłe zasłony, niepościelone łóżka. Jego łóżko jest bardzo gorące i twarz, i ciało też są bardzo gorące.

Podniósł się i usiadł na brzegu łóżka. Był osłabiony. Próbował wciągnąć pończochę. Była przeraźliwie szorstka. Promienie słoneczne były dziwne i zimne.

Fleming zapytał:

– Jesteś chory?

Powiedział, że nie wie, a Fleming na to:

– Wracaj do łóżka. Powiem McGlade'owi, żeś marny.

– Zachorował.

– Kto zachorował?

– Powiedz McGlade'owi.

– Wracaj do łóżka.

– Zachorował?

Jakiś kolega chwycił go pod pachami, a Stephen ściągnął zwisającą ze stopy pończochę i wgramolił się z powrotem do rozgrzanego łóżka.

Skulił się w pościeli, której ciepło sprawiło mu przyjemność. Słyszał, jak koledzy rozmawiają o nim, przygotowując się do mszy. To świństwo, mówili, tak wepchnąć go do szamba.

A potem ich głosy ucichły; odeszli. Jakiś głos przy łóżku zapytał:

– Dedalus, nie zakablujesz nas, prawda?

Była tam twarz Wellsa. Spojrzał i zrozumiał, że Wells ma pietra.

– Nie chciałem. Prawda, że nic nie powiesz?

Ojciec powtarzał mu, że cokolwiek się stanie, nie może kablować na kolegów. Pokręcił głową i powiedział, że nie, i poczuł się szczęśliwy. Wells zapewniał go:

– Nie chciałem, słowo honoru. To tylko dla draki. Tak mi przykro.

Twarz i głos zniknęły. Przykro mu, bo ma pietra. Ma pietra, bo myśli, że to jakaś poważna choroba. Rośliny rakowacieją, zwierzęta chorują na raka: albo coś podobnego. Było to tak dawno temu, na boisku w wieczornym świetle, skradał się z miejsca na obrzeżach swojej grupy, ciężkie ptaszysko leciało nisko w szarym świetle. Opactwo Leicester oświetlone. Zmarł tam Wolsey. Pochowali go opaci.

To nie była twarz Wellsa, ale prefekta. Nie odstawia szopki. Nie, nie: naprawdę go zmogło. Nie udaje. Poczuł na czole dłoń prefekta; i poczuł, jak ciepłe i wilgotne jest jego czoło pod chłodną i wilgotną dłonią prefekta. Taki właśnie jest w dotyku szczur, obślizgły, wilgotny i zimny. Każdy szczur ma parę oczu, którymi patrzy. Przylizane, obślizgłe futerko, maciupeńkie łapki gotowe do skoku, czarne lśniące ślepka do wypatrywania. Szczury wiedzą, jak skakać. Ale umysł szczura nie pojąłby trygonometrii. Kiedy są martwe, leżą na boku. Wtedy schną ich futerka. Są tylko martwymi istotami.

Prefekt znowu tu jest, to jego głos mówił do Stephena, żeby wstał, że ojciec prorektor kazał mu wstać i ubrać się, i przejść do infirmerii. A kiedy się ubierał tak szybko, jak tylko mógł, prefekt powiedział:

– Prędziutko, prędziutko, pędzimy do brata Michaela, bo ściska nas w dołku. Okropne jest takie ściskanie. Kiedy nas tak ściska w dołku, znaczy, że jesteśmy w dołku!

Miło z jego strony, że tak powiedział. Wszystko po to, żeby go rozśmieszyć. Ale on nie mógł się śmiać, bo drżały mu policzki i wargi, i prefekt musiał się roześmiać sam.

Prefekt krzyknął:

– Naprzód marsz! Słoma, siano! Słoma, siano!

Zeszli razem po schodach, przeszli korytarzem, minęli łazienkę. Kiedy przechodzili obok drzwi, przypomniał sobie ciepłą, torfową wodę w szambie, ciepłe wilgotne powietrze, pluski, zapach ręczników jak zapach lekarstwa i poczuł nieokreślony lęk.

W drzwiach infirmerii stał brat Michael, a zza otwartych drzwiczek mrocznej szafki po jego prawej stronie dochodził zapach jakby lekarstw. Zapach z buteleczek ustawionych na półkach. Prefekt powiedział coś do brata Michaela, a brat Michael mu odpowiedział i zwrócił się do prefekta „proszę księdza". Włosy miał rudawe, z odcieniem szarości, i wyglądał dziwnie. To dziwne, że zawsze będzie bratem. To dziwne, że nie można było mówić do niego „proszę księdza", bo był bratem i wyglądał inaczej. Czy nie był dość pobożny i dlaczego nie udało mu się dorównać pozostałym?

W sali stały dwa łóżka i w jednym leżał uczeń, który kiedy weszli, wykrzyknął:

– Cześć! Toż to młody Dedalus! Co się dzieje?

– Dzieje się dzieją – odparował brat Michael.

Był to uczeń z trzeciej klasy, a kiedy Stephen się rozbierał, poprosił brata Michaela, żeby przyniósł mu grzankę z masłem.

– Błagam! – powiedział.

– Z masłem! Patrzcie na te jego maślane oczy! – powiedział brat Michael. – Wypiszę cię jutro rano, kiedy przyjdzie lekarz.

– Naprawdę? – zapytał uczeń. – Nie jestem jeszcze zdrowy.

Ale brat Michael powtórzył tylko:

– Jutro wypis, masz jak w banku.

Pochylił się, żeby rozgarnąć żar w kominku. Miał długi grzbiet, tak długi jak grzbiet konia pociągowego. Wstrząsnął energicznie pogrzebaczem i pokiwał głową nad trzecioklasistą.

Potem brat Michael wyszedł z sali, a trzecioklasista odwrócił się do ściany i zasnął.

To była infirmeria. Stephen był chory. Czy napisali list do matki i ojca? Byłoby szybciej, gdyby któryś z księży pojechał i sam im to powiedział. Albo gdyby Stephen napisał list, a ksiądz go im zawiózł.

Droga Matko!
Jestem chory. Chcę wracać do domu. Błagam, przyjedź tu i zabierz mnie stąd. Jestem w infirmerii.

Twój kochający syn
Stephen

Jak daleko byli od niego! Światło słoneczne za oknem było zimne. Zastanawiał się, czy umrze. Przecież można umrzeć nawet w słoneczny dzień. Może umrzeć, zanim matka po niego przyjedzie. Wtedy odprawią w jego intencji mszę żałobną w kaplicy, taką samą jak wtedy, kiedy umarł Little, o czym mówili mu koledzy. Wezmą w niej udział wszyscy uczniowie, wszyscy będą ubrani na czarno, wszyscy będą mieli smutne miny. Wells też tam będzie, ale nikt na niego nie spojrzy. Będzie też rektor w czarno-złotej kapie i będą długie żółte świece na ołtarzu i na katafalku. I powoli wyniosą trumnę z kaplicy, i pochowają go na małym wiejskim cmentarzu przy głównej alei lipowej. I wtedy Wellsowi będzie naprawdę przykro, że zrobił, co zrobił. A dzwon będzie bił powoli.

Słyszał to bicie dzwonu. Powtórzył w myślach słowa piosenki, której nauczyła go Brigid:

Biją dzwony na zamczysku!
Żegnaj, matko droga!
Pochowaj mnie na cmentarzysku,
Gdzie śpi siostra ma, nieboga.
Spocznę w trumnie, przy mej głowie
Staną w szóstkę aniołowie,
Dwóch zaśpiewa, dwóch modły wzniesie,
Dwóch duszę moją do nieba poniesie.

Jakie to piękne i jakie smutne! Jak pięknie brzmią te słowa, które mówią „pochowaj mnie na cmentarzysku”! Dreszcz przeszedł mu po plecach. Jakie to smutne i jakie piękne! Chciało mu się płakać, po

cichu, nie nad sobą, tylko z powodu tych słów, tak pięknych i tak smutnych jak muzyka. Bije dzwon! Dzwon! Żegnajcie! Ach, żegnajcie!

Zimne światło słońca było coraz słabsze, a brat Michael stał przy jego łóżku z miseczką bulionu. Ucieszył się, bo usta miał spieczone i suche. Słyszał, jak chłopcy bawią się na boisku. A życie w gimnazjum toczyło się, jakby był nadal z nimi.

Brat Michael zbierał się do wyjścia, a uczeń z trzeciej klasy prosił go, żeby nie zapomniał i przyszedł, i powiedział mu o wszystkim, o czym piszą w gazecie. Wyjawił Stephenowi, że nazywa się Athy i że jego ojciec trzyma wiele koni wyścigowych, które świetnie biorą przeszkody, i że ojciec powie mu, którego konia obstawiać, kiedy go tylko brat Michael o to poprosi, bo brat Michael jest bardzo uczynny i zawsze mówi mu, o czym piszą w gazecie, którą codziennie przynoszą na zamek. W gazecie były najrozmaitsze wiadomości: o wypadkach, katastrofach morskich, sporcie i polityce.

– A teraz w tej gazecie sama polityka – powiedział. – Czy u ciebie w rodzinie rozmawia się o polityce?

– Rozmawia – odparł Stephen.

– To tak jak w mojej.

Pomyślał przez chwilę i stwierdził:

– Masz dziwne nazwisko, Dedalus. Ja też mam dziwne nazwisko: Athy. Moje nazwisko pochodzi od nazwy miasta. Twoje jest jakieś łacińskie.

Potem zapytał:

– Umiesz rozwiązywać zagadki?

Stephen odpowiedział:

– Trochę.

Zapytał więc:

– A znasz odpowiedź na tę zagadkę? Dlaczego hrabstwo Kildare jest jak nogawka szkolnych bryczesów?

Stephen pomyślał nad odpowiedzią i rzekł:

– Poddaję się.

– Bo jest w nim udo. Kapujesz? Athy to miasteczko w hrabstwie Kildare, a jego nazwę wymawia się tak samo jak a *thigh*, czyli udo. A więc Athy to udo, tylko że inne udo.

– No tak, rozumiem.

– To stara zagadka.

Po chwili znowu zapytał:

– A wiesz co?

– Co? – spytał Stephen.

– Wiesz, że można zadać tę zagadkę inaczej?

– Naprawdę? – zapytał Stephen.

– Tę samą zagadkę – odparł. – Wiesz, jak można ją zadać?

– Nie.

– Nic ci nie przychodzi do głowy?

Spoglądał na Stephena znad pościeli, kiedy do niego mówił. Potem opadł na poduszkę i rzekł:

– Można zadać ją inaczej, ale nie powiem ci jak.

Dlaczego nie chce mu powiedzieć? Ojciec, który trzyma konie wyścigowe, pewnie jest sędzią pokoju jak ojciec Saurina i ojciec Wstręciora Roche'a. Pomyślał o własnym ojcu, o tym, jak ojciec śpiewał piosenki, a matka mu akompaniowała, i jak zawsze kiedy prosił go o sześć pensów, dostawał szylinga, i przykro mu było, że ojciec nie jest sędzią pokoju jak ojcowie innych uczniów. Dlaczego w takim razie wysłano go do szkoły razem z nimi? Ojciec powiedział mu, że czuć się będzie jak u siebie, bo właśnie tam pięćdziesiąt lat temu jego wujek wygłosił mowę na cześć Oswobodziciela[6]. Ludzi z tamtych czasów można poznać po staroświeckich strojach. Wydawało mu się, że były to poważne czasy, i zastanawiał się, czy w tamtych czasach uczniowie w Clongowes ubierali się w granatowe marynarki z miedzianymi guzikami i żółte kamizelki i nosili czapki z króliczej skórki, i pili piwo jak dorośli, i trzymali własne charty do polowania na zające.

Wyjrzał przez okno i zobaczył blednące światło dnia. Na boisku zaległa już szara mgła. Nie dochodziły stamtąd żadne odgłosy. Uczniowie są pewnie na lekcjach, a może ojciec Arnall czyta im żywoty świętych.

To dziwne, że nie podali mu żadnego lekarstwa. Może przyniesie je brat Michael, kiedy przyjdzie. Mówią, że kiedy leżysz w infirmerii, podają ci do wypicia jakieś śmierdzące mikstury. Ale czuł się już lepiej. Dobrze byłoby powoli wracać do zdrowia. Dostałby pewnie jakąś książkę. W bibliotece jest taka książka o Holandii. A w niej są

piękne obce nazwy i obrazki dziwnie wyglądających miast i statków. Miałby z niej wiele radości.

A pod oknem światło takie blade! Ale to miło. Na ścianie płomień to unosił się, to znów opadał. Jak fale. Ktoś dorzucił węgla i Stephen usłyszał głosy. Rozmawiały ze sobą. Były jak dźwięk fal. A może to fale rozmawiały ze sobą, wznosząc się i opadając.

Widział morze fal, długie, ciemne fale, które wznoszą się i opadają, ciemne w tę bezksiężycową noc. Drobne światełko migotało na końcu pirsu, kiedy wpływał statek: Stephen ujrzał tłum ludzi, który zebrał się na brzegu wody, żeby zobaczyć, jak statek zawija do ich portu. Jakiś wysoki mężczyzna stał na pokładzie i patrzył na płaski i mroczny ląd; w świetle na pirsie ujrzał jego twarz, przygnębioną twarz brata Michaela.

I zobaczył, jak brat Michael unosi dłoń ku ludziom, i usłyszał ponad wodami jego donośny, żałobny głos:

– Nie żyje. Widzieliśmy go na katafalku.

A ludzie odpowiedzieli lamentem:

– Parnell! Parnell! Nie żyje[7].

Padli na kolana, jęczeli w rozpaczy.

I zobaczył Dante w kasztanowej aksamitnej sukni, z zielonym aksamitnym płaszczem spływającym z ramion, jak przechodzi dumnie, w milczeniu obok tych ludzi, którzy padli na kolana na brzegu wody.

* * *

Obfity ogień, czerwony, buchający wysoko, płonął na palenisku w kominku, a pod oplecionymi bluszczem ramionami świecznika stał nakryty świąteczny stół. Dotarli do domu później, niż myśleli, ale wieczerza nie była jeszcze gotowa; za chwilunię, powiedziała matka. Czekali, aż otworzą się drzwi i wejdzie służba, niosąc olbrzymie półmiski przykryte ciężkimi metalowymi pokrywami.

Wszyscy czekali: wuj Charles siadł daleko w cieniu okna, Dante i pan Casey zanurzyli się w wyścielanych fotelach stojących po obu stronach kominka, Stephen siedział na krześle między nimi, a nogi

opierał na osmolonym podnóżku. Pan Dedalus przejrzał się w lustrze nad kominkiem, podkręcił sobie nawoskowane końcówki wąsów i odsuwając poły surduta, stanął plecami do buzującego ognia. Co jakiś czas wyjmował rękę spod poły surduta, żeby znowu podkręcić wąsa.

Pan Casey przekrzywił głowę i uśmiechając się, bębnił palcami po zgrubieniu na szyi. I Stephen też się uśmiechał, bo wiedział, że to nieprawda, jakoby pan Casey ukrywał w gardle sakiewkę srebra. Uśmiechnął się na myśl o tym, że kiedyś dał się zwieść srebrzystym dźwiękom, które wydawał pan Casey. A kiedy spróbował rozewrzeć dłoń pana Caseya, żeby sprawdzić, czy chowa w niej sakiewkę srebra, i nie mógł rozprostować mu palców, pan Casey powiedział, że te trzy zesztywniałe palce to pamiątka po prezencie urodzinowym, jaki przygotowywał dla królowej Wiktorii.

Pan Casey klepał się po zgrubieniu na szyi i uśmiechał do Stephena zaspanymi oczyma, a pan Dedalus powiedział do niego:

– No tak, właśnie. Byliśmy na niczego sobie spacerze, prawda, John? Tak… ciekaw jestem, czy czeka nas jakaś kolacyjka dziś wieczór. Tak… ano właśnie, na cyplu nieźle nawdychaliśmy się dziś ozonu. Że tak powiem.

Odwrócił się do Dante i zapytał:

– A pani, pani Riordan, nigdzie dziś nie wychodziła?

Dante zmarszczyła czoło i odparła krótko:

– Nie.

Pan Dedalus opuścił poły surduta i podszedł do kredensu. Wyjął z szafki wielki kamionkowy dzban whisky i powoli napełniał karafkę, pochylając się co chwila, żeby sprawdzić, ile już nalał. Potem odstawił dzbanek do szafki, wlał trochę whisky do dwóch szklanek, dolał do nich nieco wody i wrócił z nimi do kominka.

– Kapeczka, John – powiedział – na pobudzenie apetytu.

Pan Casey wziął szklankę, upił łyk i odstawił ją na kominek. Potem powiedział:

– Nie mogę przestać myśleć o naszym drogim Christopherze, który wytwarza dla nich…

Przerwał mu atak śmiechu i kaszlu.

– …wytwarza dla nich tego szampana.

Pan Dedalus wybuchnął głośnym śmiechem.

– Christy? – zapytał. – Więcej jest przebiegłości w jego małym palcu niż w całym stadzie lisów.

Skłonił głowę, przymknął oczy i przesuwając raz po raz językiem po wargach, zaczął naśladować głos hotelarza.

– A kiedy z tobą rozmawia, ma taki słodki głosik, że pomyślałby kto. Te fałdy na jego szyi pocą się i zamieniają w galaretę, że niech mnie kule biją.

Pan Casey nadal walczył z atakiem śmiechu i kaszlu. A Stephen, który w twarzy i głosie ojca zobaczył i usłyszał właściciela hotelu, roześmiał się.

Pan Dedalus przyłożył monokl do oka i spojrzał na chłopca z góry, mówiąc cicho i łagodnie:

– A ty z czego się tak śmiejesz, nicponiu jeden, co?

Do pokoju weszła służba i ustawiła na stole półmiski. Potem pojawiła się pani Dedalus i zaczęto przydzielać miejsca.

– Siądź tutaj – wskazała.

Pan Dedalus podszedł do szczytu stołu i powiedział:

– Pani Riordan, proszę usiąść tutaj. John, staruszku, to twoje miejsce.

Omiótł wzrokiem stół, szukając wolnego krzesła dla wuja Charlesa, i powiedział:

– A na pana, mój drogi, czeka tu ptaszyna.

Kiedy wszyscy zajęli miejsca, położył dłoń na przykrywce, ale cofnął ją szybko i zawołał:

– Stephen!

A Stephen wstał z krzesła, żeby odmówić modlitwę przed posiłkiem.

Pobłogosław, Panie, te dary, które dzięki Twojej szczodrości możemy dziś spożywać przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.

Wszyscy się przeżegnali, a pan Dedalus, wzdychając z zadowolenia, podniósł z półmiska ciężką przykrywkę, na której brzegu perliły się lśniące kropelki.

Stephen spojrzał na tłustego indyka, który niedawno leżał jeszcze w kuchni na stole, obwiązany i przebity szpikulcem. Wiedział, że ojciec zapłacił za niego gwineę w sklepie Dunna na D'Olier Street i że sprzedawca poklepał ptaka po piersi, żeby pokazać, jaki to dobry indyk. Pamiętał głos tego człowieka, który mówił:

– Niech pan weźmie tego. *Prima sorte*.

Dlaczego pan Barrett w Clongowes nazywał swój pas do bicia indorem? Ale Clongowes było tak daleko, a tu z talerzy i półmisków unosił się ciepły, ciężki zapach indyka i szynki, i selera, wielki ogień buzował wysokimi czerwonymi płomieniami w kominku, zielony bluszcz i czerwony ostrokrzew radowały duszę, a kiedy wieczerza się skończy, wniosą wielki pudding posypany obranymi migdałami i przybrany gałązkami ostrokrzewu, wokół będzie płonąć błękitnawy ogień, a nad wszystkim zatrzepocze mała zielona flaga.

To była jego pierwsza wieczerza wigilijna. Pomyślał o swoich młodszych braciach i siostrach, którzy czekali w pokoju dla dzieci, jak kiedyś on sam czekał, dopóki nie wniesiono puddingu. W wąskim, luźnym kołnierzyku i marynarce z Eton czuł się dziwnie, jakby miał więcej lat niż w rzeczywistości, a wcześniej tego dnia rano, kiedy ubrany na mszę wszedł z matką do salonu, ojciec się rozpłakał. Dlatego że przypomniał sobie własnego ojca. Tak samo powiedział wuj Charles.

Pan Dedalus nakrył półmisek z powrotem i zaczął jeść, jakby od miesięcy nie miał niczego w ustach. Po czym powiedział:

– Tak, biedny, stary Christy, od tych przekrętów kark mu się wykrzywił.

– Simon – powiedziała pani Dedalus – nie podałeś pani Riordan sosu.

Pan Dedalus chwycił sosjerkę.

– Naprawdę? – wykrzyknął. – Niech pani wybaczy biednemu ślepcowi.

Dante zasłoniła talerz dłonią i powiedziała:

– Nie, dziękuję.

Pan Dedalus zwrócił się z pytaniem do wuja Charlesa.

– A szanownemu panu niczego nie brakuje?

– Wszystkiego mam w bród, Simon.

– A tobie, John?

– Wszystko gra. Zajmij się sobą.

– Mary? Spróbuj tego, Stephen. Na sam widok ślinka ci pocieknie.

Nalał szczodrze sosu na talerz Stephena i odstawił sosjerkę na stół. Potem zapytał Charlesa, czy mięso nie za twarde. Wuj Charles nie mógł mówić, bo miał pełne usta, ale skinął głową.

– Dobrze odpowiedział kanonikowi ten nasz stary przyjaciel, prawda? – zapytał pan Dedalus.

– Nigdy bym go o to nie podejrzewał – powiedział pan Casey.

– „Rzucę, ojcze, i ja swój grosz na tacę, jeśli przestaniesz zamieniać dom Boży w lokal wyborczy".

– Ładnie to tak odpowiadać księdzu? – wtrąciła się Dante. – I to człowiek, który zwie się katolikiem.

– Sami są sobie winni – odparł pan Dedalus z przesadną grzecznością. – Gdyby posłuchali, co mówi im byle głupiec, zajęliby się wyłącznie religią.

– To też religia – zauważyła Dante. – Wypełniają swój obowiązek, ostrzegając ludzi.

– Chodzimy do domu Bożego w pokorze, żeby modlić się do Stwórcy – powiedział pan Casey – a nie po to, by wysłuchiwać deklaracji wyborczych.

– To też religia – powiedziała znowu Dante. – Mają rację. Muszą prowadzić swoje owieczki.

– I wygłaszać spod ołtarza polityczne kazania, tak? – zapytał pan Dedalus.

– Oczywiście – odparła Dante. – To kwestia moralności publicznej. Ksiądz nie byłby duszpasterzem, gdyby nie mówił swojej trzódce, co jest dobre, a co złe.

Pani Dedalus odłożyła nóż i widelec:

– Zmiłujcie się, czy naprawdę musimy dyskutować o polityce właśnie dzisiaj, w ten szczególny dzień roku?

– Święta racja, łaskawa pani – powiedział wuj Charles. – Simon, wystarczy. Już ani słowa.

– Tak, tak – szybko przytaknął pan Dedalus.

Zamaszystym ruchem odkrył półmisek i zapytał:

– No dobrze, czy ktoś życzy sobie jeszcze indyka?

Nikt nie był chętny. Dante powtórzyła:

– I żeby katolik mówił takim językiem!

– Pani Riordan, błagam panią – powiedziała pani Dedalus – poniechajmy już sporów.

Dante zwróciła się ku niej i zapytała:

– Czy mam siedzieć tu i wysłuchiwać, jak drwi się ze sług mojego Kościoła?

– Nikt nie mówi na nich złego słowa – powiedział pan Dedalus – o ile nie wtrącają się do polityki.

– Tak nauczają biskupi i księża Irlandii – powiedziała Dante – i należy im się posłuszeństwo.

– Niech zostawią politykę w spokoju – powiedział pan Casey – bo jak nie, to ludzie odejdą z Kościoła.

– Słyszy pani? – zapytała Dante, odwracając się do pani Dedalus.

– Panie Casey! Simon! – zawołała pani Dedalus. – Już ani słowa.

– To dopiero nieszczęście! – powiedział wuj Charles.

– Co? – wykrzyknął pan Dedalus. – Mamy się od niego odwrócić, bo taka jest wola Anglików?

– Nie zasługuje już na to, by nam przewodzić – powiedziała Dante. – Popełnił grzech na oczach całego świata.

– Wszyscyśmy grzesznikami, strasznymi grzesznikami – powiedział chłodno pan Casey.

– „Biada temu, przez którego zgorszenia przychodzą!" – powiedziała pani Riordan. – „Lepiej by było dla niego, gdyby kamień młyński zawisł na szyi jego, a jego wrzucono do morza, niż żeby zgorszył jednego z tych maluczkich"[8]. To język Ducha Świętego.

– Język dość okropny, jeśli mogę coś powiedzieć – dorzucił pan Dedalus.

– Simonie! – wykrzyknął wuj Charles. – Chłopak słucha!

– Tak, tak – powiedział pan Dedalus. – Miałem na myśli… znaczy się, chodziło mi o ten straszny język, jakim mówią tragarze na dworcu. No dobrze, w porządeczku. Stephen, pokaż mi talerz, nicponiu. Masz, wcinaj na zdrowie.

Nałożył jedzenie na talerz Stephena; wujowi Charlesowi i panu Caseyowi podał po dużej porcji indyka polanego sosem. Pani

Dedalus jadła niewiele, a Dante siedziała z rękoma złożonymi na kolanach. Miała wypieki na twarzy. Kończąc jeść, pan Dedalus pogrzebał widelcem i nożem w półmisku i powiedział:

– Mam tu ten najsmaczniejszy kawałeczek, papieski nochal, jak go nazywają. Może któraś z dam lub któryś z panów…

Podniósł widelec z nadzianym nań kawałkiem indyka. Nikt się nie odezwał. Nałożył więc go sobie na talerz i powiedział:

– No, nikt nie powie, że nie pytałem. Chyba sam go zjem, bo ostatnio coś podupadam na zdrowiu.

Mrugnął na Stephena i odstawiwszy przykrywkę, zabrał się znów do jedzenia.

Kiedy jadł, panowała cisza. Po chwili powiedział:

– No cóż, dzień był do końca ładny. Przyszło wielu nowych ludzi.

Nikt się nie odezwał. Znowu przemówił:

– Wydaje mi się, że przyszło więcej nowych ludzi niż w zeszłym roku.

Rozejrzał się wokoło, ale wszyscy pochylili głowy nad talerzami, a kiedy nie uzyskał odpowiedzi, odczekał chwilę i powiedział gorzko:

– I tak popsuła się moja wigilijna wieczerza.

– Nie zazna szczęścia ani łaski – powiedziała Dante – dom, w którym nie szanuje się sług Bożych.

Pan Dedalus cisnął z brzękiem nóż i widelec.

– Szacunek! – wykrzyknął. – Dla tego Billa z wielką wargą czy tego wora bebechów w Armagh[9]? Szacunek! Też mi coś!

– Książęta tego świata – rzucił pan Casey pogardliwie.

– Woźnica lorda Leitrim[10], ot co – powiedział pan Dedalus.

– To Boży pomazańcy – powiedziała Dante. – Są chlubą naszej ojczyzny.

– Wór bebechów – prychnął pan Dedalus. – Ma śliczną twarzyczkę, proszę ja was, kiedy śpi. Szkoda, że nie widzieliście, jak ten jegomość wcina wołowinę z kapustą w mroźny zimowy dzień. O Johnny!

Na jego twarzy pojawił się zaciekły, zwierzęcy grymas, a usta zaczęły mlaskać.

– Doprawdy, Simonie – powiedziała pani Dedalus. – Nie powinieneś tak mówić przy Stephenie. To nie w porządku.

– Z pewnością kiedy podrośnie, będzie wszystko pamiętał – rzuciła zapalczywie Dante. – Te słowa, które tu słyszał, znieważające Boga, religię i duszpasterzy z jego rodzinnego miasta.

– To niech też zapamięta sobie – krzyknął do niej pan Casey z drugiego końca stołu – te słowa, którymi księża i księżowskie pachołki złamali serce Parnella, zaszczuli go na śmierć. Niech to sobie też zapamięta, kiedy podrośnie.

– Sukinsyny! – krzyknął pan Dedalus. – Kiedy powinęła mu się noga, obrócili się przeciwko niemu, rozszarpali go jak szczury w kanale. Nędzne psy! To oni doprowadzili do tego. To ich dzieło, jak Boga kocham!

– Postąpili, jak należało! – krzyknęła Dante. – Posłuchali swoich biskupów i księży. Chwała im za to!

– To doprawdy potworne, że nawet raz w roku człowiek nie może uwolnić się od tych potwornych rozmów – powiedziała pani Dedalus.

Wuj Charles uniósł dłonie w łagodzącym geście i powiedział:

– Uciszcie się, uciszcie! Czy nie moglibyśmy wyrażać swoich opinii bez tego zacietrzewienia i nie tym nikczemnym językiem? To rzeczywiście wstyd.

Pani Dedalus szepnęła coś do Dante, ale Dante odpowiedziała jej głośno:

– Nie będę milczeć. Będę broniła mojego Kościoła i mojej religii przed zniewagami, będę pluć w twarz katolickim odszczepieńcom.

Pan Casey szurnął talerzem na środek stołu, łokcie oparł na blacie i ochrypłym głosem zapytał gospodarza:

– A powiedz mi, Simon, opowiadałem ci już tę historię o słynnym splunięciu?

– Nie, nie opowiadałeś, John – odparł pan Dedalus.

– No to posłuchaj – powiedział pan Casey. – To wielce pouczająca historia. Zdarzyła się niedawno w tym oto hrabstwie Wicklow.

Tu przerwał i zwrócił się do Dante, tłumiąc oburzenie.

– A pani pozwoli, że powiem, że ja, jeśli to mnie łaskawa pani miała na myśli, nie jestem żadnym odszczepieńcem. Jestem katolikiem, jak mój ojciec był katolikiem, i jego ojciec, i ojciec jego ojca, kiedy nie kupczyliśmy wiarą, lecz oddawaliśmy za nią życie.

– Tym większy wstyd, że dziś wygaduje pan takie rzeczy – powiedziała Dante.

– Wróćmy do twojej opowieści, John. – Pan Dedalus się uśmiechnął. – Posłuchajmy tej historii.

– Ładny mi katolik! – powtórzyła Dante z ironią. – Najzjadliwszy protestant w tym kraju nie mówiłby takich rzeczy, jakich dziś przyszło mi wysłuchać.

Pan Dedalus zaczął kiwać głową, nucąc sobie pod nosem niczym wiejski śpiewak.

– Nie jestem żadnym protestantem, powtarzam łaskawej pani – powiedział pan Casey, czerwieniejąc ze złości.

Pan Dedalus, nucąc pod nosem i kiwając głową, zaczął nagle śpiewać chrapliwym, nosowym głosem:

Przybywajcie tutaj, rzymscy katolicy,
Co na msze w kościele nigdy nie chodzicie.

Wziął nóż i widelec i w wesołym nastroju zabrał się do jedzenia, prosząc pana Caseya:

– Opowiedz nam, John, tę historię. Dobrze nam zrobi na trawienie.

Stephen patrzył z przejęciem na twarz pana Caseya, który wsparł brodę na splecionych dłoniach i wpatrywał się w stół. Lubił siadać koło niego przy kominku i przyglądać się jego ciemnej, dzikiej twarzy. Ale jego czarne oczy nigdy nie były dzikie, a jego niespiesznie wypowiadanych słów słuchało się z przyjemnością. Dlaczego więc występował przeciw księżom? Bo Dante na pewno ma rację. Ale słyszał, jak ojciec mówił, że jest niedoszłą zakonnicą i że wystąpiła z zakonu w Alleghanies, kiedy jej brat się obłowił, sprzedając dzikusom świecidełka i skorupy. Może z tego powodu tak surowo oceniała Parnella. Nie lubiła, gdy bawił się z Eileen, bo Eileen

była protestantką, a kiedy sama była mała, znała dzieci, które bawiły się z protestantami, i ci protestanci naśmiewali się z litanii do Najświętszej Maryi Panny. „Wieżo z Kości Słoniowej", mówili, „Domie Złoty"! Jak kobieta może być wieżą z kości słoniowej albo domem złotym? Kto więc ma rację? Pamiętał też wieczór w infirmerii w Clongowes, ciemne wody, światło na pirsie i żałobny jęk, jaki dobył się z piersi ludzi, kiedy dotarła do nich ta wieść.

Eileen miała długie, blade ręce. Pewnego wieczoru, kiedy bawili się w chowanego, położyła mu na oczach dłonie: długie, i białe, i smukłe, i zimne, i miękkie. Tym była kość słoniowa: czymś zimnym i białym. Taki był sens Wieży z Kości Słoniowej.

– To króciutka historyjka – powiedział pan Casey. – Pewnego dnia w Arklow, a był to mroźny dzień, tuż przed śmiercią wodza, niech Bóg się nad nim zmiłuje…

Zamknął ze znużeniem oczy i przerwał. Pan Dedalus wziął z talerza kawałek mięsa z kością, odgryzł kęs i powiedział:

– Chciałeś powiedzieć: zanim go zabito.

Pan Casey otworzył oczy, westchnął i ciągnął dalej swoją opowieść:

– Było to w Arklow. Pewnego dnia byliśmy tam na wiecu, a po wiecu musieliśmy przedrzeć się przez tłumy na dworzec kolejowy. Ludzie, w życiu nie słyszeliście takiego pohukiwania, takich gwizdów i krzyków. Obrzucano nas najgorszymi wyzwiskami. Była tam też pewna starsza pani, a nieźle pijana była z niej wiedźma, i upatrzyła mnie sobie. Pląsała w tym błocku dookoła mojej skromnej osoby i wrzeszczała mi w twarz: „Gnębiciel naszych księży! Oddawaj francuskie pieniądze! Pan Fox! Kitty O'Shea"[11]!

– No i co zrobiłeś, John? – zapytał pan Dedalus.

– Pozwoliłem jej wrzeszczeć – powiedział pan Casey. – Dzień był mroźny, a dla podtrzymania nastroju, łaskawa pani wybaczy, żułem kłaczek tullamorki i nie mogłem powiedzieć ni słowa, bo usta miałem pełne tytoniu.

– No i co, John?

– No i pozwoliłem jej wrzeszczeć do syta, niech sobie ulży, niech wykrzykuje to swoje „Kitty O'Shea" i pozostałe wyzwiska, ale w końcu nazwała tę kobietę słowem, którego nie powtórzę, żeby nie

kalać tego świątecznego stołu ani waszych uszu, miłe panie, ani własnych ust.

Przerwał. Pan Dedalus, unosząc głowę znad kości, zapytał:

– Więc co zrobiłeś, John?

– Co zrobiłem! – powiedział Casey. – Kiedy wykrzykiwała te słowa, zbliżyła się do mnie swoją starą obrzydliwą facjatą, a ja miałem w ustach pełno soku z tytoniu. Nachyliłem się więc nad nią i siut! Tom jej powiedział.

Odwrócił się i udał, że pluje.

– Siut! Tom jej powiedział, prosto w oczy.

Zakrył dłonią oko i wydał z siebie chrząkliwy wrzask boleści:

– „Jezus Maria, Józefie Święty!", ona na to. „Nic nie widzę! Zostałam oślepiona i do cna zalana!"

Przerwał targany atakiem kaszlu i śmiechu, i powtórzył:

– „Oślepiona i do cna zalana".

Pan Dedalus zaśmiał się gromko, rozparł się w krześle, a wujek Charles pokiwał głową.

Dante wyglądała na okropnie wzburzoną, a kiedy się zaśmiewali, powtarzała tylko:

– Bardzo śmieszne! Cha, cha, cha! Bardzo śmieszne!

To niełądna opowieść, ta historia o splunięciu kobiecie w oczy. Ale co to za słowo, którym ta kobieta nazwała Kitty O'Shea i którego pan Casey nie chciał powtórzyć? Wyobrażał sobie, jak pan Casey przedziera się przez tłum i przemawia z breku. Za to właśnie znalazł się w więzieniu; Stephen pamiętał, że pewnego wieczoru sierżant O'Neill przyszedł do nich do domu i, stojąc w sieni, rozmawiał z ojcem ściszonym głosem, i przygryzał nerwowo skórzany pasek swojej czapki. Tej nocy pan Casey nie pojechał pociągiem do Dublina, a pod drzwi podjechał powóz i Stephen słyszał, jak ojciec mówi coś o drodze Cabinteely.

Pan Casey był po stronie Irlandii i po stronie Parnella, tak jak jego ojciec; i tak jak Dante, gdyż pewnego wieczoru w czasie koncertu na esplanadzie zdzieliła jakiegoś mężczyznę parasolką, bo zdjął kapelusz, kiedy orkiestra zagrała na koniec *Boże, chroń Królową*.

Pan Dedalus chrząknął pogardliwie.

– Ach, John – powiedział – tacy już oni są. Jesteśmy nieszczęsnym narodem na księżym postronku, zawsze tak było i zawsze tak będzie aż po koniec baśni.

Wujek Charles pokręcił głową, mówiąc:

– Źle się dzieje! Źle!

A pan Dedalus powtórzył:

– Zapomniany przez Boga naród na księżym postronku!

Wskazał portret dziadka wiszący na ścianie po jego prawej stronie:

– Widzisz tego człowieka, John? Był z niego porządny Irlandczyk, kiedy jeszcze nie robiło się na tym pieniędzy. Skazano go na śmierć za agitację, bo był whiteboyem[12], ale na temat naszych duchownych przyjaciół miał do powiedzenia jedno: żadnemu z nich nie pozwoliłby przestąpić progu swego domu.

Dante wzburzona wtrąciła się:

– Jeśli jesteśmy narodem na księżym postronku, to powinniśmy być z tego dumni! Księża są źrenicą w oku Pana. „Nie dotykaj ich", mówił Chrystus, „są bowiem źrenicą mojego oka"[13].

– Nie możemy więc kochać naszej ojczyzny? – zapytał pan Casey. – Mamy wyprzeć się człowieka, który urodził się po to, by nam przewodzić?

– To zdrajca ojczyzny! – odparła Dante. – Zdrajca i cudzołożnik! Księża dobrze zrobili, odwracając się od niego. Zawsze byli prawdziwymi przyjaciółmi Irlandii.

– Doprawdy? – zapytał pan Casey.

Grzmotnął pięścią w stół, marszcząc czoło w gniewie, i zaczął wyliczać, po kolei wystawiając palce.

– Czy to nie biskupi Irlandii zdradzili nas w sprawie Unii, kiedy biskup Lanigan wręczył deklarację lojalności markizowi Cornwallisowi? Czy to nie biskupi i księża przehandlowali niepodległość tego kraju w 1829 roku w zamian za emancypację katolików? Czy to nie oni wyparli się fenian[14], potępiając ich z ambon i w konfesjonałach? Czyż nie pohańbili prochów Terence'a Bellewa MacManusa?

Twarz płonęła mu od gniewu, a Stephen czuł, jak żar ten rozgrzewa i jego policzki, kiedy wypowiadane słowa wprawiały go

w podniecenie. Pan Dedalus parsknął prostackim, pogardliwym śmiechem.

– Och, na Boga! – wykrzyknął. – Zapomniałem o tym poczciwinie Paulu Cullenie! Toż to kolejna źrenica w oku Pana naszego!

Dante pochyliła się nad stołem i odparowała panu Caseyowi:

– I słusznie! Słusznie! Zawsze mają rację! Bóg, moralność i wiara są ponad wszystko.

Pani Dedalus, widząc jej wzburzenie, powiedziała:

– Pani Riordan, niech się pani nie daje ponosić emocjom w tej dyskusji.

– Bóg i wiara ponad wszystko! – krzyknęła Dante. – Bóg i wiara ważniejsze od wszystkiego na świecie!

Pan Casey wzniósł zaciśniętą pięść i rąbnął nią w stół.

– Bardzo dobrze – zachrypiał. – W takim razie Irlandii nie potrzeba Boga!

– John! John! – krzyknął pan Dedalus, chwytając gościa za mankiet.

Dante wbiła wzrok w stół przed sobą, a jej policzki drżały. Pan Casey z trudem podniósł się z krzesła, pochylił się ku niej i machnął ręką przed jej oczyma, jakby zrywał pajęczynę.

– Irlandii nie trzeba Boga! – krzyczał. – Za dużo mieliśmy Boga w Irlandii! Precz z Bogiem!

– Bluźnierca! Diabeł! – wrzasnęła Dante, zrywając się na równe nogi i niemal plując mu w twarz.

Wuj Charles i pan Dedalus pchnęli pana Caseya z powrotem na krzesło i, stojąc po obu jego stronach, próbowali przemówić mu do rozsądku. Ale on patrzył przed siebie czarnymi rozpłomienionymi oczyma, powtarzając tylko:

– Precz z Bogiem, mówię!

Dante raptownie odsunęła krzesło i, wstając od stołu, strąciła na podłogę pierścień do serwetki, który potoczył się leniwie po dywanie i zatrzymał przy nodze wyścielanego fotela. Pani Dedalus zerwała się z miejsca i podążyła za nią do drzwi. Przy drzwiach Dante odwróciła się gwałtownie i krzyknęła tak, by było ją słychać w drugim końcu pokoju, a jej policzki płonęły i drżały z wściekłości.

– Szatan z piekła rodem! Wygraliśmy! Zdusiliśmy go! Diabeł!

Drzwi zatrzasnęły się za nią z hukiem.

Pan Casey, oswobodziwszy ramiona z uścisku obu trzymających go mężczyzn, opuścił nagle głowę, wsparł ją na dłoniach i zaczął łkać z bólu.

– Biedny Parnellu! – płakał głośno. – Mój martwy królu!

Łkał głośno i gorzko.

Przerażony Stephen uniósł twarz i zobaczył, że oczy ojca wzbierają łzami.

* * *

Stojący w grupkach uczniowie wiedli ożywioną rozmowę.

Jeden z nich powiedział:

– Dorwali ich niedaleko Wzgórza Lyonsa.

– Kto ich dorwał?

– Pan Gleeson i prorektor. Siedzieli już w bryczce.

Ten sam uczeń dodał:

– Powiedział mi to chłopak ze starszej klasy.

A Fleming zapytał:

– Ale czemu zwiali?

– Ja wiem czemu – odparł Cecil Grzmot. – Skubnęli forsę z pokoju rektora.

– Kto skubnął?

– Brat Kickhama. A potem się podzielili.

– To zwykła kradzież. Jak mogli to zrobić?

– Co ty tam wiesz, Grzmocie! – powiedział Wells. – Ja wiem, czemu zwiali.

– No to gadaj.

– Mam nikomu nie mówić – rzucił Wells.

– Daj spokój, Wells – odparli zgodnie. – Nam możesz powiedzieć. Nie puścimy farby.

Stephen pochylił głowę, żeby nie uronić ani słowa. Wells rozejrzał się badawczo wokół, sprawdzając, czy nikt nie nadchodzi, po czym odezwał się konspiracyjnym szeptem:

– Słyszeliście o tym winie mszalnym, co je chowają w szafce na zakrystii?

– No jasne.

– Więc je wytrąbili, a po zapachu wydało się, kto to zrobił. I dlatego dali nogę, jeśli chcecie wiedzieć.

A uczeń, który odezwał się pierwszy, przytaknął:

– Właśnie, to samo słyszałem od tego chłopaka ze starszej klasy.

Uczniowie zamilkli. Stephen stał wśród nich, słuchał i bał się odezwać. Z przerażenia zrobiło mu się słabo i niedobrze. Jak mogli dopuścić się czegoś takiego? Wyobraził sobie tę mroczną, cichą zakrystię. Stały w niej ciemne drewniane szafki, w których grzecznie leżały sobie poskładane, plisowane komże. Nie była to wprawdzie kaplica, ale należało zachować ciszę. Święte miejsce. Pamiętał ów letni wieczór, kiedy wszedł do zakrystii, żeby przebrać się w strój ministranta, bo miał nieść kadzielnicę podczas procesji do leśnego ołtarzyka. Dziwne i święte miejsce. Chłopiec, któremu przydzielano kadzielnicę, kołysał nią delikatnie pod drzwiami, unosząc jej srebrną pokrywkę na środkowym łańcuszku, żeby nie wygasły węgielki. To był węgiel drzewny; kiedy uczeń delikatnie machał tym naczyniem, węgiel żarzył się w ciszy i wydzielał słaby, cierpki zapach. Kiedy wszyscy chłopcy już się odpowiednio ubrali, Stephen podał kadzielnicę rektorowi, który nasypał łyżkę kadzidła, a ono zaczęło syczeć na czerwonych węgielkach.

Uczniowie stali w małych grupkach rozsianych na boisku i rozmawiali. Wydawało mu się, że zmaleli; a to dlatego że poprzedniego dnia wpadł na niego pewien cyklista, uczeń drugiej klasy. Jego rower przewrócił Stephena na wysypaną żużlem ścieżkę, okulary pękły na trzy części, a okruchy żużlu dostały mu się do ust.

Dlatego chłopcy wydawali mu się mniejsi i dalsi, słupki od bramki cienkie i dalekie, a łagodne szare niebo takie wysokie. Ale na boisku nie grano w piłkę, nadchodziła bowiem pora krykieta. Niektórzy mówili, że kapitanem drużyny będzie Barnes, inni, że Flowers. Na całym boisku chłopcy obiegali bazy, serwowali podkręcone piłki i lobowali wysoko. W łagodnym szarym powietrzu rozlegał się ze wszystkich stron stukot kijów do krykieta. Kije

mówiły: puk, pak, pok, pek, jak krople wody w fontannie wpadające powoli do napełnionej po brzegi misy.

Athy, który dotychczas milczał, powiedział cichutko:

– Mylicie się.

Wszyscy odwrócili się do niego z zaciekawieniem.

– Czemu tak mówisz?

– Wiesz coś?

– Skąd wiesz?

– Gadaj, Athy.

Athy wskazał palcem na boisko, gdzie Simon Moonan spacerował samotnie, kopiąc przed sobą kamyk.

– Jego zapytajcie – odparł.

Uczniowie spojrzeli po sobie:

– Czemu akurat jego?

– Też brał w tym udział?

– Mów, Athy. No, jazda. Jeśli coś wiesz, możesz nam powiedzieć.

Athy ściszył głos i rzekł:

– Wiecie, czemu dali nogę? Powiem wam, ale pamiętajcie, ani pary z gęby.

Zrobił krótką przerwę i powiedział tajemniczo:

– Nakryli ich wieczorem w klopie z Simonem Moonanem i Kiełą Boyle'em.

Uczniowie spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Nakryli?

– A na czym?

Athy odpowiedział:

– Na macance.

Chłopcom aż mowę odjęło, a Athy dodał:

– Tak było.

Stephen spojrzał na twarze kolegów, ale ich wzrok błądził po boisku. Chciał kogoś o to zapytać. Co to znaczy, ta macanka w klopie? Dlaczego pięciu uczniów ze starszej klasy musiało z tego powodu uciekać? Pewnie dla zgrywy, pomyślał. Simon Moonan ubierał się elegancko, a pewnego wieczoru pokazał mu kulę wypełnioną śmietankowymi cukierkami, którą koledzy z piłkarskiej piętnastki potoczyli po dywanie przez sam środek refektarza do stojącego przy

drzwiach Simona. Był to wieczór meczu z Bective Rangers i kula przypominała czerwono-zielone jabłko, tyle że się otwierała, a wewnątrz były śmietankowe cukierki. A pewnego dnia Boyle powiedział, że słoń ma parę kiełów zamiast kłów i dlatego nazwali go Kieła Boyle, ale niektórzy przezywali go Pańcia Boyle, bo nieustannie robił coś przy paznokciach i ciągle je sobie przycinał.

Eileen też miała długie, smukłe, białe dłonie, bo była dziewczynką. Przypominały kość słoniową, ale były miękkie. Takie było znaczenie „Wieży z Kości Słoniowej", a jednak protestanci tego nie rozumieli i stroili sobie żarty. Pewnego dnia stanął koło niej, kiedy patrzyła na podwórze hotelu. Kelner wciągał na maszt flagę długą jak tren sukni, a jakiś foksterier figlował na tonącej w słońcu murawie. Włożyła mu rękę do kieszeni, gdzie była i jego ręka, i poczuł, jak zimna i szczupła, i miękka jest jej dłoń. Powiedziała, że to zabawne mieć kieszenie; i nagle, ni stąd, ni zowąd, odbiegła od niego ze śmiechem i uciekła prowadzącą w dół ścieżką. Jej jasne włosy popłynęły za nią jak strumień złota w promieniach słońca. „Wieża z Kości Słoniowej". „Dom Złoty". Kiedy się o czymś myśli, zaczyna się to rozumieć.

Ale dlaczego w klopie? Tam się chodzi, żeby coś zrobić. Grube płyty łupkowe, woda cieknąca przez cały dzień z malutkich otworków, w powietrzu dziwaczny zapach zatęchłej wody. A za drzwiami jednej z kabin ktoś narysował czerwoną kredką brodatego mężczyznę w rzymskiej todze, który trzyma w każdej dłoni cegłę, a pod rysunkiem umieścił napis:

Balbus zbudował mur.

Jacyś uczniowie narysowali go dla zgrywy. Twarz była dziwaczna, ale można było rozpoznać mężczyznę z brodą. A na ścianie innej kabiny widniało zdanie zapisane pięknymi, pochylonymi w lewo literami:

Juliusz Cezar napisał Debila z Kaliką.

Może tu właśnie się ukryli, bo w tym miejscu chłopcy mogą sobie dla zgrywy wszystko wypisywać. Tak czy owak, dziwne było, co powiedział Athy i jak to powiedział. To nie mógł być żart, bo chłopcy musieli uciekać. Patrzył z innymi w milczeniu na boisko i zaczął się bać.

W końcu ciszę przerwał Fleming:

– I wszyscy mamy ponieść karę za to, co nabroili?

– Ja tam nie wracam. Już mnie widzicie, jak wracam – powiedział Cecil Grzmot. – Trzy dni grobowej ciszy w refektarzu i co chwila trzcinką sześć i osiem razy.

– No właśnie – dodał Wells. – A stary Barrett zwija karteczkę po nowemu, nie można jej teraz rozwinąć i złożyć, żeby zobaczyć, ile cię czeka razów. Ja też nie wracam.

– No – powiedział Cecil Grzmot – a prodziekan był dziś rano w drugiej klasie.

– Musimy się zbuntować – zaproponował Fleming. – Co?

Wszyscy milczeli. W powietrzu wisiała cisza, dało się słyszeć jedynie kije do krykieta, ale stukały wolniej niż dotychczas: pak, pok.

Wells zapytał:

– A co im zrobią?

– Simona Moonana i Kiełę czekają baty – odparł Athy – a starsi mogą wybrać, albo dostaną w tyłek, albo wylecą ze szkoły.

– I co wybiorą? – zapytał chłopak, który przemówił pierwszy.

– Wolą wylecieć ze szkoły. Oprócz Corrigana – odparł Athy. – Jemu wkropi pan Gleeson.

– Czy Corrigan to ten drągal? – zapytał Fleming. – Wytrzymałby nawet dwu Gleesonów.

– Ja go rozumiem – powiedział Cecil Grzmot. – To on ma rację, a tamci się mylą, takie baty po jakimś czasie przestają boleć, ale jak kogoś wyleją z budy, to smród ciągnie się za nim przez całe życie. A poza tym Gleeson nie stłucze go zbyt mocno.

– Będzie miał większą przyjemność – powiedział Fleming.

– Nie chciałbym być w skórze Simona Moonana i Kieły – skomentował Cecil Grzmot – ale nie wierzę, żeby dostali baty. Pewnie oberwą trzcinką, dwa razy po dziewięć.

– Co ty tam wiesz – wtrącił się Athy. – Obaj dostaną w zasadniczą część ciała.

Wells podrapał się i zamiauczał:

– Proszę pana, niech mi pan daruje!

Athy wyszczerzył zęby, podwinął rękawy i wyrecytował:

Nic nie poradzisz.
Nie ma pomyłek.
Opuszczaj gatki,
Wystawiaj tyłek.

Uczniowie się roześmiali. Ale Stephen poczuł, że obleciał ich strach. W cichym, łagodnym, szarym powietrzu słyszał stukot kijów od krykieta dobiegający ze wszystkich stron: pok. Tego dźwięku można było słuchać, ale kiedy cię ktoś bije, czujesz ból. Kij do bicia w łapę też wydawał odgłos, ale zupełnie inny. Chłopacy mówili, że jest z fiszbinów i ze skóry i że ma w środku ołów; zastanawiał się, jak boli. Każdemu dźwiękowi odpowiadał inny rodzaj bólu. Długa, cienka trzcinka wydawała wysoki świszczący dźwięk i Stephen zastanawiał się, jak on boli. Kiedy o tym myślał, drżał cały i robiło mu się zimno: także na myśl o tym, co powiedział Athy. Co w tym było śmiesznego? Znowu zadrżał: ale to dlatego, że kiedy spuszczasz spodnie, zawsze przebiega cię dreszcz. To samo czujesz w łazience, kiedy się rozbierasz. Zastanawiał się, kto je spuszcza – nauczyciel czy uczeń. Ach, jak oni mogą śmiać się z tego w ten sposób?

Spojrzał na podwinięte rękawy Athy'ego i jego sękate, zaplamione atramentem ręce. Athy podwinął rękawy, żeby pokazać, jak pan Gleeson to zrobi. Ale pan Gleeson ma okrągłe, lśniące spinki i czyste, białe nadgarstki, i białe, tłuste dłonie, i paznokcie ma długie i ostre. Może też je przycina jak Pańcia Boyle. Ale to strasznie długie i ostre paznokcie. Były takie długie i okrutne, a przecież białe, pulchne dłonie nie są okrutne, lecz delikatne. I choć drżał z zimna i ze strachu na myśl o okrutnych, długich paznokciach i o wysokim świszczącym dźwięku trzcinki, i o przejmującym chłodzie, który po spuszczeniu spodni odczuwa się tam, gdzie kończy się koszula,

poczuł w środku jakąś dziwną spokojną przyjemność, kiedy pomyślał o białych, pulchnych dłoniach – czystych, silnych, delikatnych. I pomyślał o tym, co powiedział Cecil Grzmot: że pan Gleeson nie stłucze Corrigana zbyt mocno. Ale Fleming powiedział, że go nie stłucze, bo będzie miał z tego większą przyjemność. A przecież to żaden powód.

Jakiś głos z krańca boiska zawołał:

– Zbiórka!

Inne głosy podjęły to wezwanie:

– Zbiórka! Zbiórka!

Podczas lekcji pisania siedział z założonymi rękoma, słuchając powolnego skrzypienia piór. Pan Harford chodził po klasie, rysując czerwoną kredką jakieś znaczki, czasami siadał przy jednym z uczniów, żeby pokazać mu, jak należy trzymać pióro. Stephen próbował przeczytać sentencję na tablicy, litera po literze, choć wiedział już, co to za zdanie, bo to była ostatnia sentencja z podręcznika. „Zapał bez rozwagi jest jak okręt bez steru". Ale kreski liter wyglądały jak cieniutkie niewidzialne nitki i dopiero kiedy zamknął prawe oko bardzo, bardzo mocno, i popatrzył lewym, mógł rozpoznać zaokrąglenia dużych liter.

Pan Harford był bardzo porządny i nigdy szlag go nie trafiał. Wszystkich pozostałych nauczycieli trafiał straszny szlag. Ale dlaczego chłopcy mieliby cierpieć za to, co nabroili uczniowie ze starszych klas? Wells powiedział, że wypili trochę mszalnego wina z szafki na zakrystii i że wykryto ich po zapachu. Może ukradli monstrancję i chcieli z nią zbiec, żeby ją potem sprzedać. To z pewnością okropny grzech – wkraść się tam nocą po cichu, otworzyć czarną szafkę i ukraść lśniące złote naczynie, do którego wkłada się Pana Boga na ustrojonym kwieciem i świecami ołtarzu podczas błogosławieństwa, kiedy po jednej i drugiej stronie unoszą się opary kadzidlanego dymu, a ministranci machają kadzielnicą, a Dominic Kelly śpiewa solo pierwszym głosem w prezbiterium. Ale kiedy ją kradli, Pana Boga tam oczywiście nie było. Mimo wszystko już samo dotknięcie jej byłoby niepojętym, straszliwym grzechem. Myślał o tym z głębokim przerażeniem, straszliwy i niepojęty to grzech: wstrząsał nim dreszcz, gdy w ciszy rozmyślał o tym

wszystkim, a pióra cicho skrobały po papierze. Ale wypić mszalne wino i wpaść przez zapach to też grzech; choć już nie tak straszliwy i niepojęty. Człowiekowi może się zrobić niedobrze na samą myśl o zapachu tego wina. Bo w dniu swojej Pierwszej Komunii Świętej zamknął oczy, otworzył usta i wystawił ostrożnie język: a kiedy rektor pochylił się nad nim, żeby dać mu komunię, poczuł z ust księdza lekki zapach wypitego podczas mszy wina. To piękne słowo: „wino". Nasuwa myśl o ciemnym fiolecie, bo winogrona mają kolor ciemnofioletowy, zwłaszcza te, które rosną w Grecji, przed domami białymi jak świątynie. Ale przez ten lekki zapach z ust rektora zrobiło mu się niedobrze w dniu Pierwszej Komunii. A przecież dzień Pierwszej Komunii Świętej jest najszczęśliwszym dniem życia. Kiedyś wielu generałów pytało Napoleona o najszczęśliwszy dzień jego życia. Myśleli, że wymieni dzień jakiejś wielkiej bitwy albo dzień, w którym został cesarzem. A on im odpowiadał:

– Panowie, najszczęśliwszym dniem mojego życia jest dzień, w którym przyjąłem Pierwszą Komunię Świętą.

Do klasy wszedł ojciec Arnall i zaczęła się lekcja łaciny; Stephen nie ruszył się, siedział z założonymi rękoma, oparty o tył ławki. Ojciec Arnall rozdał kajety, po czym oświadczył, że ich wypracowania to prawdziwa zgroza i że muszą je wszyscy napisać od nowa. Ale najgorszy był kajet Fleminga, bo kartki miał posklejane od atramentu, a ojciec Arnall wziął go za górny róg i powiedział, że to obraza dla każdego profesora trzymać w rękach taki kajet. Potem kazał Jackowi Lawtonowi odmienić rzeczownik *mare*, a Jack Lawton doszedł do ablativusa liczby pojedynczej, urwał i nie umiał przejść do liczby mnogiej.

– Powinieneś się wstydzić – skarcił go ojciec Arnall. – I to kto, klasowy prymus!

Potem zapytał innego ucznia, a potem innego i jeszcze innego. Żaden nie wiedział. Ojciec Arnall mówił bardzo cicho i coraz ciszej, kiedy kolejni chłopcy bezskutecznie próbowali odpowiedzieć mu na pytanie. Jego twarz posiniała, a oczy stanęły w słup, choć mówił cichym głosem. Potem zapytał Fleminga, a Fleming mu odpowiedział, że słowo to nie ma liczby mnogiej. Wtedy ojciec Arnall z hukiem zatrzasnął książkę i krzyknął:

– Klękaj mi tu na środku klasy! Nie znam większego obiboka. A wy jeszcze raz przepiszecie mi te zdania.

Fleming wyszedł ociężale ze swego miejsca i klęknął między dwiema ostatnimi ławkami. Chłopcy pochylili głowy nad kajetami i zaczęli pisać. W klasie zaległo milczenie. A Stephen, rzucając kątem oka lękliwe spojrzenia na siną twarz ojca Arnalla, spostrzegł, że zrobiła się nieco czerwona od tego szlagu, który go trafił.

Czy to grzech, że ojca Arnalla trafia szlag? Czy szlag może go trafiać, kiedy chłopcy się wałkonią, bo to ich zmusza do lepszej pracy, a może tylko udaje, że trafia go szlag? Na pewno wolno mu to robić, bo przecież ksiądz wie, czym jest grzech i grzechu by nie popełnił. A gdyby jednak popełnił choć raz, przez pomyłkę, jak mógłby się wyspowiadać? Może by się wyspowiadał u prorektora? A gdyby prorektor popełnił grzech, poszedłby do spowiedzi do rektora; a rektor do prowincjała; a prowincjał do generała jezuitów. To się nazywa organizacja, czyli zakon, a słyszał, jak ojciec mówił, że to mądrzy ludzie. Mogliby się w życiu wybić, gdyby nie zostali jezuitami. I zastanawiał się, kim zostaliby ojciec Arnall i Paddy Barrett, a kim pan McGlade i pan Gleeson, gdyby nie zostali wcześniej jezuitami. Trudno mu było to sobie wyobrazić, bo musiałby myśleć o nich zupełnie inaczej, jako o ludziach w surdutach innego koloru, w spodniach, z brodami, z wąsami i w zupełnie innych kapeluszach.

Drzwi otworzyły się cicho i zamknęły. Szybki szept przebiegł przez salę: prefekt. Zapadła chwila martwej ciszy i nagle dał się słyszeć głośny trzask kija do bicia uderzającego w blat ostatniej ławki. Stephenowi ze strachu serce podskoczyło do gardła.

– Są tu, ojcze Arnallu, jacyś chłopcy, którym należą się baty? – krzyknął prefekt. – Mamy tu leniwych i gnuśnych wałkoni, którym należą się baty?

Poszedł na środek klasy i zobaczył klęczącego Fleminga.

– Ho, ho! – wykrzyknął. – Co to za chłopak? Czemu klęczy? Jak się nazywasz, chłopcze?

– Fleming, psze księdza.

– Ho, ho! Fleming! Na pewno obibok z niego. Ma to wypisane na twarzy. Czemu on klęczy, ojcze?

– Napisał wypracowanie na dwójkę – odparł ojciec Arnall – i nie umiał odpowiedzieć na żadne pytanie z gramatyki.

– Jakżeby inaczej! – wykrzyknął prefekt. – Jakżeby inaczej! Urodzony obibok! Ma to wypisane na twarzy.

Uderzył kijkiem w ławkę i krzyknął:

– Wstawaj, Fleming! No już, mój chłopcze!

Fleming podniósł się powoli.

– Wyciągaj rękę! – rozkazał prefekt.

Fleming zrobił, jak kazano. Kijek spadł na rękę z głośnym klaśnięciem: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.

– Drugą!

Kijek znowu spadł na dłoń z akompaniamentem sześciu głośnych, szybkich klaśnięć.

– Na kolana! – wrzasnął prefekt.

Fleming klęknął, wtulając dłonie pod pachy, a twarz wykrzywiła się mu z bólu, ale Stephen wiedział, że Fleming ma twarde dłonie, bo ciągle nacierał je kalafonią. A może jednak przeżywał katusze, bo odgłos uderzeń był przerażający. Stephenowi serce waliło jak młotem.

– Do roboty, cała reszta! – krzyknął prefekt. – Tu nie ma miejsca dla gnuśnych, leniwych wałkoni ani dla gnuśnych, leniwych spryciarzy. Do roboty, powiadam wam. Ojciec Dolan będzie przychodził tu codziennie i was sprawdzał. Ojciec Dolan przyjdzie tu jutro.

Dźgnął kijkiem jednego z chłopców w bok i zapytał:

– No, chłopcze! Kiedy przyjdzie ojciec Dolan?

– Jutro, psze księdza – odpowiedział mu głos Toma Furlonga.

– Jutro, – i jutro, – i jutro[15] – dorzucił prefekt. – Przygotujcie się dobrze na te wizyty. Codziennie ojciec Dolan. Zakonotujcie to sobie. A ty, chłopcze, kto?

Serce mało nie wyskoczyło Stephenowi z gardła.

– Dedalus, psze księdza.

– Czemu nie piszesz jak reszta?

– Ja… mnie się…

Ze strachu nie mógł wykrztusić z siebie słowa.

– Czemu on nie pisze, ojcze?

– Stłukł szkła – odpowiedział ojciec Arnall. – I pozwoliłem mu nie pisać.

– Stłukł? Czy dobrze słyszę? Jak się nazywasz? – zapytał prefekt.

– Dedalus, psze księdza.

– Wychodź mi tu, Dedalus. Ty gnuśny spryciarzu. To, żeś spryciarz, masz wypisane na twarzy. Kiedy stłukłeś te szkła?

Stephen, potykając się, wyszedł na środek klasy, a strach i pośpiech zaćmiły mu wzrok.

– Gdzie stłukłeś te okulary? – powtórzył prefekt.

– Na żużlowej ścieżce, psze księdza.

– Ho, ho! Na ścieżce! – krzyknął prefekt. – Znam te wasze sztuczki.

Stephen uniósł ze zdziwienia wzrok i przez chwilę widział białoszarą, niemłodą już twarz ojca Dolana, jego łysą, białoszarą głowę porośniętą po bokach kłaczkami, stalowe ramki jego okularów i spoglądające zza szkieł bezbarwne oczy. Czemu powiedział, że zna te sztuczki?

– Gnuśny, leniwy wałkoń, ot co! – krzyknął prefekt. – Szkła mu się stłukły! Stara uczniowska sztuczka. W tej chwili wyciągaj ręce!

Stephen zamknął oczy i wystawił drżącą w powietrzu rękę wnętrzem dłoni do góry. Poczuł, jak prefekt dotyka jej przez chwilę, próbując rozprostować mu palce, i usłyszał szelest sutanny, kiedy podnosił kij do uderzenia. Od tego ciosu, gorącego, parzącego, piekącego, szczypiącego, który zabrzmiał jak głośny trzask łamanego kija, jego drżąca dłoń zwinęła się niczym liść w płomieniu; a na dźwięk ten i ból wezbrały mu w oczach parzące łzy. Dygotał na całym ciele ze strachu, dygotało jego ramię i dygotała jego dłoń zwinięta, paląca, zsiniała, niczym zerwany liść na wietrze. Jego wargi nabrzmiały krzykiem, modlitwą, żeby mu darować, ale choć łzy parzyły mu oczy, a członki dygotały z bólu i strachu, powstrzymywał gorące łzy i tłumił ten krzyk, który parzył mu krtań.

– Drugą! – zawołał prefekt.

Stephen schował obolałą i rozdygotaną prawą rękę i wyciągnął lewą. Mankiet sutanny znowu zaszeleścił, kiedy kij zamaszyście poszedł w górę, a głośny trzask i straszliwy, szaleńczy, szczypiący

i parzący ból zmiażdżyły jego dłoń i palce, zamieniając je w siną, roztrzęsioną masę. Parzący strumień trysnął mu z oczu, a Stephen, płonąc ze wstydu, cierpienia i strachu, cofnął w panice drżącą rękę i wybuchnął wyciem pełnym boleści. Jego ciałem zawładnęły spazmy przerażenia, wstydu i wściekłości, aż poczuł, że z gardła dobywa się krzyk parzący, a parzące łzy leją się mu z oczu na płonące policzki.

– Klękaj! – krzyknął prefekt.

Stephen ukląkł szybko, wtulając pod pachy obolałe dłonie. Kiedy myślał, jak bardzo je zbito i jakim wielkim bólem napuchły, zrobiło mu się ich żal, jakby nie były to jego własne dłonie, ale cudze, należące do jakiegoś obcego człowieka, którego żałował. A kiedy ukląkł, tłumiąc w przełyku ostatnie spazmy płaczu i czując, jak piecze go ten wciśnięty pod pachy, mrowiący ból, pomyślał o rękach, które wyciągnął przed siebie, wnętrzem dłoni do góry, i o silnym chwycie prefekta, kiedy rozprostowywał dygoczące palce, i o bryle mięsa, w jaką zamieniły się zbite, opuchnięte, zaczerwienione dłonie, i o palcach, które bezradnie dygotały w powietrzu.

– A teraz do roboty, wracać mi do roboty! – krzyknął prefekt od drzwi. – Ojciec Dolan będzie zaglądał tu codziennie, bo chce wiedzieć, czy jakiemuś nicponiowi, jakiemuś leniwemu, gnuśnemu wałkoniowi nie trzeba przetrzepać skóry. Codziennie! Codziennie!

Drzwi zatrzasnęły się za jego plecami.

Uczniowie, w ciszy jak makiem zasiał, przepisywali zdania. Ojciec Arnall wstał z krzesła i przechadzał się po klasie, pomagając chłopcom łagodnym słowem i wyjaśniając im, jakie błędy popełnili. Mówił głosem łagodnym i cichym. Po chwili wrócił na miejsce i odezwał się do Fleminga i Stephena:

– Możecie wrócić do ławek, obaj.

Fleming i Stephen wstali z kolan i poszli na swoje miejsca. Stephen, purpurowy ze wstydu, otworzył szybko książkę obolałą ręką i pochylił się tak nisko, że nosem niemal dotykał kartek.

To było niesprawiedliwe i okrutne, przecież lekarz nie pozwolił mu czytać bez szkieł, a on przecież dziś rano wysłał do ojca list z prośbą o nowe. I ojciec Arnall pozwolił mu przecież nie pisać, dopóki nie przyjdą nowe okulary. A na dokładkę nazwano go

spryciarzem i przed całą klasą dostał cięgi, a przecież do tej pory dostawał nagrody za pierwsze lub drugie miejsce i przewodził Yorkom. Skąd prefekt był taki pewien, że to sztuczka? Czuł dotknięcie palców prefekta, kiedy ten ustawiał mu dłoń do bicia, z początku zdawało mu się, że prefekt chce uścisnąć mu dłoń, bo jego palce były miękkie i silne: ale usłyszał nagle szelest mankietu sutanny, szast i trzask. To okrutne i niesprawiedliwe, że musiał klęknąć na środku klasy; a ojciec Arnall powiedział im, że mogą wracać do ławek, ale obu potraktował jednakowo. Słuchał cichych i łagodnych słów ojca Arnalla, który poprawiał wypracowania chłopców. Może teraz bardzo tego żałuje i chce wyglądać na porządnego człowieka. Ale to było niesprawiedliwe i okrutne. Prefekt był księdzem, ale to, co zrobił, było okrutne i niesprawiedliwe. A jego białoszara twarz i bezbarwne oczy za szkłami w stalowej oprawce też były okrutne, bo najpierw ustawił dłoń silnymi, miękkimi palcami tylko po to, żeby uderzyć ją mocniej i głośniej.

– To było wredne, mówię ci – powiedział Fleming na korytarzu, kiedy cała klasa szła szeregiem do refektarza. – Żeby bić ucznia za coś, czego nie zrobił.

– A tobie naprawdę przez przypadek stłukły się te okulary, co? – zapytał Wstręcior Roche.

Stephen czuł, że od słów Fleminga żal wzbiera mu w sercu, więc nie odpowiedział.

– A co ty myślisz! Pewnie, że tak – powiedział Fleming. – Ja bym mu tego nie darował. Poszedłbym na skargę do rektora.

– Właśnie – wtrącił żywo Cecil Grzmot. – Widziałem, jak podniósł kij ponad ramię, a to zabronione.

– Bolało? – zapytał Wstręcior Roche.

– Bardzo – odparł Stephen.

– Nie darowałbym – powtórzył Fleming. – Nie darowałbym tej łysej pale, żadnej łysej pale. To cholernie wredna i śmierdząca zagrywka, mówię ci. Poszedłbym do rektora zaraz po kolacji i bym mu o tym powiedział.

– Tak, idź, idź – dorzucił Cecil Grzmot.

– Tak, idź, tak, Dedalus, idź na skargę do rektora – namawiał go Wstręcior Roche. – Bo obiecał, że jutro znowu przyjdzie i sprawi ci łomot.

– Tak, tak, powiedz rektorowi – mówili wszyscy.

Przysłuchiwało się temu kilku uczniów z trzeciej klasy, jeden z nich powiedział:

– Senat i lud rzymski oświadczają wszem i wobec, że Dedalus niesłusznie został ukarany.

To nie było w porządku; to było niesprawiedliwe i okrutne: a kiedy siedział w refektarzu, w myślach przeżywał to upokorzenie wciąż od nowa, aż zaczął się zastanawiać, czy może w jego twarzy rzeczywiście jest coś, co nadaje mu wygląd spryciarza, i żałował, że nie ma przy sobie lusterka, w którym mógłby się przejrzeć. Ale tak nie mogło być; to było po prostu okrutne i niesprawiedliwe.

Nie mógł zmusić się do przełknięcia tych czarniawych smażonych ryb, którymi raczono ich w środy w okresie postu, a na jednym z ziemniaków zauważył ślad po motyce. Tak, uczyni, co radzą mu koledzy. Wybierze się na piętro i powie rektorowi, że go niesłusznie ukarano. Coś podobnego zrobił już ktoś dużo wcześniej, jakiś wielki człowiek, którego podobiznę można znaleźć w podręczniku historii. A rektor przyzna mu, że niesłusznie go ukarano, bo senat i lud rzymski zawsze oświadczali, że mężowie, którzy uczynili niby coś takiego, jak on miał uczynić, ponieśli niesłuszną karę. To byli wielcy mężowie, których imiona znajdują się w *Pytaniach* Richmala Magnalla. Cała historia składa się z opowieści o takich mężach i o tym, co uczynili, i o tym też są greckie i rzymskie opowieści Petera Parleya. Sam Peter Parley widniał na obrazku na pierwszej stronie. Jest tam droga biegnąca przez wrzosowisko porośnięte z jednej strony trawą i krzaczkami; a Peter Parley ma na głowie szeroki kapelusz, jak protestancki duchowny, a w ręku dzierży duży kostur i kroczy tą drogą do Grecji i Rzymu.

Jego zadanie było proste. Musiał zrobić jedno: po wieczerzy, kiedy przyjdzie jego kolej na wyjście z refektarza, uda się nie na korytarz, ale skręci w prawo, na klatkę schodową, która prowadzi na zamek. Nic więcej nie musi robić: skręci w prawo, wejdzie szybko po schodach, a za pół minuty będzie już w długim, mrocznym i wąskim

korytarzu, który prowadzi przez zamek prosto do gabinetu rektora. Każdy uczeń potwierdzi, że oberwało mu się niesprawiedliwie, nawet ten uczeń z trzeciej klasy, który powiedział o tym senacie i ludzie rzymskim.

Co się wydarzy? Słyszał chłopców ze starszych klas, którzy wstawali od stołów, i słyszał ich kroki, kiedy szli po chodniku – Paddy Rath, i Jimmy Magee, i Hiszpan, i Portugalczyk, i ten piąty, drągal Corrigan, któremu pan Gleeson ma sprawić baty. Przez niego prefekt nazwał go spryciarzem i złoił go za nic; wytężając słabowite oczy, zmęczone od łez, patrzył na szerokie barki drągala Corrigana i jego zwieszoną, wielką, czarną łepetynę sunącą przez korytarz. Ale on coś przeskrobał, a poza tym pan Gleeson nie złoi go zbyt mocno. Pamiętał też drągala Corrigana w łaźni. Miał skórę tego samego koloru co brudna, torfiasta woda w płytkim końcu basenu, a kiedy szedł brzegiem, jego stopy plaskały głośno na mokrych płytkach, a uda przy każdym kroku trzęsły mu się trochę, bo taki był z niego spaślak.

Refektarz był do połowy pusty, a uczniowie wciąż jeszcze wychodzili jeden za drugim. Mógłby wejść po schodach, bo za drzwiami refektarza nigdy nie było księdza ani prefekta. Ale to nie wchodziło w grę. Rektor będzie trzymał stronę prefekta, przekonany, że była to uczniowska sztuczka, a wtedy prefekt i tak będzie zaglądał codziennie do klasy, tylko że wtedy będzie znacznie gorzej, bo na pewno będzie jeszcze bardziej wściekły na ucznia, który chodzi na niego na skargę do rektora. Koledzy namawiali go, żeby poszedł, ale sami by nie poszli.

Już o tym zapomnieli. Nie, lepiej o wszystkim zapomnieć, a może prefekt tylko tak mówi, że będzie codziennie zaglądał? Nie, lepiej zejść mu z drogi, bo kiedy jest się małym i młodym, to jest to najlepszy sposób ucieczki.

Uczniowie przy jego stole wstali. On też się podniósł i stanął wraz z nimi w szeregu. Musi podjąć decyzję. Zbliżał się do drzwi. Jeśli pójdzie z kolegami dalej, nigdy nie trafi do rektora, bo nie będzie mógł w tym celu zejść z boiska. A jeśli pójdzie i mimo to dostanie baty, wszyscy uczniowie będą sobie z niego stroić żarty i będą

opowiadać, jak to młody Dedalus poszedł do rektora naskarżyć na prefekta.

Idąc po chodniku, ujrzał przed sobą drzwi. To niemożliwe: nie może tego zrobić. Pomyślał o łysej głowie prefekta z okrutnymi, bezbarwnymi oczyma spoglądającymi na niego i usłyszał jego głos pytający go dwukrotnie, jak się nazywa. Czemu nie zapamiętał nazwiska, kiedy mu powiedział po raz pierwszy? Czy za pierwszym razem nie dosłyszał, czy może drwił sobie z niego? Wielcy mężowie w historii nosili takie nazwiska i nikt z nich nie drwił. Jeśli chciał sobie żartować, powinien drwić raczej z własnego nazwiska. Dolan: brzmi jak nazwisko praczki.

Doszedł do drzwi i skręcając szybko w prawo, wspiął się po schodach i zanim dojrzała w nim myśl, żeby wrócić, wszedł w niski, mroczny, wąski korytarz, prowadzący na zamek. A kiedy przekroczył próg korytarza, widział, choć się nie odwracał, że patrzą na niego oczy wszystkich maszerujących gęsiego uczniów.

Szedł wąskim, mrocznym korytarzem, mijając niskie drzwiczki do pokojów nauczycieli. Próbował wzrokiem przeniknąć mrok ścielący się przed nim po prawej i lewej stronie i wydawało mu się, że na ścianie wiszą portrety. Było ciemno i cicho, a oczy miał słabe i zmęczone od łez, nie widział więc niczego. Wydawało mu się jednak, że są to portrety świętych i wielkich mężów zakonu, którzy przyglądali mu się w milczeniu, kiedy przechodził koło nich: święty Ignacy Loyola trzymający otwartą księgę i wskazujący palcem wypisane w niej słowa *Ad maiorem Dei gloriam*; święty Franciszek Ksawery wskazujący swoją pierś; Lorenzo Ricci z biretem na głowie, przypominający jednego z prefektów klasowych; trzech patronów pobożnej młodzieży, święty Stanisław Kostka, święty Alojzy Gonzaga i błogosławiony John Berchmans, wszyscy o młodzieńczych twarzach, bo zmarli za młodu, i ojciec Peter Kenny, siedzący na krześle, owinięty wielką peleryną.

Wszedł na półpiętro nad sienią i rozejrzał się wokół. Tu dokonał żywota Hamilton Rowan, tu były też ślady po żołnierskich pociskach. To właśnie tutaj starzy lokaje ujrzeli ducha odzianego w białą pelerynę marszałka.

Stary woźny zamiatał w kącie na półpiętrze. Stephen zapytał go, gdzie jest gabinet rektora; stary wskazał mu drzwi na drugim końcu i odprowadził go wzrokiem, a Stephen podszedł do nich i zapukał.

Żadnej odpowiedzi. Zapukał ponownie, tym razem głośniej, a kiedy usłyszał stłumiony rozkaz: „Wejść!", serce podskoczyło mu do gardła. Przekręcił gałkę, otworzył drzwi i po omacku szukał klamki wewnętrznych drzwi, obitych zielonym suknem. Znalazł ją, pchnął i wszedł do gabinetu.

Zobaczył rektora, który siedział przy biurku i pisał. Na biurku leżała czaszka, a w gabinecie unosiła się dziwna, uroczysta woń przypominająca zapach starej, skórzanej tapicerki.

Serce waliło mu jak młot z powodu dostojności tego miejsca i ciszy, jaka w nim panowała: spojrzał na czaszkę i na łagodną twarz rektora.

– Słucham, mój człowieczku, o co chodzi?

Stephen przełknął coś, co siedziało mu w gardle, i wykrztusił:

– Potłukły mi się szkła, psze księdza.

Rektor otworzył usta i powiedział;

– O!

Potem uśmiechnął się i dodał:

– No cóż, jeśli potłukły się nam szkła, piszemy do domu z prośbą o nowe.

– Napisałem do domu, psze księdza – powiedział Stephen – i ojciec Arnall powiedział, że mogę nie pisać, dopóki ich nie dostanę.

– I bardzo słusznie! – odparł rektor.

Stephen znów przełknął to, co siedziało mu w gardle, i próbował opanować drżenie nóg i głosu.

– Ale, psze księdza…

– Tak?

– Ojciec Dolan przyszedł dziś do klasy i zbił mnie, bo nie pisałem zadań.

Rektor spojrzał na niego w milczeniu, a Stephen poczuł, jak krew uderza mu do twarzy i łzy cisną się do oczu.

Rektor zapytał:

– Nazywasz się Dedalus, tak?

– Tak, psze księdza.

– I gdzie stłukłeś te okulary?

– Na żużlowej ścieżce. Jakiś chłopak wyjechał z garażu i upadłem, i się stłukły. Nie wiem, jak się nazywa.

Rektor znowu spojrzał na niego w milczeniu. Potem uśmiechnął się i rzekł:

– No tak, była to więc pomyłka. Jestem pewien, że ojciec Dolan nic o tym nie wiedział.

– Ale ja mu mówiłem, że się stłukły, psze księdza, a on mnie zbił.

– Czy powiedziałeś mu, że wysłałeś list do domu z prośbą o nowe szkła?

– Nie, psze księdza.

– No, widzisz – powiedział rektor. – Ojciec Dolan nie zrozumiał. Możesz powiedzieć, że zwalniam cię z odrabiania lekcji na kilka dni.

Stephen, bojąc się, że głos mu się załamie i nie będzie mógł skończyć, szybko wyrecytował:

– Tak, proszę księdza, ale ojciec Dolan powiedział, że przyjdzie jutro, żeby mnie znowu zbić.

– Dobrze, dobrze, to pomyłka, sam porozmawiam z ojcem Dolanem. Czy to wystarczy?

Stephen poczuł, jak od łez wilgotnieją mu oczy, i wymamrotał:

– O tak, proszę księdza, dziękuję.

Rektor wyciągnął rękę zza biurka, z tej strony, gdzie leżała czaszka, a Stephen, wsunąwszy na chwilę swoją dłoń w dłoń rektora, poczuł jej zimną, wilgotną skórę.

– Życzę więc dobrego dnia – powiedział rektor, cofając rękę i skłaniając głowę.

– Do widzenia, psze księdza – odparł Stephen.

Skłonił się i wyszedł po cichu z gabinetu, zamykając drzwi ostrożnie i powoli.

Ale kiedy minął na półpiętrze starego woźnego i znowu znalazł się w niskim, wąskim, mrocznym korytarzu, przyspieszył kroku. Szedł coraz szybciej, podniecony, przez mrok. Uderzył łokciem w drzwi na końcu korytarza i szybko zbiegł po schodach, przeszedł jeszcze dwa korytarze i znalazł się na podwórzu.

Słyszał krzyki uczniów dobiegające z boiska. Zaczął biec, a biegnąc coraz szybciej, przeciął żużlową ścieżkę i zdyszany dotarł

do boiska najmłodszej klasy.

Uczniowie widzieli, jak biegnie. Stanęli wokół niego w kręgu, przepychając się jeden przez drugiego, żeby lepiej słyszeć.

– Opowiadaj! No, gadaj!

– Co ci powiedział?

– Poszedłeś tam?

– Co ci powiedział?

– No mówże! Mów!

Powiedział im więc, jak rozmawiał z rektorem i co rektor mu powiedział, a kiedy skończył, wszyscy uczniowie rzucili swoje czapki wysoko w powietrze i krzyknęli:

– Hurra!

Potem złapali czapki, rzucili je znowu wysoko, pod samo niebo, i znowu krzyknęli:

– Hurra! Hurra!

Ze splecionych dłoni zrobili kołyskę i podrzucali Stephena do góry, i nieśli go, dopóki nie zdołał się im wymknąć. A kiedy już był wolny, rozbiegli się we wszystkie strony i znowu rzucali czapki w górę, i gwizdali, kiedy wirując, spadały, i szli dalej, znowu je podrzucając i krzycząc:

– Hurra!

I krzyknęli po trzykroć na pohybel Dolanowi Łysej Pale i trzykrotnie wiwatowali na cześć Conmeego, i mówili, że jest najlepszejszym rektorem w dziejach Clongowes.

Wiwaty ucichły w łagodnym szarym powietrzu. Stephen został sam. Był szczęśliwy i wolny: ale i tak nie będzie się wywyższał przy ojcu Dolanie. Będzie bardzo cichy i posłuszny: postanowił zrobić dla niego coś dobrego, żeby pokazać mu, że się nie wywyższa.

Powietrze było łagodne, szare, ciepłe, zapadała noc. Dało się odczuć zapach wieczoru, zapach wiejskich pól, gdzie chłopcy wykopywali, obierali i jedli rzepę podczas spacerów do majątku Bartona, zapach dobiegający zza pawilonu, z upstrzonego galasówką zagajnika.

Uczniowie ćwiczyli uderzenia kijem, lobowali wysoko, serwowali podkręcone piłki. W łagodnej szarej ciszy słyszał uderzenia piłek; to z jednej, to z drugiej strony dobiegał go dźwięk

kijów do krykieta: pik, pak, pok, puk, niczym krople wody w fontannie spadające delikatnie do wypełnionej po brzegi misy.

—

[1] Michael Davitt (1846–1906) i Charles Stewart Parnell (1846–1891) – irlandzcy działacze niepodległościowi, początkowo współpracujący ze sobą. Po głośnym skandalu, jakim było ujawnienie romansu Parnella z mężatką, Davitt wystąpił przeciw dawnemu sprzymierzeńcowi. Osamotnionego Parnella, do niedawna bohatera narodowego, napiętnowali hierarchowie Kościoła katolickiego w Irlandii, a Irlandzka Partia Parlamentarna usunęła go z funkcji przewodniczącego. Dwa lata później Parnell zmarł.

[2] Zob. Księgi Przypowieści 30, 17 („Oko, które urąga ojcu i które gardzi rodzeniem matki swojej, niech wykłują kruki znad potoków i niech je wyjedzą orlęta"). Wszystkie biblijne cytaty na podstawie przekładu Jakuba Wujka.

[3] Archibald Hamilton Rowan (1751–1834) – jeden z bohaterów irlandzkiego ruchu niepodległościowego. W roku 1794, uciekając przed Brytyjczykami, próbował schronić się na zamku w Clongowes Wood. Jak głosi legenda, żeby zmylić pościg, wrzucił do fosy kapelusz. W 1814 roku zamek przeszedł w ręce jezuitów, którzy założyli w nim szkołę dla chłopców.

[4] W czasie wojny Dwu Róż (1455–1485) dynastię Lancasterów symbolizowała czerwona róża, popieranych zaś przez Irlandczyków Yorków – biała. Yorkowie wojnę przegrali.

[5] W Bodenstown pochowany został Wolfe Tone, irlandzki bohater narodowy (zob. przypis 51).

[6] Oswobodziciel, czyli Daniel O'Connell – irlandzki polityk niepodległościowy, który w 1829 roku doprowadził do zniesienia antykatolickich ustaw skierowanych m.in. przeciwko Irlandczykom.

[7] Parnell zmarł w Anglii 6 października 1891 roku, a pięć dni później jego ciało sprowadzono do Dublina.

[8] Łk 17, 1–2.

[9] Chodzi o rzymskokatolickich duchownych, arcybiskupa Dublina i prymasa Irlandii, arcybiskupa Armagh, którzy odwrócili się od Parnella po oskarżeniu go o cudzołóstwo.

[10] Nawiązanie do historii pewnego Irlandczyka, który zdradził interes narodowy, próbując bronić swojego pana, znienawidzonego lorda Leitrim, kiedy napadli na niego irlandzcy bojownicy.

[11] Parnell, który był protestantem, po atakach Kościoła rzymskokatolickiego wystąpił przeciwko jego duchowieństwu. Jako przewodniczący Irlandzkiej Partii Parlamentarnej przechowywał fundusze partyjne na kontach w Paryżu, by zapobiec ich konfiskacie przez rząd brytyjski. Naraził się jednak na zarzut, że potajemnie korzystał z tych pieniędzy podczas swojego romansu z Katharine O'Shea.

[12] Whiteboys – tajna organizacja występująca, także siłą, przeciw nadmiernym obciążeniom irlandzkiego chłopstwa.

[13] Zach 2, 8–9.

[14] Fenianie – powstałe w 1858 roku tajne Irlandzkie Bractwo Republikańskie postulujące zbrojną walkę o niepodległość kraju. Nazwa nawiązuje do mitycznych irlandzkich wojowników, *fianna*. MacManus, działacz niepodległościowy, zmarł w Ameryce; kiedy jego ciało przywieziono do Irlandii, arcybiskup Dublina Paul Cullen zabronił duchowieństwu udziału w jego pochówku.

[15] William Shakespeare, *Makbet*, v, 5, 19 (przeł. Stanisław Barańczak).

II

Wuj Charles kurzył tytoń tak mocny, że jego siostrzeniec w końcu nie wytrzymał i poprosił go, by poranną fajką raczył się w małej szopie na krańcu ogrodu.

– Nie ma sprawy, Simonie. Nie gorączkuj się – powiedział spokojnie starszy pan. – Gdziekolwiek sobie życzysz. Ta szopa mnie urządza. Będzie też dla mnie zdrowiej.

– Niech mnie diabli – wypalił szczerze pan Dedalus. – Rad byłbym wiedzieć, jak możesz kurzyć taki tytoń, wstrętny jak cholera. Toż to ordynarny proch, na rany Boga.

– Czysta przyjemność, Simonie – odparł starszy pan. – Cudownie orzeźwia i uspokaja.

Tak więc codziennie rano wuj Charles udawał się do szopy, ale wpierw skrupulatnie układał i szczotkował sobie włosy z tyłu głowy, a następnie szczotkował i wkładał cylinder. Kiedy palił w ogrodowej szopie, zza odrzwi wystawały nieznacznie brzeg jego cylindra i główka fajki. Jego altanka, jak nazywał tę cuchnącą szopę, służącą za schronienie także kotu i narzędziom ogrodowym, spełniała również funkcję pudła rezonansowego; każdego dnia rano wuj mruczał z ukontentowaniem jedną ze swych ulubionych piosenek: *Och, schroń mnie w cienistej altance* albo *Modre oczka, włoski złote*, albo też *W gajach Blarney*, a szarobłękitne spirale dymu wznosiły się z jego fajki, po czym rozpływały w czystym powietrzu.

Przez pierwsze tygodnie lata w Blackrock wuj Charles nieustannie towarzyszył Stephenowi. Był krzepkim, pięknie opalonym starcem o ostrych rysach i siwych bokobrodach. W dni robocze kursował między domem na Carysfort Avenue a sklepikami na głównej ulicy miasta, w których zaopatrywała się rodzina. Stephen ochoczo ruszał z nim na te misje, gdyż wuj Charles obdarowywał go szczodrze pysznościami, które wykładano przed ladą w otwartych skrzynkach i beczułkach. Sięgał po garść oblepionych trocinami winogron albo po trzy, a czasem cztery amerykańskie jabłka i składał je hojnie w dłonie syna swojego

krewniaka, wywołując niepewny uśmiech na twarzy subiekta; a kiedy Stephen udawał, że nie chce ich przyjąć, wuj tylko marszczył czoło i mówił:

– Bierz, drogi panie. Słyszysz, co mówię, drogi panie? Dobre na kiszki.

Po wypełnieniu księgi zamówień obaj szli do parku, gdzie można było spotkać Mike'a Flynna, starego przyjaciela ojca Stephena – siedział na ławce i czekał na nich. Potem zaczynały się biegi Stephena dookoła parku. Mike Flynn, z zegarkiem w dłoni, stawał przy bramie niedaleko dworca kolejowego, a Stephen biegał po ścieżce w stylu, który podobał się Mike'owi Flynnowi: głowa zadarta, kolana wysoko, ręce proste, opuszczone po bokach. Po zakończeniu tych porannych ćwiczeń trener wygłaszał uwagi, a czasami ilustrował je, w wysoce ucieszny sposób drobiąc spiesznie kilka metrów w starych niebieskich pepegach. Zbierała się wtedy gromadka oczarowanych tym widowiskiem dzieci wraz z niańkami i przyglądała się im nawet wtedy, kiedy Stephen z wujem Charlesem siedzieli już na ławce i gawędzili o sporcie i polityce. Choć Stephen słyszał od ojca, że przez ręce Mike'a Flynna przeszło kilku najlepszych współczesnych biegaczy, często z powątpiewaniem spoglądał na zwiotczałą, nieogoloną twarz, która pochylała się nad długimi, pożółkłymi palcami zajętymi skręcaniem papierosa, i rodził się w nim żal na widok tych łagodnych, matowych, błękitnych oczu, które unosiły się nagle znad swego zajęcia i wpatrywały ślepo w błękitną dal, kiedy długie, opuchnięte palce przestawały pracować, a ziarenka i włókna tytoniu wpadały do kapciucha.

W drodze do domu wuj Charles zaglądał często do kościoła, a że kropielnica była za wysoko, by Stephen mógł do niej sięgnąć, staruszek maczał w niej palce, po czym energicznie spryskiwał ubranie Stephena i posadzkę w kruchcie. Podczas modlitwy klęczał na czerwonej chusteczce i czytał na głos z poplamionego od tłustych palców modlitewnika, w którym na dole każdej strony wydrukowano pierwsze słowa ze strony następnej. Stephen klękał u boku wuja, szanując jego pobożność, choć jej nie podzielał. Często zastanawiał się, o co wuj modli się z taką powagą. Może modli się za dusze w czyśćcu pokutujące albo o łaskę dobrej śmierci, a może prosi

Boga, by zwrócił mu część tego wielkiego majątku, który roztrwonił przed laty w Corku.

W niedziele Stephen z ojcem i wujem wybierali się dla zdrowia na wspólne przechadzki. Staruszek, mimo dokuczających mu nagniotków, był sprawnym piechurem, często więc pokonywali dziesięć lub nawet dwanaście mil. Droga rozwidlała się w niewielkiej wiosce Stillorgan. Potem szło się albo w lewo do wzgórz dublińskich, albo drogą do Goatstown, a potem do Dundrum, i z powrotem do domu przez Sandyford. Czy to maszerując ociężale drogą, czy też przysiadłszy w jakiejś obskurnej przydrożnej gospodzie, obaj starsi piechurzy rozprawiali nieprzerwanie o rzeczach bliższych ich sercom, o polityce w Irlandii, o Munsterze, o wydarzeniach w rodzinie, a Stephen na wszystko to gorliwie nadstawiał ucha. Słowa, których nie pojmował, powtarzał sobie raz po raz, aż wryły mu się w pamięć: a dzięki nim docierały do niego przebłyski prawdziwego świata, jaki się wokół roztaczał. Wydawało mu się, że nadchodzi czas, kiedy i on weźmie udział w życiu tego świata, i w tajemnicy sposobił się do objęcia tej wielkiej roli, która, jak czuł, czeka na niego, a której natury mógł się jedynie niejasno domyślać.

Wieczory należały wyłącznie do niego; ślęczał nad postrzępionym przekładem *Hrabiego Monte Christo*. Postać mrocznego mściciela stawała mu przed oczyma jako wcielenie sił niesamowitości i grozy, o których słyszał lub które sobie wyobrażał w dzieciństwie. Nocą budował na stoliku w dużym pokoju makietę jaskini na cudownej wyspie, używając do tego kalkomanii, papierowych kwiatków, barwnych serwetek, pasemek sreberka i złotej folii z opakowań czekolady. A kiedy znużony tą pstrokatą tandetą, niszczył swoje dzieło, oczyma wyobraźni widział rozświetlony krajobraz Marsylii, słoneczne treliaże i Mercedes. Za Blackrock, na drodze prowadzącej w góry, stała mała bielona chatka, przy której w ogrodzie kwitły bujne różane krzewy: a w niej, jak podpowiadała mu wyobraźnia, żyła inna Mercedes. Kiedy przejeżdżał tamtędy w drodze do domu, miejsce to pozwalało mu ocenić przebytą odległość. W wyobraźni przeżywał wiele przygód, równie cudownych jak opisane w książce, prowadzących do sceny, w której pojawia się on sam, starszy już i smutniejszy, i staje

w zalanym księżycową poświatą ogrodzie u boku Mercedes, a jako że ta przed laty wzgardziła jego miłością, oświadcza jej tonem odmowy, smutnej i dumnej zarazem:

– O pani, nie jadam muskatowych winogron.

Zbratał się z chłopcem, który nazywał się Aubrey Mills, i wspólnie zawiązali bandę ulicznych rzezimieszków. Aubrey miał gwizdek na sznurku, dyndający z dziurki od guzika, i lampkę rowerową przywiązaną do paska, a pozostali nosili krótkie kije zatknięte za paski jak sztylety. Stephen, który przeczytał gdzieś, że Napoleon zwykł był ubierać się skromnie, postanowił niczym nie ozdabiać swojego stroju, przez co odczuwał zwiększoną przyjemność, zasięgając porad u adiutanta przed wydaniem rozkazu. Chłopcy z bandy robili wypady do ogrodów starych panien, ruszali hurmem na zamek i toczyli bitwy na włochatych, porośniętych mchem skałach, po których to wyczynach powracali do domów niczym wycieńczeni armijni maruderzy z zatęchłym zapachem wybrzeża w nozdrzach i śmierdzącymi oleistymi wodorostami na dłoniach i we włosach.

Aubrey i Stephen brali mleko od tego samego mleczarza, często jeździli jego wozem do Carrickmines, gdzie pasły się stada krów. Gdy mężczyźni zajęci byli dojeniem, chłopcy na zmianę kłusowali po polu na potulnej szkapie. Ale z nadejściem jesieni krowy zagnano do obejść; kiedy Stephen ujrzał po raz pierwszy brudną oborę w Stradbrooke, cuchnące zielone kałuże, rozlane krowie placki i koryta z parującymi otrębami, poczuł mdłości. Krowy, które w słoneczne dnie wyglądały pięknie na łąkach, teraz wzbudzały w nim obrzydzenie tak głębokie, że nie mógł nawet patrzeć na pochodzące od nich mleko.

Początek września nie martwił go w tym roku, bo Stephen nie wracał do Clongowes. Ćwiczenia w parku skończyły się, gdyż Mike Flynn trafił do szpitala. Aubrey chodził do szkoły, a wieczorami miał wolną tylko godzinę lub dwie. Banda uległa rozproszeniu, nie było już wspólnych nocnych wypadów ani bitew na skałach. Wieczorami Stephen jeździł wozem rozwożącym mleko; te przejażdżki chłodną porą zatarły wspomnienie brudu w oborze, nie ogarniało go już obrzydzenie na widok krowiej sierści czy nasion

trawy na płaszczu mleczarza. Kiedy wozem podjeżdżał pod czyjś dom, niecierpliwie czekał, aż ujrzy schludną kuchnię albo sień zanurzoną w półmroku, a w niej służącą, która wystawia dzbanek i zamyka drzwi. Wydawało mu się, że przyjemnie byłoby co wieczór jeździć tak z mlekiem po drogach, gdyby tylko mieć ciepłe rękawice, a w kieszeni na wypadek głodu pękatą torebkę pierniczków. Ale ta sama przedwiedza, od której robiło mu się niedobrze, a nogi nagle uginały się pod nim, kiedy w parku pokonywał kolejne okrążenie, ta sama intuicja, która kazała mu patrzeć z nieufnością na zwiotczałą i nieogoloną twarz trenera nachylonego niebezpiecznie nad długimi pożółkłymi palcami, rozmywały jakąkolwiek wizję przyszłości. Czuł, choć było to bardzo nieokreślone uczucie, że ojciec znalazł się w tarapatach i że właśnie z tego powodu nie wysłano go do Clongowes. Od jakiegoś czasu zauważał niewielkie zmiany zachodzące w domu; a zmiany te w sprawach, które uznawał za niezmienne, oznaczały serię małych wstrząsów dla jego chłopięcego pojmowania świata. Ambicja, która czasami niepokoiła go w mroku jego duszy, nie znajdywała ujścia. Zmierzch, podobny do schyłku dnia w zewnętrznym świecie, zasnuwał ćmą umysł Stephena, kiedy chłopiec słuchał stukotu kopyt starej szkapy człapiącej wzdłuż szyn na Rock Road i odgłosów wielkiej bańki, która bujała się i grzechotała za jego plecami.

Wrócił więc do Mercedes, a kiedy dumał nad jej wizerunkiem, dziwny niepokój wkradał mu się do krwi. Czasami wzbierała w nim fala gorączki, która wyprowadzała go wieczorami na cichą ulicę i kazała wędrować samotnie. Spokój ogrodów i łagodne światło padające z okien niosły ukojenie niespokojnemu sercu. Drażniły go hałasy bawiących się dzieci, a ich głupawe głosy dawały mu odczuć, jeszcze silniej niż odczuwał to w Clongowes, że różni się od innych. Nie chciał się bawić. Chciał spotkać w rzeczywistym świecie ten niematerialny wizerunek, który nieustannie widział oczyma duszy. Nie miał jednak pojęcia ani gdzie, ani jak go szukać; ale przeczucie, które go prowadziło, obiecywało mu, że wizerunek ten, bez jego udziału, ucieleśni się i wyjdzie mu sam na spotkanie. Zejdą się na krótko, jakby się znali i umówili na tę potajemną schadzkę, być może u jednej z bram albo w jakimś sekretnym miejscu. Będą sami,

otoczeni zewsząd ciemnością i ciszą; i w tej chwili najwyższej czułości dozna przeistoczenia. Przed jej oczyma zamieni się w coś niematerialnego i przeistoczy. A słabość i lęk, i niedoświadczenie opuszczą go w tej czarownej chwili.

* * *

Dwa wielkie żółte wozy zatrzymały się pewnego dnia przed bramą, a jacyś mężczyźni wtargnęli do domu, żeby go opróżnić. Meble wyniesiono przez frontowy ogródek, zaścielony źdźbłami słomy i kawałkami sznura, i załadowano na wozy stojące przed bramą. Kiedy już wszystko bezpiecznie ustawiono, wozy z hałasem ruszyły; a z okna kolejowego wagonu, w którym siedział z zapłakaną matką, Stephen widział, jak suną ociężale po Merrion Road.

Ogień w salonie nie chciał się tego wieczoru rozpalić i pan Dedalus oparł pogrzebacz na prętach kraty, próbując rozniecić płomień. Wuj Charles przysnął w kącie na pół tylko umeblowanego i pozbawionego dywanu pokoju, a obok niego, wsparte o ścianę, stały rodzinne portrety. Lampka na stoliku rzucała mdłe światło na deski parkietu zabłoconego przez buty mężczyzn z furgonetek. Stephen przysiadł na podnóżku obok ojca, słuchając jego długiego, niespójnego monologu. Z początku pojmował z tego mało, nic zgoła, ale powoli zaczęło do niego docierać, że ojciec ma wrogów i że wkrótce rozegra się jakaś walka. Czuł też, że i on wciągnięty został do tej walki, że na jego barkach złożono jakąś powinność. Nagły wyjazd z Blackrock, miejsca wygodnego życia i marzeń na jawie, przejazd przez ponure, zatopione we mgle miasto i obraz nagiego, ponurego domu, w którym mieli teraz zamieszkać, leżały mu ciężarem na sercu; i znowu odezwała się w nim intuicja, jakieś przeczucie, że coś się wydarzy. Rozumiał teraz, dlaczego służący tak często szeptali między sobą w sieni i dlaczego ojciec tak często stawał na dywaniku, plecami do kominka, i mówił o czymś głośno do wuja Charlesa, który nalegał, by ten usiadł i zjadł wreszcie obiad.

– Jeszcze niejedną iskrę z siebie wykrzeszę, Stephenie, stary kamracie – powiedział pan Dedalus, z dziką energią grzebiąc

w kominku. – Jeszcześmy nie umarli, synku. Jeszcześmy, na Chrystusa Pana, Boże przebacz, nie zaczęli umierać.

Dublin był doświadczeniem nowym i złożonym. Wuj Charles utracił sprawność umysłu i już nie można go było wysyłać do sklepów, a wskutek bałaganu, jaki towarzyszył wprowadzaniu się do nowego domu, Stephen miał więcej czasu niż w Blackrock. Z początku zadowalał się ostrożnymi spacerami po placu w sąsiedztwie lub co najwyżej zapuszczał się do połowy w którąś z bocznych uliczek, ale kiedy już nakreślił sobie w wyobraźni schematyczny plan miasta, ruszył odważnie jedną z głównych ulic, aż dotarł do urzędu celnego. Szedł niezatrzymywany przez nikogo po terenie doków i wzdłuż nabrzeża, przyglądając się z zaciekawieniem mnogości korków, które unosiły się, skacząc na powierzchni wody w gęstej żółtej pianie; przyglądał się tłumom portowych tragarzy i wozom przejeżdżającym z łoskotem, i brodatemu policjantowi w niechlujnym mundurze. Ogrom i niesamowitość życia, o których przypominały bele towarów ustawione pod ścianą i wyrzucane z ładowni parowców, wzbudziły w nim ponownie niepokój, który kazał mu wieczorami wędrować od ogrodu do ogrodu w poszukiwaniu Mercedes. A w tym nowym zgiełku życia mógłby łatwo wyobrazić sobie, że znajduje się w jakiejś Marsylii, brakowało mu jednak jasnego nieba i ogrzanych słońcem treliaży przed winiarniami. Wzbierało w nim poczucie niezadowolenia, kiedy patrzył na nabrzeża i na rzekę, i na niskie niebo, a jednak nadal zapuszczał się w te strony dzień po dniu, jakby naprawdę szukał kogoś, kto zdołał mu się wymknąć.

Raz czy dwa udał się z matką z wizytą do krewnych; i choć mijali wesołe wystawy sklepików oświetlonych i przystrojonych na Boże Narodzenie, nie opuszczał go nastrój milczącego rozgoryczenia. Powodów tego, bliskich i dalekich, było wiele. Zły był na siebie, że jest młody i że pada ofiarą niespokojnych, głupich popędów; zły na koleje losu, które przekształcały otaczający go świat w obraz plugastwa i zakłamania. A jednak jego gniew nie wpływał na ten odbiór. Z cierpliwością zapisywał wszystko, co widział, odcinając się od tego świata, umartwiał się, kosztując w tajemnicy jego śmiertelnego smaku.

Siedział na taborecie w kuchni u ciotki. Lampka z lustrzanym kloszem wisiała na polakierowanej na czarno ściance przy piecu; w jej świetle ciotka czytała wieczorne wydanie gazety, która leżała jej na kolanach. Długo przyglądała się uśmiechniętemu obrazkowi wydrukowanemu w gazecie, aż powiedziała w rozmarzeniu:

– Piękna ta Mabel Hunter!

Kędzierzawa dziewczynka stanęła na paluszkach, żeby zobaczyć obrazek, i zapytała cichutko:

– W czym ona gra, mamusiu?

– W wodewilach, skarbie.

Dziewczynka, wpatrując się w obrazek, złożyła kędzierzawą główkę na ramieniu matki i wyszeptała w zachwycie:

– Piękna ta Mabel Hunter!

W zachwycie, jej oczy długo przyglądały się tamtym oczom, wstydliwie prowokującym, po czym dziewczynka wyszeptała znowu głosem pełnym oddania:

– Jaka doskonała istota!

A chłopiec, który wszedł z ulicy, zgięty wpół pod czternastofuntowym workiem węgla, usłyszał jej słowa. Postawił szybko ładunek na podłodze i pospieszył ku niej, chcąc też się przyjrzeć. Ona jednak nie podniosła beztroskiej główki, żeby mógł zobaczyć obrazek. Odepchnął ją ruchem ramienia, skarżąc się, że nic nie widzi, po czym zabrudził krawędź gazety zaczerwienionymi i poczerniałymi dłońmi.

Siedział w wąskiej jadalni na jednym z górnych pięter starej kamienicy o ciemnych oknach. Płomień z kominka migotał na ścianie, a za oknem widmowy mrok gęstniał nad rzeką. Jakaś staruszka stała przy kuchni i parzyła herbatę, a krzątając się przy robocie, ściszonym głosem opowiadała o tym, co mówili jej ksiądz i lekarz. Opowiadała też o pewnych zmianach, które ostatnio u siebie zauważyła, i o swoich dziwnych nawykach i powiedzonkach. Siedział i słuchał jej słów, wkraczając w świat przygody, która otwierała się dla niego w płonących węglikach, lukach, sklepieniach, w meandrujących korytarzach i skalistych jaskiniach.

Wtem jego uwagę przykuł jakiś szczegół w drzwiach. Pojawiła się, zawieszona w ich półmroku, biała czaszka. Była to ledwo

widoczna, przypominająca małpkę postać, którą zwabiły tu głosy przy kominku. Piskliwy głos dobiegł go od drzwi, pytając:

– Czy to Josephine?

Staruszka krzątająca się przy kuchni odparła radośnie:

– Nie, Ellen. To Stephen.

– O… O, dobry wieczór, Stephen.

Odpowiedział na jej powitanie i ujrzał, że na twarzy w drzwiach wykwita głupawy uśmieszek.

– Potrzeba ci czegoś, Ellen? – zapytała staruszka stojąca przy kuchni.

Ale Ellen nie odpowiedziała i mówiła dalej:

– A myślałam, że to Josephine. Myślałam, że jesteś Josephine, Stephen.

I powtórzywszy to kilkakroć, wybuchła cichym śmiechem.

Siedział na przyjęciu dla dzieci w Harold's Cross. Ujawniła się w nim znowu skłonność do milczącej obserwacji, prawie nie brał udziału w zabawie. Dzieci, przystrojone w świecidełka, które znalazły wśród prezentów, tańczyły i tupały hałaśliwie, i choć próbował bawić się wraz z nimi, czuł, że jest ponurakiem pośród tych zabawnych trójgraniastych kapeluszy i letnich czapeczek.

Ale kiedy już zaśpiewał swoją piosenkę i wycofał się do przytulnego kącika, zaczął smakować radość samotności. Wesołość, która na początku wieczoru wydawała mu się fałszywa i trywialna, była dla niego jak orzeźwiająca melodia, która przenika przez zmysły i ukrywa przed obcymi oczyma gorączkowe podniecenie krwi, kiedy przez wirujących tancerzy, pośród muzyki i śmiechu, jej spojrzenie wędrowało do jego kąta, schlebiało mu, drwiło z niego, badało go, podniecało mu serce. Dzieci, które zostały najdłużej, gotowały się w sieni do wyjścia – przyjęcie się skończyło. Zarzuciła na siebie szal, a kiedy szli razem do tramwaju, mgiełka jej świeżego, ciepłego oddechu unosiła się radośnie wokół jej zakapturzonej głowy, a buciki stukały beztrosko po szklistej nawierzchni.

To był ostatni tramwaj. Wiedziały o tym wychudzone gniadosze i potrząsały dzwonkami, a dźwięk, który o tym przypominał, niósł się przez jasną noc. Konduktor wdał się w rozmowę z woźnicą, a ich głowy co chwila opadały sennie w zielonym świetle lampy. Na

pustych siedzeniach powozu leżały rozrzucone kolorowe bilety. Z ulicy nie dochodził żaden odgłos kroków. Żaden dźwięk nie zakłócał nocnej ciszy, tylko wychudzone gniadosze ocierały się o siebie i potrząsały dzwonkami.

Wytężali słuch; on stał na górnym stopniu, ona na dolnym. Wchodziła na jego stopień raz po raz, a w przerwach ich rozmowy wracała na swój – kilkakrotnie stawała na górnym stopniu blisko niego i stała tam przez parę dłuższych chwil, jakby zapominała zejść, dopiero potem schodziła. Serce Stephena, pobudzone każdym jej ruchem, tańczyło jak korek niesiony przez fale. Słyszał, co mówią do niego jej oczy skryte pod kapturem, i wiedział, że w nieokreślonym mroku minionych dni, na jawie czy we śnie, słyszał już ich opowieść. Folgowała swojej próżności, to jasne: ta elegancka sukienka, ta kokarda, te długie czarne pończoszki, i wiedział też, że tysiące razy im ulegał. A jednak jakiś głos wewnętrzny zagłuszał hałas jego tańczącego serca i pytał, czy przyjąłby jej dar, po który wystarczyłoby sięgnąć ręką. I przypomniał sobie ten dzień, w którym wraz z Eileen stali i patrzyli na podwórze hotelu, i widzieli kelnerów wciągających na maszt flagę długą niczym tren sukni i foksteriera figlującego na tonącej w słońcu murawie, i nagle ona wybuchła śmiechem, i pobiegła w dół krętą ścieżką. Teraz, tak jak wtedy, stał bez ruchu na swoim miejscu, pozornie spokojny widz sceny rozgrywającej się przed jego oczyma.

Ona też by chciała, żebym ją objął, pomyślał. Dlatego poszła ze mną do tramwaju. Mogę bez trudu ją objąć, kiedy wejdzie na mój stopień. Nikt nie widzi. Mógłbym ją przytulić i pocałować.

Ale nie zrobił ani jednego, ani drugiego; a siedząc w opustoszałym tramwaju, podarł bilet na drobne kawałki i w przygnębieniu wbił wzrok w falistą podłogę powozu.

Następnego dnia przez wiele godzin siedział przy stole w pustym pokoiku na piętrze. Przed sobą miał nowe pióro, nowy kałamarz i nowy kajet w szmaragdowych[1] okładkach. Siłą przyzwyczajenia zapisał na pierwszej stronie u góry pierwsze litery dewizy jezuitów: A. M. D. G. W pierwszej linijce pojawił się tytuł wierszy, które zamierzał napisać: Dla E C . Wiedział, że tak właśnie

należy rozpocząć wiersz, bo wypatrzył podobne tytuły w tomie poezji zebranych lorda Byrona. Kiedy zapisał już tytuł i podkreślił ozdobnym szlaczkiem, oddał się marzeniom i zaczął rysować na okładce kajetu figury geometryczne. Oczyma wyobraźni widział siebie przy stole w Bray na drugi dzień rano po tej rozmowie przy wigilijnej kolacji, kiedy na odwrocie nakazów płatniczych, jakie dostawał ojciec, próbował napisać wiersz o Parnellu. Ale wtedy umysł nie chciał podjąć tego tematu i Stephen, dając za wygraną, pokrył kartkę nazwiskami i adresami niektórych kolegów z klasy:

Roderick Kickham
John Lawton
Anthony MacSwiney
Simon Moonan

Teraz wydawało mu się, że znowu poniesie klęskę, ale po namyśle nad tym, co się wydarzyło, odzyskał wiarę w siebie. Podczas tego procesu znikło bowiem wszystko, co uznawał w nim za pospolite i trywialne. Nie pozostał nawet ślad po tramwaju, tramwajarzach czy koniach: ale też ani on, ani ona nie jawili mu się dość wyraźnie. Wiersze opowiadały tylko o wieczorze, o kojącym wietrze i dziewiczym blasku księżyca. Jakiś nienazywalny smutek skrył się w sercach postaci, które schroniły się w ciszy pod bezlistnym drzewem, a kiedy nadeszła chwila pożegnania, pocałunek, którego jedno z nich próbowało uniknąć, stał się udziałem obojga. Po tych słowach Stephen napisał litery L. D. S. na dole strony i ukrywszy kajet, poszedł do sypialni matki i przez długi czas przyglądał się własnej twarzy w lustrze jej toaletki.

Ale ten długi okres nicnierobienia i wolności dobiegał końca. Pewnego wieczoru ojciec przyszedł do domu z nowinami, o których rozprawiał przez całą kolację. Stephen czekał na jego powrót, bo tego dnia miała być zapiekanka z baraniny i wiedział, że ojciec pozwoli mu umoczyć kromkę chleba w sosie. Ale nie dane mu było raczyć się zapiekanką, gdyż sama wzmianka o Clongowes pokryła jego podniebienie powłoką niesmaku.

– Wpadłem wprost na niego – powtórzył pan Dedalus po raz czwarty – kiedy wychodziłem z placu.

– Rozumiem więc – powiedziała pani Dedalus – że będzie mógł to załatwić. Chodzi mi o Belvedere[2].

– Bez dwóch zdań – odparł pan Dedalus. – Nie mówiłem ci, że jest teraz prowincjałem zakonu?

– Nigdy nie podobał mi się ten pomysł wysłania go do Braci Chrześcijan[3] – powiedziała pani Dedalus.

– Do diabła z Braćmi Chrześcijanami! – powiedział pan Dedalus. – Ma się uczyć z Paddym Smrodkiem i Mickeyem Mierzwą? Nie, niech się chłopak lepiej trzyma jezuitów, na Boga, bo u nich przecież zaczynał. W przyszłości na pewno mu pomogą. Potrafią zapewnić człowiekowi odpowiednie stanowisko.

– Są bardzo bogatym zakonem, prawda, Simonie?

– No jasne. Nieźle im się żyje, powiadam. Widziałaś ich stół w Clongowes. Na Boga, utuczeni jak koguty do walki.

Pan Dedalus posunął talerz w kierunku Stephena i kazał mu dojeść to, co tam zostało.

– No więc, Stephenie – powiedział – musisz teraz wziąć się galopem do roboty. Miałeś piękne, długie wakacje.

– Jestem pewna, że się przyłoży do pracy – stwierdziła pani Dedalus – zwłaszcza że będzie z nim Maurice.

– Święty Walenty! Zupełnie zapomniałem o Maurisie – powiedział pan Dedalus. – Chodź tu, Maurice. No, chodź tu, ty tępy łobuziaku! A wiesz, że wyślę cię do szkoły, gdzie nauczą cię pisać ka, o, te, kot. I kupię ci cacy chusteczkę za pensa, żebyś miał sobie czym nosek wycierać. To dopiero będzie frajda, co?

Maurice uśmiechnął się szeroko, spoglądając na ojca, a potem na brata. Pan Dedalus wcisnął monokl w oko i przyglądał się obu synom. Stephen miał usta pełne chleba i nie odpowiadał na spojrzenie ojca.

– Ale, ale – pan Dedalus cedził słowa – rektor, to znaczy prowincjał, opowiedział mi o tej historii, jaka ci się przydarzyła z ojcem Dolanem. Jesteś bezczelnym złodziejaszkiem, powiedział.

– No nie, Simonie, tego na pewno nie powiedział.

– Żartuję! – odparł pan Dedalus. – Ale przedstawił mi szczegółowe sprawozdanie z całej tej awantury. Gawędziliśmy sobie, tego i owego, o różnych różnościach. A tak z innej beczki, jak myślisz, kto według niego dostanie tę posadę w magistracie? Ale o tym opowiem ci później. No więc, jak mówiłem, gawędziliśmy sobie po przyjacielsku, no i on mnie pyta, czy ten tu nasz przyjaciel wciąż nosi okulary, a potem opowiada mi całą historię.

– Złościł się, Simonie?

– Złościł!? Nie, wcale się nie złościł! „Dzielny z niego chłopak", powiada. Ni mniej, ni więcej.

Pan Dedalus naśladował afektowany, nosowy głos prowincjała.

– Razem z ojcem Dolanem, jak tylko opowiedziałem im o tym przy obiedzie, śmialiśmy się do rozpuku. „Lepiej byś się miarkował, ojcze Dolanie", rzekłem, „bo młody Dedalus wyznaczy ci trzcinkę, dwa razy po dziewięć". Mieliśmy ubaw po pachy. Cha, cha, cha!

Pan Dedalus odwrócił się do żony i wtrącił już swoim zwykłym głosem:

– To ci powinno pokazać, w jakim duchu wychowują chłopaków. Jezuici to szkoła życia i dyplomacji!

Znowu powtórzył głosem prowincjała:

– „Opowiedziałem im o tym przy obiedzie i razem z ojcem Dolanem i wszystkimi ojcami śmialiśmy się do rozpuku. Cha, cha, cha!"

* * *

Nadszedł wieczór widowiska z okazji Zielonych Świątek; Stephen wyjrzał z okna garderoby na małe zielone poletko przecięte sznurem chińskich lampionów. Patrzył na gości wychodzących po schodach z budynku i udających się do sali widowiskowej. Porządkowi w strojach wieczorowych, dawni absolwenci Belvedere, stali w grupkach niedaleko wejścia do teatru i ceremonialnie wprowadzali gości. W nieoczekiwanym półświetle lampionu rozpoznał uśmiechniętą twarz któregoś z księży.

Z tabernakulum wyjęto Przenajświętszy Sakrament, a pierwsze ławki rozkręcono i przesunięto do tyłu, żeby zrobić miejsce przed ołtarzem i wokół niego. Oparte o ścianę, stały sztangi i maczugi gimnastyczne; hantle leżały w kącie, a w otoczeniu niezliczonych stert tenisówek i brudnych brązowych pakunków ze swetrami i podkoszulkami stał mocny, obity skórą koń i czekał na swoją kolej, kiedy zostanie przeniesiony na scenę. Wielka, spiżowa, posrebrzana tarcza oparta o skrzydło ołtarza także czekała na swoją kolejkę, aż ją wniosą na scenę i ustawią pośrodku zwycięskiej drużyny pod koniec pokazu gimnastycznego.

Z uwagi na uznanie, jakim cieszyły się pisane przez niego wypracowania, Stephen został wybrany na sekretarza kółka sportowego, ale nie brał udziału w pierwszej części programu, za to w widowisku, które pokazano w drugiej części, grał główną rolę groteskowego pedagoga. Obsadzono go w tej roli ze względu na jego wzrost i powagę, bo kończył teraz drugi rok w Belvedere i mieszkał już w dwójce.

Kilkunastu młodszych chłopców w białych spodenkach i podkoszulkach zbiegło z tupotem ze sceny i przemknęło przez zakrystię prosto do kaplicy. W zakrystii i kaplicy roiło się od nauczycieli i chłopców gorliwie zajętych przygotowaniami. Pulchniutki, łysy sierżant sprawdzał stopą trampolinę do skoków przez konia. Szczupły młodzieniec w długim płaszczu, który miał dać pokaz skomplikowanej żonglerki, stał nieopodal i przyglądał się temu z zainteresowaniem, a z jego głębokich kieszeni wystawały posrebrzane maczugi. Nagle rozległ się głuchy stukot drewnianych hantli: to jedna z drużyn szykowała się do wejścia na scenę; a za chwilę podekscytowany prefekt pędził przez zakrystię grupę chłopców niczym stado gęsi, trzepocząc nerwowo skrzydłami sutanny i pokrzykiwaniami ponaglając maruderów. Niewielka trupa neapolitańskich chłopów ćwiczyła kroki taneczne w przeciwległym kącie kaplicy, niektórzy unosili ramiona i zataczali nad głowami kręgi, inni kołysali koszami pełnymi papierowych fiołków i dygali. W ciemnym kącie kaplicy, przy ołtarzu, po stronie Ewangelii, klęczała tęga starsza dama przybrana w bogate czarne koronki. Kiedy wstała z klęczek, u jej boku niespodziewanie pojawiła

się różowo odziana istota, w złotej, kędzierzawej peruce i staroświeckim słomkowym czepcu, z podkreślonymi kredką brwiami i delikatnie zaróżowionymi, upudrowanymi policzkami. Na widok tej dziewczęcej postaci cichy pomruk zaciekawienia przemknął przez kaplicę. Jeden z prefektów, uśmiechając się i kiwając głową, podszedł do ciemnego kąta i ukłoniwszy się tęgiej starszej damie, zapytał przyjaznym głosem:

– Czy to jakaś piękna panienka stoi u pani boku czy może to lalka, pani Tallon?

A po chwili, schyliwszy się, żeby zerknąć na uśmiechniętą, umalowaną twarzyczkę skrytą pod rąbkiem czepca, wykrzyknął:

– No, nie! Niech mnie kule biją, jeśli to nie mały Bertie Tallon!

Stephen ze swojego miejsca przy oknie słyszał śmiech starszej pani i księdza, a za plecami pomruk podziwu chłopców, którzy podeszli bliżej, żeby obejrzeć chłopczyka mającego zatańczyć solowy taniec z czepcem. Machnął mimowolnie dłonią w geście zniecierpliwienia. Puścił skraj kurtyny, zszedł z ławki, na której stał, i wyszedł z kaplicy.

Opuścił budynek szkoły i zatrzymał się pod dachem galerii w bocznej części ogrodu. Z teatru naprzeciwko dobiegł go stłumiony rozgwar widowni i nagłe spiżowe gromy orkiestry wojskowej. Światło biło w górę ze szklanego dachu, zamieniając teatr w uroczystą arkę zakotwiczoną między kadłubami domów, zacumowaną w porcie delikatnymi linami lampionów. Nagle otworzyły się boczne drzwi teatru i promień światła przemknął przez murawę. Z arki eksplodowały niespodziewane dźwięki muzyki – preludium do walca; a kiedy drzwi znowu się zamknęły, wciąż można było słyszeć daleki, nikły rytm. Rzewność pierwszych taktów, ich tkliwość i leniwe tempo rozbudziły w nim uczucie, którego nie sposób opisać, a które leżało u źródeł jego niepokoju tego dnia i gestu zniecierpliwienia sprzed paru minut. Niepokój ten wypłynął z niego jak fala dźwięku, a uroczysta arka popłynęła na fali dryfującej muzyki, ciągnąc za sobą liny z chińskimi lampionami. Wtem odgłos lilipuciej artylerii przerwał ten ruch. Były to oklaski, którymi przywitano wchodzącą na scenę drużynę sztangistów.

W końcu galerii przy ulicy pojawił się w ciemności punkcik różowego światła, a kiedy Stephen zbliżył się do niego, poczuł lekką aromatyczną woń. W bramie ukryło się dwu chłopców palących papierosy; zanim do nich doszedł, rozpoznał po głosie Czaplę.

– Oto nadchodzi nasz szlachetny Dedalus! – odezwał się wysoki, gardłowy głos. – Witamy zaufanego przyjaciela.

Powitanie to zakończyło się cichym wybuchem wymuszonego śmiechu, po czym Czapla pokłonił się z wyraźną przesadą i zaczął dźgać laską ziemię.

– Tak, to ja – powiedział Stephen, zatrzymując się i patrząc to na Czaplę, to na jego towarzysza.

Ten drugi nie był mu znany, ale w ciemnościach, rozświetlonych tylko nikłym światełkiem żarzącego się papierosa, mógł sobie wyobrazić bladą, fircykowatą twarz, po której bez pośpiechu wędrował uśmiech, wysoką, ubraną w płaszcz postać i sztywny kapelusz. Tymczasem Czapla, nie zawracając sobie głowy przedstawieniem kolegi, powiedział:

– Mówiłem właśnie Wallisowi, mojemu kumplowi, że mielibyśmy dziś wieczorem niezły ubaw, gdybyś grając profa, naśladował głos rektora. Byłaby w dechę zabawa.

Czapla nieudolnie spróbował sparodiować przed Wallisem pedantyczny bas rektora, a gdy mu się to nie udało, poprosił o to Stephena:

– No dalej, Dedalus – naciskał. – Przecież tak klawo go małpujesz. „Te–he–n, który by Kościo–ho–ła nie usłuchał, nie–he–ch ci będzie jako poga–ha–nin i ce–he–lnik”[4].

Tę parodię przerwały gniewne słowa Wallisa, którego papieros utknął w lufce.

– Do diabła z tą popapraną lufką – powiedział, wyjmując ją z ust, uśmiechając się i marszcząc pobłażliwie brwi. – Zawsze mi się zapycha. Używasz lufki?

– Nie palę – odparł Stephen.

– Właśnie – rzucił Czapla. – Dedalus to wzór młodzieńca. Nie pali, nie chodzi na jarmarki, nie podrywa i nie przeklina na czym świat stoi lub leży.

Stephen pokręcił głową i uśmiechnął się do swojego rywala, którego rozpalona, ruchliwa twarz przybrała kształt ptasiego dziobu. Zawsze wydawało mu się dziwne, że Vincent Czapla ma nie tylko ptasi dziób, ale też ptasie nazwisko. Bujna, jasna czupryna leżała mu na czole jak zmierzwiony czub ptaka; czoło miał wąskie i kościste, a chudy, haczykowaty nos wystawał spomiędzy wyłupiastych oczu osadzonych w minimalnym odstępie od siebie, przezroczystych i pozbawionych wyrazu. Byli kolegami ze szkoły. Razem siedzieli w klasie, razem klęczeli w kaplicy, a po różańcu rozmawiali ze sobą przy obiedzie. Ponieważ uczniowie z ostatniej klasy byli w większości nijacy i tępawi, Stephen i Czapla pełnili w ciągu roku obowiązki faktycznych przywódców uczniowskiej społeczności. To właśnie oni chodzili do rektora z prośbą o dzień wolny od zajęć albo o darowanie komuś kary.

– A tak poza tym – powiedział Czapla niespodziewanie – widziałem, jak wchodzi tu twój stary.

Uśmiech zniknął z twarzy Stephena. Każda aluzja kolegi lub nauczyciela uczyniona pod adresem ojca w jednej chwili roznosiła w pył jego opanowanie. Czekał w naładowanej lękiem ciszy na to, co Czapla ma mu jeszcze do oznajmienia. Ten jednak dźgnął go znacząco łokciem w bok i powiedział:

– Szczwany z ciebie lisek, co nie, Dedalus?

– Czemu tak sądzisz? – zapytał Stephen.

– Ktoś mógłby pomyśleć, żeś niewinny jak lilija – powiedział Czapla – a ja czuję, że szczwany z ciebie lisek.

– A byłbyś łaskaw mnie oświecić, jak mam rozumieć twoje słowa? – poprosił elegancko Stephen.

– Oczywiście, że byłbym łaskaw – odpowiedział Czapla. – Widzieliśmy ją, a jakże, co nie, Wallis? Nieziemsko piękne z niej stworzonko. A jakie dociekliwe: „Jaką rolę zagra Stephen, panie Dedalus? Czy Stephen będzie śpiewać, panie Dedalus?". Twój stary gapił się na nią jak szalony przez ten swój cyngiel, dlatego myślę, że staruszek też już cię rozgryzł. Na miły Bóg, ja bym się tym nie przejmował. Jest powalająca, co nie, Wallis?

– Niczego sobie – odparł Wallis cicho, wkładając lufkę ponownie do kącika ust.

Na tę grubiańską aluzję poczynioną w obecności obcej osoby natychmiastowy wybuch gniewu niczym uderzenie pioruna wstrząsnął myślami Stephena. Nie widział nic zabawnego w zainteresowaniu i spojrzeniach dziewczyny. Przez cały dzień myślał tylko o jednym: o pożegnaniu na stopniach tramwaju na Harold's Cross, o strumieniu przygnębiających uczuć, które wyzwoliło w nim to pożegnanie, i o wierszu, który o tym wszystkim napisał. Przez cały dzień wyobrażał sobie kolejne z nią spotkanie, bo wiedział, że przyjdzie obejrzeć widowisko. Dawny nastrój przygnębienia i niecierpliwości znowu wypełnił mu piersi jak w ten wieczór zabawy, ale tym razem uczucia nie znalazły ujścia w wierszu. Dorastanie i wiedza dwu lat wieku chłopięcego stanęły między tamtą a obecną chwilą, uniemożliwiając jakiekolwiek ujście; i przez cały dzień strumień tej posępnej czułości wylewał się z niego, i powracał w przypływach czarnymi zakolami, doprowadzając go w końcu na skraj wycieńczenia, aż żart prefekta z upudrowanego chłopczyka wymusił na nim ów zniecierpliwiony ruch ręką.

– Przyznaj się – ciągnął Czapla – żeśmy cię tym razem na wylot przejrzeli. Już nie będziesz odgrywał przede mną świętoszka, to pewne jak kwiatki na wiosnę.

Z jego ust wyrwał się cichy, ponury chichot; pochyliwszy się jak poprzednio, w żartobliwym upomnieniu delikatnie uderzył Stephena laską po łydce.

W Stephenie fala gniewu już ustąpiła. Nie czuł się ani mile połechtany, ani zażenowany, marzył tylko o tym, by te zaczepki dobiegły końca. Nie przejmował się tym, co z początku uznał za głupawy brak delikatności, wiedział bowiem, że przygodzie jego wyobraźni nie zagrażają ich słowa; na jego twarzy ukazało się lustrzane odbicie fałszywego uśmiechu rywala.

– Przyznaj! – powtórzył Czapla, uderzając go ponownie laską w łydkę.

Uderzenie było w żartach, ale już nie tak delikatne jak poprzednie. Stephen poczuł, jak skóra zaczyna go palić i zaczerwienia się lekko, niemal bezboleśnie; pochylając się w poddańczym geście, jakby wychodząc na spotkanie żartobliwemu nastrojowi towarzysza, zaczął odmawiać *Confiteor*. Epizod

zakończył się pomyślnie, bo zarówno Czapla, jak i Wallis wybuchnęli gromkim śmiechem na tę prześmiewczą błazenadę.

Zaledwie usta Stephena wymówiły słowa wyznania, niespodziewane wspomnienie przeniosło go w inne miejsce, przywołane jakby siłą jakiejś magii w chwili, gdy zauważył drobne, okrutne dołeczki w kącikach uśmiechniętych ust Czapli i znowu poczuł znajome uderzenie laską po łydce, i usłyszał znajome słowa upomnienia:

– Przyznaj się.

Zdarzyło się to pod koniec pierwszego semestru, kiedy Stephen miał przed sobą jeszcze sześć lat nauki. Jego wrażliwa natura wciąż cierpiała pod razami niepojętego, nędznego trybu życia. Duszą targały niepokoje i rozpacz, których źródłem było to ponure zjawisko zwane Dublinem. Przebudził się z dwuletniego snu na jawie i znalazł się w nowym świecie, którego każde zdarzenie i każda postać głęboko go dotykały, zniechęcając lub kusząc, a przez te pokusy lub utrudnienia napełniały go niepokojem i gorzkimi myślami. Wolne chwile, jakie ofiarowywało mu życie w szkole, spędzał w towarzystwie wywrotowych pisarzy, których kpiący lub napastliwy język wzniecał ferment w jego myślach, by następnie znaleźć ujście w postaci nieudolnego pisarstwa.

Napisanie wypracowania było głównym zadaniem tygodnia i w każdy wtorek, kiedy szedł z domu do szkoły, próbował odczytać przyszłość z wydarzeń, jakich był świadkiem po drodze: mierzył się z idącym przed nim człowiekiem, przyspieszając kroku, aby go wyprzedzić, zanim dotrą do wyznaczonego celu, lub starannie stawiał stopy na płytach chodnika, by nie nadepnąć na żadną linię, w przekonaniu, że od tego zależy, czy jego wypracowanie zdobędzie w tym tygodniu najwyższą ocenę.

Ale w pewien wtorek pasmo jego sukcesów zostało brutalnie przerwane. Pan Tate, nauczyciel angielskiego, wycelował w niego palcem i bez ogródek oświadczył:

– Ten uczeń wypisał w swoim wypracowaniu herezje.

Zapadła cisza jak makiem zasiał. Pan Tate jej nie przerwał, ale wsunął dłoń między skrzyżowane, ściśnięte uda, a jego porządnie wykrochmalona koszula zatrzeszczała przy szyi i nadgarstkach.

Stephen nie uniósł głowy. Było wczesne wiosenne przedpołudnie, a zmęczone oczy jeszcze go piekły. Wiedział, jak realna jest groźba porażki i zdemaskowania, jak plugawy jest jego umysł i pochodzenie; przy szyi poczuł szorstką krawędź zgniecionego, postrzępionego kołnierzyka.

Urwany krótki śmiech pana Tate'a rozładował nieco atmosferę w klasie.

– Może o tym nie wiedziałeś – powiedział.

– Gdzie? – zapytał Stephen.

Pan Tate wyciągnął dłoń spomiędzy ud i rozłożył wypracowanie.

– Tutaj. Kiedy piszesz o Stwórcy i duszy. Ymmm… A, tu! „Niemożliwe jest, by kiedykolwiek się zbliżyła". Toż to herezja.

Stephen wyszeptał:

– Chodziło mi o to, że „niemożliwe jest, by kiedykolwiek dorównała".

Był to gest uległości, więc ugłaskany nim pan Tate złożył wypracowanie i podał mu je ze słowami:

– O… Aha, rozumiem! „By kiedykolwiek dorównała". To zupełnie co innego.

Ale klasy nie dało się tak łatwo udobruchać. Choć po lekcjach nikt nie rozmawiał z nim o tej sprawie, czuł wokół siebie nieokreśloną, złośliwą radość.

Kilka dni po tym publicznym upomnieniu szedł wieczorem z jakimś listem przez Drumcondra Road, gdy usłyszał czyjś głos:

– Stój!

Odwrócił się i zobaczył trzech kolegów z klasy, którzy w wieczornym półmroku zbliżali się do niego. Tym, który krzyknął, był Czapla; szedł z dwuosobową świtą, tnąc powietrze cieniutką laską w rytm stawianych kroków. Boland, jego przyjaciel, maszerował obok, z szerokim uśmieszkiem na twarzy, a Nash podążał kilka kroków za nimi, ciężko dysząc z pośpiechu i kiwając wielką, rudą łepetyną.

Jak tylko chłopcy skręcili razem w Clonliffe Road, zaczęli dyskutować o książkach i pisarzach, chwalili się, jakie książki czytają i jak bogate biblioteki mają w domach ich ojcowie. Stephen

przysłuchiwał się im z niejakim zadziwieniem, gdyż Boland uchodził za tłumoka, a Nash za klasowego wałkonia. Chłopcy wymienili poglądy na temat ulubionych pisarzy, po czym Nash oświadczył, że jego zdaniem najwybitniejszy jest Kapitan Marryat.

– Z byka spadłeś? – wtrącił się Czapla. – Zapytaj Dedalusa. Kto jest największym pisarzem, Dedalus?

Stephen rozpoznał szyderczy ton w pytaniu i zapytał:

– Chodzi ci o prozę?

– Tak.

– Myślę, że Newman.

– Kardynał Newman? – zapytał Boland.

– Tak – odparł Stephen.

Na piegowatej twarzy Nasha wykwitł szeroki uśmiech, kiedy chłopak zwrócił się do Stephena i zapytał:

– Newman ci się podoba?

– No, wiecie, wielu ludzi uważa, że w prozie nic nie dorównuje stylowi Newmana. – Czapla udzielił wyjaśnień pozostałej dwójce. – Choć oczywiście nie jest poetą.

– No, to kto, Czaplo, jest największym poetą? – zapytał Boland.

– Lord Tennyson, ma się rozumieć – odparł Czapla.

– No tak, lord Tennyson – powtórzył Nash. – W domu mamy wszystkie jego wiersze w jednym tomie.

Na te słowa Stephen zapomniał o cichych ślubach, które był poczynił, i wybuchnął:

– Tennyson poetą! Też mi coś, to zwykły wierszokleta!

– Ech, daj spokój – powiedział Czapla. – Przecież wszyscy wiedzą, że Tennyson to największy poeta.

– A według ciebie kto jest największym poetą? – zagadnął Boland, szturchając łokciem sąsiada.

– Byron, to oczywiste – odparł Stephen.

Czapla dał sygnał i cała trójka parsknęła pogardliwym śmiechem.

– Z czego tak rżycie? – zapytał Stephen.

– Z ciebie – oznajmił Czapla. – Byron największym poetą! Dobry dla kmiotków.

– Też mi poeta! – podsumował Boland.

– Ty lepiej trzymaj gębę na kłódkę. – Stephen zwrócił się odważnie ku niemu. – O poezji wiesz tyle, ile naskrobałeś na ścianie w latrynie, za co zresztą miałeś wylądować w kozie.

To Boland podobno napisał w latrynie dwuwiersz o koledze z klasy, który jeździł ze szkoły do domu na kucyku:

Kiedy Tyson jechał do Jeruzalem,
Spadł i złamał se fujarę.

Ten cios uciszył obu adiutantów, ale Czapla ciągnął dalej:

– A poza tym Byron był heretykiem i źle się prowadził.

– Nie obchodzi mnie, kim był! – krzyknął w gniewie Stephen.

– Nie obchodzi cię, czy był heretykiem czy nie? – zdziwił się Nash.

– A co ty o tym możesz wiedzieć? – wykrzyknął Stephen. – W życiu nie przeczytałeś ani jednej linijki, chyba że w jakimś bryku. Boland też nie.

– Wiem, że Byron był draniem – powiedział Boland.

– Łapcie tego heretyka! – zawołał Czapla.

W jednej chwili Stephen stał się więźniem.

– Niedawno Tate dał ci popalić – ciągnął dalej Czapla – za tę herezję w wypracowaniu.

– Jutro mu o tym powiem – oświadczył Boland.

– Powiesz? – zapytał Stephen. – Bałbyś się ust otworzyć.

– Ja? Ja bym się bał?

– Pewnie. Bałbyś się o własną skórę.

– Zachowuj się! – wykrzyknął Czapla, uderzając Stephena laską po nogach.

Był to sygnał do ataku. Nash wykręcił mu z tyłu ręce, a Boland chwycił wielki kapuściany głąb, który leżał w rynsztoku. Stephen wierzgał i bronił się przed razami laski i uderzeniami twardego głąba, ale został przyparty do płotu z drutem kolczastym.

– Przyznaj, że Byron jest do niczego.

– Nie.

– Przyznaj.

– Nie.

– Przyznaj.

– Nie. Nie.

Szarpiąc się z nimi zaciekle, Stephen zdołał się w końcu wyswobodzić. Jego prześladowcy ruszyli w kierunku Jones's Road, śmiejąc się i drwiąc sobie z niego, a on sam, pobity, zaczerwieniony i zdyszany, pokuśtykał za nimi, ślepy od łez, zaciskając w furii pięści i łkając.

Kiedy odmawiał *Confiteor* pośród wybuchów nieopanowanego śmiechu obu słuchaczy i kiedy wyraźne obrazy tamtego nikczemnego wydarzenia przepływały mu szybko przed oczyma, dziwił się, że nie czuje żadnego gniewu do tych, którzy zadawali mu takie katusze. Nie zapomniał o ich tchórzostwie i okrucieństwie, ale pamięć nie rozniecała w nim gniewu. Dlatego wszystkie znane z książek opisy nieposkromionej miłości i nienawiści wydawały mu się nieprawdziwe. Nawet tego wieczoru, kiedy szedł niepewnym krokiem do domu po Jones's Road, czuł, że jakaś moc rozdziewa go ze skrojonego niespodzianie gniewu tak łatwo, jakby obierała owoc z miękkiej, dojrzałej skórki.

Stał z dwoma kolegami w kącie galerii, przysłuchując się nieuważnie ich rozmowie i wybuchom oklasków w teatrze. Siedziała tam, pośród innych, czekając być może na jego przyjście. Próbował przypomnieć sobie, jak wygląda, ale bez skutku. Pamiętał tylko, że miała na głowie chustę, jak kaptur, i że jej czarne oczy zachęcały go i onieśmielały. Zastanawiał się, czy gości w jej myślach, tak jak ona gościła w jego. Ukryty w mroku i niewidoczny dla obu kolegów, zbliżył czubki palców jednej dłoni do wewnętrznej strony drugiej, ledwo jej dotykając, i lekko nacisnął. Dotyk jej palców był jednak delikatniejszy i pewniejszy i nagłe wspomnienie tego dotyku przetoczyło się przez jego umysł i ciało niczym niewidzialna fala ciepła.

Jakiś chłopak zbliżał się do nich, biegnąc wzdłuż galerii. Był podniecony i ciężko dyszał.

– Och, Dedalus! – wykrzyknął. – Doyle się na ciebie wścieka. Masz iść natychmiast i się przebrać, bo zaraz wchodzisz na scenę. Lepiej się pospiesz.

– Pójdzie – powiedział Czapla do posłańca swoim wyniosłym manierycznym głosem – kiedy będzie chciał.

Chłopak odwrócił się do Czapli i powtórzył:

– Ale Doyle naprawdę się piekli.

– Bądź łaskaw powiedzieć Doyle'owi, że z całym szacunkiem mam gdzieś te jego pieprzone humory – powiedział Czapla.

– Słuchajcie, muszę już iść – oznajmił Stephen, dla którego takie drobiazgi nie były sprawą honoru.

– Ja tam bym nie szedł – powiedział Czapla. – Za cholerę bym nie szedł. Tak się nie wzywa chłopaków ze starszych klas. Piekli się, też mi coś! A wiesz, co myślę? Jemu powinno wystarczyć, że bierzesz udział w jego nędznym widowisku.

Ten duch kłótliwej koleżeńskości, dostrzeżony ostatnio u rywala, nie był na tyle silny, by oderwać Stephena od nawyku milczącego posłuszeństwa. Nie ufał buntowniczym nastrojom i nie wierzył w szczerość takiej koleżeńskości, która zdawała mu się zaledwie nędznym zwiastunem prawdziwie męskiej przyjaźni. Sprawa honoru, którą tu podniesiono, była dla niego, jak wszystkie tego typu sprawy, drobnostką. Kiedy jego umysł ścigał własne nieuchwytne widma i nie potrafił zaniechać takich pościgów, wokół Stephena rozlegały się nieustające głosy ojca i nauczycieli, przypominające mu, że musi być przede wszystkim dżentelmenem, że musi być przede wszystkim dobrym katolikiem. Ostatnio głosy te zdawały mu się puste i głuche. Kiedy uroczyście otwierano salę gimnastyczną, słyszał jeszcze jeden głos, który przypominał mu, że musi być silny i męski, i zdrowy, a kiedy w gimnazjum pojawił się ruch odrodzenia narodowego, jeszcze inny głos przypominał mu, że musi być wierny ojczyźnie i wskrzeszać jej martwy język i tradycję. Domyślał się, że w świecie spraw ziemskich głos z tego świata będzie mu nakazywał własną pracą podźwignąć ojca z upadku, a tymczasem głos szkolnych kolegów nakazywał mu być porządnym kumplem, to znaczy chronić ich przed karą, wstawiać się za nimi i robić wszystko, żeby było jak najwięcej dni wolnych od nauki. Kiedy dopadał go rozgwar tych pustych głosów, Stephen przerywał swój pościg za widmami i przystawał niezdecydowany. Łowił te głosy uchem przez jakiś czas, ale czuł się szczęśliwy tylko wtedy, gdy

był od nich z dala, poza zasięgiem słuchu, sam ze sobą lub w gronie widmowych towarzyszy.

W zakrystii jakiś pulchny jezuita o młodzieńczym wyglądzie i starszy mężczyzna, ubrany w mocno już sfatygowany granatowy strój, uwijali się przy skrzynce pełnej szminek i kredy. Chłopcy już uszminkowani pałętali się po izbie lub zastygali w zakłopotaniu, nieufnie i ukradkiem badając własne twarze koniuszkami palców. Na środku zakrystii młody jezuita, który bawił z wizytą w gimnazjum, kiwał się rytmicznie w przód i w tył, stając to na czubkach palców, to znowu na piętach, z rękoma wsuniętymi do bocznych kieszeni. Jego niewielką głowę okalały lśniące rude kosmyki, a świeżo ogolona twarz harmonizowała z nieskazitelnie czystą, skromną sutanną i równie nieskazitelnie czystymi butami.

Kiedy przyglądał się tej rozkołysanej postaci i próbował odczytać sens jej szyderczego uśmieszku, przypomniał sobie powiedzenie zasłyszane od ojca, zanim wysłano go do Clongowes, że jezuitę poznać po stylu, w jakim się ubiera. W tej samej chwili zdawało mu się, że dostrzega podobieństwo między umysłami ojca i tego uśmiechającego się, elegancko ubranego księdza: uświadomił sobie, że godność tego księdza, a może i samej zakrystii, ulega profanacji, gdyż ciszę tego miejsca zakłóciły głośne rozmowy i dowcipkowanie, a jego przestrzeń splamiły ostre zapachy gazu i szminek.

Kiedy staruszek nanosił mu na czoło zmarszczki i malował policzki na czarno i niebiesko, rozkojarzony Stephen słuchał głosu pulchnego młodego jezuity, który prosił go, by mówił głośniej i podkreślał puenty. Słyszał, jak orkiestra gra *The Lily of Killarney*, i wiedział, że lada chwila podniesie się kurtyna. Nie odczuwał tremy, ale myśl o roli, jaką miał zagrać, była dla niego upokorzeniem. Kiedy przypomniał sobie kwestie, które miał wypowiedzieć, jego umalowane policzki oblały się rumieńcem. Widział jej poważne, ponętne oczy obserwujące go z widowni i obraz ten natychmiast zmiótł wszystkie skrupuły, wzmacniając tylko jego wolę. Wydawało się, że nadano mu inną naturę: nastrój podniecenia i otaczającej go młodości niczym infekcja przeniknął do jego posępnego, nieufnego wnętrza i przeobraził je. Na jedną krótką chwilę mogło się wydawać,

że przybrał prawdziwy strój chłopięctwa, a gdy stał za kulisami obok innych aktorów, udzieliła mu się ich pospólna wesołość, wśród której dwu krzepkich księży gwałtownymi szarpnięciami wciągało na linach przekrzywioną kurtynę z dekoracją.

Kilka chwil później był już na scenie wśród oślepiających płomieni gazowych lamp, w ponurej przestrzeni, grając dla tej pustki o niezliczonych twarzach. Zdziwił się, że sztuka, która podczas prób jawiła mu się jako bezładna ramotka, zaczęła nagle żyć własnym życiem. Wydawało się, że gra się sama, a on i koledzy aktorzy pomagają jej tylko swoimi rolami. Kiedy po ostatniej scenie kurtyna opadła, usłyszał, jak pustka nabrzmiewa brawami, i przez szczelinę w kulisie ujrzał, jak jednorodna masa, przed którą grał, przepoczwarza się pod wpływem jakiejś tajemnej mocy, a wypełniona twarzami pustka pęka w wielu miejscach i rozsypuje się na pochłonięte czymś grupy.

Szybko zbiegł ze sceny, pozbył się kostiumu i przeszedł przez kaplicę do szkolnego ogrodu. Teraz, kiedy przedstawienie się skończyło, jego nerwy domagały się kolejnej przygody. Pospieszył wprzód, jakby chciał ją przegonić. Wszystkie drzwi w teatrze były otwarte, widzowie już wyszli. Na sznurach, które w jego wyobraźni stały się cumami arki, migotało przygnębiająco kilka lampionów i huśtało się w powiewach wieczornego wiatru. W pośpiechu wyszedł z ogrodu na schody, żeby mu łup nie uciekł sprzed nosa, i przebił się przez tłum stojący w sieni, przeszedł obok dwu jezuitów, którzy przyglądali się temu exodusowi, kłaniali się i ściskali dłonie gości. Sunął nerwowo do przodu, udając, że jeszcze bardziej się spieszy i niemal nie jest świadomy tych uśmiechów, spojrzeń, szturchnięć, które niczym ślad na morzu po przepłynięciu statku zostawiała za sobą jego upudrowana głowa.

Wyszedł na schody i ujrzał rodzinę czekającą na niego przy pierwszym lampionie. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by stwierdzić, że zna dobrze każdą postać z tej grupy; po chwili zbiegł gniewnie po schodach.

– Muszę doręczyć list na George's Street – rzucił krótko ojcu. – Będę w domu niedługo po was.

Nie czekając na pytania ojca, przebiegł przez ulicę i co tchu popędził w dół. Nie wiedział, dokąd zmierza. Duma, nadzieja i pożądanie, jak zioła rozsypane w sercu, wydzielały przed oczyma jego wyobraźni wonne, przyprawiające o obłęd opary. Zbiegał ze wzgórza, pośród chaosu wznieconych nagle kłębów zranionej dumy, upadłej nadziei i zagubionego pożądania. Gęstym, odurzającym dymem wzbijały się w górę przed jego udręczonymi oczyma i znikały nad jego głową, aż w końcu powietrze stawało się czyste i ponownie chłodne.

Jakaś mgiełka nadal przesłaniała mu oczy, które już jednak go nie piekły. Jakaś moc, podobna do tych, które często gasiły w nim wściekłość i urazę, powstrzymywała jego dalsze kroki. Stał nieruchomo, wpatrzony w ponury przedsionek kostnicy, a stamtąd przeniósł wzrok na biegnącą obok, mroczną, brukowaną uliczkę. Na ścianie zobaczył słowo *Lotts* i zaczął powoli wciągać do płuc ciężkie, cuchnące powietrze.

To końskie szczyny i butwiejące siano, pomyślał. Dobrze jest wdychać taki smród. Ukoi mi serce. Serce moje jest już całkiem spokojne. Wracam.

* * *

Stephen znów siedział przy ojcu w kącie wagonu kolejowego w Kingsbridge. Jechali nocnym pociągiem pocztowym do Corku. Kiedy pociąg, dymiąc, wysnuwał się z dworca, Stephen przypomniał sobie dziecięce zdziwienie sprzed lat i każdy szczegół pierwszego dnia pobytu w Clongowes. Dziś jednak nie odczuwał żadnego zaskoczenia. Widział, jak przemykają obok niego mroczniejące pola, jak nieme słupy telefoniczne spiesznie, co cztery sekundy, mijają jego okno, a pociąg zostawia za sobą małe, migotliwe stacje z załogami złożonymi z kilku milczących dróżników, tlące się przez chwilę w ciemności jak ziarenka ognia, które pryskają spod końskich kopyt na torze wyścigowym.

Słuchał obojętnie ojca, który wspominał Cork i przywoływał sceny z własnej młodości, snując opowieść przerywaną

westchnieniami i łykami z płaskiej flaszeczki, kiedy w jego opowieści pojawiała się postać zmarłego już przyjaciela albo kiedy przypominał sobie nagle powód swej obecnej podróży. Stephen słuchał tych historii, ale nie mógł wykrzesać z siebie żalu. Postaci zmarłych były mu całkowicie obce, z wyjątkiem wuja Charlesa, ale jego obraz zaczął ostatnio zacierać mu się w pamięci. Wiedział jednak, że majątek ojca pójdzie pod młotek, a ponieważ skutki wywłaszczenia spadną również na niego, czuł, że świat bezceremonialnie zadaje kłam jego fantazjom.

W Maryborough zmógł go sen. Kiedy się ocknął, pociąg wyjeżdżał z Mallow, a ojciec spał rozłożony na drugim siedzeniu. Mroźne światło świtu rozścieliło się po okolicy, na bezludnych polach i zamkniętych chatach. Fascynowała go tyrania snu, kiedy patrzył na martwy krajobraz i słyszał od czasu do czasu głęboki oddech albo nagły ruch śpiącego ojca. Sąsiedztwo niewidzialnych, pogrążonych we śnie ludzi napełniało go dziwnym lękiem, jakby mogli wyrządzić mu krzywdę; modlił się, by dzień nadszedł jak najrychlej. Jego modlitwa, której nie kierował ani do Boga, ani do żadnego świętego, zaczęła się dreszczem, bo mroźne, poranne powietrze przenikało przez szczelinę w podłodze wagonu i owiewało mu stopy, a skończyła się pasmem bezsensownych słów, które sobie wymyślił, żeby pasowały do uporczywego rytmu pociągu; a w ciszy, w czterosekundowych odstępach, słupy telegraficzne obejmowały kreskami taktów galopujące nuty tej muzyki. Ta szaleńcza muzyka koiła jego strach; opierając się o parapet okna, mimowolnie zamknął oczy.

Był jeszcze wczesny ranek, kiedy jechali bryczką ulicami Corku. Stephen dokończył snu w sypialni hotelu Victoria. Jasne, ciepłe słońce wlewało się szerokim promieniem przez okno, a z zewnątrz dobiegał gwar ulicznego ruchu. Ojciec stał przed toaletką i z wielką uwagą oglądał sobie włosy, twarz, wąsy; wyciągał szyję nad dzbanem z wodą i przekrzywiał głowę, by lepiej widzieć. W tym czasie śpiewał cicho pod nosem z dziwnym akcentem i frazowaniem:

Młodość, głupota

Przed ołtarz ciągną,
Uciekam, luba,
Na nic twe wnyki.
Nic nie poradzisz,
Musisz się zgodzić,
Jutro odpływam
Do Hameryki.

Dziewczę mam piękne,
Dziewczę prześliczne,
Jak dobry trunek,
Mocny i młody.
Lecz gdy wietrzeje,
Gdy się starzeje,
Znika bez śladu
Jak kropla wody.

Świadomość, że za oknem leży ciepłe, słoneczne miasto i że głos ojca, śpiewającego dziwną, smętną i radosną zarazem piosenkę, popada w rozczulającą wibrację, rozpędziła mgłę złego humoru, jaki dopadł Stephena w nocy. Szybko wstał, ubrał się, a kiedy piosenka dobiegła końca, powiedział:

– To o wiele ładniejsze niż to twoje *rzecz się stała niesłychana*.

– Tak uważasz? – zapytał pan Dedalus.

– Podoba mi się – odparł Stephen.

– To piękna, stara melodia – powiedział pan Dedalus, podkręcając końcówki wąsów. – Ale szkoda, że nie słyszałeś, jak śpiewa ją Mick Lacy! Biedny Mick Lacy! Ten to umiał melodią zakręcić i tak nią zakołować, że ja przy nim wysiadam. Tak, on by ci dopiero zaśpiewał *rzecz się stała niesłychana*.

Pan Dedalus zamówił na śniadanie kiszkę, a podczas posiłku przepytywał kelnera, próbując wydobyć od niego najnowsze wieści. Rozmawiali jakby obok siebie: kiedy padało jakieś nazwisko, kelner miał na myśli jego obecnego właściciela, a pan Dedalus – ojca, a może dziadka.

– Chyba nie przenieśli Queen's College – powiedział pan Dedalus. – Chciałbym pokazać go mojemu pędrakowi.

Wzdłuż bulwaru Mardyke kwitły drzewa. Weszli na teren kolegium, a gadatliwy portier poprowadził ich przez dziedziniec. Szli po żwirze, musieli jednak zatrzymywać się co kilkanaście kroków, żeby wysłuchać jego kolejnej odpowiedzi.

– Nie no, prawdę pan mówi? To biednemu Pottlebelly'emu się zmarło?

– Tak, proszę pana. Zmarło mu się, proszę pana.

Podczas tych postojów Stephen stawał za oboma mężczyznami, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć, nużył go temat ich rozmowy, czekał niecierpliwie, aż znowu rozpocznie się powolna wędrówka. Zanim przeszli przez dziedziniec, jego zniecierpliwienie zmieniło się w gorączkę. Nie mógł zrozumieć, jak to się dzieje, że ojciec, którego znał jako bystrego i podejrzliwego człowieka, tak łatwo pozwala się zbałamucić przymilnym gestom portiera; tętniący życiem, południowy akcent, który sprawiał mu od rana tyle przyjemności, teraz drażnił mu uszy.

Weszli do sali anatomii, gdzie pan Dedalus z pomocą portiera obejrzał ławki w poszukiwaniu swoich inicjałów. Stephen stał nieco z tyłu, przygnębiony jak nigdy mrokiem i ciszą tego miejsca oraz wizją, jaką w nim wywołało – nudnej, formalnej nauki. Na stojącej przed nim ławce przeczytał słowo *foetus* wyryte kilkakrotnie w ciemnym, poplamionym drewnie. Pod wpływem tego nieoczekiwanego podpisu poczuł, że krew zaczyna tętnić mu w żyłach: wydawało mu się, że czuje wokół siebie nieobecnych studentów kolegium i wzdraga się przed ich towarzystwem. Obraz ich życia, którego nie zdołały wywołać w nim ojcowskie opowieści, wyłonił się ze słowa wyrytego na ławce i stanął jak żywy przed oczyma. Barczysty, wąsaty student wycinał w skupieniu kozikiem litery. Inni studenci stali lub siedzieli przy nim i śmiali się z jego dzieła. Jeden z nich dał mu sójkę w bok. Duży student odwrócił się niezadowolony. Ubrany był w luźny, szary mundurek i jasnobrązowe buty.

Ktoś wykrzyknął imię Stephena. Szybko zbiegł ze schodów, chcąc być jak najdalej od tej wizji i, pochylając się nad inicjałami ojca,

skrył zarumienione policzki.

Ale słowo to i obraz tańczyły mu przed oczyma, kiedy wracał przez dziedziniec do szkolnej bramy. Zszokowany, odkrył w świecie zewnętrznym ślad tego, co dotychczas zdawało mu się prymitywną i jednostkową przypadłością jego umysłu. Najświeższe, potworne sny na jawie kłębiły się w jego pamięci. I one też, pod wpływem zwykłych słów, stawały mu ongiś przed oczyma, niespodziewanie i gwałtownie. Wkrótce się im poddał, pozwolił, by opanowały i upokorzyły jego duszę; zastanawiał się ciągle, skąd się biorą, z jakiej jaskini potwornych obrazów się wywodzą, a kiedy odchodziły, czuł się wobec innych słaby i pokorny, niecierpliwy i zmęczony samym sobą.

– Ja cię kręcę! Tam jak nic musi być gospoda! – wykrzyknął pan Dedalus. – Pamiętasz, Stephen, ile razy wspominałem ci o tej gospodzie? Jak już nas odhaczono na liście, co i raz biegaliśmy tam całą bandą, Harry Peard i mały Jack Góra, i Bob Dyas, i Maurice Moriarty, Francuz, i Tom O'Grady, i Mick Lacy, o którym mówiłem ci dziś rano, i Joey Corbet, i ten biedny, poczciwy Johnny Keevers z Tantiles.

Liście na drzewach wzdłuż bulwaru Mardyke dygotały i szeptały w promieniach słońca. Minęła ich grupa graczy w krykieta, zwinnych młodzieńców we flanelowych spodniach i blezerach, z których jeden niósł podłużną zieloną torbę. W cichej bocznej uliczce pięciu niemieckich muzyków w wyblakłych mundurach grało na zniszczonych instrumentach dętych przed audytorium złożonym z ulicznych urwisów i niespieszących się donikąd gońców. Jakaś pokojówka w białym czepcu i fartuszku podlewała kwiatki w doniczkach stojących na parapecie, który lśnił jak wapienna płyta w oślepiającym blasku słońca. Z innego okna, otwartego na świat, dobiegały dźwięki pianina wznoszące się, gama za gamą, coraz wyżej i wyżej.

Stephen szedł u boku ojca i przysłuchiwał się opowieściom, które znał aż za dobrze; słyszał znowu imiona rozproszonych po świecie lub nieżyjących już towarzyszy zabaw ojca z jego młodych lat. I westchnął w duszy, którą zawładnęło niewyraźne uczucie mdłości. Przypomniał sobie swoją dwuznaczną pozycję w Belvedere,

gdzie był wyróżniającym się uczniem stypendystą i przywódcą, który boi się własnej władzy – dumny, wrażliwy i podejrzliwy, próbował uporać się z nędzą swojego życia i z własnymi buntowniczymi myślami. Litery wyryte na poplamionym blacie ławki patrzyły mu wyzywająco w oczy, szydząc ze słabości jego ciała, z jego jałowego zapału, i wzbudzały w nim pogardę dla samego siebie za szaloną, plugawą rozpustę. Trudno było mu przełknąć ślinę, która przybrała gorzki, wstrętny smak, a niewyraźne uczucie mdłości zawładnęło jego umysłem, po czym na chwilę zamknął oczy i kroczył w mroku.

Ciągle słyszał głos ojca.

– Kiedy się już ustawisz w życiu, Stephenie, a wierzę, że pewnego dnia tak się stanie, pamiętaj, gdziekolwiek się znajdziesz, trzymaj z dżentelmenami. Powiadam ci, kiedy byłem młody, brałem z życia, ile wlezie. Ale trzymałem tylko z porządnymi gośćmi. Każdy z nas był w czymś dobry. Jeden miał niezły głos, inny był dobrym aktorem, jeszcze inny potrafił zabawić nas wesołą piosenką, inny był świetnym wioślarzem albo piłkarzem, inny umiał opowiedzieć dobrą historię i tak dalej. Braliśmy sprawy w swoje ręce, potrafiliśmy się wyszumieć, poznawaliśmy życie i niczego na tym nie traciliśmy. Ale wszyscyśmy byli dżentelmenami, Stephenie, tak mi się przynajmniej wydaje, a do tego, powiadam ci, każdy z nas był, psiakrew, porządnym, dobrym Irlandczykiem. Z takimi ludźmi powinieneś trzymać, z ludźmi o odpowiednim kręgosłupie. Mówię do ciebie jak przyjaciel, Stephenie. Nie lubię odgrywać roli surowego ojca. Myślę, że syn nie może bać się ojca. Nie. Traktuję cię w taki sam sposób, jak traktował mnie twój dziadek, kiedy byłem szczeniakiem. Byliśmy prawie jak bracia, a nie jak ojciec i syn. Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy ojciec przyłapał mnie po raz pierwszy na paleniu. Stałem na końcu South Terrace z kurduplami takimi jak ja sam i uważaliśmy, ma się rozumieć, że są z nas wielkie pany, bośmy wsadzili sobie do gęby te nasze fajki i jarali ile wlezie. I wtedy, proszę ciebie, widzę, że człapie mój staruszek.

Nie powiedział ani słowa, nawet się nie zatrzymał. Ale na drugi dzień, a była to niedziela, wyszliśmy razem na spacer, a kiedyśmy wracali do domu, wyjął cygarniczkę i powiada: „A tak na marginesie,

Simonie, nie wiedziałem, że palisz", czy coś w tym guście. Próbowałem, ma się rozumieć, zachowywać się jak gdyby nigdy nic. A on mówi: „Jeśli chcesz zapalić coś dobrego, spróbuj moich cygar. Dostałem je w prezencie od pewnego amerykańskiego kapitana wczoraj wieczorem w Queenstown".

Stephen usłyszał, jak głos ojca przeradza się w śmiech, który brzmiał prawie jak szloch.

– W tamtych czasach był najprzystojniejszym mężczyzną w Corku, na Boga, najprzystojniejszym! Kobiety przystawały na ulicy, żeby się za nim obejrzeć.

Usłyszał, jak ojciec głośno przełyka łzy, i nerwowo rozwarł powieki. Promienie słońca, które oślepiły go w okamgnieniu, przeobraziły niebo i chmury w fantastyczny świat ciemnych brył rozdzielonych podobnymi do jezior przestrzeniami ciemnoróżowego światła. Umysł miał chory i bezsilny. Nie potrafił odczytać liter na sklepowych szyldach. Ponieważ prowadził tak potworne życie, wydawało mu się, że stawia się poza nawiasem rzeczywistości. Rzeczywisty świat w niczym do niego nie przemawiał ani go nie poruszał, o ile nie słyszał w nim echa rozwścieczonych krzyków wydawanych przez niego samego. Nie podniecały go żadne ziemskie czy ludzkie uroki, był niemy i obojętny na wezwania lata, radości i przyjaźni, męczył go i przygnębiał głos ojca. Nie rozpoznawał własnych myśli, powoli powtarzał sobie w duchu:

– Nazywam się Stephen Dedalus. Idę u boku ojca, który nazywa się Simon Dedalus. Jesteśmy w Corku, w Irlandii. Cork to miasto. Mamy pokój w hotelu Victoria. Victoria, Stephen, Simon. Simon, Stephen, Victoria. Imiona.

Pociemniały nagle wspomnienia z dzieciństwa. Próbował przywołać jakieś szczególnie wyraziste chwile, ale bez skutku. Umiał przypomnieć sobie tylko nazwy i imiona: Dante, Parnell, Clane, Clongowes. Małego chłopca uczyła geografii jakaś stara kobieta, która trzymała w bieliźniarce dwie szczoteczki. Potem wysłano go do gimnazjum z internatem. W gimnazjum przystąpił do Pierwszej Komunii i wyjadał żelki z czapki do krykieta, i przyglądał się światłu, jak skacze i tańczy na ścianie małej sypialni w infirmerii, i śnił, że nie żyje, że mszę w jego intencji odprawia rektor ubrany w czarno-złotą

kapę, że chowają go na niewielkim gminnym cmentarzyku przy głównej, porośniętej lipami alei. Ale nie umarł wówczas. Parnell umarł. W kaplicy nie odprawiono mszy żałobnej, nie odbyła się żadna procesja. Nie umarł, spłowiał niczym klisza wystawiona na słońce. Zaginął albo wyszedł z życia, bo już nie istnieje. Jakie to dziwne uczucie pomyśleć sobie, że wychodzi się z życia w taki właśnie sposób, nie w wyniku śmierci, ale płowiejąc w słońcu albo gubiąc się gdzieś we wszechświecie, wpadając w otchłań zapomnienia! Jaki to dziwny widok, kiedy jego drobne ciało pojawia się znowu na chwilę: chłopczyk w szarym mundurku z paskiem. Ręce w bocznych kieszeniach, a spodnie ściągnięte gumką na wysokości kolan.

Tego wieczoru, w dniu licytacji ojcowskiego majątku, Stephen potulnie wędrował z ojcem po mieście od knajpy do knajpy. Sprzedawcom na rynku, barmanom i barmankom, żebrakom, którzy dopraszali się o grosz, pan Dedalus serwował tę samą opowieść, że urodził się w Corku, że przez trzydzieści lat, kiedy mieszkał w Dublinie, próbował pozbyć się tego corkowskiego akcentu i że ten stojący obok niego szczawik, choć to jego najstarszy syn, jest na wskroś dublińczykiem.

Wczesnym rankiem wyszli z kawiarni Newcombe'a, gdzie filiżanka pana Dedalusa grzechotała hałaśliwie o podstawkę, a Stephen próbował zagłuszyć ten wstydliwy znak wczorajszego pijaństwa ojca, przesuwając krzesło i kaszląc. Nie skończyło się jednak na jednym upokorzeniu: dwuznaczne uśmieszki sprzedawców, kurbety i lubieżne spojrzenia barmanek, z którymi ojciec flirtował, komplementowanie i słowa zachęty, jakich nie szczędzili ojcu jego przyjaciele. Powiedzieli mu, że Stephen wygląda równie wspaniale jak jego dziadek, a pan Dedalus dodawał, że to paskudne podobieństwo. W jego języku wytropili ślady corkowskiego akcentu i kazali mu przyznać, że Lee jest piękniejszą rzeką niż Liffey. Jeden z nich, poddając próbie jego znajomość łaciny, kazał mu przełożyć krótkie fragmenty z *Dilectusa* i zapytał, czy poprawne jest zdanie: *Tempora mutantur nos et mutamur in illis* czy też *Tempora mutantur et nos mutamur in illis*.

A pełen werwy staruszek, do którego pan Dedalus mówił Johnny Cashman, zbił go z tropu pytaniem, które dziewczęta są piękniejsze: te z Dublina czy z Corku.

– On z innej gliny ulepiony – zwrócił mu uwagę pan Dedalus. – Daj mu spokój. To trzeźwo myślący chłopak, który nie zawraca sobie głowy takimi bzdurami.

– W takim razie nie jest synem swego ojca – odparował staruszek.

– Głowy nie dam – powiedział pan Dedalus, uśmiechając się z samozadowoleniem.

– Twój ojciec – staruszek zwrócił się do Stephena – był swego czasu najzuchwalszym podrywaczem w mieście Cork. Wiedziałeś o tym?

Stephen spuścił wzrok i przyglądał się uważnie wyłożonej płytkami podłodze gospody, do której zawędrowali.

– Ty mi go nie podpuszczaj – rzekł pan Dedalus. – Zostaw go Stwórcy.

– Jasne, nie mam zamiaru go podpuszczać. Jestem tak stary, że mógłbym być jego dziadkiem. I w rzeczy samej, jestem dziadkiem – powiedział staruszek do Stephena. – Wiedziałeś o tym?

– Naprawdę? – zapytał Stephen.

– Niech mnie kule biją, no pewnie, że tak – odparł staruszek. – Mam dwoje wnuków, straszne urwisy, mieszkają w Sunday's Well. No, ale dobrze. A ile dałbyś mi lat? I pamiętam, jak twój dziadek ubrany w czerwony surdut wyjeżdżał na polowanie. Jeszcze zanim się urodziłeś.

– No, zanim komukolwiek przyszedłeś do głowy – wtrącił pan Dedalus.

– Niech mnie kule biją – powtórzył staruszek. – Pamiętam też twojego pradziadka, starego Johna Stephena Dedalusa, a był z niego strażak naprawdę nieposkromiony. A jużci. O takich rzeczach powinieneś pamiętać.

– To trzy, nie, cztery pokolenia – wyliczył ktoś z grupy. – Zdradź nam, Johnny Cashman, niedługo stuknie ci setka?

– No, dobra, nie będę owijał w bawełnę – odparł staruszek. – Stuknęło mi wiosen dwadzieścia i siedem.

– Mamy tyle lat, na ile się czujemy, Johnny – powiedział pan Dedalus. – Dopij, co ci jeszcze zostało, i zamówimy następnego. Tim, Tom, czy jak cię tam wołają, podaj nam jeszcze raz to samo. Na Boga, ja sam czuję się, jakbym miał góra osiemnaście wiosen. Oto mój syn, ma pół z tego co ja, a chłop ze mnie tęższy, nieprawdaż?, świątek, piątek czy niedziela.

– Przyhamuj trochę, Dedalus. Chyba już pora, byś ustąpił miejsca – powiedział mężczyzna, który się wcześniej odezwał.

– Nigdy, na Boga! – odparował stanowczo pan Dedalus. – Jestem gotów zmierzyć się z nim w śpiewie, w skokach przez bramę wysoką na sześć stóp. Niech spróbuje puścić się w pogoń z chartami przez pola, tak jak trzydzieści lat temu ja biegałem na łeb, na szyję z tym chłopakiem z Kerry, który wszystkich rozkładał na łopatki.

– Ale on cię pokona – powiedział staruszek, pukając się w czoło i podnosząc kufel, żeby go opróżnić.

– Cóż, mam nadzieję, że chłop z niego będzie na schwał, jak jego ojciec. Co tu dużo gadać – rzekł pan Dedalus.

– Nic dodać, nic ująć – odparł staruszek.

– I Bogu dzięki, Johnny, żeśmy tyle lat przeżyli – rzekł Dedalus – i wyrządzili tak niewiele krzywdy.

– Przeciwnie, zrobiliśmy wiele dobrego, Simonie – powiedział poważnie staruszek. – Dzięki Bogu, żeśmy tyle lat przeżyli i zrobili tyle dobrego.

Stephen zobaczył, jak trzy kufle uniosły się ze stołu, kiedy ojciec i jego dwaj kompani wznieśli toast za dawne czasy. Dzieliła go od nich przepaść, jaką wykopał między nimi los lub różnice temperamentu. Wydawało się, że jest od nich starszy duchem; jego zimne światło padało na ich zmagania i nieszczęścia, i żale, niczym światło księżyca na jakąś młodszą od niego ziemię. Nie budziły się w nim te siły życia i młodości, które ich ongiś rozbudzały. Nie poznał ani przyjemności płynących z towarzystwa kolegów, ani zapału, jaki rodzi surowa męska tężyzna, ani miłości synowskiej. Nic się w jego duszy nie budziło, poza chłodną i okrutną, i pozbawioną miłości żądzą. Jego dzieciństwo było martwe albo utracone, a wraz z nim martwa była dusza zdolna do zwykłych radości, płynął więc przez życie bez celu jak jałowa skorupa księżyca.

Czemu ta bladość na twym licu?
Czy stąd, że pniesz się po niebie, wpatrzony
W ziemię, że ciągleś sam, księżycu?[5]

Powtórzył w duchu wersy niedokończonego wiersza Shelleya. Przejęły go chłodem te słowa, w których żałosna, człowiecza bezradność splata się z żywotnością cyklicznych, nieczłowieczych sił, i zapomniał o własnej rozpaczy, człowieczej i bezradnej.

* * *

Matka Stephena, jego brat i jeden z kuzynów czekali na rogu cichego zaułka Foster Place, a on z ojcem wkroczył po schodach na krużganek i szedł wzdłuż kolumnady, gdzie paradował szkocki wartownik. Weszli do wielkiej sali, przystanęli przy kontuarze, a Stephen wyciągnął dwa czeki wystawione przez prezesa Banku Irlandii opiewające na trzydzieści i trzy funty; kasjer wypłacił mu szybko pieniądze, które dostał w nagrodę za wyniki na egzaminach i wypracowanie – pierwszą sumę w banknotach, drugą w bilonie. Z udawaną obojętnością schował je do kieszeni i pozwolił, by kasjer, z którym ojciec uciął sobie pogawędkę, uścisnął mu dłoń ponad szerokim kontuarem i życzył samych sukcesów w życiu. Denerwowały go ich głosy, nie mógł zapanować nad rozdygotanymi ze zniecierpliwienia nogami. Ale kasjer nie zaczął obsługiwać kolejnych klientów, bo chciał jeszcze powiedzieć, że żyje w innych zgoła czasach i że najważniejsze to dać chłopakowi najlepsze wykształcenie, jakie można dostać za pieniądze. Pan Dedalus zwlekał z wyjściem z sali, rozglądał się naokoło, popatrzył na strop i powiedział Stephenowi, który go ponaglał, że stoją w Izbie Gmin starego parlamentu irlandzkiego.

– Wielki Boże! – powiedział nabożnie. – Pomyśl tylko, Stephenie, o ludziach z tamtych czasów, Hely Hutchinson, Flood, Henry Grattan i Charles Kendal Bushe, i spójrz na te nasze dzisiejsze elity, na tych przywódców narodu irlandzkiego, tu, w kraju, i na obczyźnie. Na Boga, i tacy spoczną wraz z nimi na tym samym

dziesięcioakrowym poletku. Tak, Stephenie, stary druhu. Przykro o tym mówić, ale to wszystko wicher rozniesie, rozwieje na cztery świata strony.

Powiewy październikowego wiatru omiatały gmach banku. Trzy postacie stojące na skraju błotnistej alejki miały ściągnięte od zimna policzki i załzawione oczy. Stephen spojrzał na lekko ubraną matkę i przypomniał sobie, że kilka dni wcześniej widział na wystawie u Barnarda płaszcz za dwadzieścia gwinei.

– Załatwione – oznajmił pan Dedalus.

– Chodźmy gdzieś na obiad – powiedział Stephen. – Tylko gdzie?

– Na obiad? – powtórzył pan Dedalus. – Cóż, chyba się nam należy, prawda?

– Znajdźmy jakieś w miarę tanie miejsce – powiedziała pani Dedalus.

– U Niedosmażki?

– Niech będzie. Gdzieś, gdzie jest cicho.

– Chodźmy już – powiedział szybko Stephen. – Cena nie gra roli.

Szedł przed nimi drobnym, nerwowym krokiem i uśmiechał się.

Próbowali za nim nadążyć i też się uśmiechali na myśl o jego zniecierpliwieniu.

– Spokojnie, młody człowieku – powiedział ojciec. – Przecież to nie bieg na pół mili, prawda?

Pieniądze, które Stephen dostał w nagrodę, przeciekły mu przez palce w krótkim okresie beztroskich uciech. Z miasta przywożono wielkie paczki artykułów spożywczych, delikatesów i suszonych owoców. Każdego dnia układał dla rodziny jadłospis, a wieczorami zapraszał trzy lub cztery osoby do teatru na *Ingomara* lub *Damę z Lyonu*. W kieszeniach płaszcza nosił kwadratowe kawałki wiedeńskiej czekolady dla gości, a kieszenie spodni pęczniały mu od srebrnych i miedzianych monet. Kupował wszystkim prezenty, urządzał sobie pokój, pisał postanowienia, przestawiał książki na półkach, zagłębiał się w różnorodne cenniki, stworzył coś na kształt konstytucji rzeczypospolitej domowej, zgodnie z którą każdy domownik musiał piastować jakiś urząd, otworzył dla rodziny rachunek bankowy i narzucał się z pożyczkami chętnym kredytobiorcom, żeby mieć przyjemność, jaką jest wystawianie

kwitów i obliczanie odsetek z pożyczonych sum. A kiedy już nie miał co robić, jeździł tramwajem po całym mieście. Wkrótce jednak czas beztroskich uciech dobiegł końca. Skończyła się puszka różowej emalii, a na boazerii w jego sypialni pozostała warstwa farby – ślad niedokończonego remontu.

Domownicy wrócili do dawnego trybu życia. Matka nie miała już podstaw, by karcić go za marnotrawienie oszczędności. On zaś włączył się do dawnego życia w szkole, a wszystkie nowe plany się rozpierzchły. Rzeczpospolita domowa padła, kasa pożyczkowa zamknęła swój skarbiec, a rachunki wykazywały znaczące straty; reguły życia, które sobie wypracował, przestały obowiązywać.

Jak bzdurne były jego cele! Z przestrzegania zasad porządku i wytworności próbował zbudować wał ochronny, który miał chronić go przed ohydną falą zewnętrznego świata, a za pomocą reguł postępowania, czynnego uczestnictwa w życiu rodziny i nowych stosunków z rodzicami powstrzymać powroty potężnych fal szalejących w nim samym. Bezskutecznie. Tak wewnątrz, jak i na zewnątrz, woda przelewała się przez postawione przez niego zapory: fale znowu zaczęły kłębić się ze zdwojoną siłą nad zniszczonym wałem.

Widział wyraźnie jałowe odosobnienie, w jakim tkwił. Ani na krok nie zbliżył się do ludzi, do których pragnął się zbliżyć, ani nie przerzucił mostu nad niepokojącym go uczuciem hańby i rozgoryczenia, które dzieliło go od matki, brata i siostry. Czuł, że nie łączy ich wspólnota krwi, a raczej mistyczne więzi spowinowacenia, był przybranym synem, przybranym bratem.

Palił się, by ukoić dzikie tęsknoty serca, wobec których wszystko inne wydawało się czcze i obce. Nie martwiło go, że żyje w grzechu śmiertelnym, że jego życie zamieniło się w splot krętactwa i fałszu. Oprócz pałającej w nim dzikiej żądzy popełnienia owych okropności, o których rozmyślał, nic nie było święte. Cynicznie znosił wstydliwe szczegóły tajemnych szaleństw, którym się z lubością oddawał, by cierpliwie plugawić każdy przyciągający jego oczy obraz. Dniem i nocą poruszał się wśród wypaczonych obrazów zewnętrznego świata. Postać, która za dnia wydawała mu się skromna i niewinna, nawiedzała go w nocy w zwodniczej

ciemności snu, jej twarz odmieniały lubieżne intrygi, a oczy jaśniały zwierzęcą radością. Jedynie poranek sprawiał mu ból, przynosząc wspomnienie mrocznych, orgiastycznych szaleństw, wyraźną i upokarzającą świadomość występku.

Znowu zaczął wędrować. Jesienne wieczory osnute mgłą wiodły go z ulicy na ulicę, podobnie jak przed laty prowadziły go po cichych alejach Blackrock. Ale teraz nawet obraz zadbanych ogródków przed domami czy przyjaznych świateł w oknach nie przynosił mu ukojenia. Czasami tylko, kiedy żądze robiły sobie przerwę, a trawiący go nadmiar uczuć ustępował łagodniejszej tęsknocie, na zapleczu jego pamięci przesuwał się obraz Mercedes. Znowu widział biały dom i ogród z różanymi krzewami na drodze prowadzącej w góry i przypomniał sobie ten smutny i dumny gest odmowy, który wykona, kiedy stanie znowu u jej boku w ogrodzie skąpanym w świetle księżyca po długich latach rozłąki i przygody. W takich chwilach łagodne wiersze Claude'a Melnotte'a spływały mu na usta i koiły niepokój. Tknęło go przeczucie, że wkrótce nastąpi schadzka, na którą czekał, że mimo straszliwej rzeczywistości rozciągającej się między ówczesną a obecną nadzieją nastąpi to wymarzone, święte spotkanie, a wtedy opuszczą go i słabość, i lęk, i niedoświadczenie.

Takie momenty mijały jednak szybko, a trawiące go ognie żądzy ożywały ponownie. Wiersze znikały z jego warg, a niepojęte krzyki i niewypowiedziane brutalne słowa wyrywały się z jego mózgu, by przedrzeć się siłą na zewnątrz. Burzyła się w nim krew. Wędrował tam i z powrotem po ciemnej, błotnistej uliczce, próbując przeniknąć wzrokiem ponury mrok alejek i bram, nasłuchując chciwie jakiegoś dźwięku. Z głębi piersi wyrywał mu się jęk niczym osaczonemu podczas łowów zwierzęciu. Chciał grzeszyć z kimś sobie podobnym, chciał zmusić inną ludzką istotę, żeby z nim grzeszyła i pławiła się we wspólnym grzechu. Czuł, że z ciemności wyłania się jakaś mroczna postać i sunie nieodparcie ku niemu, postać subtelna, szemrzącą jak powódź, co całkowicie go sobą wypełni. Jej szmer wdzierał mu się do uszu niczym szmer śpiących zastępów; jej subtelne strumienie wnikały w jego jestestwo. Zaciskał w spazmach ręce i zęby, doświadczając męki tego wnikania. Na ulicy wyciągnął

ramiona, by pochwycić kruchy, chybotliwy kształt, który mu się wymykał i podniecał go; a krzyk, który tak długo tłumił w krtani, wydobył się z jego ust. I wyrwał się z nich jak ryk rozpaczy z piekła nieszczęśników, i roztopił się we wściekłym, błagalnym wyciu, ten krzyk krzywdzącego opuszczenia, krzyk będący zaledwie echem obscenicznego napisu, który przeczytał na pokrytej zaciekami ścianie w ubikacji.

Wszedł do labiryntu wąskich i brudnych uliczek. Z plugawych zaułków dobiegały go wybuchy wulgarnej wesołości i kłótnie, i ryki pijanych śpiewaków. Szedł dalej bez lęku, nie wiedząc, czy nie zabłąkał się aby do żydowskiego rewiru. Kobiety i dziewczęta ubrane w długie, jaskrawe suknie przebiegały przez ulicę z domu do domu. Zachowywały się swobodnie i pachniały perfumami. Dopadły go dreszcze, zmętniał mu wzrok. Żółte lampy gazowe wyrosły przed jego zmęczonymi oczyma na tle zamglonego nieba, płonąc jak przed ołtarzem. Przed drzwiami w oświetlonych sieniach zbierały się grupki ubrane jak do obrzędu. Znalazł się w innym świecie: zbudził się z trwającego całe stulecia snu.

Stanął na środku drogi, a serce panicznie dudniło mu w piersiach. Młoda kobieta ubrana w długą różową suknię położyła mu dłoń na ramieniu, próbując go zatrzymać, i spojrzała mu w oczy. Powiedziała radośnie:

– Dobry wieczór, Wilusiu!

W jej pokoju było ciepło i jasno. W głębokim fotelu obok łóżka siedziała z rozwartymi nogami olbrzymia lalka. Chciał zmusić się do mówienia i sprawić wrażenie, że czuje się swobodnie, kiedy patrzył na nią, jak ściąga suknię, i zwracał uwagę na dumne, świadome ruchy jej wyperfumowanej głowy.

Stał w ciszy pośrodku pokoju, podeszła do niego, po czym objęła go radośnie i uroczyście. Jej krągłe ramiona przytuliły go mocno do piersi, a on, widząc, że unosi ku niemu poważną, spokojną twarz, i czując, jak falują jej ciepłe, spokojne piersi, wybuchnął nieomal histerycznym szlochem. Łzy radości i ulgi zalśniły w jego uradowanych oczach, a wargi rozwarły się, choć nie przemówiły.

Pogłaskała go po włosach pobrzękującą ręką, nazywając małym nicponiem.

– Pocałuj mnie – powiedziała.

Ale jego usta nie chciały się pochylić do tego pocałunku. Pragnął, żeby trzymała go mocno w ramionach i pieściła wolno, bardzo, bardzo wolno. W jej ramionach poczuł się nagle silny i nieustraszony, i pewny siebie. Ale usta nie chciały nachylić się do tego pocałunku.

Nagłym ruchem dłoni skłoniła mu głowę i przywarła ustami do jego ust, a on czytał sens jej ruchów w szczerych, uniesionych oczach. Nie mógł znieść tego nadmiaru. Zamknął powieki, poddając się jej, ciałem i duszą, nie był świadomy niczego, tylko mrocznego parcia jej rozwierających się miękkich warg. Parły mu na mózg tak samo jak na wargi, jakby były narzędziem jakiejś niejasnej mowy; a między nimi poczuł nieznany i nieśmiały nacisk, mroczniejszy niż grzeszne omdlenie, łagodniejszy aniżeli dźwięk, aniżeli zapach.

—

[1] Czyli w narodowym kolorze Irlandii.

[2] Belvedere to założona w 1841 roku i prowadzona przez jezuitów dzienna szkoła dla chłopców.

[3] Bracia Chrześcijanie – oświatowa organizacja świeckich katolików, powołana z myślą o tych, których nie stać było na opłacenie nauki.

[4] Mt 18, 17.

[5] Percy Bysshe Shelley, *Do księżyca* (przeł. Jerzy Pietrkiewicz).

III

Grudniowy zmierzch niczym cyrkowy klaun wtargnął znienacka po mdłym dniu na scenę, a Stephen, wyglądając przez szary kwadrat okna jednej ze szkolnych sal, usłyszał, że burczy mu w brzuchu. Miał nadzieję, że dostanie na obiad gulasz, rzepę, marchew, tłuczone ziemniaki i tłuste kawałki baraniny w gęstym, pieprzowym sosie. Nafaszeruj się, radził mu brzuch, naładuj do syta.

Noc będzie ciemna i tajemnicza. Zmrok zapadnie wcześnie, a potem tu i ówdzie zapłoną żółte lampy i rozświetlą plugawy rewir lupanarów. Będzie snuł się po ulicach bez celu, zakreślał coraz mniejsze kręgi, drżąc ze strachu i radości, aż nogi poniosą go niespodziewanie za róg mrocznej uliczki. Kurwy zaczną wyłazić z domów i szykować się na noc, będą ziewać w sennym rozleniwieniu i przeszywać szpilkami gęstwiny swoich włosów. Przejdzie obok nich spokojnie, czekając na nagły ruch własnej żądzy albo na równie nagły krzyk ich wonnych, miękkich ciał przyzywający jego rozkochaną w grzechu duszę. Kiedy jednak będzie snuł się tak w oczekiwaniu owego głosu, jego zmysły, przytępione jedynie płonącą w nim żądzą, zauważą wszystko, co przynosi im ból i zawstydzenie: jego oczy – spieniony okrągły ślad po porterze na gołym blacie albo zdjęcie dwu żołnierzy stojących na baczność, albo jarmarczny afisz; jego uszy – przeciągły szwargot powitania:

– Siemasz, Bertie, szukasz przyjemności?

– To znowu ty, frajerze?

– Pójdź no pod dziesiątkę. Nelly dziewica czeka na ciebie.

– Dobry wieczór, mężusiu. Wpadniesz na chwilutkę?

Równanie na kartce jego kajetu rozkładało swój szeroki ogon, upstrzony jak u pawia okami i mrowiem gwiazd; a kiedy usunięto zeń wykładniki potęg, przypominające oczy i gwiazdy, ogon zaczął się powoli zwijać. Wykładniki, które zjawiały się i nikły, były oczyma, które otwierały się i zamykały; a oczy, które otwierały się i zamykały, były gwiazdami, które zapalały się i gasły. Potężny wir

gwiaździstego życia wywabił jego znużony umysł na zewnątrz, na sam jego skraj, a potem poprowadził w głąb, aż do środka; a tu i tam towarzyszyła mu daleka muzyka. Jaka muzyka? Muzyka ta napłynęła bliżej i przypomniał sobie słowa, słowa z niedokończonego wiersza Shelleya o księżycu, co snuje się samotnie, blady ze znużenia. Gwiazdy zaczęły się rozpadać, a w kosmiczną przestrzeń runęła mgławica drobnego, gwiezdnego pyłu.

Szare światło coraz słabiej padało na kartkę, na której inne równanie poczęło się powoli rozwijać i swoim rozłożystym ogonem przekraczało kolejne granice. To jego dusza wyrywała się ku doświadczeniu, rozwijała stopniowo, od grzechu do grzechu, rozsnuwała poza obręb świata pożogę płonących gwiazd i ponownie zwijała się w sobie, blaknąc powoli, tłumiąc swe światła i ognie. Wkrótce wygasły, a zimny mrok wypełnił przestrzenie chaosu.

Zimna, jasna obojętność zawładnęła jego duszą. Po pierwszym haniebnym grzechu poczuł, że opuściła go fala żywotności, i bał się, że występek okaleczył mu ciało i duszę. Tymczasem żywotna ta fala poniosła go na swoim grzbiecie daleko od niego samego i przyniosła z powrotem w odpływie; ani ciało, ani dusza nie ucierpiały, ale zapanował między nimi mroczny pokój. Chaos, w którym wygasł żar jego wnętrza, był zimną, obojętną samowiedzą. Stephen zgrzeszył śmiertelnie nie raz, a po wielekroć i wiedział, że już po pierwszym grzechu grozi mu wieczne potępienie, a każdy następny pomnaża jedynie jego winę i karę. Ani dni, ani czyny, ani myśli nie dadzą mu sposobności do odpokutowania grzechów, albowiem jego duszy nie oczyszczają już krynice łaski uświęcającej. Co najwyżej dzięki jałmużnie danej żebrakowi, od którego błogosławieństw uciekał, może mieć nadzieję, że spłynie na niego choć niewielka cząstka łaski uczynkowej. Po jego pobożności nie został żaden ślad. Na cóż zdałaby się modlitwa, skoro czuł, że dusza jego pragnie samozatracenia? Pewnego rodzaju pycha, pewnego rodzaju strach nie pozwalały mu ofiarować Bogu choćby jednej, jedynej modlitwy wieczorem, choć wiedział, że w mocy Boga jest odebrać mu życie podczas snu i strącić jego duszę w otchłań piekielną, zanim zdołałby błagać o zmiłowanie. Pycha, jaką wyzwolił w nim popełniony

grzech, i pozbawiony miłości strach przed Bogiem mówiły mu, że obraza, której się był dopuścił, waży nazbyt wiele, by mógł za nią odpokutować w całości czy choćby po części przez jakiś nieszczery hołd złożony Wszechwidzącemu i Wszechwiedzącemu.

– Coś mi się widzi, Ennis, że twoja łepetyna równie drewniana jak moja laska! Chcesz mi powiedzieć, że nie wiesz, co to takiego liczba niewymierna?

Błędna odpowiedź roznieciła dogasający żar pogardy, jaką czuł dla kolegów. Wobec ludzi nie odczuwał ni wstydu, ni strachu. W niedzielne poranki, kiedy przechodził koło wrót kościoła, rzucał beznamiętne spojrzenia na wiernych stojących z odkrytymi głowami, w czterech rzędach, na zewnątrz świątyni, obecnych duchem na mszy, której ani nie widzieli, ani nie słyszeli. Ich tępa pobożność i mdląca woń marnej pomady do włosów, którą namaścili sobie głowy, odpychała go od ołtarza, gdzie się modlili. Zniżył się do zła, jakim jest zakłamanie wobec bliźnich, nie wierzył bowiem w ich niewinność, którą mógł tak łatwo manipulować.

Na ścianie w jego sypialni wisiał iluminowany dokument zaświadczający, że jest prefektem szkolnej Sodalicji Mariańskiej. W soboty rano, kiedy sodalicja zbierała się w kaplicy, żeby odprawić małe oficjum, zajmował miejsce na klęczniku z poduszeczką po prawej stronie ołtarza, skąd podczas responsorium kierował ustawionymi w szereg chłopcami. Obłuda, jaka kryła się w tej roli, nie sprawiała mu bólu. Czasami wręcz odczuwał przemożne pragnienie, by wstać z tego zaszczytnego miejsca i, wyznając przed nimi swoją niegodziwość, wyjść z kaplicy, ale powstrzymywało go przed tym krokiem jedno zaledwie spojrzenie rzucone na ich oblicza. Wizje zapisane w proroczych psalmach gasiły jego jałową pychę. Chwała Maryi zniewalała jego duszę: nard i mirra, i kadzidło, symbolizujące szlachetność Boskich darów dla jej duszy; cenne sukna symbolizujące jej królewski ród; jej godła, późno pączkująca roślina i późno kwitnące drzewo, symbolizujące wielowiekowe wzrastanie jej kultu wśród wiernych. Kiedy przyszła jego kolej odczytania lekcji pod koniec oficjum, czytał ją matowym głosem, usypiając sumienie rytmem jej muzyki.

Quasi cedrus exaltata sum in Libanon et quasi cupressus in monte Sion. Quasi palma exaltata sum in Gades et quasi plantatio rosae in Jericho. Quasi oliva speciosa in campis et quasi platanus exaltata sum juxta aquam in plateis. Sicut cinnamonum et balsamum aromatizans odorem dedi et quasi myrrha electa dedi suavitatem odoris.[1]

Grzech, który odwrócił od niego wzrok Boga, poprowadził go bliżej ku Ucieczce Grzesznych. Wydawało się, że jej oczy spoglądają nań z łagodnym współczuciem; jej świętość, dziwne światło jarzące się mdławo na jej kruchym ciele nie poniżało grzesznika, który się do niej zbliżał. Kiedy tylko czuł potrzebę wyrzeczenia się grzechu i odpokutowania, odzywała się w nim myśl, żeby zostać jej rycerzem. Jeśli kiedykolwiek dusza przepełniona wstydem wracała do jej przybytku po wygaśnięciu szaleństw jego cielesnej żądzy i zwracała się ku tej, której emblematem jest Gwiazda Zaranna, „promienna i śpiewna, o niebie mówiąca i pokój czyniąca", działo się to wtedy, gdy jej imiona spływały mu cicho na wargi, na których wciąż spoczywały słowa plugawe i haniebne, posmak lubieżnego pocałunku.

Dziwne to było. Próbował zrozumieć, jak to możliwe, ale mrok, pogłębiający się w szkolnej sali, spowił jego myśli. Rozległ się dzwonek. Nauczyciel zadał ćwiczenia i rysunki na następną lekcję i wyszedł. Czapla, siedzący obok Stephena, zaczął nucić pod nosem bezgłośnie:

Mój znamienity przyjaciel Bombados.

Ennis, który wyszedł wcześniej do ubikacji, wrócił już i powiedział:

– Chłopak z zakonu idzie po rektora.

Jakiś wysoki uczeń za plecami Stephena zatarł dłonie i powiedział:

– To się nam trafiło. Możemy zarwać całą godzinę. Nie będzie go do wpół do drugiej. A jak przyjdzie, to ty, Dedalus, zapytasz go o coś z katechizmu.

Stephen usiadł wygodniej w ławce i bazgrząc leniwie w kajecie, przysłuchiwał się prowadzonym wokół niego głośnym rozmowom, które Czapla od czasu do czasu przerywał słowami:

– Zamknijcie się, dobra? Trajlujecie jak na targowisku.

Dziwne było także to, że znajdował jałową przyjemność w wysnuwaniu najdalej idących wniosków z obowiązującej wykładni nauki Kościoła i w przenikaniu do tajemniczych obszarów ciszy, żeby tym pełniej usłyszeć i odczuć własne potępienie. Zdanie świętego Jakuba, że ktokolwiek uchybi w jednym przykazaniu, uchybi wszystkim, wydawało mu się początkowo pretensjonalną dewizą, dopóki sam nie zaczął poruszać się po omacku w ciemnościach własnego życia. Z grzesznego ziarna żądzy wykiełkowały wszystkie grzechy śmiertelne: pycha wobec siebie samego i pogarda dla bliźnich, pożądanie pieniędzy potrzebnych na zakazane przyjemności, zawiść wobec ludzi, których grzechom nie dorównywał, oszczercze szemranie przeciwko ludziom pobożnym, nieopanowana rozkosz jedzenia, tępy, nienawistny gniew towarzyszący rozmyślaniom o własnych potrzebach, bagno duchowej i cielesnej gnuśności, w którym grzęzło całe jego jestestwo.

Kiedy siedział w ławce i wyobrażał sobie czujną i surową twarz rektora, jego myśli to wplątywały się w osobliwe, nękające go problemy, to znów się z nich wyplątywały. Jeśli ktoś w latach młodości skradł funta i pomnożył go tak, że powstała olbrzymia fortuna, ile musi oddać: czy tylko tego skradzionego funta, czy też funta wraz z narosłymi odsetkami, a może wręcz cały swój majątek? Jeśli człowiek świecki udzielający sakramentu chrztu pokropi wodą dziecko przed wypowiedzeniem odpowiedniej formuły, czy dziecko to będzie należycie ochrzczone? Czy chrzest wodą mineralną jest ważny? Jak to jest, że pierwsze błogosławieństwo obiecuje ubogim duchem królestwo niebieskie, a drugie przepowiada cichym, że posiądą również ziemię? Dlaczego ustanowiono sakrament Eucharystii pod dwiema postaciami, chleba i wina, skoro Jezus Chrystus obecny jest ciałem i krwią, duszą i Boską istotą już w samym tylko chlebie i w samym tylko winie? Czy drobna cząstka konsekrowanego chleba zawiera całą krew i całe ciało Jezusa Chrystusa czy tylko część Jego ciała i krwi? Jeśli po konsekracji wino

skwaśnieje i zamieni się w ocet, a hostia rozsypie się w proch, czy Jezus Chrystus nadal będzie obecny pod ich postaciami jako Bóg i jako Człowiek?

– Idzie już! Idzie!

Jakiś chłopak ze swojego stanowiska przy oknie ujrzał rektora, który wyszedł z domu. Otwarto wszystkie katechizmy i wszystkie głowy pochyliły się nad nimi w milczeniu. Rektor wszedł do izby i usiadł na podeście. Delikatne szturchnięcie nogą wysokiego chłopaka, siedzącego w tylnej ławce, przypomniało Stephenowi, że ma zadać jakieś trudne pytanie.

Rektor jednak nie poprosił o katechizm, z którego przepytywałby chłopców. Zacisnął dłonie na krawędzi biurka i powiedział:

– W środę po południu rozpoczną się rekolekcje ku czci świętego Franciszka Ksawerego, którego święto obchodzimy w sobotę. Rekolekcje potrwają od środy do piątku. W piątek, po modlitwie różańcowej, przez całe popołudnie będzie można przystąpić do spowiedzi świętej. Jeśli macie własnych spowiedników, idźcie do nich. Msza zostanie odprawiona w sobotę o dziewiątej rano, a komunii udzielimy całej szkole. W sobotę lekcji nie będzie. Potem jest oczywiście niedziela. A ponieważ sobota i niedziela są dniami wolnymi od zajęć, niektórzy z was mogą sobie pomyśleć, że w poniedziałek też będą mieli wolne. Ostrzegam was przed taką pomyłką. Mam przeczucie, że na przykład ty, Lawless, tak właśnie byś sobie pomyślał.

– Ja, psze księdza? Czemu ja, psze księdza?

Na twarzy rektora pojawił się surowy uśmiech, który rozlał się po klasie falą cichego rozweselenia. Serce Stephena powoli zaczęło się ze strachu kurczyć, klęsnąć i karłowacieć jak więdnący kwiat.

Rektor z powagą mówił dalej:

– Wszystkim wam znany jest, jak sądzę, żywot świętego Franciszka Ksawerego, patrona waszej szkoły. Pochodził ze starego i znamienitego hiszpańskiego rodu i, jak pamiętacie, był jednym z pierwszych uczniów świętego Ignacego. Poznali się w Paryżu, gdzie Franciszek Ksawery wykładał filozofię na uniwersytecie. Ten młody, wybitnie uzdolniony szlachcic i erudyta chłonął całą duszą myśli

naszego chwalebnego ojca założyciela i pamiętacie pewnie, że na własną prośbę został wysłany przez świętego Ignacego na misję do Hindusów. Nazywamy go, jak wiecie, apostołem Indii. Wędrował po całym Wschodzie, od kraju do kraju, od Afryki do Indii, od Indii do Japonii, i chrzcił ludzi. Wieść niesie, że w jednym tylko miesiącu ochrzcił bez mała dziesięć tysięcy bałwochwalców. Podobno stracił czucie w prawej ręce od częstego unoszenia jej nad głowami chrzczonych. Pragnął wyjechać jeszcze do Chin, żeby zdobyć tam dla Boga kolejne duszyczki, ale zmarł złożony gorączką na wyspie Sancian. Wielki to był święty, ten święty Franciszek Ksawery! Wielki rycerz Boga!

Rektor przerwał na chwilę, a potem potrząsnął złożonymi na piersiach dłońmi i ciągnął dalej:

– Miał w sobie wiarę, co góry porusza. Dziesięć tysięcy duszyczek zdobytych dla Boga w jednym tylko miesiącu! Oto prawdziwy zdobywca wierny dewizie naszego zakonu: *Ad maiorem Dei gloriam!* Święty, który, pamiętajcie o tym, ma w niebiesiech wielkie posłuchanie: ma moc orędowania za nami w utrapieniach naszych, moc spełniania próśb, które zanosimy w modlitwach do Boga, jeśli tylko przysłużą się duszy, a przede wszystkim moc wyjednania dla nas łaski skruchy, kiedy popadniemy w stan grzechu. To wielki zaiste święty, ten święty Franciszek Ksawery! Wielki rybak dusz ludzkich!

Przestał potrząsać splecionymi dłońmi i wspierając na nich czoło, ciemnymi, srogimi oczyma uważnie przyglądał się siedzącym po obu jego stronach słuchaczom.

W zaległej ciszy ich mroczny ogień rozjarzył zmierzch, zamieniając go w złotawobrązową poświatę. Serce Stephena uwiędło jak kwiat na pustyni, który przeczuwa nadciągający z daleka samum.

* * *

– „We wszystkich sprawach twoich pamiętaj na ostatnie rzeczy twoje, a na wieki nie zgrzeszysz” – te słowa, moi braciszkowie

w Chrystusie, pochodzą z Księgi Eklezjasty, rozdział siódmy, wers czterdziesty. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

W kaplicy Stephen zajął miejsce w pierwszej ławce. Ojciec Arnall siedział przy stole po lewej stronie ołtarza. Z ramion zwisał mu ciężki płaszcz; twarz miał bladą, ściągniętą, a głos osłabły od kataru. Postać dawnego nauczyciela, tak niesamowicie wskrzeszona, przypomniała Stephenowi życie w Clongowes: rozległe boiska rojące się od chłopców, dół szamba, mały cmentarz przy głównej alei lipowej, na którym, jak zobaczył we śnie, miano go pochować, światło na ścianie infirmerii, gdzie leżał złożony chorobą, zatroskaną twarz brata Michaela. Gdy wspomnienia te do niego wróciły, jego dusza znów była duszą dziecka.

– Zgromadziliśmy się dziś, moi kochani braciszkowie w Chrystusie, na tę jedną krótką chwilę, z dala od zgiełku doczesnego świata, aby uczcić jednego z naszych największych świętych, apostoła Indii, świętego patrona także i waszego gimnazjum, świętego Franciszka Ksawerego i oddać mu cześć. Rok w rok, od czasów, których żaden z was, moi drodzy chłopaczkowie, pamiętać nie może, a i ja sam też tak daleko pamięcią nie sięgam, uczniowie tego gimnazjum spotykają się w tej kaplicy na dorocznych rekolekcjach przed świętem szkolnego patrona. Czas mija, następują zmiany. Weźmy choćby ostatnie lata, pamiętacie przecież te zmiany. Wielu chłopców, którzy kilka lat temu siedzieli w pierwszych ławkach, jest dziś, kto wie, w dalekich krajach czy w gorących tropikach albo wypełnia swe zawodowe obowiązki, albo wstąpiło do seminarium, albo podróżuje po niezmierzonych przestrzeniach mórz i oceanów, albo też, bo i tego wykluczyć nie sposób, powołał ich Pan Bóg do innego życia, by tam zdali sprawę z włodarstwa swego[2]. A choć lata biegną, zmiany na lepsze i na gorsze przynosząc, chłopcy naszego gimnazjum święcą pamięć tego wielkiego człowieka i uczestniczą w dorocznych rekolekcjach w dniach poprzedzających święto wyznaczone przez Kościół, matkę naszą, aby w dniu tym przekazać wszystkim wiekom imię i chwałę jednego z największych synów katolickiej Hiszpanii.

Zadajmy sobie pytanie, co też znaczy słowo „rekolekcje” i czemu w powszechnym mniemaniu są one najbardziej zbawiennym

ćwiczeniem dla wszystkich, którzy przed Bogiem i na oczach ludzi wieść pragną żywot prawdziwie chrześcijański. Rekolekcje, moi drodzy chłopcy, oznaczają odwrócenie się na czas jakiś od trosk naszego życia, od trosk tego doczesnego świata po to, byśmy mogli bacznie przyjrzeć się sumieniu naszemu, pochylić się w zadumie nad tajemnicami wiary naszej i spróbowali lepiej zrozumieć, po co znaleźliśmy się na tym świecie. W ciągu tych kilku dni mam zamiar podzielić się z wami swoimi przemyśleniami na temat czterech rzeczy ostatecznych. A są nimi, jak dobrze wiecie z katechizmu, śmierć, Sąd Ostateczny, piekło i niebo. W najbliższych dniach spróbujemy lepiej je zrozumieć, aby nauki te przyniosły duszy trwały pożytek. I pamiętajcie, moi drodzy chłopcy, że wysiano nas na ten świat w jednym i tylko jednym celu: abyśmy wypełnili wolę Bożą i ocalili nasze dusze nieśmiertelne. Wszystko inne to marność. Jedna tylko rzecz jest niezbędna: zbawienie dusz naszych. Cóż bowiem pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, a na duszy swojej szkodę poniósł[3]? Tak, moi drodzy chłopcy, wierzcie mi, że na tym łez padole nie znajdziecie niczego, co stratę tak wielką mogłoby powetować.

Dlatego proszę was, moi kochani chłopcy, abyście na tych kilka dni odsunęli od siebie myśli codzienne, czy to o nauce, czy o przyjemnościach, czy o innych dążeniach waszych, i oddali się w pełni rozmyślaniom nad własną duszą. Nie muszę wam przypominać, że w dniach rekolekcji wszyscy powinniście wykazać się powagą i pobożnością, unikając wrzaskliwych, niestosownych zabaw. Starsi chłopcy, oczywiście, dopilnują tego, by zasady te nie były przez nikogo łamane, a szczególnie od prefektów i starszych Sodalicji Mariańskiej i sodalicji świętych aniołów oczekuję, że świecić będą przykładem swoim szkolnym kolegom.

Spróbujmy zatem całym sercem naszym i całą naszą duszą uczestniczyć w tych rekolekcjach odprawianych ku chwale świętego Franciszka. A wtedy Boże błogosławieństwo towarzyszyć wam będzie przez cały rok nauki. Ale nade wszystko niechaj rekolekcje te staną się przeżyciem, do którego będziecie powracać myślą w latach przyszłych, kiedy znajdziecie się może daleko od szkoły i pośród innych ludzi, do którego powracać będziecie z radością

i wdzięcznością, i Bogu dziękować będziecie, że dał wam w łasce swej tę sposobność, byście położyli podwaliny najgłębsze chrześcijańskiego żywota, co pobożny, chwalebny i gorliwy będzie. A gdyby tak się zdarzyło, że w tej oto chwili, w tychże oto ławach, siedzi jakaś dusza biedna, której przypadł w udziale los niewymownie straszliwy, albowiem utraciła świętą łaskę Bożą i w grzech ciężki popadła, żarliwie i ufnie modlę się o to, by rekolekcje te okazały się przełomem w jej życiu. Modlę się do Boga, przez czyny chwalebne jego gorliwego sługi Franciszka Ksawerego, by poprowadził taką duszę na drogę szczerej skruchy i by tegoroczna komunia święta w dniu świętego Franciszka przyjęta związała duszę tę z Bogiem trwałym przymierzem. Niechaj rekolekcje te staną się niezapomnianym przeżyciem zarówno dla sprawiedliwych, jak niesprawiedliwych, zarówno dla świątobliwych, jak grzeszników.

Pomóżcie mi, moi kochani braciszkowie w Chrystusie. Pomóżcie mi swoim pobożnym skupieniem, modlitwą, wyglądem. Oczyśćcie dusze wasze z myśli przyziemnych i pochylcie się w zamyśleniu nad rzeczami ostatecznymi, śmiercią, sądem, niebem i piekłem. Bo jako rzecze Eklezjasta, ten, kto o nich pamięta, nigdy nie pogrąży się w grzechu. Kto o sprawach ostatecznych pamiętał będzie, nie uczyni niczego, niczego nie pomyśli, nie mając ich przed oczyma. Żyć będzie życiem cnotliwym i umrze błogosławioną śmiercią, wierząc i wiedząc zarazem, że jeśli w życiu doczesnym poświęcił tak wiele, oddane mu to będzie po stokroć i po tysiąckroć w życiu przyszłym, w królestwie wiecznym – i tej łaski, moi drodzy chłopcy, życzę wam z całego serca, wszystkim i każdemu z osobna, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Kiedy wracał do domu w towarzystwie milczących kolegów, zdawało mu się, że jego umysł spowija gęsta mgła. Czekał w otępieniu, aż mgła się rozproszy i odsłoni, co ukryła. Zjadł obiad z wilczym apetytem, a kiedy już było po posiłku i brudne talerze leżały w nieładzie na stole, wstał, podszedł do okna, zmiótł językiem resztki jedzenia z warg i oblizał usta. A więc to tak: zniżył się do poziomu zwierzęcia, które oblizuje sobie pysk po żarciu. To już koniec; wątły płomyk strachu zaczął przebijać się przez mgłę, która spowiła mu umysł. Przysunął twarz do szyby i patrzył na

pogrążającą się w mroku ulicę. W przyćmionym świetle mijały się jakieś postaci spieszące każda w swoją stronę. To było życie. Litery, które składały się na nazwę Dublin, przygniotły mu umysł, spychając brutalnie jedna drugą z ociężałą natarczywością prostaka. Dusza obrastała mu sadłem, tężała w wielką bryłę tłuszczu i w swoim tępym strachu zanurzała się coraz głębiej w ponury, groźny mrok, podczas gdy ciało, które było jego ciałem, stało niespokojne i upodlone i wyglądało na świat przez przyciemnione oczy, bezradne, wzburzone, ludzkie, szukając rogatego bóstwa, w które by mogło wlepić wzrok.

Następny dzień przyniósł śmierć i sąd, wytrącając powoli jego duszę ze stanu zobojętniałej rozpaczy. Nikły ognik strachu przeobraził się w duchową grozę, kiedy chrapliwy głos kaznodziei tchnął śmierć w jego duszę. Cierpiał jej męki. Czuł, jak śmiertelny ziąb rozlewa się chłodną falą po najdalsze krańce jego kończyn, po czym pełznie dalej ku sercu, błona śmierci przysłania mu oczy, jasne ośrodki mózgu gasną jeden po drugim jak lampy, ostatnie krople potu spływają po skórze, tracą moc konające kończyny, mowa gęstnieje, plącze się i zawodzi, serce bije słabo, coraz słabiej, jeszcze niepokonane, a oddech, biedny oddech, biedny, bezradny duch człowieczy, stęka i szlocha, gulgocze w gardle, zgrzyta i grzechocze. Znikąd pomocy! Znikąd pomocy! On, nikt inny jak on, jego własne ciało, któremu uległ, kona. Do grobu z nim! Zabijcie ćwiekami drewnianą trumnę z tym truchłem. Wynieście je z domu na barkach najemników. Wrzućcie je do podłużnego dołu w ziemi, do grobu, by nie widziały go oczy człowiecze, by tam gniło jako żer dla rojów pełzającego robactwa i buszujących, spasionych szczurów.

A kiedy przy łożu rozpaczać będą zapłakani przyjaciele, dusza grzesznika przed sądem stanie. W ostatniej chwili przytomności cały żywot przepłynie przed jej oczyma, ciało, nim się spostrzeże, obumrze, a ona sama stanie w przerażeniu przed tronem Sędziego. Bóg, który długo okazywał miłosierdzie, będzie teraz Bogiem sprawiedliwym. Długo okazywał cierpliwość, błagał duszę grzeszną o opamiętanie, dawał czas na skruchę, oszczędzał ją jeszcze przez chwilę. Ale czas ten bezpowrotnie minął. Był czas grzechu i czas rozkoszy, czas szyderstw z Boga Najwyższego i z przestróg Jego

świętego Kościoła, czas wyzwań rzucanych Jego majestatowi i czas pogardy dla Jego przykazań, czas oszukiwania bliźnich, pławienia się w grzechu, w strasznym grzechu, w grzechu plugawym, i czas ukrywania własnego zepsucia przed oczyma bliźnich. Ale czas ten bezpowrotnie minął. Nadeszła kolej Boga: Jego nikt nie oszuka ani nikt nie zwiedzie. Każdy grzech ze swej nory wypełznie, i wypełznie największy buntownik przeciw woli Bożej, i gorszyciel naszej biednej, upadłej natury, najdrobniejsza niedoskonałość i zbrodnia najbardziej haniebna. Jakiż więc pożytek z tego, że było się imperatorem potężnym, mocarnym generałem, znakomitym wynalazcą, człowiekiem z uczonych najuczeńszym? Wszyscy staną jako równi przed obliczem Sędziego. A On cnotliwych nagrodzi, występnych ukarze. Jedna jedyna chwila wystarczy, by osądzić ludzką duszę. Jedna jedyna chwila po śmierci ciała, a dusza zważona zostanie na szali. Sąd poszczególny skończy się i dusza przejdzie do przybytku szczęścia wiecznego lub do więzienia, jakim jest czyściec, albo strącona, spadnie z wyciem w otchłań piekielną.

Ale na tym nie koniec. Boża sprawiedliwość musi znaleźć potwierdzenie u ludzi: po sądzie poszczególnym nastąpić musi sąd powszechny. Nadchodzi dzień ostatni. Dzień Sądu jest blisko. Gwiazdy niebieskie spadają na ziemię, jak drzewo figowe zrzuca swe niedojrzałe owoce, gdy nim zatrzęsie wiatr wielki[4]. Słońce, ten wielki luminarz wszechświata, staje się czarne jako wór włosienny. A księżyc krwią czerwoną nabiega. Firmament jest jako zwój papirusu zwinięty[5]. Archanioł Michał, książę niebiańskich zastępów, pojawi się, pełen chwały i grozę budzący, na niebie. Nogę jedną na morzu wsparłszy, a drugą na ziemi, zadmie na archanielskiej trąbie spiżową śmierć czasu[6]. Trzy razy zatrąbi anioł i wypełni się brzmieniem trąby wszechświat cały. Czas jest, czas był, lecz czasu nie będzie. Przy trzecim zadęciu w trąbę dusze całej ludzkości stłoczą się u wejścia do doliny Jozafata – bogaci i biedni, szlachetni i prostaczkowie, mądrzy i głupi, cnotliwi i występni. Dusza każdego człowieka, który kiedykolwiek żył na tej ziemi, dusze wszystkich, którzy się dopiero narodzą, wszyscy synowie i córki wszystkie Adamowe, wszyscy, wszyscy bez wyjątku zbiorą się tego dnia najwyższego. I patrzcie tylko, oto Sędzia Najwyższy nadchodzi!

Już nie pokorny Baranek Boży, już nie łagodny Jezus z Nazaretu, już nie Człowiek Boleściwy ani Dobry Pasterz. Widać, jak nadchodzi na obłokach, w mocy wielkiej i w majestacie, a służy Mu chórów anielskich dziewięć, aniołowie i archanioły, księstwa, moce i cnoty, trony i dominia, cherubini i serafini, Bóg Wszechmogący, Bóg Odwieczny. I przemówił: a głos Jego słychać na samych krańcach stworzenia, nawet w bezdennej otchłani. To Sędzia Najwyższy, a od wyroków Jego nie będzie i być nie może żadnego odwołania. Przywołuje do swego boku prawych, zaprasza, by wstąpili do królestwa Jego, do wiecznej radości, jaka na nich czeka.
A występnych od siebie odtrąca, wołając w znieważonym majestacie: „Odejdźcie ode mnie, przeklęci, w ogień wiekuisty, który zgotowany jest diabłu i aniołom jego”[7]. Jakież cierpienie czeka nieszczęsnych grzeszników! Przyjaciel od przyjaciela odłączony zostanie, dzieci od rodziców swoich, mężowie od żon. Biedny grzesznik ramiona wyciąga ku tym, którzy drodzy mu byli na tym łez padole i z których pobożności prostej być może ongiś szydził, i którzy służyli mu radą, i na drogę prawości próbowali sprowadzić, do brata litościwego, do siostry kochającej, do matki i ojca, którzy całym sercem go umiłowali. Ale wszystko poniewczasie: prawi odwracają się od nieszczęsnych, potępionych dusz, które jawią się teraz w całej swej ohydzie i całej podłości. O wy, obłudnicy, o wy, groby pobielane[8], o wy, którzy światu lico gładkie i radosne wystawiacie, kiedy wewnątrz dusza wasza grzęźnie w bagnie plugawego grzechu, czegóż to oczekujecie w ów dzień tak straszliwy?

A dzień ten nadejdzie, z pewnością nadejdzie, nadejść musi; dzień śmierci i dzień sądu. Człowiekowi przeznaczona jest śmierć, a po śmierci sąd. Śmierć przyjdzie z pewnością. Ale pewności nie mamy ani kiedy, ani jak; czy nadejdzie wraz z długą chorobą czy po wypadku nagłym a niespodziewanym; Syn Boży zstąpi w godzinę, w której się Go najmniej spodziewacie. Dlatego, powiadam wam, bądźcie gotowi w każdej chwili, skoro wiecie, że w każdej chwili śmierć może was stąd zabrać. Przyjdzie dzień, który przyniesie nam wszystkim kres. Śmierć i sąd, sprowadzone na świat poprzez grzech naszych pierwszych rodziców, są jak ciemne wrota, co nasze życie

doczesne zamykają, co na nieznane i niewidziane się rozwierają, przez które każda dusza przejść musi, samotnie, bez niczyjej pomocy, tylko mocą własnych dobrych uczynków, bez przyjaciela ni brata, bez rodzica ni mistrza, który by jej pomógł, samotna iść musi i w trwodze. Niechaj myśl ta nigdy nas nie opuszcza, a żaden grzech nas nie splami. Śmierć, dla grzesznika źródło przerażenia, jest chwilą szczęśliwości dla tego, który kroczył po ścieżce prawości, nie zaniedbywał spoczywających na nim obowiązków, poranne i wieczorne modlitwy odmawiał, do komunii świętej często przystępował i spełniał dobre, miłosierne uczynki. W katoliku pobożnym, głęboko wierzącym, w człeku prawym i zacnym śmierć przerażenia nie wzbudza. Czyż to nie Addison, wielki pisarz angielski, leżąc na łożu śmierci, posłał po tego niegodziwego młodzieńca, earla Warwicka, aby mu pokazać, jak winien przyjmować swój kres prawdziwy chrześcijanin? Tylko taki, taki, a nie inny, pobożny, głęboko wierzący chrześcijanin może powiedzieć sobie w duszy:

Gdzież jest zwycięstwo twe, o śmierci?
Gdzież jest, śmierci, oścień twój?[9]

Każde z tych słów jego dotyczy. To przeciw jego grzechowi, plugawemu i tajemnemu, zwrócił się gniew Boży. Nóż kaznodziei zanurzył się głęboko w jego chore sumienie; i Stephen poczuł, że jego dusza gnije w grzechu. Tak, kaznodzieja ma rację. Nadchodzi kolej Boga. Jego dusza, niczym zwierz w barłogu, legła we własnym plugastwie, ale huk trąby anielskiej wypłoszył go z grzesznego mroku na światło. Słowa potępienia, które przyniósł anioł, zachwiały w jednej chwili jego niedorzecznym spokojem. Wichry dnia ostatecznego rozszalały się w jego umyśle; a jego grzechy, te przystrojone klejnotami nierządnice wyobraźni, czmychnęły przed huraganem, piszcząc w przerażeniu jako myszy i kuląc się pod opończą swoich długich włosów.

Kiedy przechodził przez plac w drodze do domu, stłumiony chichot jakiejś dziewczyny dobiegł jego rozpalonych uszu. Nikły,

radosny głos raził go w samo serce silniej niż huk trąby; nie mając śmiałości, by unieść wzrok, Stephen odwrócił głowę i nie przestając iść, wbił wzrok w cień poplątanych krzewów. W jego porażonym sercu zakiełkował wstyd, który pochłonął całą jego istotę. Obraz Emmy stanął mu przed oczyma, a pod jej spojrzeniem ponownie wezbrała w sercu fala wstydu[10]. Gdyby tylko wiedziała, czemu poddał ją w myślach; albo jak jego zwierzęca żądza rozszarpała i rozniosła jej niewinność! Czy to jest miłość chłopięca? Czy to jest rycerskość? A może poezja? Odór ohydnych szczegółów jego wyuzdanych igraszek łechtał mu nozdrza: osmolona paczuszka ze zdjęciami, którą ukrywał w kanale kominka i której bezwstydne, gorszące obrazy rozpusty towarzyszyły mu, kiedy leżał godzinami i grzeszył, zarówno myślą, jak i uczynkiem; jego potworne sny, w których kłębiły się małpokształtne stwory i kurwy o lśniących jak klejnoty ślepiach; długie, plugawe listy, które pisał w przypływie radości z grzesznego wyznania i nosił ze sobą w tajemnicy przez długie dni, by w końcu pod osłoną nocy wyrzucić je w trawę w jakimś zakamarku albo wsunąć pod czyjeś wypaczone drzwi, albo wcisnąć w dziurę w żywopłocie, gdzie mogłaby je znaleźć jakaś spacerująca tamtędy dziewczyna, i podniosłaby je i przeczytała potajemnie. Szaleństwo! Czyste szaleństwo! Czy to możliwe, że uczynił to wszystko? Czoło zrosiły mu kropelki zimnego potu, a w jego pamięci kłębiły się plugawe wspomnienia.

Kiedy opuściło go już bolesne poczucie wstydu, próbował wyrwać duszę ze stanu żałosnej niemocy. Bóg i Błogosławiona Panienka byli od niego za daleko: Bóg był zbyt wielki i surowy, a Błogosławiona Panienka nazbyt czysta i święta. Wyobrażał sobie jednak, że stoi u boku Emmy na szerokim polu i pokornie, ze łzami w oczach, pochyla się, i na jej rękawie składa pocałunek.

Na szerokim polu, pod czułym, jasnym niebem wieczoru, kiedy samotna chmura sunęła na zachód przez szarozielone morze nieboskłonu, stali wespół, niczym dzieci, które pobłądziły. Błąd ich obraził głęboko majestat Boga, choć był błędem dwojga dzieci, ale nie obraził tej, której piękno „niepodobne piękności doczesnej, co ludzkiemu spojrzeniu zagrozić może, ale jako gwiazda zaranna jest, Twoje godło, jasne i melodyjne". Oczy, które ku nim zwróciła, nie

zapłonęły obrazą ani nie karciły. Połączyła ich ręce, dłoń wsunęła do dłoni i rzekła tymi słowy, przemawiając do ich serc:

– Weźcie się za ręce, Stephenie i Emmo. W niebie piękny dziś wieczór. Pobłądziliście, ale na zawsze zostaniecie dziećmi moimi. Jedno serce drugie kocha. Weźcie się za ręce, drogie dzieci, i bądźcie pospołu szczęśliwe, a serca wasze niech się wzajem miłują.

Kaplicę wypełniło przyćmione szkarłatne światło, które sączyło się przez opuszczone żaluzje; a przez szczelinę między żaluzjami a framugą okna wcisnął się niczym włócznia promień bladego światła i dźgnął stojące na ołtarzu kręte, mosiężne kandelabry, które lśniły jak zniszczona od bitew kolczuga anielska.

Na kaplicę i ogród, na budynki szkoły padał deszcz. Będzie padał wiecznie, bezgłośnie. Woda zacznie wzbierać, cal po calu, zatapiając trawę i krzewy, zatapiając drzewa i domy, zatapiając pomniki i wierzchołki gór. Wszystko, co żyje, przepadnie w odmętach, bezgłośnie: ptaki, ludzie, słonie, świnie, dzieci; truchła będą bezgłośnie unosić się na wodzie wraz ze szczątkami tego wraku, jakim jest świat. Czterdzieści dni i czterdzieści nocy deszcz padał będzie, aż wody pokryją oblicze ziemi.

Tak może się stać. Dlaczegóż by nie?

– „Przeto rozszerzyła otchłań duszę swoją i rozwarła paszczę swą bez żadnego końca". Słowa te pochodzą, moi kochani braciszkowie w Chrystusie, z Księgi Izajasza, rozdział piąty, wers czternasty. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Kaznodzieja wyjął z kieszeni sutanny zegarek bez łańcuszka, przez chwilę przyglądał się w milczeniu jego tarczy, po czym położył go cicho przed sobą na ambonie.

Zaczął mówić cichym i spokojnym głosem:

– Adam i Ewa, moi drodzy chłopcy, byli, jak wiecie, naszymi pierwszymi rodzicami, i pamiętacie zapewne, że Bóg stworzył ich po to, by zajęli te miejsca w niebiesiech, które od upadku Lucyfera i jego zbuntowanych zastępów anielskich świeciły pustką. Jak czytamy w Piśmie, Lucyfer był synem jutrzenki, promiennym i potężnym aniołem; a jednak upadł; upadł, a wraz z nim upadła trzecia część zastępów niebieskich; upadł i strącony został z aniołami, co bunt z nim podniosły, w otchłań piekielną. Czym zgrzeszył, nie wiemy.

Teologowie twierdzą, że był to grzech pychy, myśl grzeszna pod wpływem chwili zrodzona: *non serviam*, nie będę służył. Ta jedna chwila zgubę mu przyniosła. Albowiem obraził majestat Pana tą myślą grzeszną, pod wpływem chwili zrodzoną, a Bóg strącił go z niebios w otchłań piekielną na wieczność całą.

I wtedy stworzył Bóg Adama i Ewę i zamieszkali w Edenie, na równinie Damaszku, w tym ogrodzie cudownym, skrzącym się słońcem i barwami wszelakimi, kipiącym bujną roślinnością. Ziemia płodna i bogata dawała im w darze skarby swoje, a zwierzęta i ptaki skwapliwie im służyły; nie znali nieszczęść, które są ciała dziedzictwem[11], chorób, nędzy, śmierci; wszystko, co Bóg wielki i szczodry mógł dla nich uczynić, zostało uczynione. Ale Bóg nałożył na nich jeden warunek: winni są posłuszeństwo słowu Jego. Nie wolno im było owocu z zakazanego drzewa spożywać.

Niestety, moi kochani chłopaczkowie, oni też upadli. Diabeł, który kiedyś był aniołem promiennym, synem jutrzenki, a teraz przepoczwarzył się w plugawego szatana, przyszedł do nich pod postacią węża, najbardziej przebiegłego ze wszystkich stworzeń żyjących na ziemi. Zazdrościł im. On, ten książę upadły, nie mógł ścierpieć myśli, że człowiekowi, istocie z gliny stworzonej, miałoby przypaść w udziale dziedzictwo, które on poprzez grzech swój straszny na wieki utracił. Przyszedł więc do niewiasty, tego stworzenia słabszego, i do ucha jej wsączył jad swego krasomówstwa, i obiecał – och, jakże bluźniercza była ta obietnica! – że jeśli z Adamem spożyje owoc ten zakazany, staną się niczym bogowie, a nawet więcej – jako sam Bóg! I uległa Ewa podszeptom tego arcykusiciela. I zjadła jabłko, i podała je Adamowi, a temu odwagi ducha zabrakło, żeby jej odmówić. Zatruty język szatana dopiął swego. Upadli.

A wtedy ogród ten rozbrzmiał głosem Boga i wezwał Bóg człowieka, którego stworzył, by zdał mu sprawę z postępku swego, a Michał, książę zastępów niebieskich, z mieczem płomienistym w dłoni, pojawił się przed parą winowajców i wypędził ich z Edenu, wygnał precz na świat, na ten świat chorób wszelakich i znoju, okrucieństwa i rozczarowań, trudu i cierpienia, by w pocie czoła chleb powszedni zdobywali. Ale nawet wówczas, w onej chwili,

jakże miłosiernym Panem okazał się Bóg! Ulitował się nad naszymi biednymi, upadłymi rodzicami i obiecał, że kiedy wypełni się czas, ześle Odkupiciela, który ich zbawi, uczyni ich znowu dziećmi Bożymi i dziedzicami królestwa niebieskiego; i że Odkupicielem tym, co upadłego człowieka zbawi, będzie jedyny Syn Boga, Druga Osoba Trójcy Przenajświętszej, Słowo Wieczne.

I przybył. Narodzon z Dziewicy czystej, z Marii Dziewicy Matki. Urodził się w nędznej stajence w Judei i żył jako cieśla skromny przez lat trzydzieści, aż nadeszła godzina Jego posłannictwa. A wtedy miłością do ludzi przepełniony, w świat ruszył z wezwaniem, by wysłuchali słów Dobrej Nowiny.

Czy jej słuchali? Owszem, słuchali, ale nie chcieli słyszeć. Pojmano go, skrępowano jak zwykłego zbrodniarza, naigrawano się z Niego jak z głupka, pominięto, by wstawić się za grasującym na gościńcach zbójcą, wymierzono batów pięć tysięcy, ukoronowano koroną cierniową, a motłoch żydowski i rzymscy żołdacy gnali go przez ulice, z szat Go odarto, przybito do krzyża, bok Jego włócznią przebito, a z ran na ciele Pana naszego woda i krew trysnęły i płynęły strumieniem bez przerwy.

Ale nawet wtedy, w tej godzinie męki najstraszliwszej, Nasz Miłosierny Zbawiciel litował się nad człowiekiem. I właśnie tam, na górze Kalwarii, położył podwaliny pod święty Kościół powszechny, którego, zgodnie z obietnicą, nie pokonają bramy piekielne. Zbudował Kościół swój na opoce wieków i obdarzył go łaską swoją, sakramentami i ofiarą, i obiecał, że jeśli ludzie posłuszni będą słowu Jego Kościoła, będą żyli mimo wszystko życiem wiecznym; jeśli jednak po tym, co dla nich uczynione zostało, nadal w grzechu pogrążać się będą, pozostanie im jeno męka wieczna: piekło.

Głos kaznodziei opadł. Ksiądz przerwał, na chwilę złożył dłonie, znów je rozłożył i mówił dalej:

– A teraz spróbujmy przez chwilę wyobrazić sobie, jeśli to możliwe, czym jest ów przybytek potępionych, który powołała do istnienia sprawiedliwość obrażonego Boga, by grzesznicy znaleźli w nim karę wieczną. Piekło to loch więzienny, ciasny i mroczny, i cuchnący, przybytek demonów i dusz potępionych, przepełniony ogniem i dymem. To Bóg stworzył ciasnotę tego lochu, by ukarać

tych, którzy nie chcieli żyć w zgodzie z prawem Jego. W ziemskich kazamatach nieszczęsny więzień ma przynajmniej pewną swobodę ruchu, choćby w czterech ścianach swojej celi lub na ponurym dziedzińcu więzienia. W piekle jest jednak inaczej – wśród zbitej ciżby potępieńców więźniowie tłoczą się w okropnym lochu, którego ściany, jak mówią, są grube na cztery tysiące mil, a potępieńcy są tak bardzo stłoczeni i bezradni, że, jak pisze pewien błogosławiony święty, święty Anzelm, w swoim dziele o podobieństwach, nie mogą nawet wyjąć z oka gryzącego ich robaka.

Leżą w mroku zewnętrznym. Albowiem, pamiętajcie, ogień piekielny nie wydaje światła. Tak jak na rozkaz Boga ogień pieca babilońskiego utracił żar, ale nie stracił jasności, tak na rozkaz Boga ogień piekielny, nie tracąc nic z wielkiego żaru, płonie wieczną ciemnością. To niekończąca się burza ciemności, czarne płomienie i ciemny dym płonącej siarki, w której oparach ciała piętrzą się w wysokich stosach, jedno na drugim, bez choćby krótkiego powiewu powietrza. Spośród wszystkich plag, jakie dotknęły ziemię faraonów, jedna tylko plaga, plaga ciemności, nosi miano straszliwej. Jakim więc słowem nazwiemy ciemność piekielną, która trwać będzie nie trzy dni, ale wieczność całą?

Grozę tego ciasnego i mrocznego miejsca potęguje jeszcze przeraźliwy fetor. Całe plugastwo świata, jego śmieci wszelakie i szumowiny spływać tam będą niczym do przepastnej, cuchnącej kloaki, dopóki przerażająca pożoga dnia ostatecznego nie oczyści świata. Takoż siarka, która płonie tam w ogromnej swej masie, wypełnia całe piekło drażniącym odorem; a ciała potępieńców wydzielają smród śmiercionośny tak wielki, że, jak mówi święty Bonawentura, do zakażenia całego świata wystarczyłoby jedno zaledwie ciało. W naszym świecie powietrze, ten żywioł czysty, przeobraża się w plugastwo, którym nie sposób oddychać, jeśli pozostaje zbyt długo w niewietrzonym pomieszczeniu. Pomyślcie więc tylko, jakim plugastwem musi być powietrze piekielne. Wyobraźcie sobie plugawe i cuchnące truchło, które w grobie leży, gnije i rozkładowi ulega, tę galaretowatą bryłę płynnych nieczystości. Wyobraźcie sobie, że takie truchło pada ofiarą

płomieni, że trawi je ogień siarki płonącej, a ono wydziela gęste i duszne opary mdlącego, ohydnego rozkładu. A potem wyobraźcie sobie smród przyprawiający o mdłości, pomnożony miliony razy, i jeszcze milion razy, dobywający się z milionów milionów cuchnących trupów, co piętrzą się w śmierdzącej ciemności, ten olbrzymi, ropiejący wrzód ludzki. Wyobraźcie sobie to wszystko, a pojmiecie, choć po części, czym jest ten przeraźliwy fetor piekieł.

Ale fetor ten, choć potworny straszliwie, nie jest najdotkliwszą męczarnią cielesną, jakiej doświadczają potępieńcy. Męka w ogniu to największe katusze, na jakie tyrani skazywali bliźnich. Wsadźcie palec choćby na chwilę w płomień świecy, a doświadczycie bólu, jaki sprawia ogień. Tymczasem ten ziemski nasz ogień stworzył Bóg dla dobra ludzkiego, by podsycał w człowieku iskierkę życia i pomagał w pracach pożytek niosących, ogień zaś piekielny inną ma zgoła naturę, Bóg stworzył go jako źródło męki i kary dla niepokornych grzeszników. Ziemski nasz ogień pożera z gwałtownością większą lub mniejszą, zależnie od tego, jak łatwopalny jest przedmiot, który pada jego ofiarą, dlatego ludzkiej przemyślności udało się nawet wynaleźć substancje chemiczne, które powstrzymują działanie ognia lub go tłumią. Ale siarka w piekle płonąca jest substancją umyślnie stworzoną po to, by wiecznie płonąć, i płonąć, i płonąć, z niewysłowioną doprawdy gwałtownością. Zważcie prócz tego, że ziemski nasz ogień, kiedy płonie, sam siebie pożera, więc im gwałtowniejszym bucha płomieniem, tym krótszy jest jego żywot: ale ogień piekielny ma też tę właściwość, że utrwala to, co trawią płomienie, i choć szaleje z mocą wprost niewyobrażalną, szaleje wiecznie.

Ogień nasz ziemski, choćby nie wiem jak gwałtowny, choćby nie wiem, z jaką szerzył się furią, ma zawsze ograniczony zasięg: tymczasem piekielne jezioro ognia bez granic jest, nie ma ni brzegów, ni dna, a jak możemy przeczytać, sam diabeł na pytanie pewnego wojaka musiał przyznać, że gdyby wrzucić górę do płonącego oceanu piekła, spłonęłaby w mgnieniu oka jak kostka wosku. A płomienie tego przerażającego ognia lizać będą ciała potępionych nie tylko od zewnątrz, albowiem każda zagubiona dusza zamieni się w piekło dla siebie samej, a bezgraniczny ogień

rozszaleje się w jej najdroższych członkach. Och, jaki straszliwy los spotyka owych nieszczęśników! Krew warzy się i w żyłach buzuje, wrze w czaszce mózg, serce w piersi żarzy się i bucha, trzewia to rozgrzana do czerwoności żrąca galareta, a czułe oczy płoną niczym kule roztapianego żelaza.

Jednakoż wszystko to, co powiedziałem o mocy i naturze, i bezgraniczności tego ognia, jest niczym zgoła w porównaniu z jego gwałtownością, a jest to gwałtowność właściwa mu jako wybranemu w Boskim planie narzędziu kary, takoż dla duszy, jak ciała. To ogień, który wprost z gniewu Bożego się rodzi, ale nie wedle swoich prawideł działa, jeno jako narzędzie Boskiej pomsty. Tak jak wody chrztu obmywają z grzechu zarówno duszę, jak ciało, tak ogień kary piekielnej to źródło męki dla ducha i ciała pospołu. Męczarniom poddany zostaje każdy zmysł cielesny i każda władza duszy w ciele tkwiącej: męką oczu jest mrok nieprzenikniony i bezdenny; nosa – ohydne odory; uszu – wycie i skowyt, i złorzeczenia; smaku – cuchnąca materia, trąd i zgnilizna, bezimienne, duszne plugastwo; męką dotyku – rozgrzane do czerwoności szpice i szpikulce, okrutne jęzory ognia. A poprzez te zmysłów męczarnie niezliczone i dusza nieśmiertelna katuszom wiecznym poddana zostaje w swej najgłębszej istocie, na rozciągających się mila za milą połaciach oślepiającego ognia, który Bóg Wszechmogący, w majestacie swym urażony, w otchłani rozniecił, a oddech gniewu Bożego rozdmuchał, szał wieczysty i potężniejący wzniecając.

Zważcie wreszcie i na to, że katusze owych lochów piekielnych olbrzymieją poprzez sąsiedztwo samych potępieńców. Złe sąsiedztwo na ziemi ohydą jest tak wielką, że nawet rośliny, jakby instynktem tknięte, wynoszą się z takiego sąsiedztwa, które śmiercią im grozi i szkodę czyni. W piekle wszystkie prawa są pogwałcone: nikt nie myśli o rodzinie czy kraju ojczystym, więziach czy pokrewieństwie. Potępieni wyją i wrzeszczą na siebie nawzajem, a ich męczarnia i wściekłość tym większe są, że obok cierpią i drżą z wściekłości istoty im podobne. Zapomnieniu ulega istota człowieczeństwa. Skowyt cierpiących grzeszników wypełnia najdalsze zakątki bezmiernej otchłani. Usta potępionych kipią od

bluźnierstw przeciw Bogu i od nienawiści do tych, z którymi cierpią pospołu, i od klątw rzucanych duszom, które wspólnikami w grzechu im były. W czasach zamierzchłych takim oto sposobem karano ojcobójstwo – człowieka, który prawicę morderczą na ojca swego podniósł, w odmęty morskie wrzucano, związanego w worku, do którego wkładano też koguta, małpę i węża. Zamiarem prawodawców, którzy prawo to ustanowili, a które w czasach dzisiejszych okrutnym może się wydawać, było ukaranie zbrodniarza przez skazanie go na towarzystwo nienawistnych i groźnych zwierząt. Ale czym jest wściekłość zwierząt tych bezrozumnych w porównaniu ze złorzeczeniami, które dobywają się ze spieczonych ust i z obolałych gardeł potępieńców w piekle tkwiących, kiedy widzą w towarzyszach niedoli tych, którzy w grzechu im pomocni byli i do grzechu podżegali; których słowa zasiały w ich umysłach pierwsze nasiona myśli grzesznej i grzesznego życia; których rady bezwstydne do grzechu ich przywiodły; których oczy kusiły i zwodziły, sprowadzając ze ścieżki życia cnotliwego. Zwracają się do tych wspólników w grzechu i przeciw nim pomstują, i przeklinają ich. Wszelako bezradni są i bezsilni: za późno na skruchę.

A na koniec zważcie na przerażającą męczarnię, jaką dla dusz potępionych, i kusicieli, i kuszonych, jest sąsiedztwo diabłów. Diabły te dwojako nękać będą grzeszników: swoją obecnością i przypominaniem o ich hańbie. Myśl nasza nie zdoła pojąć, jak potworne są to diabły. Święta Katarzyna ze Sieny ujrzała raz diabła i napisała potem, że miast spojrzeć raz jeszcze choćby przez okamgnienie na potwora tak straszliwego, wolałaby przez resztę życia stąpać po rozżarzonych węglach. Diabły te, które były ongiś pięknymi zaiste aniołami, przybrały postać tak ohydną i wstrętną, jak kiedyś były piękne. Szydzą i drwią z dusz potępionych, które do upadku przywiodły. To one, demony plugawe, stają się w piekle głosem sumienia. Czemuś grzeszył? Czemuś nadstawiał ucha pokusom szatana? Czemuś odwrócił się od praktyk pobożnych i dobrych uczynków? Czemuś od grzesznych sposobności nie stronił? Czemuś z występnym towarzyszem się nie rozstał? Czemuś w sobie tej lubieżnej skłonności, tej skłonności nieczystej, nie zwalczył?

Czemuś rad spowiednika swego nie posłuchał? Czemuś nawet wtedy, gdyś już padł ofiarą grzechu, pierwszego czy drugiego, czy trzeciego, czy czwartego, czy tysięcznego w końcu grzechu, czemuś wtedy nie okazał skruchy za swoje złe postępki i nie nawrócił się do Boga, który czekał na twoją skruchę, by ci grzechy odpuścić?

Teraz czas skruchy minął bezpowrotnie. Czas jest, czas był, ale czasu już więcej nie będzie! Był czas grzechu w ukryciu popełnianego, czas oddawania się gnuśności i pysze, pożądania bezprawia, ulegania namowom swej niższej natury, życia jak polna zwierzyna, co mówię, gorzej niż polna zwierzyna, bo to jeno zwierzęta i rozum ich nie prowadzi; czas był, ale czasu już więcej nie będzie. Bóg przemówił do was wieloma głosami, a wy nie chcieliście słuchać. Nie chcieliście przełamać tej pychy ni gniewu w sercach waszych, nie chcieliście zwrócić tych dóbr niegodziwie zdobytych, nie chcieliście kierować się przykazaniami waszego świętego Kościoła ani wypełniać religijnych powinności, nie chcieliście rozstać się z niegodziwym towarzystwem, nie chcieliście wyrwać się groźnym pokusom. Taki będzie język tych szatańskich dręczycieli, słowa drwiny i hańby, nienawiści i odrazy. Tak, odrazy! Bo nawet one, same diabły, kiedy grzeszyły, grzeszyły grzechem, który odpowiadał ich anielskiej naturze, grzeszyły buntem rozumu: i nawet one, te diabły plugawe, muszą odwrócić się, w obrzydzeniu i odrazie, od myśli o tych niewyrażalnych grzechach, przez które upadły człowiek znieważa i plugawi świątynię Ducha Świętego, plugawi i bezcześci samego siebie.

O moi kochani braciszkowie w Chrystusie, niechaj nigdy nie przyjdzie nam słuchać takiego języka! Powiadam, niechaj nigdy nie przyjdzie nam go słuchać! Modlę się żarliwie do Boga, by w dniu ostatnim tego przerażającego obrachunku ani jedna dusza z dusz zebranych dzisiaj w tej kaplicy nie znalazła się pośród nieszczęśników, którym Sędzia Wszechmocny rozkaże odejść precz sprzed swego oblicza na wieki, by uszy wasze nie słyszały głosu, którym obwieszczony zostanie ten straszliwy wyrok wygnania: „Idźcie ode mnie, przeklęci, w ogień wieczny, który zgotowany jest diabłu i aniołom jego!”[12].

Szedł boczną nawą kaplicy, dygotały mu nogi, zimne mrowie przechodziło mu po skórze na samym czubku głowy, jakby dotknęły go widmowe palce. Wszedł po schodach na korytarz i sunął wzdłuż ścian, na których płaszcze i przeciwdeszczowe peleryny wisiały niczym złoczyńcy na szubienicy: bezgłowe, cieknące, bezkształtne. Z każdym krokiem pogłębiał się w nim lęk, że już umarł, że z powłoki cielesnej wyrwano mu duszę, że leci na łeb na szyję przez kosmos.

Z trudem stawiał stopy na podłodze, opadł ciężko na ławkę, otworzył na przypadkowej stronie jakiś podręcznik i pochylił się nad nim. Każde z tych słów do niego było skierowane! To prawda. Bóg jest wszechmogący. Bóg może go teraz przywołać, wezwać go teraz, gdy siedzi w ławce, zanim zdąży uświadomić sobie to wezwanie. Bóg go przywołał. Tak? Że co? Tak? Jego ciało skurczyło się, czując, że nadciągają żarłoczne jęzory ognia; sczerstwiało, czując, że znajduje się w oku wirującego, dusznego powietrza. Umarł. Tak. Został osądzony. Przez ciało przetoczyła się fala ognista: pierwsza. Potem kolejna. Mózg zaczął się jarzyć. Jeszcze jedna. Mózg warzył się i bulgotał w tej sypiącej się czynszówce, jaką jest czaszka. I buchnęły z niej płomienie, niczym korona płatków na kwiecie, i krzyk jakby z ust człowieczych się rozległ:

– Piekło! Piekło! Piekło! Piekło! Piekło!

Usłyszał obok czyjeś głosy:

– O piekle.

– Wystraszył was wściekle.

– Ani chybi. Nieźleśmy się strachu najedli.

– Bo tego wam brakuje. Trzeba was porządnie wystraszyć, byście się do roboty wzięli.

Oparł się bezwładnie o ławkę. Nie umarł. Bóg go oszczędził. Jest nadal w znajomym świecie swojej szkoły. Pan Tate i Vincent Czapla stoją przy oknie, rozmawiają, żartują, wpatrują się w posępny deszcz, kręcą głowami.

– Mogłoby się wypogodzić. Umówiłem się z chłopcami z Malahide na rowery. Ale na drogach wody pewnie po kolana.

– Jeszcze się wypogodzi, psze pana.

Głosy, które znał tak dobrze, słowa zwyczajne, ten spokój w klasie, kiedy szmer na chwilę zamiera, a ciszę wypełniają odgłosy

bydła cicho skubiącego trawę, gdy chłopcy powoli przeżuwają kanapki na śniadanie, ukołysały jego obolałą duszę.

Był jeszcze czas. Ach, Maryjo, Ucieczko Grzesznych, wstaw się za nami! Ach, Niepokalana Dziewico, ratuj mnie przed otchłanią śmierci!

Lekcję angielskiego rozpoczęło odpytywanie z historii. Postacie królów, faworyt i faworytów, intrygantów i biskupów przechodziły za zasłoną z imion jak nieme widziadła. Wszyscy już pomarli: wszyscy zostali osądzeni. Cóż bowiem pomoże człowiekowi, który choćby cały świat pozyskał, na duszy swojej szkodę poniósł? Zrozumiał w końcu: życie człowiecze rozpościera się wokół niego, jak równina pokoju, na której ludzie niczym mrówki trudzą się w braterskim mozole, a ich umarli śpią snem wiecznym w cichych kurhanach. Łokieć sąsiada poruszył się, szturchając go lekko, i poruszyło się jego serce; a kiedy się odezwał, odpowiadając na pytanie nauczyciela, usłyszał własny głos wypełniony ciszą pokory i skruchy.

Dusza zanurzyła się głębiej w otchłani kojącej skruchy, nie mogła już dłużej cierpieć bólu, jaki rodził w niej strach, i dobywała z siebie, zanurzając się coraz głębiej, cichą modlitwę. No więc tak, zostanie zbawiony; całym sercem będzie żałował za grzechy i uzyska przebaczenie; a wtedy ci nad nim, w niebiesiech, ujrzą, co gotów jest zrobić, by odpokutować za swoją przeszłość; za całe życie, za każdą jego godzinę. Poczekajcie tylko.

– Wszystko, Boże! Wszystko! Wszystko!

W drzwiach pojawił się woźny z wieścią, że w kaplicy zaczyna się spowiedź. Czterech chłopców wyszło z klasy, a Stephen usłyszał kroki na korytarzu. Jego serce owiał przyprawiający o dreszcze chłód, z siłą nie większą niż powiew wiatru, a jednak słuchał i cierpiał w ciszy; zdawało się, że przyłożył ucho do mięśnia własnego serca, czuł je blisko i drżał, i słuchał, jak krew pulsuje w obu komorach.

Nie ma ucieczki. Musi wyznać, wypowiedzieć słowami, co popełnił w mowie i uczynku, grzech za grzechem. Ale jak? Jak?

– Ojcze, ja…

W jego delikatne ciało wkłuła się niczym zimny, lśniący rapier jedna jedyna myśl: spowiedź. Ale nie tam, nie w szkolnej kaplicy. Wyzna wszystko, każdy grzech czynu i myśli, szczerze; ale nie tam, wśród szkolnych kolegów. Gdzieś daleko od tego miejsca, gdzieś w mroku, wyzna szeptem swój wstyd; błagał więc Boga pokornie, by nie odwracał się od niego za to, że brak mu odwagi wyspowiadać się w szkolnej kaplicy; i w całkowitym poniżeniu ducha, bez słów błagał o przebaczenie serca chłopców modlących się w pobliżu.

Czas minął.

Usiadł znowu w pierwszej ławce kaplicy. Za oknami gasło światło odchodzącego dnia, a kiedy sączyło się przez wyblakłe czerwone żaluzje, mogło się wydawać, że zachodzi słońce dnia ostatecznego i że wszystkie dusze zbierają się na sąd.

– „Jestem odrzucony od oczu Twoich". Są to, moi kochani braciszkowie w Chrystusie, słowa z Księgi Psalmów, Psalm trzydziesty, wers dwudziesty trzeci. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Kaznodzieja przemawiał cichym, przyjaznym tonem. Na twarzy miał wypisaną łagodność, stykał lekko palce obu rąk, tworząc z nich jakby klatkę.

– Dziś rano w naszych rozważaniach o piekle staraliśmy się odtworzyć to, co nasz święty założyciel nazywa w swojej księdze o ćwiczeniach duchowych kompozycją miejsca. Staraliśmy się, innymi słowy, przedstawić sobie za pomocą umysłu, w naszej wyobraźni, materialny charakter tego okropnego miejsca i fizyczne męczarnie, które przechodzą wszystkie dusze w piekle cierpiące. Dziś wieczór poświęcimy kilka chwil na rozważania o duchowej naturze cierpień piekielnych.

Grzech, pamiętajcie o tym, jest potwornością dwojaką. Jest podłym przyzwoleniem na pokusy naszej upadłej natury, która najniższym instynktom ulega, poddaje się temu, co grubiańskie i bydlęce; to także lekceważenie rad naszej wyższej natury, wszystkiego, co czyste i święte, a wreszcie Boga samego. Z tego powodu grzech śmiertelny znajduje w piekle karę dwojaką: fizyczną i duchową.

Ze wszystkich zaś cierpień duchowych najsroższe jest niechybnie cierpienie utraty, tak wielkiej, powiadam wam, że sama jest już męczarnią większą niźli pozostałe. Święty Tomasz, najznamienitszy Doktor Kościoła, Doktor Anielski, jak się go nazywa, mówi, że kiedy uczucia człowieka uporczywie od Boskiej dobroci się odwracają, najdotkliwszym potępieniem jest całkowite odebranie pojmowaniu ludzkiemu światła Bożego. Bóg, pamiętajcie o tym, jest istotą dobrą nieskończenie, a zatem utrata takiej istoty musi być cierpieniem nieskończenie bolesnym. W życiu doczesnym nie możemy sobie w pełni wyobrazić, czym jest taka utrata, ale potępieni w piekle, a przysparza im to tylko większych cierpień, mają pełną świadomość tego, co utracili, i rozumieją dobrze, że co utracili, utracili przez własne grzechy i utracili na zawsze. W chwili śmierci pękają więzy ciała, a dusza czym prędzej ulatuje do Boga. Albowiem dusza lgnie do Boga jak do ośrodka swojego istnienia. Pamiętajcie, moi kochani chłopaczkowie, nasze dusze tęsknią za tym, by być z Bogiem. Od Boga przychodzimy, z Bogiem żyjemy, do Boga należymy: Jego jesteśmy, niezbywalnie Jego. Bóg swoją Boską miłością kocha każdą ludzką duszę, a każda ludzka dusza żyje w tej miłości. Bo jakże by mogło być inaczej? Każdy nasz oddech, każda myśl mózgu naszego, każda chwila życia pochodzi od niewyczerpanej dobroci Boga. A jeśli bólem jest dla matki rozłąka z dzieckiem, dla mężczyzny wygnanie z domu, z dala od rodziny, dla przyjaciela rozstanie z przyjacielem, to, ach, pomyślcie sami, jakimże bólem, jakąż męczarnią musi być dla biednej duszy wygnanie sprzed oblicza niezrównanie dobrego i kochającego Stwórcy, który przecież duszę tę z nicości do życia powołał i przy życiu ją podtrzymywał, i kochał ją miłością niezmierzoną. To właśnie świadomość, że jest się oddzielonym na wieki od dobra najwyższego, od Boga, że czuje się ból tego oddzielenia i wie dobrze, iż stan ten jest nieodwracalny, to właśnie jest największą męczarnią, którą znieść może dusza stworzona, to *poena damni*, ból utraty.

Drugim rodzajem bólu, którego doznają w piekle dusze potępionych, jest ból sumienia. Tak jak podczas gnicia wylęgają się w martwym ciele robaki, tak w duszach potępionych rodzi się z gnijącego grzechu wieczny wyrzut sumienia, żądło sumienia, ten

robak, jak nazwał go papież Innocenty III, o żądle potrójnym. Ból zadany pierwszym żądłem tego okrutnego robaka to pamięć przeszłych rozkoszy. Ach, co to za straszliwa będzie pamięć!
W jeziorze wszechpożerającego ognia król pyszny będzie rozpamiętywał przepych swego dworu, człek mądry, acz niegodziwy, swoje księgozbiory i narzędzia badawcze, miłośnik przeżyć artystycznych swoje marmury i obrazy, i inne skarby sztuki, biesiadnik, który rozkoszował się przyjemnościami stołu, swoje sute uczty, potrawy przyrządzone z wytwornym smakiem, wyborne wina; skąpiec pamiętał będzie złoty skarb, rabuś swoje bogactwo gwałtem zdobyte, wściekli i mściwi, i bezlitośni mordercy swoje czyny krwawe i brutalne, którymi się ongiś napawali, nieczyści i cudzołożni rozpamiętywać będą niewysłowione i plugawe rozkosze, w których się pławili. To wszystko stanie im w pamięci i poczują odrazę do siebie i do grzesznych swych uczynków. Albowiem jakże nędznymi objawią się owe przyjemności duszy potępionej, skazanej na wieczne, wiekuiste cierpienie w ogniu piekielnym! Jak wielka będzie ich wściekłość, jak bardzo ze złości wrzeć będą na samą myśl, że utracili radość niebiańską za śmieci doczesne, za kilka kawałków metalu, za próżne honory, za cielesną wygodę, za podnietę nerwów! Zaprawdę, powiadam wam, żałować będą; i będzie to ból drugim żądłem zadany przez robaka, co sumienia toczy: żal poniewczasie, żal bezowocny za popełnione grzechy. Sprawiedliwość Boska dopilnuje, by myśl nędzników tych nieszczęsnych nie zaprzestała nigdy rozpamiętywania grzechów, które popełnili, a co więcej, jak pisze święty Augustyn, Bóg udzieli im swojej wiedzy o grzechu, by grzech ten objawił im całą swą złośliwą ohydę, tak jak jawi się oczom samego Boga. Ujrzą własne grzechy w pełni ich plugastwa i żałować będą, ale za późno, za późno, i poleją się wonczas łzy, bo przypomną sobie zaprzepaszczone okazje dobrych uczynków. Oto ostatni i najgłębszy, i najokrutniejszy ból zadany trzecim żądłem robaka, czyli sumienia. Sumienie powie: mieliście czas i sposobność po temu, by żałować za grzechy, aleście tego nie uczynili. Rodzice wasi wychowali was w wierze. Kościół gotów był was wspomagać sakramentami świętymi i łaską, i grzechów odpuszczeniem. Mieliście sługę Bożego, który was

nauczał, który przywoływał was, kiedyście zbłądzili, który odpuszczał wam grzechy, choćby i najliczniejsze, choćby i najohydniejsze, jeśli tylko wyznaliście je i okazali skruchę. Ale nie. Wyście tego uczynić nie chcieli. Drwiliście sobie ze sług świętej wiary, odwracali się plecami do konfesjonału, coraz głębiej i głębiej nurzali w grzesznym bagnisku. Bóg wzywał was, groził wam, błagał, abyście powrócili do Niego. Ach, hańba wielka, wielka niedola! Władca wszechświata błagał was, istoty z gliny powstałe, byście miłowali Tego, który was stworzył, i szanowali prawo przez Niego stanowione. Lecz nie. Wyście tego uczynić nie chcieli. A teraz, choćbyście piekło całe zalać mieli łzami, gdybyście tylko mogli nadal płakać, całe to morze skruchy nie przysłużyłoby się wam bardziej niźli jedna jedyna kropla prawdziwej skruchy wylana w życiu doczesnym. Błagacie teraz o chwilę życia na ziemi, kiedy to moglibyście żal swój okazać: po próżnicy. Czas ten bowiem minął, minął na wieki.

Takie jest to żądło potrójne wyrzutów sumienia, ta żmija, co wgryza się do wnętrza serc nieszczęśników w piekle pokutujących, a oni z furią piekielną siebie samych za własną głupotę przeklinają, i przeklinają przyjaciół fałszywych, którzy ich do upadku doprowadzili, i przeklinają diabły, które ich w życiu doczesnym kusiły, a teraz szydzą z nich i męki im zadają w wieczności, a nawet Istotę Najwyższą bezczeszczą i uwłaczają Jej, z której dobroci i cierpliwości ongiś drwili i szydzili, choć Jej sprawiedliwości ani władzy ujść nie potrafią.

Kolejnym duchowym cierpieniem, którego doświadczają dusze potępionych, jest ekstensywność męki. Człowiek w życiu swoim doczesnym, choć do grzechów wszelakich zdolny, nie może popełnić ich wszystkich naraz, gdyż jedno zło naprawia drugie i mu przeciwdziała, tak jak jedna trucizna często łagodzi skutki działania innej. W piekle jest zgoła inaczej – jedno cierpienie, miast drugiemu przeciwdziałać, większą moc mu nadaje, a na domiar złego, skoro władze wewnętrzne są doskonalsze od zmysłów zewnętrznych, zdolne są też do większego cierpienia. Tak jak każdemu zmysłowi zewnętrznemu, tak każdej władzy duchowej przypada inna, odpowiednia dla niej męka; wyobraźni – przerażające obrazy,

uczuciom – naprzemienne męki oczekiwania i wściekłości, umysłowi i rozumowi – wewnętrzna ciemność, królująca w tym straszliwym lochu. Złość, choćby i bezwolna, która nawiedziła te demoniczne dusze, jest złem o nieograniczonej ekstensywności i bezgranicznym trwaniu; to przerażający, nikczemny stan, który trudno nam sobie wyobrazić, chyba że uzmysłowimy sobie potworność grzechu i nienawiść, jaką żywi do grzechu Bóg.

Przeciwna do ekstensywności cierpienia, a mimo to z nią współistniejąca, jest intensywność cierpienia. Piekło to ośrodek zła, a jak dobrze wiecie, wszystko jest w punkcie środkowym intensywniejsze niż na obrzeżach. Nie ma odtrutek ani mikstur jakiejkolwiek natury, które mogłyby uśmierzyć lub pomniejszyć choćby o jotę katusze piekielne. Zaiste, nawet rzeczy dobre same w sobie stają się złem w piekle. Towarzystwo, które w innym wypadku byłoby pociechą dla cierpiących, tam będzie nieprzerwaną męczarnią; wiedza, tak pożądana jako dobro najwyższe intelektu, stanie się tam przedmiotem nienawiści potworniejszej niż nieuctwo; światło tak upragnione przez wszystkie istoty, od pana stworzenia po najskromniejsze leśne roślinki, stanie się przedmiotem niezmierzonej pogardy. W życiu doczesnym smutki nasze ani nie trwają zbyt długo, ani nie są zbyt wielkie, gdyż natura przezwycięża je dzięki przyzwyczajeniu albo też kładzie im kres, tonąc pod ich ciężarem. Ale w piekle męczarni nie da się przyzwyczajeniem pokonać, bo będąc męczarniami wielkiej intensywności, są jednocześnie męczarniami o nieustannie zmieniającej się postaci; każdy ból, by tak rzec, rozpala się płomieniem innego bólu i roznieca w tym, który go rozpalił, jeszcze dzikszy płomień. Natura nie może uciec od tych męczarni intensywnych i zróżnicowanych, poddając się im, gdyż dusza trwa w grzechu i w nim podtrzymywana jest, by cierpienie było tym większe. Bezgraniczna ekstensywność cierpienia, niewyobrażalna intensywność cierpienia, niekończąca się różnorodność męczarni – tego właśnie domaga się Boski majestat obrażony przez grzeszników, tego właśnie domaga się świętość nieba, lekceważona, nad którą przedkładano lubieżne i niskie rozkosze upadłego ciała, tego właśnie

domaga się krew niewinnego Baranka, przelana za odkupienie grzesznych, znieważona przez najnikczemniejszych z nikczemnych.

Ostatnią, wieńczącą wszystko męczarnią w tej ohydnej otchłani jest wieczność piekła. Wieczność! Ach, jak złowrogie to i złowieszcze słowo! Wieczność! Jaki umysł człowieczy zdołałby ją pojąć? A pamiętajcie, że wieczność ta jest wiecznością cierpienia. Gdyby nawet męczarnie piekielne nie były aż takie straszliwe, jakie są w rzeczywistości, staną się męką nieskończoną, trwać bowiem mają na wieki. Ale choć męką są wieczną, cierpienie, które niosą, jest, jak wiecie, nie do zniesienia, nie do zniesienia jest jego ekstensywność. Nawet użądlenie, jeśli ból po nim trwać miałby wieczność całą, staje się męczarnią straszliwą. A czym w takim razie byłyby wielorodne męczarnie piekieł doznawane przez wieczność? Wiecznie! Przez wieczność całą! Nie przez rok, nie przez stulecie, lecz przez wieczność. Spróbujcie wyobrazić sobie straszliwy sens tych słów. Widzieliście nieraz piasek na morskim wybrzeżu. Jakie drobniutkie są jego ziarenka! I ile tych drobniutkich ziarenek zmieści się w rączkach dziecka, które bawi się piaskiem! A teraz wyobraźcie sobie górę takiego piasku, wysoką na milion mil, wznoszącą się z powierzchni ziemi do najdalszych rejonów nieba, i na milion mil szeroką, rozciągającą się do najodleglejszych zakątków świata, i na milion mil głęboką; i wyobraźcie sobie taką nieprzebraną masę niezliczonych cząsteczek piasku pomnożoną tyle razy, ile jest liści w lesie, kropel wody w bezmiernym oceanie, piór na ptaku, łusek na rybie, sierści na zwierzęciu, atomów w szerokiej przestrzeni powietrza; i wyobraźcie sobie jeszcze, że pod koniec każdego miliona lat przylatuje na tę górę ptaszek i zabiera w dzióbku jedno drobniutkie ziarenko tego piasku. Ile milionów milionów lat musiałoby minąć, zanim ptaszek ten zabrałby choć stopę kwadratową tej góry, ile miliardów miliardów stuleci, zanim zabrałby wszystko? A jednak nawet przy końcu tej olbrzymiej połaci czasu nie moglibyśmy powiedzieć, że zakończyła się chwila wieczności. Pod koniec tych bilionów i trylionów lat wieczność nawet by się nie zaczęła. A gdyby ta góra ponownie powstała po tym, jak ptaszek nasz zabrał ją w inne miejsce, i gdyby przyleciał ponownie, i znów przenosił ją ziarnko po ziarnku, i gdyby góra ta

w ten właśnie sposób wyłaniała się i zapadała tyle razy, ile gwiazd jest na niebie, atomów w powietrzu, kropli wody w morzu, liści na drzewach, piór na ptakach, łusek na rybach, sierści na zwierzętach, przy końcu tych niezliczonych powtórzeń, kiedy ta niezmiernie ogromna góra wyłaniałaby się i zapadała, nie można by było powiedzieć, że dobiegła kresu jedna choć chwila wieczności; nawet wówczas przy końcu tego czasu, po eonach, na których samą myśl umysł zaczyna wirować jak szalony, wieczność by się jeszcze nie zaczęła.

Pewien święty, a był to chyba jeden z ojców naszego zakonu, dostąpił raz objawienia piekieł. Wydawało mu się, że stoi na środku wielkiej ciemnej sieni, której ciszę zakłóca jedynie tykanie wielkiego zegara. Zegar tykał bez przerwy i zdawało się temu mężowi świątobliwemu, że tykający zegar powtarza w nieskończoność słowa: nigdy, na wieki, nigdy, na wieki. Na wieki w piekle, nigdy w niebie; być na wieki z dala od oblicza Boga, nigdy nie cieszyć się wizją zbawienia, na wieki ginąć w ogniu, za strawę robakom służyć, być celem ostrych, płonących włóczni, nigdy nie wyzwolić się z tej męczarni, na wieki słuchać wyrzutów sumienia, wściekłego wrzasku pamięci, mieć umysł mrokiem i rozpaczą zaćmiony, nigdy nie móc stąd uciec; na wieki przeklinać plugawe demony i złorzeczyć im, gdyż napawają się okrutnie nędznym losem tych, których tak bezwstydnie oszukały, nigdy nie widzieć lśniącego stroju duchów błogosławionych; na wieki z ognistej otchłani krzyk wznosić do Boga, prosząc o chwilę, jedną zaledwie chwilę wytchnienia od męki tak straszliwej, nigdy nie otrzymać, choćby na chwilę, Boskiego przebaczenia, na wieki cierpieć, nigdy się nie radować, na wieki potępionym być, nigdy nie zostać zbawionym, nigdy, na wieki, nigdy, na wieki. Ach, jakże potworna to kara! Wieczność niekończącej się męki, niekończących się męczarni ciała i ducha, bez jednego choćby promyka nadziei, bez jednej choćby chwili wytchnienia, wieczność bezgranicznej ekstensywności cierpienia, bezgranicznej intensywności cierpienia, męczarni trwającej wiekuiście, nieskończenie zróżnicowanej, męczarni, która podtrzymuje wiecznie to, co wiecznie pożera, lęku, który wiecznie żeruje na duchu, niszcząc ciało, wieczność, której każda chwila sama

jest wiecznością, a wieczność ta jest wiecznością zgryzoty. Taka jest straszliwa kara pisana tym, którzy w grzechu śmiertelnym konają, przez Boga wszechmogącego i sprawiedliwego.

Tak, przez Boga sprawiedliwego! Człowiek, którego rozum jest jeno ludzkim rozumem, dziwi się, że za jeden ciężki grzech Bóg wymierza wieczną i nieskończoną karę w ogniu piekielnym. Tak uważa, ponieważ, zaślepiony wielkim złudzeniem ciała i mrokiem ludzkiego rozumu, jest niezdolny do zrozumienia ohydnego zła, jakim jest grzech śmiertelny. Tak sądzi, pojąć bowiem nie potrafi, że nawet grzech powszedni ma tak podłą i ohydną naturę, iż gdyby nawet wszechmogący Stwórca mógł położyć kres całemu złu i nędzy na tym świecie, wojnom, chorobom, rabunkom, zbrodniom, śmierci, morderstwom, pod warunkiem że jednemu powszedniemu grzechowi pozwoli ujść bezkarnie, jednemu powszedniemu grzechowi, na przykład kłamstwu, gniewnemu spojrzeniu, chwili rozmyślnej gnuśności, On, wielki wszechmocny Bóg, nie uczyniłby tego, gdyż grzech zarówno w mowie, jak w uczynku jest pogwałceniem Jego praw, a Bóg nie byłby Bogiem, gdyby nie ukarał grzesznika.

Grzech, chwila buntowniczej pychy intelektu, doprowadził do upadku z wyżyn chwały Lucyfera i jedną trzecią anielskich zastępów. Grzech, chwilowe szaleństwo i słabość, wygnał Adama i Ewę z Edenu i sprowadził na świat śmierć i cierpienie. Aby odkupić ten grzech ze wszystkimi jego skutkami, Syn Boży Jednorodzony zstąpił na ziemię, żył i cierpiał, i skonał śmiercią najboleśniejszą z możliwych, przez trzy godziny wisząc na krzyżu.

Ach, moi kochani braciszkowie w Jezusie Chrystusie, czy chcemy obrazić tego łaskawego Odkupiciela i wzbudzić w Nim gniew? Czy chcemy ponownie zdeptać to podruzgotane i pokiereszowane ciało? Czy na pewno chcemy splunąć w to oblicze naznaczone troską i miłością? Czy i my, niczym okrutny Żydowin i brutalny żołdak, szydzić będziemy z tego łagodnego, współczującego Zbawiciela, który sam, dla dobra naszego, wytłaczał wino w tej straszliwej tłoczni[13]? Każde grzeszne słowo jest głęboką raną w Jego obolałym boku. Każdy grzeszny uczynek jest cierniem, co przekłuwa Mu skroń. Każda myśl nieczysta, której się świadomie

dopuszczamy, jest włócznią ostrą, co przebija to święte, kochające serce. Nie i jeszcze raz nie. To niemożliwe, aby jakakolwiek istota ludzka zdolna była czynić to, co tak głęboko obraża Boski majestat, co karę wiecznego cierpienia sprowadza, co raz jeszcze Syna Boga Jedynego do krzyża przybija i drwi z Niego.

Do Boga modły wznoszę, by moje nieporadne słowa mogły dziś wzmocnić w pobożności tych, którzy są w stanie łaski, przekonać nieprzekonanych, do stanu łaski sprowadzić duszę biedną, która zbłądziła, jeśli jest takowa pośród was. Modlę się do Boga, a wy przyłączcie się do mej modlitwy, żebyśmy mogli za nasze grzechy odpokutować. A teraz proszę was, wszystkich jak tu jesteście, byście powtarzali za mną akt skruchy, klęcząc tu w tej skromnej kaplicy w obecności Boga. On jest tu, w tabernakulum, i płonie miłością do człowieka, gotów pociechę nieść cierpiącym. Nie lękajcie się. Liczne mogą być grzechy wasze, liczne i plugawe, lecz jeśli tylko okażecie skruchę, zostaną wam darowane. Niechaj nie powstrzymuje was od tego przyziemny wstyd. Bóg wciąż jest miłosiernym Panem, który wiecznej śmierci grzesznika nie patrzy, ale pragnie, by ten nawrócił się i żył.

Przywołuje was Pan do siebie. Należycie do Pana. To on was stworzył z niczego. Kocha was, jak tylko Bóg kochać może. Ramiona Jego otwarte czekają na wasze przyjście, choć zgrzeszyliście przeciw Niemu. Idźcie do Pana, biedni grzesznicy, biedni próżni i błądzący grzesznicy. Teraz czas po temu najodpowiedniejszy. Teraz nastała godzina.

Ksiądz wstał i odwracając się do ołtarza, uklęknął na stopniu przed tabernakulum w zapadłym mroku. Odczekał, aż wszyscy zebrani w kaplicy uklękną i ucichnie najlżejszy choćby hałas. A wtedy uniósł głowę i zaczął odmawiać akt skruchy, zdanie za zdaniem, gorliwie. Chłopcy powtarzali za nim, zdanie za zdaniem. Stephen, którego język przylgnął do podniebienia, pochylił głowę i modlił się w duchu.

– O Boże mój –
– O Boże mój –

– z głębi serca żałuję –
– z zgłębi serca żałuję –
– że byłem dla Ciebie obrazą –
– że byłem dla Ciebie obrazą –
– i wyrzekam się grzechów swoich –
– i wyrzekam się grzechów swoich –
– ponad inne wszelkie zło –
– ponad inne wszelkie zło –
– albowiem są dla Ciebie zniewagą, Panie –
– albowiem są dla Ciebie zniewagą, Panie –
– któremu winien jestem –
– któremu winien jestem –
– miłość moją –
– miłość moją –
– i obiecuję –
– i obiecuję –
– na łaskę Twoją świętą –
– na łaskę Twoją świętą –
– że już nigdy Cię nie obrażę –
– że już nigdy Cię nie obrażę –
– i naprawię swe życie.
– i naprawię swe życie.

* * *

Po kolacji udał się do swojego pokoju na górze, żeby zostać sam na sam z własną duszą; z każdym krokiem jego dusza zdawała się wzdychać: z każdym krokiem wznosiła się wraz z jego stopami i wzdychała podczas tej wspinaczki przez lepki mrok.

Zatrzymał się na piętrze, uchwycił porcelanową gałkę i otworzył szybko drzwi. Czekał w przerażeniu, a dusza w nim usychała, i modlił się po cichu, by śmierć nie tknęła jego czoła, kiedy będzie przekraczał próg, i by złe duchy, co w mroku się gromadzą, nie miały nad nim władztwa. Stał niczym skamieniały przed progiem,

jak przed wejściem do mrocznej jaskini. Były w niej czyjeś twarze; czyjeś oczy; czekały i patrzyły.

– Wiedzieliśmy doskonale oczywiście że wiedzieliśmy o tym że choć sprawa musiała wyjść na jaw będzie musiał stanąć wobec znaczących problemów jeśli postara się spróbuje nakłoni samego siebie do tego by spróbować postarać się i wyznaczyć sobie duchowego plenipotenta dlatego też wiedzieliśmy to oczywiste że wiedzieliśmy doskonale o tym że…

Szemrzące twarze czekały i patrzyły; szemrzące głosy wypełniały mroczną skorupę jaskini. Choć jego duchem i ciałem zawładnął lęk, podniósł odważnie głowę i wkroczył pewnym krokiem do izby. Drzwi, izba, ta sama izba, to samo okno. Uspokajał się, powtarzając sobie w duchu, że słowa te, które w szmerach i szeptach zdawały się wyłaniać z ciemności, nie mają żadnego znaczenia. Mówił sobie, że to tylko jego pokój z otwartymi drzwiami.

Zamknął drzwi, szybkim krokiem skierował się do łóżka, uklęknął przy nim i ukrył twarz w dłoniach. Ręce miał zimne i wilgotne, a członki obolałe od chłodu. Jego ciało dręczyły niepokój i chłód, i zmęczenie, siejąc w myślach zamęt. Czemu klęczał jak dziecko, co odmawia nocne pacierze? Być sam na sam ze swą duszą, zrobić rachunek sumienia, stanąć twarzą w twarz z własnymi grzechami, przypomnieć sobie czas, sposób i okoliczności, w jakich je popełnił, zapłakać nad nimi. Nie mógł płakać. Nie umiał przywołać ich pamięcią, czuł jedynie ból na duszy i ból na ciele, w całym swoim jestestwie, w pamięci, w woli, w pojmowaniu, w członkach odrętwiałych i znużonych.

Takie było zadanie diabłów: rozproszyć mu myśli, zaćmić sumienie, przypuścić atak na bramy jego tchórzliwego i splamionego grzechem ciała; modląc się do Boga, by wybaczył mu jego słabości, wpełzł do łóżka, owinął się szczelnie kocem i znowu ukrył twarz w dłoniach. Zgrzeszył. Zgrzeszył tak haniebnie przeciw niebu i przed obliczem Boga, że nie był już godzien miana dziecka Bożego.

Czy to możliwe, że on, Stephen Dedalus, popełnił to wszystko? Sumienie westchnęło w odpowiedzi. Tak, popełnił wszystkie te grzechy, skrycie, obrzydliwie, po wielekroć; tak bardzo zatwardziały był w grzesznym bezwstydzie, że miał czelność założyć maskę

pobożności przed samym tabernakulum, kiedy w środku dusza jego była kłębiącym się rojem zepsucia. Jak to się stało, że Bóg do tej pory nie powalił go ciosem śmiertelnym? Dotknięta trądem zgraja jego grzechów okrążyła go i pochyliła się nad nim, ze wszech stron czuł na sobie ich oddech. Próbował zapomnieć o nich w akcie modlitwy, kurcząc i kuląc się w sobie, i zszywając powieki; ale władz duszy skrępować nie mógł, i choć oczy miał szczelnie zamknięte, widział miejsca, w których grzeszył; i choć uszy miał szczelnie zamknięte, słyszał. Całą swoją wolą pragnął nie widzieć, pragnął nie słyszeć. Pragnął tego tak bardzo, że cielesna jego powłoka zadrżała pod brzemieniem owego pragnienia, aż zamknęły się władze jego duszy. Zamknęły się na chwilę, po czym znów rozwarły. Widział.

Pole, a na nim skostniałe chwasty, i osty, i gęste chaszcze pokrzyw. Pośród kiści smrodliwej, skostniałej roślinności walały się obtłuczone puszki, a przy nich sploty i grudy zastygłego gówna. Nikłe bagienne ogniki próbowały z mozołem wyrwać się z tego kloacznego świata i przebić się przez zjeżone szarozielone zielska. Ohydny smród, nikły i plugawy jak ogniki, wysnuwał się sennie z puszek i ze stwardniałych, zaskorupiałych odchodów.

Na tym polu były jakieś istoty: jedna, trzy, sześć; poruszały się po nim bezładnie. Istoty przypominające kozły o ludzkich twarzach, z rogami wyrastającymi z czoła, ze szczeciniastymi brodami, szare jak gumka do wycierania. W ich nieprzejednanych oczach połyskiwała nikczemność zła, a one snuły się, to w jedną, to w drugą stronę, wlokąc za sobą długie ogony. Grymas okrutnej złośliwości rozświetlał szarym światłem ich stare, kościste twarze. Jeden z tych stworów przyciskał do żeber postrzępioną flanelową kamizelkę, inny złorzeczył monotonnym głosem, kiedy jego broda utknęła w kępiastym zielsku. Ściszone słowa wysnuwały się z ich wyżętych ze śliny pysków, kiedy istoty te stąpały, szeleszcząc, w szerokim pierścieniu na polu, wijąc się sennie przez uschłe zielska, ciągnąc za sobą długie ogony wśród nieustannego grzechotu puszek. Sunęły w powolnych kręgach, krążąc bliżej i bliżej, domykając ten krąg, zaciskając pierścień, a ściszona mowa wysnuwała się z ich pysków i szeleściły ich długie kity upaprane zeschłym gównem, i unosiły się w górę ich szkaradne mordy…

Ratunku!

W szaleńczym zrywie zrzucił koce, odsłaniając twarz i szyję. To było jego piekło. Bóg pozwolił mu ujrzeć piekło, które pisane jest mu za grzechy: cuchnące, bydlęce, złośliwe piekło lubieżnych, kozich diabłów. Dla niego! Dla niego!

Wyskoczył z pościeli, wstrętny smród sączył mu się do gardła, czopował i skręcał jelita. Powietrza! Powietrza niebieskiego! Jęcząc, pokuśtykał do okna i omal nie zemdlał z nudności. Kiedy stanął przy umywalce, złapały go konwulsje; w szaleńczym geście przycisnął ręce do lodowatych skroni i w męczarniach wymiotował obficie.

Kiedy atak ustąpił, podszedł osłabiony do okna, otworzył je, przysiadł w kącie i oparł łokieć o parapet. Deszcz przestał padać, a wśród oparów snujących się między punktami światła miasto owijało się miękkim kokonem żółtawej mgiełki. Niebo było nieruchome i lśniło nikłą łuną, wdychane powietrze napawało słodyczą jak zapachy w zaroślach zroszonych ulewą. W tym spokoju, pośród migoczących świateł i delikatnych woni, zawarł z sercem swym przymierze.

Modlił się:

Zamierzał był ongiś zstąpić tu, na ziemię, w chwale swej niebieskiej, aleśmy zgrzeszyli; nie mógł przeto jawnie nawiedzić nas, jak tylko w przesłoniętym majestacie i w blasku przyćmionym, albowiem jest Bogiem. Przyszedł więc sam, w słabości, a nie w mocy, i w swoje miejsce posłał Ciebie, istotę stworzoną, której uroda i blask odpowiednie są dla stanu naszego. A teraz, oblicze Twoje i Twoja postać, Matko Przenajświętsza, przemawiają do nas o tym, co jest wiekuiste; niepodobne piękności doczesnej, która ludzkiemu spojrzeniu zagrozić może, ale jako gwiazda zaranna, Twoje godło, jasne i melodyjne, tchnące czystością, o niebie mówiące i pokój niosące. Zwiastunko dnia! O pochodnio pielgrzymów! Prowadź nas dalej, jak prowadziłaś dotychczas. Przez mroki nocy, przez ponurą pustynię, prowadź nas do Pana naszego, Jezusa Chrystusa, do domu naszego nas prowadź.[14]

Oczy mu zmętniały od łez i, wzrok z pokorą wznosząc ku niebu, zapłakał nad niewinnością, którą utracił.

Kiedy zapadł zmierzch, wyszedł z domu, a pierwszy podmuch wilgotnego, mrocznego powietrza i odgłos drzwi zamykających się za nim przyniosły znów ból jego sumieniu, ukojonemu przez modlitwę i łzy. Wyznaj swe grzechy! Wyznaj! Nie wystarczy ukoić sumienia łzą czy też modlitwą. Musi uklęknąć przed sługą Ducha Świętego i opowiedzieć mu o swoich grzechach tajemnych, szczerze i ze skruchą. Zanim znowu usłyszy, jak dolna krawędź drzwi wejściowych trze o podłogę, wpuszczając go do środka, zanim znowu zobaczy stół w kuchni gotowy do wieczerzy, klęknie i wyzna swe grzechy. Przecież to całkiem proste.

Ustąpił ból sumienia, a Stephen szedł szybko przez ciemne ulice. Na chodniku wzdłuż ulicy było tak wiele płyt i tak wiele ulic było w tym mieście, i tak wiele miast w świecie. A przecież wieczność jest nieskończona. Żył w grzechu śmiertelnym. Zgrzeszył raz, ale mimo wszystko był to grzech śmiertelny. Mógł się wydarzyć w jednej chwili. Ale dlaczego tak szybko? Grzech, który rodzi się z oglądania albo z myślenia o oglądaniu. Oczy widzą przedmiot, choć wcześniej go nie pragnęły. A wtedy zdarza się to w jednej chwili. Ale jak to – czy ta część ciała to rozumie? Wąż, najsprytniejsze zwierzę na ziemi. Musi rozumieć, kiedy przez jedną chwilę pożąda, a potem przedłuża to pożądanie, chwila za chwilą, grzesznie. Czuje i rozumie, i pożąda. Zgroza! Kto go takim uczynił: bydlęca część ciała zdolna pojmować bydlęco i bydlęco pożądać? Czy w takim razie był to on, czy też jakaś rzecz nieludzka pod władaniem duszy niższej? Jego duszy źle się robiło na samą myśl o tym ospałym wężowym życiu, które delikatnym szpikiem jego żywota się pasie i tuczy śluzem żądzy. Czemu tak? Ach, czemu?

Skulił się w cieniu tej myśli, czując własną znikomość wobec przerażającego majestatu Boga, Stwórcy wszystkich rzeczy i ludzi. Szaleństwo. Kto mógł coś takiego wymyślić? I kuląc się w mroku, w poczuciu własnej nędzy, modlił się bez słów do anioła stróża, by ten mieczem odegnał demona, który szeptem wnikał mu do umysłu.

Szept ten ucichł i Stephen rozumiał już jasno, że jego dusza zgrzeszyła myślą, mową i uczynkiem, świadomie, za pośrednictwem

ciała. Wyznaj swe grzechy! Musiał wyznać każdy grzech. Ale jak może opowiedzieć księdzu słowami, co uczynił? Musi, musi. Albo jak może wytłumaczyć to wszystko, nie umierając ze wstydu? A dalej, jak w ogóle mógł popełnić takie czyny, nie odczuwając wstydu? Szaleniec, obmierzły szaleniec! Wyznaj swe grzechy! Ach, jak bardzo pragnął być znowu wolny i bezgrzeszny! Może ksiądz go zrozumie. Ach, dobry Boże!

Szedł i szedł pogrążonymi w półmroku ulicami, bał się zatrzymać choćby na chwilę, by nie sprawiać wrażenia, że próbuje opóźnić to, co go czeka; bał się przybyć na miejsce, ku któremu wciąż zwracał się z tęsknotą. Jak piękna musi być dusza w stanie łaski, kiedy Bóg spogląda na nią z miłością!

Niechlujne dziewczęta przysiadły na krawężniku, przed nimi stały kosze. Zawilgocone włosy zwisały w nieładzie nad czołem. Nie zachwycała go ich uroda, kiedy tak siedziały przycupnięte w błocie. Ale Bóg widział ich dusze; a jeśli dusze były w stanie łaski, ich widok uderzał promienistym pięknem, a Bóg kochał je, gdy na nie patrzył.

Poczucie upokorzenia spowiło mu duszę zimnym i wyniszczającym tchnieniem, kiedy pomyślał, jak nisko upadł; kiedy zrozumiał, że dusze te droższe są Bogu niż jego dusza. Wiatr minął go i ruszył ku miriadom miriad innych dusz, na które padały promienie Bożej łaski, raz mocniej, raz słabiej, ku tym gwiazdom raz jasnym, raz zamglonym, które lśniły i gasły. A migocące dusze mijały go, lśniąc i gasnąc, złączone w wędrującym tchnieniu. Jedna dusza zagubiła się; drobniutka duszyczka – jego duszyczka. Zalśniła raz i uleciała, zapomniana, zagubiona. Koniec – mroczny, zimny, pusty bezmiar.

Świadomość miejsca jak fala przypływu powracała do niego, powoli, przez rozległe połacie czasu – czasu bez światła, bez czucia, bez życia. Wokół niego wzrastała ohydna sceneria; język pospolity, płonące lampy gazowe w sklepach, zapach ryb i alkoholu, i mokrych trocin, krzątający się mężczyźni i kobiety. Jakaś staruszka z bańką na naftę miała właśnie przejść przez ulicę. Pochylił się nad nią i zapytał, czy jest w okolicy jakiś kościół.

– Kościół? Jest, proszę pana. Na Kaplicznej jest kościół.

– Na Kaplicznej?

Przełożyła bańkę do drugiej ręki i pokazała mu kierunek, a kiedy stała z wyciągniętą ręką, cuchnącą, suchą, pokrytą frędzlami jej szala, pochylił się ku niej jeszcze niżej, zasmucony i ukojony jej głosem.

– Dziękuję.

– Do usług, szanowny panie.

Świece na głównym ołtarzu już się nie paliły, ale zapach kadzidła płynął jeszcze przez mroczną nawę. Brodaci robotnicy o pobożnych twarzach wyprowadzali przez boczne drzwi baldachim, zakrystian pomagał im dyskretnym gestem i słowem. Tu i ówdzie byli jeszcze jacyś wierni, którzy modlili się przed jednym z bocznych ołtarzy lub klęczeli w ławkach przy konfesjonałach. Podszedł niepewnie, uklęknął w ostatniej ławce, wdzięczny za spokój i ciszę, i wonny cień kościoła. Deska, na której klęknął, była wąska i wytarta, a ci, którzy klęczeli koło niego, byli pokornymi wyznawcami Chrystusa. Jezus także urodził się w ubóstwie, pracował w warsztacie ciesielskim, ciął drewno na deski, strugał je i po raz pierwszy opowiedział o królestwie Bożym biednym rybakom, ucząc wszystkich, że należy być cichym i pokornego serca.

Pochylił głowę, chowając ją w dłoniach, i pragnął, by jego serce też było ciche i pokorne, by stało się jako serca tych, którzy klęczą obok niego, i żeby jego modlitwa była tak jak ich przyjęta. Modlił się obok nich, ale było mu trudno. Duszę miał splugawioną od grzechu i nie miał czelności prosić o wybaczenie z prostą wiarą tych, których Jezus, wypełniając tajemny plan Boga, pierwszych przywołał do swojego boku, cieśli i rybaków, biednych i zwykłych ludzi, oddających się skromnemu rzemiosłu, obrabiających i kształtujących drewno, wiążących cierpliwie swoje sieci.

Jakaś wysoka postać przeszła boczną nawą, wywołując poruszenie wśród wiernych czekających przed konfesjonałem; w ostatniej chwili, podnosząc szybko wzrok, ujrzał długą szarą brodę i brązowy habit kapucyna. Ksiądz wszedł do konfesjonału i już go nie było widać. Dwóch wiernych powstało z kolan i weszło do budki, jeden z lewej, drugi z prawej strony. Drewniana zasuwa przesunęła się i cichy szmer głosów zakłócił ciszę.

W jego żyłach zaczęła szemrać krew, szemrać szaleńczo niczym grzeszne miasto ze snu wysupłane, by wysłuchało wyroków pisanego mu losu. Drobne płatki ognia opadały z nieba i opadał bezgłośnie sypki popiół, osiadając na dachach ludzkich domostw. A ludzie drgnęli, budząc się ze snu, zaniepokojeni falą gorącego powietrza.

Zasuwa wróciła na swoje miejsce. Pokutnik wyłonił się z boku konfesjonału. Otwarła się zasuwa po przeciwnej stronie. Jakaś kobieta weszła, cicho i zwinnie, tam gdzie klęczał przed chwilą pierwszy pokutnik. Znowu dał się słyszeć cichy szmer głosów.

Mógł jeszcze wyjść z kościoła. Mógł wstać, postawić jedną nogę za drugą i wyjść cicho, a potem biec, biec, biec szybko, pędzić przez ciemne ulice. Wciąż mógł uciec przed wstydem. Gdyby była to jakakolwiek inna, choćby najokropniejsza zbrodnia, ale nie ten właśnie grzech! Gdyby to było morderstwo! Płonące płatki sypały się na niego i dotykały go wszędzie, bezwstydne myśli, bezwstydne słowa, bezwstydne czyny. Wstyd, jak ognisty popiół sypiący się nieustannie, pokrył go całego. Powiedzieć to słowami! Jego dusza, bezradna, z trudem łapiąca oddech, przestałaby istnieć.

Zasuwa zamknęła się. Z przeciwległego końca konfesjonału wyszedł pokutnik. Zasuwa z tej strony otworzyła się. Pokutnik wszedł tam, skąd wyszedł poprzedni. Cichy szept głosów wypływał mglistymi kłębami z konfesjonału. To była kobieta: ciche szeptane obłoki, ciche szeptane mgiełki, szeptane i znikające.

Bił się pięścią w pierś, z pokorą, ukradkiem, pod osłoną drewnianego oparcia ławki. Zjednoczony z bliźnimi i z Bogiem. Będzie miłował bliźniego swego. Będzie miłował Boga, który stworzył go i pokochał. Uklęknie i będzie się modlił z innymi, i będzie szczęśliwy. Bóg spojrzy na niego i na nich i wszystkich obdarzy miłością.

Łatwo być dobrym. Słodkie i lekkie jest jarzmo Boga. Lepiej byłoby nigdy nie grzeszyć, na wieki pozostać dzieckiem, Bóg bowiem kocha małe dzieci i pozwala im przychodzić do siebie. Grzeszyć jest rzeczą okropną i smutną. Ale Bóg jest miłościwy dla biednych grzeszników, którzy szczerze żałują za grzechy. Tak, to prawda! To jest prawdziwa dobroć.

Zasuwa niespodziewanie trzasnęła. Kobieta wyszła. On był następny. Wstał przerażony i podszedł po omacku do konfesjonału.

W końcu zaczęło się. Ukląkł w cichym mroku, uniósł wzrok ku białemu krucyfiksowi zawieszonemu nad głową. Bóg widzi, że żałuje za grzechy. Wyzna wszystkie swoje grzechy. Spowiedź jego będzie długa, bardzo długa. Każdy w kaplicy się dowie, jak wielkim był grzesznikiem. Niech się dowiedzą. Bo to prawda. Ale Bóg obiecał mu grzechów odpuszczenie, jeśli tylko okaże skruchę. A przecież żałuje za grzechy. Złożył dłonie i uniósł je w górę, ku białej figurce, i modlił się pociemniałymi oczyma, modlił się całym roztrzęsionym ciałem, kiwając głową, w dół i do góry, jak zagubione stworzenie, modlił się skomlącymi wargami.

– Żałuję! Żałuję! Żałuję!

Zasuwa znowu trzasnęła, a serce zaczęło walić mu w piersi jak młotem. Za kratką zobaczył twarz starego księdza, odwróconą od niego, wspartą na dłoni. Uczynił znak krzyża i poprosił, by ksiądz pomodlił się za niego, albowiem zgrzeszył. A potem, pochylając głowę, odmówił w strachu *Confiteor*. Przy słowach „moja bardzo wielka wina" zatrzymał się, straciwszy oddech.

– Kiedy ostatni raz byłeś u spowiedzi, mój synu?

– Dawno temu, ojcze.

– Miesiąc, mój synu?

– Dłużej, ojcze.

– Trzy miesiące, mój synu?

– Dłużej, ojcze.

– Sześć miesięcy?

– Osiem miesięcy, ojcze.

A więc zaczął. Ksiądz zapytał:

– I co pamiętasz od tego czasu?

Zaczął wyznawać swoje grzechy: msze, które opuścił, pacierze, których nie odmówił, kłamstwa.

– Coś jeszcze, mój synu?

Grzechy gniewu, zawiści wobec innych, obżarstwa, pychy, nieposłuszeństwa.

– Coś jeszcze, mój synu?

– Gnuśność.

– Coś jeszcze, mój synu?

Nie było rady. Wyszeptał:

– Popełniłem… popełniłem grzech nieczystości, ojcze.

Ksiądz nie odwrócił głowy.

– Z sobą samym, mój synu?

– I… z innymi też.

– Z kobietami, mój synu?

– Tak, ojcze.

– Czy to były zamężne kobiety, mój synu?

Nie wiedział. Grzechy strumieniem ściekały mu z ust, jedne po drugich, ściekały z jego duszy, ropiejącej niczym wrzód, w bezwstydnych kroplach sączących się obmierzłym strumieniem występków. Ostatnie grzechy sączyły się, leniwe, plugawe. Wszystko już zostało powiedziane. Zwiesił głowę, pokonany.

Ksiądz się nie odzywał. Po chwili zapytał:

– Ile masz lat, mój synu?

– Szesnaście, ojcze.

Ksiądz kilkakrotnie przetarł ręką twarz. Potem wspierając czoło na dłoni, pochylił się nad kratką i nie odwracając do niego oczu, niespiesznie przemówił. Głos miał znużony i zbłąkany.

– Jesteś bardzo młody, mój synu, błagam więc, abyś nie ulegał tej grzesznej skłonności. To przerażający grzech. Zabija ciało i zabija duszę. Jest źródłem wielorakich zbrodni i nieszczęść. Poniechaj go, moje dziecię, w imię Boga, poniechaj. To grzech hańbiący i niegodny mężczyzny. Nie wiesz, dokąd może zaprowadzić cię ten wstrętny nawyk ani też kiedy przeciw tobie samemu się obróci. Dopóki nie przezwyciężysz tej grzesznej skłonności, mój biedny synu, w oczach Boga nie będziesz wart złamanego szeląga. Módl się do Matki naszej, Maryi, żeby przyszła ci z pomocą. A wesprze cię, mój synu, wesprze. Módl się do naszej Przenajświętszej Panienki, kiedy grzech ten pojawi się w twoich myślach. Pewien jestem, że tak uczynisz. Żałujesz za wszystkie grzechy? Jestem pewien, że żałujesz. A teraz obiecaj Bogu, że za Jego świętą łaską nigdy już Go nie obrazisz tym niecnym czynem. Złożysz Bogu taką obietnicę, prawda?

– Tak, ojcze.

Stary i znużony głos spadał jak słodki deszcz na jego drżące, rozpalone serce. Jak słodko i smutno!

– Zrób to, mój biedny synu. Szatan sprowadził cię na manowce. Przepędź go do piekła, kiedy znów przyjdzie cię kusić, byś pohańbił swoje ciało w ten obrzydliwy sposób – to plugawy duch, który nienawidzi Pana naszego. Obiecaj teraz Bogu, że porzucisz ten grzech, ten wstrętny, jakże wstrętny grzech.

Zaślepiony od łez i od światła Bożej łaskawości, pochylił głowę i usłyszał poważne słowa absolucji, i ujrzał dłoń księdza wzniesioną nad nim w geście przebaczenia.

– Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko. Módl się za mnie.

Uklęknął, by odprawić pokutę, modlił się w kącie mrocznej nawy; a z oczyszczonego serca jego modlitwy wzlatywały ku niebu niczym woń ulatująca do góry z samego serca białej róży.

Błotniste ulice kipiały radością. Kroczył do domu, świadomy niewidzialnej łaski, która przenikała go i nadawała lekkości jego kończynom. Wbrew wszystkiemu, co uczynił. Wyznał swe grzechy i Bóg go rozgrzeszył. Dusza jego znowu czysta jest i święta, święta i szczęśliwa.

Jak pięknie byłoby umrzeć, gdyby taka była wola Boga! Jak pięknie jest żyć, skoro taka jest wola Boga, żyć w łasce życiem pokoju i cnoty i wyrozumiałości wobec bliźnich.

Siedział przy ogniu w kuchni, ze szczęścia nie śmiał otworzyć ust. Aż do tej chwili nie wiedział, jak piękne i spokojne może być życie. Zielony kwadratowy kawałek papieru przypięty do lampy rzucał delikatny cień. Na kredensie stał talerz z kiełbasą i biały pudding, a na półce jajka. Podadzą je na śniadanie, nad ranem, po komunii w szkolnej kaplicy. Biały pudding i jajka, i kiełbasa, i filiżanka herbaty. Jakie proste i piękne jest mimo wszystko życie! A świat cały przed nim leżał[15].

Śniło mu się, że zasnął. Śniło mu się, że wstaje; widzi, że jest już ranek. Na pół śniąc, idzie cichym rankiem do szkoły.

Chłopcy już tam są, klęczą na swoich miejscach. Klęka wśród nich, szczęśliwy i onieśmielony. Ołtarz zdobią wonne szaty białego kwiecia; a w świetle poranka blade płomienie świec pośród białych kwiatów czyste są i ciche jak jego dusza.

Klęknął przed ołtarzem wraz z kolegami z klasy, trzyma z nimi kapę ponad żywą balustradą rąk. Ręce mu drżą i dusza mu drży, kiedy słyszy kroki księdza z cyborium, przechodzącego od jednego komunikowanego do drugiego.

– *Corpus Domini nostri*.

Czy to możliwe? Uklęknął bez grzechu, z bojaźnią; na języku spocznie hostia i Bóg wstąpi do jego oczyszczonego ciała.

– *In vitam aeternam. Amen*.

Nowe życie! Życie łaski i cnoty, i szczęścia! To prawda. To nie jest sen, z którego się obudzi. Przeszłość minęła.

– *Corpus Domini nostri*.

Cyborium zatrzymało się przed nim.

—

[1] Ekl 24, 17–20.

[2] Łk 16, 2.

[3] Mt 16, 26.

[4] Obj 6, 13.

[5] Obj 6, 12–14.

[6] Obj 10, 1–6.

[7] Mt 25, 41.

[8] Mt 23, 27.

[9] 1 Kor 15, 55.

[10] Zob. Dante, *Boska komedia*, *Czyściec*, XXX: 76–78: „Oczy me padły na zwierciadło wody,/ Lecz gdym się przejrzał, powiodłem po łanie/ Kwiecia, bo wstyd mi ubarwił jagody” (przeł. Edward Porębowicz).

[11] „Umrzeć, – usnąć, –/ Nic więcej; snem tym wyrazić, że minął/ Ból serca, a z nim niezliczone wstrząsy,/ Które ciała są dziedzictwem”. William Shakespeare, *Hamlet*, III, 1, 60–63 (przeł. Stanisław Barańczak).

[12] Mt 25, 41.

[13] Iz 63, 3 (na podstawie Biblii Brytyjskiego Towarzystwa Biblijnego).

[14] John Henry Newman, *Discourses to Mixed Congregations* XVII.

[15] „Gdyż oto przed nimi/ Świat cały leżał i mogli wybierać/ miejsce spoczynku". Końcowy fragment *Raju utraconego* Johna Miltona (przeł. Maciej Słomczyński).

IV

Niedziela poświęcona była tajemnicy Trójcy Świętej, poniedziałek Duchowi Świętemu, wtorek aniołom stróżom, środa świętemu Józefowi, czwartek Przenajświętszemu Sakramentowi Ołtarza, piątek Męce Chrystusa, a sobota Najświętszej Maryi Pannie.

Każdego dnia rano uświęcał się ponownie przed którymś ze świętych obrazów lub jedną z tajemnic. Jego dzień zaczynał się od złożenia heroicznej ofiary z każdej chwili swoich myśli i uczynków w intencji Ojca Świętego i od uczestnictwa w porannej mszy. Surowe powietrze o świcie pobudzało jego niezłomną pobożność; często, kiedy klęczał pośród wiernych u stóp bocznego ołtarza, śledząc w swoim modlitewniku z zakładkami słowa szeptane przez księdza, rzucał okiem na przystrojoną figurkę stojącą w mroku między dwiema świecami, symbolizującymi Stary i Nowy Testament, i wyobrażał sobie, że klęczy na mszy w katakumbach.

Jego codzienne życie toczyło się zgodnie z porządkiem modlitw. Odmawiając akty strzeliste i pacierze, ofiarowywał setki dni i kwarantanny, i lata duszom w czyśćcu pokutującym; a jednak ten duchowy triumf, który odczuwał, kiedy z taką łatwością potrafił wybłagać tyle wspaniałych stuleci kanonicznej pokuty, nie wynagradzał w pełni jego zapału w modlitwie, nie wiedział bowiem, ile czyśćcowej kary już odpuszczono dzięki jego modlitwom błagalnym za dusze cierpiące; i w obawie, że nieszczęśnikom w tym ogniu czyśćcowym, który tym tylko różni się od piekielnego, że nie jest ogniem wiecznym, jego pokuta może przynieść co najwyżej kropelkę wilgoci, codziennie prowadził swoją duszę po coraz większym kole nadobowiązkowych dobrych uczynków.

Każda część dnia, podzielona zgodnie z tym, co uznawał teraz za obowiązki swojego doczesnego życia, krążyła wokół własnego ośrodka energii duchowej. Jego życie zdawało się zbliżać ku wieczności; jeśli zechce, każda myśl, słowo i uczynek, każda chwila świadomości mogą roztaczać promienie, odbijać się echem w niebiosach; czasami świadomość takiego natychmiastowego

współgrania była tak silna, że czuł, jak dusza oddana modlitwie uderza niczym palce w klawisze wielkiej mechanicznej kasy, i widział jednocześnie, jak kwota zakupu wzlatuje niezwłocznie do nieba, nie jako liczba, ale ulotna kadzidlana kolumna albo wysoki smukły kwiat.

Również różaniec, który nieustannie odmawiał – nosił bowiem swoje paciorki w kieszeni spodni, by się modlić także na ulicy – przekształcał się w kwietny wieniec tak mglistej, nieziemskiej materii, że zdawał mu się równie bezbarwny i bezwonny, jak bezimienny. Każdą z trzech codziennych części różańca odmawiał na intencję umocnienia swej duszy w trzech teologicznych cnotach: w wierze w Ojca, który go stworzył, w nadziei pokładanej w Synu, który go zbawił, i w miłości Ducha Świętego, który go uświęcił; a swoje po trzykroć potrójne modlitwy ofiarowywał Trzem Osobom przez Maryję w imię Jej radosnych, bolesnych i chwalebnych tajemnic.

W każdym z siedmiu dni tygodnia modlił się jeszcze o to, by jeden z darów Ducha Świętego zstąpił w jego duszę i chronił ją codziennie przed siedmioma grzechami ciężkimi, które ją ongiś tak bardzo zbrukały; a modlił się o każdy z tych darów we właściwym, jemu przeznaczonym dniu, ufny, że go otrzyma, choć czasami dziwił się: czyżby mądrość, rozum i umiejętność były darami tak odmiennej natury, że o każdy z nich należy się modlić osobno? Wierzył jednak, że na pewnym przyszłym etapie jego duchowego rozwoju zniknie ta przeszkoda, kiedy grzeszna dusza podniesie się ze swej słabości, a Trzecia Osoba Trójcy Przenajświętszej obdarzy ją światłem. Wiara ta pogłębiała się jeszcze, gdy z drżeniem myślał o Boskim przybytku mroku i ciszy, tam bowiem bytuje niewidzialny Paraklet, którego symbolami są gołąb i wiatr porywisty, a grzech przeciwko Niemu jest grzechem nie do przebaczenia; to wieczny, tajemniczy, ukryty Byt, któremu jako Bogu kapłani odprawiają w ofierze mszę świętą raz w roku, odziani w szkarłat będący kolorem języków ognia.

Obrazy, które w czytanych przez Stephena nabożnych książkach zaciemniały istotę i powinowactwo Trzech Osób Trójcy Świętej – Ojciec, który rozmyśla przez wieczność jak przed zwierciadłem nad swoją Boską Doskonałością i w ten sposób płodzi

wiecznie Wiekuistego Syna i Ducha Świętego pochodzącego odwiecznie od Ojca i Syna – łatwiej było przyjąć jego rozumowi dzięki ich majestatycznej niepojętości aniżeli prosty fakt, że Bóg miłował duszę jego odwiecznie, na wieki całe, zanim przyszedł na świat, na wieki całe, zanim świat ten powstał.

Słyszał już, z jaką powagą nazywano na scenie i na ambonie obie namiętności, miłość i nienawiść, widział, jak w księgach wyróżniano je poważną, tłustą czcionką, i zastanawiał się, czemu dusza jego nie potrafi udzielić im schronienia, choćby na krótką chwilę, ani zmusić ust, by z przekonaniem wymówiły owe słowa. Przyoblekał go często krótkotrwały gniew, ale nigdy nie udawało mu się zamienić tego uczucia w trwałą namiętność i czuł zawsze, że wyzwala się z gniewu, jakby jego ciało ktoś bez trudu rozdziewał z zewnętrznej skóry lub powłoki. Czuł, że jakaś podstępna, mroczna i szemrząca istota wnika w jego jestestwo i rozpala w nim krótkotrwałą, niegodziwą żądzę; ona też była nieosiągalna, a po jej odejściu umysł jego stawał się przejrzysty i obojętny. To, jak się wydawało, było jedyną miłością, tamto – jedyną nienawiścią, którym dusza jego udzielała schronienia.

Ale nie mógł dłużej wątpić w realność miłości, albowiem sam Bóg umiłował jego indywidualną duszę swoją Boską odwieczną miłością. Stopniowo, wraz ze wzbogacaniem się jego duszy o duchową wiedzę, dostrzegał też, jak cały świat zamienia się w jeden przepastny, symetryczny wyraz Bożej mocy i miłości. Życie jawiło mu się jako Boski dar, za którego każdą chwilę i każde doznanie, choćby miał to być zaledwie widok samotnego liścia zwisającego z gałązki na drzewie, dusza jego winna wielbić Darczyńcę i dzięki Jemu składać. Świat, pomimo swej materialności i złożonej postaci, zaistniał teraz dla jego duszy jedynie jako teoremat Boskiej mocy, miłości i powszechności. To poczucie Boskiej myśli w całej przyrodzie, które stało się udziałem jego duszy, było tak wszechobejmujące i bezwzględne, że nie rozumiał potrzeby dalszego życia. Ale życie to było częścią Boskiego Planu i nie śmiał podawać w wątpliwość jego znaczenia, on, właśnie on, który zgrzeszył tak ciężko i tak ohydnie przeciw Boskim zamiarom.

Dusza jego, potulna i pomniejszona przez świadomość jednej, wiecznej, wszechobecnej, doskonałej rzeczywistości, ponownie wzięła na siebie brzemię pobożnych praktyk: msze, modlitwy, sakramenty i umartwienia, i dopiero wtedy, po raz pierwszy od czasu, gdy rozmyślał nad wielką tajemnicą miłości, poczuł w sobie ciepłą falę, która przypomniała mu nowo narodzone życie albo też cnotę duszy. Ekstatyczne pozy przedstawiane w dziełach sztuki sakralnej, uniesione i rozwarte ręce, rozchylone wargi i oczy jak u kogoś, kto lada chwila osunie się omdlały, były dla niego obrazem duszy oddającej się modlitwie, ukorzonej i omdlewającej przed obliczem Stwórcy.

Ale ostrzegano go przed zagrożeniami płynącymi z duchowych uniesień; nie pozwalał więc sobie na zaniechanie modlitwy choćby najprostszej i najskromniejszej, starał się raczej poprzez nieustanne umartwianie odpokutować swą grzeszną przeszłość, niż osiągnąć najeżoną niebezpieczeństwami świętość. Każdy zmysł poddawał rygorystycznej dyscyplinie. Aby umartwić zmysł wzroku, nakazał sobie chodzić po ulicach ze spuszczonymi oczyma, bez oglądania się w prawo, w lewo czy za siebie. Oczy jego uciekały przed spotkaniem niewieściego wzroku. Od czasu do czasu nagłym wysiłkiem woli udaremniał im pracę, na przykład unosząc je nagle w trakcie niedokończonego zdania i pospiesznie zamykając książkę. Aby umartwić zmysł słuchu, zupełnie nie próbował zapanować nad mutującym wówczas głosem, nie śpiewał ani nie gwizdał i nie uciekał przed dźwiękami, które boleśnie drażniły mu nerwy, takimi jak ostrzenie noży na osełce, zbieranie szufelką popiołu w kominku i szczotkowanie dywanów. Umartwienie węchu było zadaniem trudniejszym, nie odkrył bowiem w sobie instynktownego wstrętu do smrodu, bez względu na to, czy byłyby to zapachy świata zewnętrznego, na przykład woń łajna i smoły, czy zapachy własnego ciała, oba rodzaje poddawał dziwnym badaniom i porównywał ze sobą. Odkrył na przykład, że jedyną wonią, na którą jego zmysł powonienia reaguje obrzydzeniem, jest zatęchły rybi smród przypominający zapach starego moczu; kiedy tylko mógł, wystawiał się na działanie tego nieprzyjemnego zapachu. Aby umartwić zmysł smaku, zachowywał sztywne reguły przy stole, przestrzegał co do

joty wszystkich postów nakazanych przez Kościół i próbował nie myśleć o smaku spożywanych potraw. Ale największą pieczołowitość i pomysłowość przejawiał w umartwianiu zmysłu dotyku. W łóżku nigdy nie zmieniał ułożenia ciała, siedział w najbardziej niewygodnych pozycjach, cierpliwie znosił każde swędzenie i ból, trzymał się z dala od ognia, przez całą mszę nie wstawał z kolan, z wyjątkiem czytania Ewangelii, nie wycierał mokrej szyi i twarzy, by mogło je uszczypnąć powietrze, a kiedy nie odmawiał różańca, trzymał ramiona sztywno po bokach jak biegacz i nigdy nie wkładał rąk do kieszeni ani nie splatał ich z tyłu.

Nie odczuwał pokusy grzechu śmiertelnego. Ze zdziwieniem odkrył jednak, że nawet pod koniec zawiłych ćwiczeń pobożności i samoograniczenia nadal łatwo popełnia dziecinne i niegodne błędy. Jego modlitwy i posty nie zdawały się na wiele w uśmierzaniu gniewu, który rodził się na dźwięk kichania matki albo kiedy ktoś przeszkadzał mu w nabożnych praktykach. Jedynie niewyobrażalnym wysiłkiem woli mógł opanować impuls, który zmuszał go do wyrzucenia z siebie takiego rozdrażnienia. Obrazy wybuchów prostackiej wściekłości, których często był świadkiem u nauczycieli, ich wykrzywione usta, zaciśnięte wargi i rozpalone policzki, budziły się w jego w pamięci i przez porównanie zniechęcały go, mimo że ćwiczył się w pokorze. Zadanie stopienia własnego żywota z powszechną falą życia było dla niego trudniejsze niż praktykowanie postu czy modlitwy, a uporczywa nieumiejętność zadowalającego sprostania temu zadaniu wzbudzała w nim poczucie duchowego wyjałowienia, pomnażając wątpliwości i skrupuły. Dusza przemierzała spustoszony kraj, w którym nawet sakramenty wydawały się wyschniętym źródłem. W spowiedzi znajdowały ujście jego sumiennie zapamiętywane wady, którym nie towarzyszyła skrucha. Przystępowanie do Eucharystii nie było już źródłem oswobadzających chwil dziewiczego oddania się, jakim było to duchowe poczucie wspólnoty, którego doświadczał czasami po adoracji Najświętszego Sakramentu. Modlił się wtedy ze starego zapomnianego modlitewnika świętego Alfonsa Liguoriego, z zanikającym drukiem i zniszczonymi, wyblakłymi kartkami. Wydawało się, że duszy jego objawia się wyblakły świat żarliwej

miłości i dziewiczych odpowiedzi podczas lektury tych stron, na których obrazy kantyczek splatały się z modlitwami komunikowanego. Jakiś niesłyszalny głos zdawał się pieścić mu duszę, podpowiadając mu imiona i racząc słowami chwały, prosząc, by powstała jak na zaślubiny i poszła[1], by patrzyła wprzód, jak oblubienica, z wierzchołka Amany i z gór lamparcich[2]; a dusza zdawała się odpowiadać tym samym niesłyszalnym głosem, oddając się bez reszty: *Inter ubera mea commorabitur*[3].

Myśl o oddawaniu się niebezpiecznie go teraz pociągała, czuł bowiem, że duszę jego nękają natrętne głosy ciała, które znowu szeptem zaczęły wkradać mu się do ucha podczas modlitw i medytacji. Doznawał głębokiego poczucia własnej mocy, kiedy uświadamiał sobie, że jednym przyzwalającym słowem, jedną chwilową myślą mógłby zniweczyć całą swoją pracę. Wydawało mu się, że czuje, jak do jego bosych stóp podchodzi z wolna powódź, i czekał, aż pierwsza blada, bojaźliwa i bezgłośna fala liźnie jego rozgorączkowaną skórę. A kiedy czuł już nieomal to liźnięcie i nieomal gotów był udzielić mu grzesznego przyzwolenia, uzmysławiał sobie, że stoi na suchym brzegu, daleko od tej powodzi, ocalony dzięki nagłej interwencji woli albo nagłej modlitwie; a kiedy dostrzegał w oddali srebrzystą linię powodzi i fale sunące niespiesznie ku jego stopom, nowy dreszcz mocy i zadowolenia wstrząsał jego duszą na myśl, że się nie poddał ani nie zniweczył niczego.

Po wielekroć już uciekał w ten sposób przed tą powodziową falą pokus, zaczął więc niepokoić się i zastanawiać, czy aby łaski, której nie chciał utracić, ktoś nie próbuje mu kawałek po kawałku uszczknąć. Niewzruszone przekonanie o własnej odporności osłabło, a jednocześnie zrodził się w nim nieokreślony lęk, że jego dusza upadła, choć nie jest tego świadoma. Z trudem odzyskał dawną świadomość stanu łaski, mówiąc sobie, że modlił się do Boga, doświadczając każdej pokusy, i że ta łaska, o którą błagał, musiała mu być dana, skoro Bóg nie może jej nikomu odmówić. Pokusy przybierały postać tak uporczywą i zwyrodniałą, że zrozumiał w końcu całą wyczytaną z ksiąg prawdę o próbach, przez które musieli przechodzić święci. Uporczywe i zwyrodniałe pokusy

dowodziły, że warownia duszy nie padła, a rozsierdzony diabeł próbuje doprowadzić ją do upadku.

Często, kiedy wyspowiadał się już ze swoich wątpliwości i skrupułów, z chwilowej nieuwagi podczas modlitwy, z iskry prostackiego gniewu w duszy, z podstępnych intencji w mowie lub uczynku, spowiednik prosił go, żeby wyznał jakiś grzech z przeszłego życia, zanim uzyska rozgrzeszenie. Z pokorą i wstydem nazywał ten grzech i jeszcze raz za niego żałował. Czuł się upokorzony i zawstydzony, bo myślał, że nigdy się od niego w pełni nie uwolni, choćby żył świątobliwym życiem, rozwijając cnoty i zalety. Dręczące poczucie winy towarzyszyło mu nieustannie: wyznawał grzechy, żałował za nie, otrzymywał rozgrzeszenie, wyznawał winy ponownie i znowu żałował, i znowu otrzymywał rozgrzeszenie, bezowocnie. Może ta pierwsza, pospieszna spowiedź, do której przymusił go strach przed piekłem, była nieważna? A może, owładnięty myślą tylko o swoim nieuchronnym potępieniu, nie okazał szczerego żalu za grzech? Ale przecież najpewniejszym znakiem, że spowiedź jego była ważna i że za grzech ten odczuwał szczery żal, była poprawa jego życia.

– Czyż nie poprawiłem swojego życia? – pytał sam siebie.

* * *

Dyrektor stał w niszy okiennej, odwrócony plecami do światła, opierając łokieć na brązowej, poprzecznej ramie, a kiedy mówił i uśmiechał się, kołysał leniwie sznurem żaluzji i zaplatał na nim węzły. Stephen stał przed dyrektorem, przez chwilę śledził oczyma gasnące nad dachami światło długiego letniego dnia albo powolne, zwinne ruchy księżowskich palców. Twarz księdza tonęła w całkowitej ciemności, ale światło dnia gasnące za jego plecami muskało głęboko żłobione skronie i wypukłości czaszki. Stephen wsłuchiwał się w rytmy i pauzy w głosie księdza, kiedy ten rozprawiał, z powagą i serdecznością, o rzeczach bez znaczenia: o wakacjach, które się właśnie skończyły, szkołach zakonu za granicą, przenosinach profesorów. Poważny i serdeczny głos snuł

swobodnie swoją opowieść, a w przerwach Stephen poczuwał się do obowiązku pobudzania jej pełnymi szacunku pytaniami. Wiedział, że opowieść ta stanowi zaledwie preludium, umysł jego wyczekiwał więc ciągu dalszego. Od kiedy doniesiono mu, że dyrektor wzywa go do siebie, rozmyślał usilnie nad znaczeniem tej wiadomości; a podczas długiego, niecierpliwego czekania na przyjście dyrektora, kiedy siedział w gimnazjalnym saloniku, wzrokiem wędrował po obrazach o stonowanej kolorystyce, które wisiały na ścianach, a myślą – od domysłu do domysłu, aż sens tego wezwania stał się niemal jasny. A kiedy zapragnął, by jakaś nieprzewidziana przyczyna powstrzymała dyrektora przed wejściem do pokoju, usłyszał obrót klamki u drzwi i szelest sutanny.

Dyrektor począł opowiadać o zakonach dominikanów i franciszkanów, a także o przyjaźni świętego Tomasza ze świętym Bonawenturą. Kapucyni, jak sądził, noszą jednak habity, które są zanadto…

Twarz Stephena odwzajemniła się księdzu równie pobłażliwym uśmiechem, a nie mając ochoty wyrażać w tej sprawie własnego zdania, poruszył tylko wargami, nieznacznie i powątpiewająco.

– Dochodzą mnie słuchy – ciągnął dyrektor – że kapucyni rozważają możliwość odejścia od tego zwyczaju i pójścia w tej mierze za przykładem innych franciszkanów.

– Rozumiem, że zachowają go jednak w klasztorach – powiedział Stephen.

– Och, bezsprzecznie – rzekł dyrektor. – Do klasztoru się nadaje, ale na ulicy nie powinni się w tym pokazywać, nie mam racji?

– Taki habit, jak mniemam, to rzecz wielce kłopotliwa.

– Oczywiście, że kłopotliwa. Wyobraź sobie, że kiedy byłem w Belgii, widziałem, jak jeżdżą na rowerach, pogoda nie pogoda, i podwijają go sobie nad kolana! Paradne, doprawdy. *Les jupes*, tak nazywają te habity w Belgii.

Samogłoska była tak zniekształcona, że prawie nie do rozpoznania.

– Jak je nazywają?

– *Les jupes*.

– Aha.

Stephen uśmiechnął się w odpowiedzi na uśmiech, który wszakże na ocienionej twarzy księdza trudno było dostrzec; tylko jego obraz lub widmo przemknęło mu pospiesznie przez umysł, kiedy cichy, ostrożny akcent obcego słowa zabrzmiał mu w uszach. Patrzył spokojnie przed siebie, wpatrując się w gasnące niebo, ciesząc się z ochłody, jaką niesie wieczór, i z nikłej żółtawej poświaty, która skrywała drobniutki płomyk jarzący mu się na policzku.

Nazwy różnych części niewieściego stroju lub pewnych miękkich i delikatnych tkanin, z których szyto te stroje, przywodziły mu zawsze na myśl zapach łagodny i grzeszny. Jako chłopiec wyobrażał sobie, że lejce w końskiej uprzęży są wąskimi, jedwabnymi wstążeczkami, i przeżył prawdziwy wstrząs, kiedy w Stradbrooke poczuł w dłoniach tłustą skórę. Wstrząsem dla niego była też chwila, kiedy po raz pierwszy dotknął drżącymi palcami szorstkiej materii kobiecych pończoch, albowiem, nie zapamiętując z lektur niczego poza tym, co zdało mu się echem lub zapowiedzią jego własnego stanu, miał odwagę wyobrażać sobie duszę lub ciało kobiety, tak wdzięczne i lekkie w swych ruchach, tylko pośród wierszy utkanych z delikatnych słów albo pośród tkanin delikatnych niczym płatki wieńczące krzew róży.

Ale słowa na księżych wargach nie były szczere, wiedział bowiem, że księdzu nie przystoi rozprawiać swawolnie o takich sprawach. Tymczasem słowa te wypowiedziane zostały swawolnie nie bez kozery, a Stephen poczuł, że po jego twarzy wędrują badawcze, skryte w cieniu oczy. Wszystko, co kiedykolwiek słyszał lub czytał o przebiegłości jezuitów, uznawał szczerze za wymysł nieznajdujący potwierdzenia w jego własnym doświadczeniu. Profesorowie, nawet jeśli mu nie imponowali, wydawali się zawsze inteligentnymi i poważnymi księżmi, wysportowanymi i tryskającymi życiem. Przedstawiał ich sobie jako mężczyzn, którzy obmywają się dziarsko zimną wodą i noszą czystą, chłodną bieliznę. W ciągu tych długich lat, kiedy mieszkał wśród nich w Clongowes i Belvedere, tylko dwa razy dostał baty i choć na nie z pewnością nie zasłużył, wiedział, że często udawało mu się kary uniknąć. W ciągu tych długich lat nigdy nie usłyszał z ust któregokolwiek z profesorów frywolnej wypowiedzi; to oni odkrywali przed nim

tajniki wiary chrześcijańskiej i nakłaniali do cnotliwego życia, a kiedy popadł w grzech ciężki, to właśnie oni sprowadzili go z powrotem do stanu łaski. Onieśmielali go w Clongowes, kiedy był jeszcze gołowąsem; onieśmielali go też później, w Belvedere, kiedy przyszło mu znaleźć się w tej dwuznacznej pozycji ucznia zwolnionego z opłat. Trwała tego świadomość towarzyszyła mu aż do ostatniego roku szkolnego życia. Ani razu nie był nieposłuszny, nigdy nie pozwolił, by rozgorączkowani koledzy odwiedli go od nawyku cichego posłuszeństwa: a nawet kiedy jakiś pogląd któregoś z profesorów budził jego wątpliwości, nigdy nie przychodziło mu do głowy, by wyrażać je publicznie. Ostatnio niektóre ich sądy trąciły mu dziecinadą i doprowadzały do tego, że odczuwał żal i litość, jakby wychodził powoli ze znanego sobie świata i po raz ostatni słuchał jego języka. Pewnego dnia, kiedy gromadka chłopców skupiła się wokół księdza pod zadaszeniem niedaleko kaplicy, usłyszał słowa duchownego:

– Wierzę, że lord Macauley nigdy w życiu nie popełnił grzechu śmiertelnego, to znaczy nie popełnił takiego grzechu świadomie.

Któryś z chłopców zapytał wtedy księdza, czy Victor Hugo jest największym francuskim pisarzem. Ksiądz odpowiedział mu, że Victor Hugo, odkąd zwrócił się przeciwko Kościołowi, nie pisał ani w połowie tak dobrze jak wtedy, kiedy był katolikiem.

– Ale jest wielu znakomitych francuskich krytyków – dodał – którzy twierdzą, że nawet Victor Hugo, choć niewątpliwie był wielkim pisarzem, nie pisał stylem francuskim tak czystym jak Louis Veuillot.

Nikły płomyk, który rozpaliła na jego policzku aluzja księdza, znów przygasł, a wzrok Stephena wciąż tkwił nieruchomo wbity w bezbarwne niebo. Ale wątpliwości raz po raz przeszywały mu myśl. Zamaskowane wspomnienia przebiegały szybko przed oczyma: rozpoznawał sceny i osoby, ale świadom był tego, że nie udaje mu się dostrzec w nich jakichś istotnych okoliczności. Widział, jak szwenda się po boisku i ogląda zawody sportowe w Clongowes, i wyjada żelki z czapki do krykieta. Kilku jezuitów spaceruje po ścieżce rowerowej w towarzystwie dam. Niektóre słowa używane

w Clongowes rozbrzmiewały echem w dalekich jaskiniach jego umysłu.

Kiedy wsłuchiwał się w te odległe oddźwięki, siedząc w ciszy saloniku, nagle uzmysłowił sobie, że ksiądz zwraca się do niego innym tonem:

– Posłałem dziś po ciebie, Stephenie, bo chciałbym porozmawiać z tobą o pewnej bardzo ważnej sprawie.

– Słucham, proszę księdza.

– Czy kiedykolwiek czułeś w sobie powołanie?

Stephen otworzył usta, by potwierdzić słowem „tak", ale w ostatniej chwili je wstrzymał. Ksiądz czekał na odpowiedź, po czym dodał:

– Chodzi mi o to, czy czułeś kiedykolwiek w sobie, w swojej duszy, pragnienie wstąpienia do naszego zakonu. Zastanów się.

– Czasami o tym myślałem – powiedział Stephen.

Ksiądz wypuścił z rąk sznurek od żaluzji, splótł dłonie i w zamyśleniu wsparł na nich brodę, jakby sam z sobą dzielił się myślami.

– W szkole takiej jak nasza – powiedział, przeciągając słowa – zawsze jest jeden chłopiec, może dwóch lub trzech, których Bóg powołuje do życia duchowego. Taki chłopiec wyróżnia się spośród swoich kolegów pobożnością i służy pozostałym dobrym przykładem. Inni patrzą na niego z podziwem; zdarza się, że koledzy z sodalicji wybierają go na prefekta. A ty, Stephenie, byłeś właśnie takim chłopcem, byłeś prefektem sodalicji Naszej Przenajświętszej Panienki. Kto wie, może to ty jesteś w naszej szkole chłopcem, którego Bóg zechciał powołać do swojej służby.

Silna nuta dumy, pogłębiająca powagę księżego głosu, przyspieszyła w odpowiedzi bicie serca Stephena.

– Stephenie, przyjęcie takiego wezwania – mówił ksiądz – jest największym zaszczytem, jakim Bóg Wszechmogący może obdarzyć człowieka. Żaden król, żaden cesarz nie ma na tej ziemi mocy, jaką ma sługa Boży. Żaden anioł czy archanioł w niebiesiech, żaden święty ani nawet Najświętsza Maryja Panna nie mają takiej mocy, jaką cieszy się sługa Boży: to władza kluczy, władza wiązania i rozgrzeszania, władza egzorcyzmowania, władza wypędzania

z istot Bożych złych duchów, które nad nimi panują, władza, moc, dzięki której nasz Ojciec Niebieski zstępuje na ołtarz i przybiera postać chleba i wina. Straszliwa i piękna to moc, Stephenie.

Płomyk znowu zamigotał mu na policzku, kiedy Stephen usłyszał w tym dumnym wezwaniu echo własnych dumnych rozmyślań. Jakże często wyobrażał sobie, że jest księdzem sprawującym ze spokojem i w pokorze tę straszliwą, piękną władzę, która wyzwala nabożny lęk w aniołach i świętych! Dusza jego z uwielbieniem oddawała się skrycie rozmyślaniom o tym pragnieniu. Wyobrażał sobie, że jest młodym, milkliwym księdzem, że wchodzi pospiesznie do konfesjonału, wstępuje po stopniach ołtarza, rozpala kadzidło, klęka, wypełnia nie do końca jasne kapłańskie obrzędy, które przynoszą mu radość w naśladowaniu rzeczywistości i jednoczesnym oderwaniu się od niej.

W tym mglistym życiu, w które się zanurzał w swoich rozmyślaniach, przyjmował głosy i gesty podpatrzone u różnych księży. Uginał kolano jak ten ksiądz, nieznacznie potrząsał trybularzem jak inny, a jego ornat rozwiewał się niezapięty jak u jeszcze innego księdza zwracającego się ponownie w stronę ołtarza po udzieleniu wiernym błogosławieństwa. A ponad wszystko szczególną radość sprawiało mu to, że zajmuje drugie miejsce w tych mglistych scenach własnych wyobrażeń. Wzdragał się przed myślą o pełnieniu honorów celebransa, gdyż nie podobało mu się, że cała ta próżna pompa miałaby zakończyć się na jego osobie, a rytuał miałby wyznaczać mu rolę tak jednoznaczną i ostateczną. Marzył o skromniejszym urzędzie w Kościele, który pozwoliłby mu podczas sumy przywdziać tunicelę subdiakona, stanąć z dala od ołtarza, nie skupiając na sobie niczyjej uwagi, gdy jego ramiona okrywałby humerał przysłaniający fałdami patenę, albo po spełnieniu ofiary stanąć jako diakon w dalmatyce ze złoconą nicią o stopień niżej od celebransa, ze złożonymi rękoma i twarzą zwróconą ku wiernym, i zaintonować słowa *Ite, missa est*. Jeśli kiedykolwiek widział siebie w roli celebransa, to tak jak na obrazkach przedstawiających msze w jego dziecięcym mszaliku: w kościele bez wiernych, pustym z wyjątkiem anioła ofiary, przed nagim ołtarzem, w asyście akolity o niemal równie chłopięcej jak on powierzchowności. W niejasnych

obrzędach ofiarniczych lub sakramentalnych wola jego odczuwała potrzebę wyjścia rzeczywistemu światu na spotkanie; to na poły przez brak wyznaczonego rytuału zastygał w bezczynności; pozwalał wtedy, by cisza skrywała jego gniew lub dumę, albo przyjmował uścisk, którym sam chciał kogoś obdarzyć.

Słuchał z szacunkiem i w milczeniu wezwania księdza i słyszał jeszcze wyraźniej głos, który przebijał się przez te słowa, wzywał go, by podszedł bliżej, i obiecywał mu wiedzę tajemną i tajemną moc. Dowie się, na czym polega grzech Szymona Maga i czym jest grzech przeciwko Duchowi Świętemu, za który nie ma rozgrzeszenia. Pozna rzeczy niejasne, ukryte przed wzrokiem tych, którzy zostali poczęci i urodzili się jako synowie gniewu[4]. Pozna grzechy i grzeszne pragnienia, i grzeszne myśli, i grzeszne uczynki bliźnich, szeptane mu do ucha w konfesjonale, ustami kobiet i ustami dziewcząt, we wstydzie mrocznej kaplicy; ale jego dusza, która w tajemniczy sposób poprzez nałożenie rąk w czasie wyświęcenia znajdzie się pod szczególną opieką, przechodzić będzie nieskażona do ołtarza, miejsca białego spokoju. Na dłoniach, którymi wznosił będzie i łamał hostię, nie pozostanie ślad grzesznego dotknięcia; na wargach, zanurzonych w modlitwie, nie pozostanie ślad grzechu, przez który jadłby i pił własne potępienie, nie rozróżniając ciała Pańskiego[5]. Zachowa tę tajemną wiedzę i tajemną moc, bezgrzeszny jak niewiniątka – pozostanie kapłanem na wieki, według porządku Melchizedecha[6].

– Jutrzejszą mszę poranną – powiedział dyrektor – odprawię w twojej intencji, aby Bóg Wszechmogący odkrył przed tobą swoją świętą wolę. A ty, Stephenie, odmów nowennę do swojego patrona, pierwszego męczennika, który u Boga ma posłuchanie, ażeby Bóg użyczył ci swego światła. Musisz jednak być całkowicie pewien, Stephenie, że masz powołanie, gdyż byłoby rzeczą straszną, gdybyś stwierdził później, że takiego powołania nie było. Kiedy zostaniesz kapłanem, będziesz kapłanem na zawsze, pamiętaj o tym. Jak możesz przeczytać w katechizmie, sakrament kapłaństwa można otrzymać tylko raz, odciska on bowiem na duszy trwałe, duchowe znamię, którego już zetrzeć nie sposób. Dlatego musisz zważyć wszystko przed ślubami, potem bowiem nie będzie odwrotu. To

poważna sprawa, Stephenie, od niej może zależeć zbawienie twojej nieśmiertelnej duszy. A więc razem będziemy się modlić.

Otworzył szeroko ciężkie drzwi do sieni i uścisnął mu dłoń, jakby Stephen był już jego towarzyszem na kapłańskiej drodze. Stephen wszedł na szeroki taras ponad schodami i poczuł pieszczotę łagodnego, wieczornego powietrza. Ku kościołowi Findlatera szedł kwartet młodzieńców, trzymali się pod ręce, potrząsali głowami i stepowali do skocznej melodyjki wygrywanej na akordeonie przez swojego przewodnika. W jednej chwili muzyka ta, jak dzieje się to zawsze z pierwszymi taktami przypadkowo zasłyszanej melodii, rozlała się na fantastycznej tkaninie jego umysłu, rozmywając ją bezboleśnie i bezgłośnie, jak niespodziewana fala rozmywa wzniesione przez dzieci wieżyce z nadmorskiego piasku. Uśmiechając się na dźwięk tej prostej melodii, uniósł wzrok i spojrzał w twarz księdzu, a widząc, że odbija się w niej ponuro zmierzchający dzień, uwolnił powoli swoją dłoń, której podaniem wyraził, choć bez przekonania, swoje przyzwolenie na tę wspólną kapłańską drogę.

Kiedy schodził po schodach, jego burzliwe dyskusje ze sobą samym przywiodły mu na myśl smętną maskę na progu gimnazjum, w której odbijały się ostatnie promienie słońca. Cień gimnazjalnego życia rozścielił się na jego świadomości. Czekało go życie poważne i uporządkowane, i beznamiętne, życie bez materialnych trosk. Zastanawiał się, jak minie pierwsza noc jego nowicjatu i z jakim przerażeniem obudzi się na drugi dzień w dormitorium. Wróciła pamięć niepokojącej woni długich korytarzy w Clongowes, usłyszał dyskretny szept gazowych płomyków. W jednej chwili każdy zakątek jego duszy zaczął promieniować niepokojem. Potem pojawiło się gorączkowe przyspieszenie pulsu, a rozgwar bezsensownych słów rozproszył wyważone myśli. Płuca kurczyły się i zapadały, jakby wdychał coś ciepłego, wilgotnego, nieprzyjaznego, i poczuł znowu zapach ciepłego, wilgotnego powietrza, które unosiło się w łazience w Clongowes nad lepką, zalatującą torfem wodą.

Jakiś instynkt, który rozbudziły te wspomnienia, silniejszy niż wykształcenie czy pobożność, wzmagał się w nim z każdym krokiem zbliżającym go do tego życia, instynkt podstępny i wrogi, i uzbrajał

go przeciw uległości. Chłód i porządek takiego życia budziły w nim wstręt. Wyobrażał sobie, że wstaje w zimny poranek i idzie za innymi na mszę poranną, i próbuje bez skutku stłumić w sobie modlitwami ból brzucha, przez który robi mu się słabo. Wyobrażał sobie, że siedzi przy stole z gronem profesorskim jakiegoś gimnazjum. Cóż więc stało się z tą jego głęboko zakorzenioną nieśmiałością, która wzbudzała w nim niechęć do jedzenia i picia pod obcym dachem? Co stało się z dumą jego ducha, która kazała mu widzieć siebie zawsze poza regułą jakiegokolwiek zakonu?

Wielebny Stephen Dedalus SJ.

Imię i nazwisko, które miał przyjąć w tym nowym życiu, przybrały postać liter skaczących mu przed oczyma, a wraz z nimi zrodziło się w nim wewnętrzne wyobrażenie jakiegoś bliżej nieokreślonego oblicza lub tylko jego barwy. Oblicze to bladło, to jaśniało, jak mieniąca się poświata koloru bladej ceglanej czerwieni. Czy to właśnie tę surową rdzawą poświatę widywał tak często w zimowe poranki na ogolonych policzkach kapłanów? Oblicze to, pozbawione oczu, było zgorzkniałe, nabożne, upstrzone różowymi plamkami tłumionego gniewu. Czy nie był to widmowy obraz twarzy jednego z jezuitów, którego niektórzy chłopcy nazywali Łyskającą Szczeną, a inni Campbellem Chytruskiem?

Przechodził właśnie koło domu jezuitów na Gardiner Street i oddawał się mglistym rozmyślaniom, próbując zgadnąć, które okno będzie należeć do niego, jeśli kiedykolwiek wstąpi do zakonu. Potem rozmyślał nad mglistością swoich rozmyślań, nad tym, jak daleko jego dusza odeszła od miejsca, które uznawał za jej sanktuarium, a także nad wątłą władzą, jaką mają nad nim lata porządku i posłuszeństwa, skoro jedno jego postanowienie, stanowcze i nieodwołalne, może położyć kres ostateczny, w czasie i w życiu wiecznym, jego wolności. Głos dyrektora, prawiącego mu o dumnych prawach Kościoła oraz o tajemnicy i mocy urzędu kapłańskiego, na próżno powracał echem w jego pamięci. Dusza, która ów głos mogłaby usłyszeć i powitać, była już gdzie indziej, i wiedział, że wezwanie, które słyszał, zamieniło się w jałową, pustą mowę. Nigdy jako ksiądz nie rozkołysze trybularza przed tabernakulum. Inne jest bowiem jego przeznaczenie: pozostanie

poza wszelkim porządkiem społecznym lub religijnym. Mądrość słów dyrektora nie trafiła w czułą strunę jego duszy. Przeznaczone mu było nauczyć się własnej mądrości, z dala od innych, albo też nauczyć się cudzej mądrości podczas wędrówki przez najeżony sidłami świat.

Sidła tego świata to pokusy grzechu. Upadnie. Jeszcze nie upadł, ale upadnie cicho, w okamgnieniu. Zbyt trudno byłoby nie upaść, zbyt trudno; i poczuł, jak dusza nagle potyka się i pada, jak to się stanie w jednej z chwil, co nadejdą; i spada, spada, ale nie upada jeszcze, wciąż jeszcze nieupadła, ale przed upadkiem.

Przeszedł przez most nad strumieniem Tolka i rzucił chłodnym okiem na wyblakłą błękitną kapliczkę Błogosławionej Maryi Dziewicy, stojącą niby ptak na słupie w samym środku osiedla biednych chałup ustawionych w kształcie zgiętego kolana. Potem, skręcając w lewo, podążył aleją, która doprowadziła go do domu. Poczuł nikły, kwaśny zapach skisłej kapusty dobiegający z ogródków przykuchennych na wzniesieniu nad rzeką. Uśmiechnął się na myśl, że to właśnie nieporządek, bezład i rozgardiasz ojcowskiego domu, wraz z zastojem wegetacyjnego życia odniosły w jego duszy ostateczne zwycięstwo. Wtedy z ust wyrwał mu się krótki śmiech i pomyślał o samotnym parobku, nazywanym człowiekiem w kapeluszu, który pracował w ogródku warzywnym na tyłach ich domu. Kolejny wybuch śmiechu nastąpił bezwiednie, po krótkiej przerwie, po pierwszym wybuchu, kiedy Stephenowi przypomniał się sposób pracy owego człowieka w kapeluszu: najpierw, patrząc w niebo, obracał się na wszystkie strony świata, a potem z żalem wbijał w ziemię szpadel.

Pchnął pozbawione zamka drzwi wejściowe i przeszedł przez pusty korytarz do kuchni. Przy stole siedziała gromadka jego braci i sióstr. Było już prawie po podwieczorku, zobaczył tylko resztki dwukrotnie parzonej rozwodnionej herbaty na dnie małych szklanych kubków i słoiczków od powideł, które służyły za filiżanki. Porzucone okruszki i kawałki cukrzonego chleba, zbrązowiałe od rozlanej herbaty, zaśmiecały stół. Gdzieniegdzie na blacie lśniły kałuże herbaty, a nóż ze złamaną rękojeścią z kości słoniowej tkwił wbity w środek nadjedzonego paszteciku.

Smutna, cicha, szaroniebieska poświata konającego dnia wlewała się do kuchni przez okno i otwarte drzwi, przysłaniając i kojąc powoli nagłe poczucie winy, które odezwało się w sercu Stephena. Wszystko, czego im odmówiono, ofiarowano szczodrze jemu, najstarszemu z rodzeństwa, ale cicha poświata wieczoru nie ukazała jego oczom ani śladu rozgoryczenia na ich licach.

Usiadł obok nich przy stole i zapytał o ojca i matkę. Jedno z rodzeństwa odpowiedziało:

– Poboro szliboro szuboro kaćboro doboro muboro.

A więc kolejna przeprowadzka! Chłopiec o nazwisku Fallon w Belvedere pytał go często z głupkowatym uśmieszkiem na twarzy, dlaczego tak często się przeprowadzają. Pogardliwe zmarszczenie brwi zachmurzyło na chwilę jego czoło, kiedy zdało mu się, że znowu słyszy głupkowaty śmiech pytającego.

Zapytał:

– Dlaczego znowu musimy się wynosić, jeśli wolno spytać?

Ta sama siostra odparła mu:

– Boboro gosboro poboro darzboro chceboro nasboro wyboro rzuboro cićboro.

Głos najstarszego z braci siedzącego naprzeciw kominka zaczął śpiewać pieśń *Nieraz w noc cichą*. Pozostali bracia jeden za drugim przyłączali się do śpiewu, aż wkrótce zabrzmiał cały chór głosów. Często śpiewali tak godzinami, melodię za melodią, pieśń za pieśnią, aż zamierał na widnokręgu pożegnalny, coraz bledszy blask, aż nadciągały pierwsze czarne chmury mroku i nastawał zmierzch.

Czekał przez kilka chwil i przysłuchiwał się, aż wreszcie podjął z nimi tę pieśń. Z obolałą duszą słuchał tonów znużenia w ich słabych, świeżych, niewinnych głosach. Zanim jeszcze wyruszyli w podróż swego życia, czuli się tą podróżą znużeni.

Słyszał, jak chór głosów w kuchni odbija się echem i powiela w niezliczonych głosach w chórach niezliczonych pokoleń dzieci: a w głosach tych usłyszał echo powracającej nuty znużenia i bólu. Wszyscy zdawali się znużeni życiem, zanim je naprawdę rozpoczęli. I przypomniał sobie, że nutę tę usłyszał Newman w łamiących się wersach Wergiliusza: „wyrażała, niczym głos samej Natury, ten ból

i znużenie, a jednocześnie nadzieję lepszego świata, która była doświadczeniem jej dzieci w każdej epoce”[7].

* * *

Dłużej czekać już nie mógł.

Od drzwi piwiarni Byrona do bram kaplicy Clontarf, od bram kaplicy Clontarf do drzwi piwiarni Byrona, i z powrotem do kaplicy, i znowu do piwiarni, kroczył najpierw wolno, ostrożnie stawiając stopy tak, by mieściły się całe na jednej płycie chodnika, a potem ustalał ich rytm z rytmem wiersza. Minęła bez mała godzina od czasu, gdy ojciec z Danem Crosbym, tutorem, poszli dowiedzieć się czegoś w sprawie jego studiów na uniwersytecie. Przez całą godzinę chodził tam i z powrotem, ale dłużej czekać już nie mógł.

Ruszył gwałtownie w kierunku Bull’s Wall, szedł szybko, by ojciec nie przywołał go ostrym gwizdem; a po chwili skręcił za rogiem budynku policyjnych koszarów i był już bezpieczny.

Tak, matka sprzeciwia się temu pomysłowi – mógł to wyczytać z jej apatycznego milczenia. Ale brak zaufania, jaki u niej dostrzegł, ukłuł go boleśniej niż duma ojca, i Stephen uświadomił sobie całkiem beznamiętnie, że wiara, która w jego duszy gasła, w jej żarliwych oczach dojrzewała i krzepła. Pewien nikły jeszcze gniew nabierał w nim sił i kładł się cieniem niczym chmura na jego umyśle w odpowiedzi na tę matczyną nielojalność; kiedy zaś mijał, jak mija chmura, a umysł znowu osiągał spokój i Stephen stawał się matce posłuszny, rozumiał, nie do końca jasno, bez żalu, że doszło do pierwszego, bezgłośnego rozdźwięku w ich życiu.

Uniwersytet! A więc znalazł się poza zasięgiem władzy owych cerberów, którzy stali na straży jego chłopięctwa i wszelkimi siłami próbowali zatrzymać go w swoim kręgu, aby był im posłuszny i służył ich celom. Duma, która pojawiła się wraz z poczuciem zadowolenia, podniosła go na duchu niczym szeroka, leniwa fala. Cel, któremu przeznaczone mu było służyć, ale którego jeszcze nie widział, wskazał mu niewidoczną drogę ucieczki, a teraz ponownie go przyzywa i wkrótce otworzy się przed nim świat nowej przygody.

I zdało mu się, że słyszy dźwięk niecierpliwej muzyki, co wznosi się żwawo o ton, po czym o kwartę opada, wznosi o ton i o tercję opada, niczym trójgłowe płomienie, co strzelają niecierpliwe, a po nich kolejne płomienie i błyski z lasu o północy. To elfie preludium, bezgraniczne, bezkształtne; a gdy w coraz to większe szaleństwo wpadało i w pęd coraz większy, a płomienie z rytmu poczęły wypadać, zdało mu się, że słyszy spośród traw i spod gałęzi tętent dzikich stworzeń, w pościgu szalonym, których kopyta dudnią niczym krople deszczu o mokre listowie. Umysł jego rozbrzmiał chaotycznym tupotem rozpędzonych nóg – skoki zajęcy i królików, kopyta jeleni i saren, i antylop – póki nie ucichły, i już ich nie słyszał, i tylko przypomniał sobie tę dumną kadencję Newmana: „ich nogi niczym kopyta jeleni, pod nimi odwieczne ramiona”[8].

Duma bijąca z tego mglistego obrazu przywiodła mu na myśl dostojeństwo godności, której nie chciał przyjąć. Przez całe dzieciństwo rozmyślał nad nią, uważając ją za swoje przeznaczenie, a gdy nadeszła chwila, kiedy powinien okazać posłuszeństwo powołaniu, odwrócił się, posłuszny kapryśnemu instynktowi. Klamka zapadła: krzyżmo święceń kapłańskich już nigdy nie namaści mu ciała. Odmówił. Czemu?

Zszedł z drogi do Dollymount i skierował się ku morzu, a kiedy zbliżał się do chwiejnego, drewnianego mostu, poczuł, jak deski drżą od stąpania ciężko obutych stóp. Z Bull’s Wall wracała gromadka Braci Chrześcijan, dwójkami weszli na most. Niebawem cała konstrukcja trzęsła się i dudniła. Mijały go, w parach, prostackie twarze pokryte plamami, żółtymi lub czerwonymi, lub chorobliwie blade na tle morza, a kiedy spróbował się im przyjrzeć z wyrazem swobody i obojętności, jego oblicze zalało się rumieńcem wstydu i współczucia. Zły był na siebie, starał się skryć twarz przed ich spojrzeniem, spoglądając w bok, na płytką, wirującą wodę pod mostem, a mimo to widział w niej odbicie przekrzywionych kapeluszy i skromnych, wąskich jak tasiemka kołnierzyków, i obwisłych księżowskich szat.

Brat Hickey.

Brat Quaid.

Brat MacArdle.

Brat Keogh.

Ich pobożność jest pewnie taka sama jak ich nazwiska, jak ich twarze, jak ich strój, na próżno więc próbował się przekonać, że ich pokorne i skruszone serca być może spłacają Bogu daleko cenniejszą daninę pobożnych uczynków, niż czyniło to jego serce – daninę po dziesięćkroć milszą Bogu niż jego wyszukane hołdy. Na próżno więc próbował się przekonać, że winien okazać im wielkoduszność, że gdyby kiedykolwiek znalazł się u ich drzwi, odarty z pychy, poturbowany, w żebracze odziany łachy, każdy z nich okazałby mu wielkoduszność, pokochał jak siebie samego. Nie musiał wreszcie udowadniać sobie, z goryczą, wbrew beznamiętnemu swemu przekonaniu, że przykazanie miłości nie wzywa nas do miłowania bliźniego jak siebie samego miłością równie silną i namiętną, ale do miłowania bliźniego jak siebie samego miłością tego samego rodzaju.

Ze swego skarbczyka dobył jedno zdanie, po czym wypowiedział je cicho do siebie:

– Dzień nakrapianych, faloskrzydłych chmur.

Wers ten i ten dzień, i ta scena splotły się harmonijnie w jeden akord. Słowa. Czy to przez ich barwy? Pozwolił im lśnić i gasnąć, jedna barwa za drugą: złoto wschodzącego słońca, rdzawość i zieleń jabłoniowych sadów, lazur morskich fal, szarokresne runo obłoków. Nie, to nie ich kolory: to harmonia i równowaga samego rytmu. Czy kochał więc bardziej to rytmiczne wzlatanie i opadanie słów niż ich skojarzenia z rzeczami i kolorami? A może, mając wzrok równie słaby, jak nieśmiały miał umysł, czerpał mniejszą rozkosz z obrazu lśniącego świata zmysłów, przenikającego przez pryzmat wielobarwnego i bogatego znaczeniami języka, niż z kontemplacji wewnętrznego świata własnych uczuć odzwierciedlonych doskonale w zwinnej, klarownej prozie, w której to, co najważniejsze, pojawia się na końcu zdania?

Zszedł z rozkołysanego mostu na twardą ziemię. Miał wrażenie, że w tej jednej chwili powietrze się ochłodziło, spojrzał z ukosa na wodę i ujrzał nadciągający szkwał, który zasnuł ją cieniem i wzburzył toń. Nikłe uderzenia serca, nikłe pulsowanie w gardle przypomniały mu znowu, jak bardzo ciało jego nienawidzi zimnej, bydlęcej woni morza: a jednak nie poszedł wzgórzem, które

rozciągało się po lewej, ale ruszył prosto wzdłuż skalnego grzbietu wżynającego się klinem w ujście rzeki.

Słońce, przesłonięte mgielną zasłoną, słabym światłem muskało szarą przestrzeń wody, w której rzeka znajdowała swój kres. Daleko, z biegiem leniwie płynącej Liffey, smukłe maszty pstrzyły niebo, a jeszcze dalej rozmazany szkielet miasta rozciągał się w ciepłych oparach dnia. Niczym scena na tajemniczym arrasie, tak starym jak ludzkie znużenie, przebijał się przez ponadczasową jasność obraz siódmego miasta chrześcijańskiego świata: nie było ani starsze, ani bardziej znużone, ani mniej cierpliwe w swej uległości aniżeli w czasach duńskich najazdów.

Zniechęcony, podniósł wzrok ku płynącym powoli chmurom, nakrapianym i faloskrzydłym. Wędrowały przez pustynię nieba jak karawana koczowników, wędrowały wysoko nad Irlandią, ku zachodowi. Europa, skąd przybyły, leży daleko za Morzem Irlandzkim, Europa obcych języków, dolinna, lasami przybrana, fortecami obronna, Europa okopanych plemion i ludów w szyku stojących. Usłyszał, jak z wnętrza dobiega bezładna muzyka, niczym głos wspomnień i imion, których był niemal świadom, ale których nie mógł ani na chwilę pochwycić; potem mgławicowa ta muzyka zdawała się oddalać, dalej i dalej; a oddalając się, zostawiała za sobą ślad, długą smugę, z której ulatywała samotnie nuta, przeciągła i wołająca, i niczym gwiazda przeszywała pogrążoną w mroku ciszę. Znowu! Znowu! Znowu! Jakiś głos spoza świata go przyzywa.

– Hej, Stephanos!

– Oto nadchodzi sam Dedalus!

– Ao!… Ech, dawaj no, Dwyer, albo skuję ci mordę, że kurde popamiętasz… Ao!

– Poczciwina z ciebie, Towser! Skąpać go!

– No chodźże, Dedalus! Bous Stephanoumenos! Bous Stephaneforos[9]!

– Skąpać go! Towser, daj mu pożłopać!

– Ratunku! Ratunku!…. Ao!

Rozpoznał grupę po głosach, zanim zdołał rozróżnić poszczególne twarze. Sam widok tej plątaniny mokrych, nagich kończyn zmroził go do szpiku kości. Ich ciała, trupioblade lub

nasycone bladym złotym światłem, lub też spalone do żywego słońcem, lśniły morską wilgocią. Kamień, z którego skakali do wody, osadzony na rdzawych podpórkach i chyboczący się pod naciskiem ich stóp, oraz ostro ociosane kamienie pochyłego falochronu, na który gramolili się w swych igraszkach, lśniły zimnym, wilgotnym połyskiem. Ręczniki, którymi smagali się nawzajem, ciążyły od zimnej, morskiej wody; zimną, słoną wodą przesiąknęły także ich zmierzwione włosy.

Stał w bezruchu, uległy wobec ich pokrzykiwań, i odpierał ich zaczepki pierwszymi lepszymi słowami, jakie przychodziły mu do głowy. Wydawali mu się zupełnie nijacy: Shuley bez szerokiego odpinanego kołnierzyka, Ennis bez szkarłatnego paska z klamrą w kształcie węża i Connolly bez sportowej marynarki w jodełkę, z bocznymi kieszonkami bez patek! Ich widok sprawił mu ból; ból jakby od miecza sprawiły mu te oznaki dojrzewania, bo przez nie żałosna nagość chłopców wyglądała tak bardzo odrażająco. A może w ten właśnie sposób, w hałastrze i w hałasie, szukali ucieczki od skrytego strachu, jaki tlił się w ich duszach. A on, który się z nimi nie brata i milczy, przypomina sobie, jakim strachem przepełnia go tajemnica własnego ciała.

– Stephanos Dedalos! Bous Stephenoumenos! Bous Stephaneforos!

Ich zaczepki nie były dla niego pierwszyzną, mile łechtały dziś jego poczucie łagodnej i dumnej niezależności. Dziś, jak nigdy wcześniej, jego dziwne nazwisko zabrzmiało mu w uszach niczym proroctwo. Tak bezczasowe zdawało mu się szare, ciepłe powietrze, tak zmienny i bezosobowy jego nastrój, jakby wszystkie epoki stopiły się w jedną. Jeszcze przed chwilą duch starożytnego królestwa Duńczyków wyzierał zza szat spowitego oparami miasta. A teraz na dźwięk imienia mitycznego artysty zdawało mu się, że dociera do niego odgłos mrocznych fal i widzi uskrzydloną postać, która wzbija się nad te fale i wzlatuje powoli w niebo. Co to ma znaczyć? Czy to jakiś staroświecki ornament otwierający stronicę średniowiecznej księgi proroctw i symboli, jakiś człowiek sokolokształtny wzlatujący ku słońcu ponad morskie fale, proroctwo celu, któremu ma służyć od urodzenia i za którym

podążał, brnąc przez mgły dzieciństwa i wieku chłopięcego, symbol artysty, który w kuźni swojej wykuwa ponownie z bezwładnej, ziemskiej materii nową, wzlatującą nad ziemię, nieuchwytną i niezniszczalną istotę?

Serce w nim zadrżało; oddech przyspieszył, a jego członki przeniknął duch jakiś dziki, jakby to on sam wzlatywał ku słońcu. Serce zadrżało mu w ekstazie strachu, a dusza zerwała się do lotu. I szybowała w powietrzu poza granicami świata, a znane mu ciało dostąpiło oczyszczenia w jednym tchnieniu i pozbyło się niepewności, i zalśniło promiennie, i wniknęło w żywioł ducha. Ekstaza lotu rozpromieniła mu oczy, wyzwoliła w oddechu szaleństwo, a jego wiatrem chłostane członki rozedrgały się, szalone i promienne.

– Raz! Dwa!… Uważaj!

– Rany, mało żem się nie potopił!

– Raz! Dwa! Trzy i już! Dawaj!

– Ja teraz! Ja!

– Raz!… Uch!

– Stephaneforos!

Gardło bolało go od pragnienia głośnego krzyku, krzyku sokoła lub orła ponad chmurami, krzyku, co rozedrze powietrze i obwieści wichrom jego wyzwolenie. Był to krzyk życia skierowany do duszy, a nie nudny, prostacki głos świata obowiązków i rozpaczy, nie ten głos nieludzki, który wezwał go do marnej służby przy ołtarzu. Wyzwolenie przyniosła mu jedna chwila szaleńczego lotu, a okrzyk zwycięstwa, który na krótko powstrzymały jego usta, rozłupał mu mózg.

– Stephaneforos!

Czym jest teraz to wszystko, niczym, jak tylko całunem strząśniętym z truchła – ten strach, który dusił go noc i dzień, ta niepewność, która go zewsząd osaczała, ten wstyd, który go upokarzał przed nim samym i w oczach bliźnich – tylko całunem, bielizną grobową?

Dusza jego powstała z grobu chłopięctwa, zrzucając z siebie śmiertelne prześcieradła. Tak! Tak! Tak! Będzie tworzył dumnie, dzięki wolności i mocy swej duszy, jak ten wielki artysta, którego

imię nosi – rzeczy żywe, nowe, i piękne, i nad ziemię wzlatujące, nieuchwytne, niezniszczalne.

Zerwał się nerwowo z kamienia, bo nie mógł już dłużej dusić rozpalonego w żyłach ognia. Czuł, jak płoną mu policzki, a w krtani pulsuje pieśń. W stopach, które rozgorzały, by ruszyć na same krańce świata, wre żądza wędrówki. Dalej! Dalej! zdaje się krzyczeć serce. Nad morzem zmierzch wkrótce stężeje, mrok pokryje równiny, świt zamigocze przed oczyma wędrowca i wskaże mu obce pola, i wzgórza, i twarze. Dokąd?

Spojrzał na północ, w kierunku Howth. Morze ledwo opadło, ledwo cofnęło się za wrak na mieliźnie rozciągającej się po jednej stronie falochronu, a już podwodziem nadciągał bystro nowy przypływ. Już wyłoniła się długa, owalna, piaszczysta łacha, połyskliwa i sucha w objęciu fal. Tu i ówdzie ciepłe wysepki piachu lśniły nad płytkim przypływem, a wokół wysepek i wzdłuż długiego wybrzeża, i na przyplażowych mieliznach pojawiły się jasno przyodziane, radością przybrane postaci, brodzące w wodzie, bawiące się w piasku.

W jednej chwili był już bosy; zwinięte skarpetki schował do kieszeni, a tenisówki na zasupłanych sznurowadłach zwisały mu z ramion; wśród nabrzeżnych śmieci zobaczył zaostrzony kij, zżarty przez sól morską, podniósł go i zszedł ostrożnie po nachylonym falochronie.

Plażę przecinała długa rzeczka, a kiedy brodził leniwie w jej nurcie, myślał o niekończącym się falowaniu wodorostów. Były szmaragdowe, i czarne, i rdzawe, i oliwkowe i falowały pod powierzchnią, kołysząc się i kłaniając. Woda w rzeczce pociemniała od wszechobecnych wodorostów, a w jej lustrze przeglądały się chmury falujące wysoko na niebie. Chmury falowały nad nim w ciszy i w ciszy falowały pod nim morskie gąszcze; a szare ciepłe powietrze trwało w bezruchu, a nowe, szalone życie śpiewało w jego żyłach.

Gdzie się podziało jego chłopięctwo? Gdzie jest dusza, która uciekała przed swym przeznaczeniem, by w samotności rozpamiętywać hańbę odniesionych ran, a w przybytku plugastwa

i podstępu odgrywać królową w wyblakłych całunach i w wieńcach więdnących przy pierwszym dotyku? A wreszcie: gdzież jest on sam?

Nikt mu nie towarzyszył. Nikt go nie obserwował, przepełniało go szczęście, znalazł się w pobliżu dzikiego serca życia. Był sam, i młody, i chętny, i o dzikim sercu, sam wśród bezmiaru dzikiej przestrzeni i słonawych wód, i żniwa morskich muszli i wodorostów, w szarej słonecznej poświacie i pośród radości przybranych, jasno przyodzianych dzieci i dziewcząt, i pośród ich głosów dziecinnych i dziewczęcych unoszących się w powietrzu.

Jakaś dziewczyna stała przed nim pośrodku rzeki, samotna i nieruchoma, wpatrzona w morze. Zdawało mu się, że jest kimś, kogo czary zamieniły w dziwnego, pięknego morskiego ptaka. Jej długie, szczupłe i nagie nogi były wiotkie jak u żurawia i białe, z wyjątkiem tych miejsc, gdzie szmaragdowa smuga po wodorostach ułożyła się w znaki na jej ciele. Jej uda, pełniejsze, o miękkim odcieniu kości słoniowej, były obnażone niemal do bioder, gdzie białe koronki majteczek wyglądały jak upierzenie ptaka, jak miękki biały puch. Jej ciemnoszara spódnica była podkasana odważnie w pasie, a z tyłu zwisała na kształt gołębiego ogona. Jej pierś, jak u ptaka, była miękka i drobna, drobna i miękka jak pierś ciemnopiórej gołębicy. Ale jej długie jasne włosy były dziewczęce; i dziewczęca, z odrobiną cudowności, jaką ma w sobie piękno śmiertelników, była jej twarz.

Była sama i nieruchoma, wpatrzona w morze: a gdy poczuła jego obecność i cześć, jaką oddawał jej swymi oczyma, zwróciła się wzrokiem ku niemu w cichym przyzwoleniu na jego spojrzenie, bez wstydu i bez lubieżności. Długo, bardzo długo przyzwalała na to spojrzenie, po czym cicho wycofała się oczyma z dala od jego oczu i skierowała je ku strumieniowi, i delikatnie wzbudzała wodę, poruszając stopą to w jedną, to w drugą stronę. Pierwszy nikły dźwięk delikatnie poruszonej wody przełamał ciszę, cichy i nikły, i szepczący, nikły jak dzwon snu; w jedną i drugą stronę; to w jedną, to w drugą stronę; a na policzku zamigotał rumieniec.

– Ojcze Niebieski! – wykrzyknęła dusza Stephena, w wybuchu bezbożnej radości.

Szybko odwrócił się od niej i ruszył przez plażę. Policzki mu płonęły, ciało żarzyło się od ognia, a członki drżały. Szedł dalej, i dalej, i dalej, i dalej, daleko przez plażę i śpiewał morzu jak szaleniec, i krzyczał na powitanie początku nowego życia, które go krzykiem wzywało.

Jej obraz wniknął w jego duszę na zawsze i żadne słowo nie naruszyło świętej ciszy jego upojenia. Jej oczy wzywały go, a dusza jego poderwała się na to wezwanie. Żyć, błądzić, zwyciężać, stwarzać z życia nowe życie! Anioł szalony mu się objawił, anioł śmiertelnej młodości i urody, posłaniec z pięknych dworów życia, i rozwarł przed nim w chwili upojenia wrota wszystkich dróg błędu i chwały. Dalej, i dalej, i dalej, i dalej!

Zatrzymał się nagle i słyszał w ciszy bicie swego serca. Jak daleko zaszedł? Która to godzina?

W pobliżu nie było żadnej ludzkiej istoty, a wiatr nie niósł żadnego dźwięku. Ale przypływ już się kończył i dzień dobiegał kresu. Odwrócił się plecami do morza i pobiegł do nadbrzeża, i biegnąc po pochyłej plaży, nie bacząc na ostre kamyki, dotarł do piaszczystego zakątka opasanego pierścieniem piaszczystych pagórków, upstrzonych kępami traw, i położył się tam, a spokój i cisza wieczoru koiły jego wzburzoną krew.

Poczuł, że ma nad sobą olbrzymią, obojętną kopułę i ciała niebieskie w niespiesznym ruchu, a pod sobą ziemię, tę ziemię, która go zrodziła i przygarnęła do piersi.

Zamknął oczy w sennym rozleniwieniu. Zadrżały mu powieki, jakby pobudzone tym wielkim, cyklicznym ruchem Ziemi i czuwających nad nią planet; zadrżały, jakby pobudzone niesamowitym światłem nowego świata. Dusza opadała bezwładnie w ten nowy świat, fantastyczny, mglisty i niepewny jak świat na dnie morza, w którym rozmywały się wszelkie kształty i istoty. Świat, błysk czy kwiat? W przebłyskach i drżeniu, w drżeniu i rozkwitaniu, jaśniejące światło, otwierający się kwiat, który rozpościera się w nieskończonym rytmie ku sobie, jaśnieje głęboką purpurą i rozwija się, i gaśnie, by stać się różem najbledszym, liść za liściem i fala świetlna za falą, zatapiając całe niebo w łunach łagodnych, a każda łuna głębiej sięga niż poprzednia[10].

Zapadł wieczór, kiedy Stephen się zbudził, a piach i sucha trawa jego legowiska utraciły swój żar. Podniósł się powoli i przypomniawszy sobie doznaną we śnie ekstazę, westchnął z radości.

Wspiął się na wydmę i rozejrzał wokół. Wieczór już zapadł. Brzeg młodego księżyca rozcinał bladą przestrzeń nieba niczym brzeg srebrnej obręczy wbitej w szary piasek; a przypływ, przy cichym szepcie fal, nadciągał rączo ku lądowi, uwięziwszy na wyspach kilka ostatnich postaci w odległych rozlewiskach.

—

[1] Pieśń 2, 13.

[2] Pieśń 4, 18.

[3] „Między piersiami moimi pozostawać będzie", Pieśń 1, 13.

[4] Ef 2, 3.

[5] 1 Kor 11, 29.

[6] Ps 109, 4.

[7] John Henry Newman, *An Essay in Aid of a Grammar of Assent* (1881).

[8] John Henry Newman, *The Idea of a University Defined and Illustrated* (1852).

[9] *Bous* (gr.) – wół; *stephanos* (gr.) – wieniec. *Bous Stephaneforos* to wół przybrany w rytualne wieńce przed złożeniem go w ofierze; a *Bous Stephanoumenos* to w uczniowskiej grece „wołowa dusza".

[10] Por. Dante, *Boska komedia*, *Raj*, XXXIII, 115–120.

V

Wypił do dna trzecią filiżankę cienkiej herbaty i zaczął przeżuwać zebrane ze stołu okruchy przypiekanego chleba, zatopiwszy oczy w ciemnej toni dzbanka, z którego jak z szamba wyłowiono żółte resztki, a plama wokół naczynia przywołała mu na myśl ciemną, torfiastą wodę w ubikacji w Clongowes. Ktoś niedawno grzebał w kwitach z lombardu ze stojącego pod jego ręką pudełka, z którego teraz Stephen zatłuszczonymi palcami leniwie wyciągał niebieskie i białe kartki, pogryzmolone, zapiaszczone i pogniecione, z nazwiskami zastawców, takimi jak Daly czy MacEvoy.

1 para półbutów.

1 dz. surdut.

3 szt. bielizny.

1 męskie spodenki.

Odłożył je na bok i wpatrywał się w zamyśleniu w wieko pudełka, upstrzone plamkami po rozgniecionych wszach, i zapytał półświadomie:

– Czy zegar bardzo się teraz spieszy?

Matka ustawiła w pionie obtłuczony budzik, który leżał bokiem na kominku w kuchni, po czym na tarczy ukazała się za kwadrans dwunasta, i matka położyła go znowu na boku.

– Godzinę i dwadzieścia pięć minut – powiedziała. – To znaczy, że jest teraz faktycznie dwadzieścia po dziesiątej. Na miłość Boską, jak się nie pospieszysz, nie zdążysz na wykłady.

– Przygotuj mi wodę do mycia – poprosił Stephen.

– Katey, przygotuj Stephenowi wodę do mycia.

– Boody, przygotuj Stephenowi wodę do mycia.

– Nie mogę, toć się nie rozdwoję. Ty to zrób, Maggie.

Kiedy emaliowana miska znalazła się już w umywalce, a na pręcie zawisła stara rękawica do mycia, Stephen pozwolił, by matka wyszorowała mu szyję i wryła się w fałdki jego uszu i w zagłębienia nozdrzy.

– No tak – powiedziała – aż żal patrzeć, kiedy student tak zarasta brudem, że matka go musi szorować.

– Przecież lubisz to robić – odparł spokojnie Stephen.

Gwizd, który zdawał się przebijać bębenki w uszach, dobiegł ich z wyższego piętra, a matka wcisnęła Stephenowi do rąk mokry ręcznik i powiedziała:

– Wytrzyj się i pospiesz, na miły Bóg.

Drugi przenikliwy gwizd, gniewnie przedłużony, sprowadził jedną z dziewcząt na podest schodów.

– Tak, ojcze?

– Czy ta rozmamłana suka, ten twój, pożal się Boże, brat już poszedł?

– Tak, ojcze.

– Na pewno?

– Na pewno, ojcze.

– Hm!

Dziewczyna wróciła, dając mu znaki, by się pospieszył i cicho wyszedł tylnymi drzwiami. Stephen roześmiał się i powiedział:

– Ma dziwne pojęcie o rodzaju, skoro wydaje mu się, że suka to rodzaj męski.

– Wstydziłbyś się tak mówić, Stephenie – rzekła matka. – Zobaczysz, przyjdzie czas, że gorzko pożałujesz dnia, kiedy postawiłeś nogę w tych murach. Bo widzę, jak bardzo cię to odmieniło.

– Do zobaczenia wam wszystkim – pożegnał się Stephen, uśmiechnął się i przesłał całusa na pożegnanie.

Zaułek za kamienicą przesiąkł wodą, a kiedy Stephen schodził powoli, starannie stawiając kroki pomiędzy stertami zwilgotniałych odpadków, usłyszał zza muru krzyk szalonej zakonnicy z klasztornego domu wariatów.

– O Jezu! Jezu! O Jezu!

Wyrzucił z uszu ten krzyk gniewnym wstrząśnięciem głowy i raźno poszedł dalej, potykając się o gnijące śmieci; ból wstrętu i goryczy wżarł mu się w duszę. Gwizd ojca, zrzędzenie matki, wrzask niewidzialnej szalonej zakonnicy zdawały mu się dziś współbrzmieć z tymi wieloma głosami, które są kamieniem obrazy

dla jego młodzieńczej dumy i grożą jej upokorzeniem. Z niesmakiem przepędził z duszy nawet ich dalekie echo, ale kiedy szedł aleją i czuł, jak opatula go szare poranne światło, które sączy się przez ociekające drzewa, i kiedy wchłaniał dziwny, dziki zapach mokrych liści i wilgotnej kory, duszy jego nie toczyły już żadne zgryzoty.

Drzewa brzemienne deszczem, rosnące wzdłuż alei, wywoływały w nim, jak zwykle, wspomnienie dziewcząt i kobiet z dramatów Gerharta Hauptmanna; a wspomnienie ich pobladłych trosk i zapach opadający z mokrych konarów drzew wiązały się w sploty, tworząc cichy, radosny nastrój. Rozpoczął się poranny spacer przez miasto; miał przeczucie, że kiedy minie wysypisko śmieci na mieliźnie Fairview, odezwie się w nim klasztorna, srebrem żyłkowana proza Newmana; że kiedy przejdzie po North Strand Road, rzucając od niechcenia wzrokiem na wystawy sklepów spożywczych, przypomni mu się mroczny humor Guida Cavalcantiego i uśmiechnie się; że kiedy mijać będzie zakład kamieniarski Bairda na Talbot Place, duch Ibsena przeniknie go niczym ostry wiatr, ten duch kapryśnej chłopięcej urody; i że mijając poczerniały od brudu sklep marynarski po drugiej stronie Liffey, powtórzy pieśń Bena Jonsona, która zaczyna się od słów:

Sił mi nie ubyło, kiedym ciało złożył

Umysł Stephena, znużony tropieniem istoty piękna pośród widmowych słów Arystotelesa i Akwinaty, zwracał się często w poszukiwaniu rozkoszy ku wytwornym pieśniom poetów elżbietańskich. Umysł ten, w szaty wątpiącego mnicha przyobleczony, stawał częstokroć w cieniu pod oknami owej dawnej epoki, by wysłuchiwać muzyki lutnistów, to dostojnej, to znów krotochwilnej, albo perlistego śmiechu kortezanek, dopóki chichot nazbyt pospólstwem trącący, słowa jakoweś, od upływu czasu zmatowiałe, o chędożeniu i chuci w cnotę przybranej, nie ukąsiły jego mniszej dumy i nie wygnały z kryjówki.

Nauka, na której zgłębianiu spędzał dni i która pochłonęła go bez reszty, wyrywając z towarzystwa rówieśników, była tylko

mozaiką zgrabnych sentencji wyjętych z poetyki i psychologii Arystotelesa oraz z *Synopsis Philosophiae Scholasticae ad mentem divi Thomae*. Myśl jego była jak mrok, gęsty od zwątpień i nieufności do siebie samego, rozświetlany co jakiś czas błyskawicami intuicji, ale były to błyskawice tak czystego majestatu, że w chwilach tych świat znikał spod jego stóp, jakby przez ogień strawiony, a potem język zaczynał mu ciążyć, a wzrok pozostawiał bez odpowiedzi pytania innych oczu, czuł bowiem, że duch piękna spowija go niczym opończa i że przynajmniej w snach śnionych na jawie poznał to, co szlachetne. A gdy duma ta przelotna, która w milczeniu się ujawniała, przestawała mu towarzyszyć, radował się, że znowu nurza się w nurcie codziennego życia i już bez lęku, z lekkim sercem, mija na swej drodze plugastwo, zgiełk i gnuśność tego miasta.

Nad kanałem, niedaleko parkanu, ujrzał suchotnika o lalkowatej twarzy, w kapeluszu bez ronda, który drobnymi kroczkami schodził ku niemu po łukowatym moście; ubrany był w ciasno zapięty czekoladowy płaszcz, a złożony parasol trzymał niczym różdżkę na odległość piędzi lub dwu od siebie. Jest już pewnie jedenasta, pomyślał, i zajrzał do mleczarni, żeby sprawdzić, która godzina. Zegar w mleczarni wskazywał piątą za pięć, ale kiedy Stephen się odwrócił, usłyszał gdzieś w pobliżu inny zegar, niewidoczny dla oka, który wybił szybko i dokładnie jedenastą. Zaśmiał się, kiedy usłyszał jego bicie, gdyż zegar przywiódł mu na myśl MacCanna, którego ujrzał – przysadzistą postać w myśliwskiej marynarce i w bryczesach, z jasną kozią bródką – jak stoi na wietrze na rogu Hopkinsa i mówi:

– Dedalusie, jesteś typem antyspołecznym, co siedzi w kokonie. W przeciwieństwie do mnie. Ja otóż jestem demokratą. I będę pracował i działał na rzecz wolności społecznej, równości klasowej i równego statusu obu płci w przyszłych Stanach Zjednoczonych Europy.

Jedenasta! A więc spóźnił się też i na wykład. Jaki to dzień tygodnia? Zatrzymał się przy kiosku, by przeczytać datę w nagłówku gazety. Czwartek. Od dziesiątej do jedenastej – angielski; od jedenastej do dwunastej – francuski; od dwunastej do pierwszej – fizyka. Wyobraził sobie, że siedzi na wykładzie

z angielskiego, i poczuł, mimo odległości, niepokój i bezradność. Ujrzał potulnie pochylone głowy kolegów z roku, kiedy, jak im polecono, zapisywali w zeszytach liczby, definicje nominalne, definicje istotnościowe, przykłady, daty urodzin i śmierci, główne dzieła, opinie przychylne i nieprzychylne, jedne obok drugich. Jego głowa nie była pochylona, gdyż wędrował myślami daleko i bez względu na to, czy obserwował gromadkę studentów, czy też wyglądał przez okno na opustoszałe ogrody Stephen's Green, dobiegała go woń ponurej piwnicznej wilgoci i rozkładu. Inna głowa, tuż przed nim, w jednym z pierwszych rzędów, wyrastała pionowo nad pochylonymi kolegami niczym głowa księdza, który bez cienia pokory staje przed tabernakulum w imieniu zgromadzonych pokornie wokół niego wiernych. Jak to się dzieje, że ilekroć na myśl przychodzi mu Cranly, nie udaje mu się zobaczyć oczyma duszy pełnego obrazu jego ciała, a widzi jedynie głowę i twarz? Nawet teraz, na tle szarej draperii poranka, ma ją przed oczyma niczym senne widziadło, obraz głowy odciętej od tułowia albo maskę pośmiertną, zwieńczoną na skroniach koroną sztywnych, czarnych, sterczących pionowo włosów jak diadem królewski z żelaza. Kapłańska to twarz, kapłańska w bladości swojej, w szerokim rozstawieniu nozdrzy, w cieniach ścielących się pod oczyma i wzdłuż szczęki, kapłańska w zarysie warg długich i bezkrwistych, ozdobionych nikłym uśmiechem; Stephen, przypominając sobie, że opowiadał Cranly'emu o zamęcie swoim i niepokojach, i ciągotach duszy, dzień po dniu, noc po nocy, na co zasłuchany przyjaciel odpowiadał mu milczeniem, gotów był przypuszczać, że jest to oblicze kapłana grzesznika, który wysłuchuje spowiedzi ludzi, choć rozgrzeszać ich nie ma prawa, ale pamięć znowu przywołała spojrzenie jego oczu ciemnych i jakby niewieścich.

Poprzez ten obraz Stephen mógł przez chwilę zajrzeć do nieznanej, ciemnej jaskini rozmyślań, szybko jednak odwrócił od niej wzrok, czując, że jeszcze nie pora po temu, by się w niej zanurzyć. Ale belladonna, która pozbawiła sił jego przyjaciela, zdawała się rozsiewać wokół niego subtelne, śmiercionośne opary i uprzytomnił sobie, że wzrok jego wędruje pośród przypadkowych słów, po lewej i po prawej stronie, w ospałym zadziwieniu, że tak

niepostrzeżenie wyzuto te słowa z gotowego sensu, aż byle szyld z marnego sklepiku przykuwał jego uwagę niczym frazy jakiegoś zaklęcia, a dusza kurczyła się, wzdychając pod brzemieniem wieku, kiedy szedł aleją, mijając stosy słów martwego języka. Jego językowa świadomość odpływała z umysłu i kropla za kroplą skapywała do samych słów, które splatały się i rozplatały w kapryśnych rytmach:

Listeczki bluszczu płaczą na murze
Płaczą i plączą się listki na murze
Listeczki bluszczu płaczą na murze
Bluszczu listeczki żółte na murze
Listki, listeczki w górze na murze

Słyszał kto podobne dyrdymały? Boże Przenajświętszy! Słyszał kto o bluszczu płaczącym na murze? Żółty bluszcz – w porządku. Żółta kość słoniowa – też. A na przykład błyszczący bluszcz? Bluszcz, który błyszczy jak kość słoniowa?

Słowa te zalśniły w jego myślach jaśniej i promienniej aniżeli kość odpiłowana z żyłkowanych kłów słonia. Kość słoniowa, czyli *ivory*, *ivoire*, *avorio*, *ebur*. Jedno z pierwszych łacińskich zdań, jakie zapamiętał, brzmiało: *India mittit ebur*, przypomniał sobie przebiegłą, północną twarz rektora, który nauczył go rozprawiać o *Przemianach* Owidiusza dworską angielszczyzną – w języku, który figlarniał na samą wzmiankę o tuczniku, i czerepie, i połciach słoniny. Tych kilku rzeczy, które wiedział o zasadach łacińskiej prozodii, nauczył się z wysłużonej książki pióra pewnego portugalskiego księdza.

Contrahit orator, variant in carmine vates.

O kryzysach, triumfach i secesjach w historii Rzymu opowiadano mu w słowach pospolitych *in tanto discrimine*, a on próbował wejrzeć w codzienny świat tego miasta nad miastami poprzez słowa *implere ollam denariorum*, które rektor wypowiadał tak dźwięcznie, jakby napełniał garnek denarami. Stronice jego Horacego, nadgryzione zębem czasu, nigdy nie były zimne

w dotyku, nawet kiedy zimne były jego własne palce; były to ludzkie stronice: pięćdziesiąt lat wcześniej przewracały je ludzkie palce Johna Duncana Inverarity i jego brata Williama Malcolma Inverarity. Tak, te imiona widniejące na zszarzałej wyklejce brzmiały szlachetnie nawet dla tak nędznego łacinnika, jakim był Stephen, a zszarzałe wiersze rozsiewały wonie, jakby od wieków kąpały się w mircie, lawendzie i werbenie; ale mimo to doskwierała mu myśl, że na zawsze już zostanie płochliwym gościem na wielkiej uczcie światowej kultury i że mnisia nauka, za której pomocą próbował stworzyć własną estetykę, nie cieszy się w epoce, w której przyszło mu żyć, szacunkiem większym aniżeli pokrętny i dziwaczny język heraldyki i sokolnictwa.

Szary gmach Trinity[1], po jego lewej stronie, tkwiący w ciemnocie tego miasta jak wielki, niewyraźny kamień w ograniczającym go kręgu, ściągał ku ziemi jego myśli; a kiedy chodząc tam i z powrotem, próbował oswobodzić stopy z oków zreformowanego sumienia, natknął się na cudaczny pomnik narodowego poety Irlandii.

Spojrzał nań wzrokiem pozbawionym gniewu, albowiem postać ta – choć gnuśność ciała i duszy rozpełzła się po niej jak niewidzialne robactwo, po szurających stopach, po fałdach płaszcza, wokół służalczo pochylonej głowy – wydawała się z pokorą przyjmować to upokorzenie. Był to mityczny Firbolg w pożyczonej milezyjskiej pelerynie[2]: Stephen pomyślał o swoim przyjacielu Davinie, studencie z chłopskiej rodziny. Jego nazwisko było wśród uniwersyteckiej braci przedmiotem żartów, których jednak młody wieśniak nie brał sobie do serca, mówiąc:

– No, ulżyj sobie, Stevie, mam łeb grubo ciosany. Te wasze przezwiska spływają po mnie jak woda po gęsi.

Ta swojska, zdrobniała postać jego imienia w ustach przyjaciela sprawiła Stephenowi przyjemność, kiedy usłyszał ją po raz pierwszy, do swoich rozmówców zwracał się bowiem równie oficjalnie jak oni do niego. Często, kiedy przesiadując w pokoju Davina na Grantham Street, zamyślał się nad jego solidnymi buciorami, stojącymi w parach wzdłuż ściany, i do niewyrobionych uszu przyjaciela recytował cudze wersy i sentencje, skrywające jego własne tęsknoty

i smutki, surowy firbolgowski umysł słuchacza przyciągał ku sobie jego umysł i zarazem odpychał go: uwodził cichą, wrodzoną umiejętnością uprzejmego słuchania, dziwacznym zwrotem z dawnej angielszczyzny czy też fascynacją surową sprawnością ciała – albowiem mistrzem Davina był Michael Cusack[3], Celt; a zrażał go szybko i niespodziewanie jakąś myślą prostacką lub tępotą uczuć, lub drętwym wyrazem przerażenia w oczach, jakiego doświadcza dusza głodującej irlandzkiej wsi, gdzie każdego wieczoru dzwon wzywający do wygaszenia ognia nadal napawa strachem wszystkich jej mieszkańców.

Młody wieśniak wspominał tężyznę swego wujka sportowca Mata Davina z równą gorliwością, z jaką otaczał uwielbieniem przygnębiające legendy Irlandii. Jak głosiła plotka, w której rozpowszechnianiu znajdywali upodobanie jego koledzy, próbując za wszelką cenę nadać jakieś znaczenie jednowymiarowemu życiu na uniwersytecie, Davin był fenianem. Niańka uczyła go irlandzkiego i kształtowała surową wyobraźnię chłopca w półmroku irlandzkiej mitologii. Wobec tej mitologii, na której żadna indywidualność nie odcisnęła nigdy śladów piękna, i wobec jej powikłanych opowieści, które rozpleniły się, tworząc najrozmaitsze cykle, zajmował tę samą postawę co wobec religii Kościoła rzymskiego – postawę tępego, lojalnego sługi. Jego umysł, posłuszny hasłu, stawiał zbrojny opór jakimkolwiek myślom i uczuciom docierającym do niego z Anglii lub za pośrednictwem angielskiej kultury; a cały świat, który rozciągał się gdzieś poza Anglią, sprowadzał się w jego wyobraźni do francuskiej Legii Cudzoziemskiej, w której Davin chciał kiedyś służyć.

Łącząc tę ambicję z poczuciem humoru młodzieńca, Stephen często nazywał go gęsią domową[4]; w tym przezwisku kryła się irytacja, a jego ostrze skierowane było przeciwko powściągliwości przyjaciela w mówieniu i działaniu, która legła niczym przepaść między umysłem Stephena, skorym do roztrząsania zawiłych kwestii, a tajemnymi nurtami irlandzkiego życia.

Pewnego wieczoru młody wieśniak, użądlony brutalnym lub rozwiązłym słowem, którym Stephen bronił się przed chłodną ciszą intelektualnego buntu, odmalował przed jego oczyma dziwną scenę.

Obaj szli powoli do stancji Davina ciemnymi wąskimi uliczkami zamieszkanymi przez żydowską biedotę.

– Wiesz, Stevie, przydarzyło mi się coś dziwnego jesienią, na początku zimy, nie opowiadałem o tym nikomu, a tobie pierwszemu to mówię. Nie pomnę już, październik to był czy listopad. Musi październik, bo to było jeszcze, zanim my tu przyjechali, by się na studia zapisać.

Stephen skierował uśmiechnięte oczy na twarz przyjaciela, mile połechtany jego zaufaniem i gotów okazać mu współczucie z powodu jego prostackiej wymowy.

– Wyjechalim na cały dzień do Buttevant – nie wiem, czy wiesz, gdzie to jest – na mecz hokeja Zuchów Croke'a z Nieustraszonymi z Thurles, i na Boga, Stevie, to była dopiero zażarta walka. Mojego stryjecznego kuzyna Fonsy'ego Davina rozebrali tego dnia do rosołu i ustawili w bramce drużyny z Limerick, ale przez pół meczu biegał z napastnikami i darł się jak opętany. Nie zapomnę tego dnia nigdy. Jeden z Croke'ów zamierzył się na niego kijem i, Bóg mi świadkiem, mało brakowało, a walnąłby go w skroń. Och, na miły Bóg, gdyby ten kij go wtedy sięgnął, byłoby po człowieku.

– Cieszę się, że uszedł cało – powiedział Stephen, wybuchając śmiechem – ale to chyba nie jest ta dziwna rzecz, o której chcesz mi opowiedzieć?

– Wiesz, pewnie to cię nie zaciekawi, ale i tak ci powiem, że po meczu zrobił się taki harmider, żem się spóźnił na pociąg do domu i żadnej bryczki nie widzę, by mnie podwiozła, bo, takie już moje szczęście, tego samego dnia wiec jakiś zwołano w Castletownroche i wszystkie bryczki tego kraju tam się zjechały. Cóż było robić, mogłem zostać na noc lub puścić się piechotą. Ruszyłem więc w drogę i idę, i noc już zapada, kiedym doszedł do wzgórz w Ballyhoura; to nieźle ponad dziesięć mil od Kilmallock. A dalej ciągnie się, wiesz, ta długa, pusta droga.

Przy drodze nie uświadczysz żadnego chrześcijańskiego domu ni głosu nie usłyszysz. Ciemno jak w grobie, raz czy dwa zatrzymuję się pod drzewem jakimś, by pociągnąć fajeczkę i gdyby nie świeża rosa, wyciągnąłbym się na tej trawce i zasnął. A tu za zakrętem, co widzę: chałupa ze światełkiem w oknie. Podchodzę ja bliżej i pukam

do drzwi. Jakiś głos pyta, kto tam, a ja na to, żem na mecz w Buttevant przyjechał i wracam teraz pieszo do domu, i że uradowałby mnie kubek wody. Po jakimś czasie młoda kobieta otwiera mi drzwi i podaje wielki kubek mleka. Była już na pół rozebrana, jakby spać się kładła, kiedym do niej zapukał, i włosy ma rozpuszczone, a z figury i z tego czegoś w jej oczach domyślam się, że dziecko w sobie nosi. Zabawia mnie rozmową przez dłuższy czas przy drzwiach, a mnie się to dziwnym zdaje, gdyż pierś i ramiona ma gołe. Pyta, czy czasem strudzon nie jestem i czy nie chciałbym zatrzymać się u niej na noc. Powiada, że niby sama w domu i że mąż wyjechał świtem do Queenstown, coby siostrę odwieźć. A przez ten czas, Stevie, kiedy tak ze mną gada, to ślipkami mnie świdruje, a stoi koło mnie tak blisko, że słyszę, jak dycha. Oddaję jej wreszcie kubek, a ona chwyta mnie za rękę, próbuje wciągnąć przez próg do środka i dalej gada: a wejdź tu, a zostań tu na noc. Nie strachaj się, powiada, niczego. Nikogo tu nie ma, ino my… ale, Stevie, nie wszedłem. Ślicznie jej dziękuję, a jużci, i ruszam w drogę, a cały aż płonę. Na pierwszym zakręcie odwracam się, a ona ci nadal w drzwiach sterczy.

Ostatnie słowa opowieści Davina rozbrzmiały mu echem w pamięci, a kobieca postać z tej historii wyłoniła się z zakamarków wspomnień, odbita w innych postaciach wieśniaczek, które widział w drzwiach chłopskich chałup w Clane, kiedy mijały je szkolne powozy, i dostrzegł w niej typ jej plemienia, także jego plemienia, duszę dostrzegł w niej o kształcie nietoperza, co budzi się siebie świadoma w tym mroku, w tajemnicy i w samotności, po czym spojrzeniem, głosem i gestem prostodusznej niewiasty przyzywa do łoża nieznajomego mężczyznę.

Czyjaś dłoń spoczęła mu na ramieniu, a młodzieńczy głos wykrzyknął:

– Szanowny panie, dziewczynka tu na pana czeka! To bendom dzisiaj pierwsze kwiatki, pierwszy pienionżek na szczeńście. Kupi pan ten śliczny bukiecik? Szanowny pan kupi?

Modre kwiatki, które przed nim uniosła, i jej młode, modre oczęta zdawały mu się w owej chwili obrazem prostoduszności; przeczekał, aż obraz zniknie, a potem widział już tylko jej

postrzępioną sukienkę, i mokre zmierzwione włosy i łobuzerską buzię.

– Pan kupi, szanowny panie! Pan pamienta o swojej dziewczynce!

– Nie mam pieniędzy – powiedział Stephen.

– Pan kupi te pienkniutkie kwiatki, szanowny panie! Weźnie pan za pensa.

– Słyszałaś, co powiedziałem? – zapytał Stephen, nachylając się nad nią. – Powiedziałem ci przecież, że nie mam pieniędzy. Czy muszę powtarzać?

– No dobra, ja wiem. Jak Bóg da, bendzie je pan miał kiedy indziej – niemal natychmiast odparła dziewczyna.

– Być może – powiedział Stephen. – Ale to mało prawdopodobne.

Odszedł od niej szybkim krokiem, bał się bowiem, że jej poufałość może przerodzić się w kpinę, pragnął też usunąć się z drogi, zanim dziewczyna zaproponuje swój towar komuś innemu – jakiemuś angielskiemu turyście lub studentowi z Trinity. Grafton Street, którą kroczył, przedłużała tę chwilę przygnębiającego ubóstwa. Przypomniał sobie, że na jezdni przy końcu ulicy położono kiedyś płytę ku pamięci Wolfe'a Tone'a[5] i że uczestniczył z ojcem w jej odsłonięciu. Z goryczą powrócił pamięcią do tej sceny tandetnego hołdu. W breku siedziało czterech francuskich delegatów, a jeden z nich, pulchny i uśmiechnięty młodzieniec, trzymał na kiju tablicę, na której wypisane były słowa: *Vive l'Irlande!*

Ale drzewa na Stephen's Green pachniały deszczem, a nasączona wilgocią ziemia wydzielała cmentarny fetor, przebijającą się przez warstwy ziemi delikatną woń wielu serc. Dusza tego wspaniałego, zepsutego miasta, o którym opowiadali mu starsi, skurczyła się z czasem do delikatnej cmentarnej woni unoszącej się z ziemi i wiedział, że za chwilę, kiedy wejdzie do ponurego gmachu kolegium, uświadomi sobie zepsucie innego rodzaju niż to, które stało się udziałem Bysiora Egana i Whaleya Podpalacza.

Było już za późno, żeby pójść na piętro na zajęcia z francuskiego. Przeszedł przez sień i skręcił w korytarz po lewej, który prowadził do

sali fizyki. Korytarz tonął w mroku i ciszy, ale ktoś nad nim ani chybi czuwał. Skąd to wrażenie, że ktoś tutaj czuwa? Czy dlatego że, jak słyszał, za czasów Bysiora i Whaleya kryły się tu jakieś tajemne schody? A może ten jezuicki budynek jest budowlą eksterytorialną, a on idzie pośród gości przybyłych z obcych lądów? Irlandia Tone'a i Parnella zdawała się cofać w przestrzeni.

Otworzył drzwi do sali i stanął w mroźnym, szarym świetle, które z trudem przeciskało się przez zakurzone okna. Jakaś postać klęczała przed wielkim kominkiem, a że była chuda i szara, domyślił się, że to prodziekan roznieca ogień. Stephen bezgłośnie zamknął za sobą drzwi i podszedł do kominka.

– Dzień dobry księdzu! Czy mogę pomóc?

Ksiądz szybko podniósł wzrok i odpowiedział:

– Niech pan poczeka chwilkę, panie Dedalus, a zobaczymy. Rozpalanie ognia to sztuka. Mamy sztuki wyzwolone i sztuki użytkowe. To jedna ze sztuk użytkowych.

– Spróbuję się jej nauczyć – odparł Stephen.

– Nie przesadzać z węglem – powiedział prodziekan żywo zajęty robotą – to jedna z tajemnic tej sztuki.

Z bocznych kieszeni sutanny wyjął cztery kawałki świeczki i sprawnie umieścił je pośród węglików i zwitków papieru. Stephen przyglądał mu się w milczeniu. Klęcząc tak na posadzce, zajęty rozniecaniem ognia i dokładaniem skrawków papieru i świeczek, zdawał się w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek pokornym sługą, który w pustej świątyni przygotowuje miejsce na ofiarę: zdawał się lewitą Pana. Wyblakła i znoszona sutanna, niczym szata lewity z czystego lnu szyta, okrywała klęczącą postać tego mężczyzny, którego zapewne drażniłyby i krępowały szaty liturgiczne lub obrzeżone dzwoneczkami efody. Nawet jego ciało zestarzało się w tej uniżonej służbie Panu – w doglądaniu ognia na ołtarzu, w zachowaniu w tajemnicy dochodzących do niego wieści, w posługach świadczonych możnym tego świata, w gotowości zadania ciosu, kiedy padnie rozkaz – a jednak nie zdobił go nawet ślad piękna, które wyróżnia świętych czy prałatów. Nie, jego dusza zestarzała się w tej służbie, nie wznosząc się ani ku światłości, ani ku pięknu, nie rozsiewała słodkiej woni świętości – umęczona wola nie

reagowała na podnietę własnego posłuszeństwa, podobnie jak nie umiała reagować na podnietę miłości ani walczyć ze starzejącym się ciałem, wątłym i żylastym, na którym srebrzący się meszek rozsnuł szarą smugę cienia.

Prodziekan ukucnął i patrzył, jak drewienka zajmują się ogniem. Aby wypełnić czymś ciszę, Stephen powiedział:

– Ja z pewnością nie potrafiłbym rozniecić ognia.

– Jest pan przecież artystą, panie Dedalus, mam rację? – odparł prodziekan, spoglądając w górę i mrużąc zamglone oczy. – A zadaniem artysty jest tworzyć to, co piękne. A czym jest to, co piękne, to już inna sprawa.

Powoli potarł suche dłonie, zamyśliwszy się nad tym zagadnieniem.

– Potrafiłby pan odpowiedzieć na to pytanie? – zapytał.

– Akwinata – rzekł Stephen – powiada: *Pulchra sunt quae visa placent*.

– Ten ogień przed nami – powiedział prodziekan – z pewnością sprawia oczom przyjemność. Ale czy to go czyni pięknym?

– W takiej mierze, w jakiej postrzegany jest przez zmysł wzroku, a, jak mniemam, takie postrzeganie równoznaczne jest tu z pojmowaniem estetycznym, ogień ten jest piękny. Akwinata jednakże powiada zarazem: *Bonum est in quod tendit appetitus*. Tak więc w takiej mierze, w jakiej zaspokaja zwierzęcą potrzebę ciepła, ogień jest dobry. W piekle jednak jest zły.

– No właśnie – odparł prodziekan – trafił pan w samo sedno.

Podniósł się żwawo, podszedł do drzwi, otworzył je na oścież i powiedział:

– Przeciąg, jak mówią, pomaga w takich sytuacjach.

Kiedy ksiądz szybkim krokiem, choć nieco kulejąc, wrócił do kominka, Stephenowi wydawało się, że widzi milczącą duszę jezuity spoglądającą na niego zamglonymi, pozbawionymi miłości oczyma. Prodziekan był chromy jak Ignacy, ale w jego oczach nie tliła się choćby iskierka entuzjazmu Loyoli. Nawet legendarna przebiegłość zakonu, przebiegłość subtelniejsza i spowita większą tajemnicą niż jego osławione księgi wiedzy tajemnej i subtelnej, nie rozpaliła mu w duszy apostolskiej energii. Wydawało się, że zna dobrze wszelakie

wybiegi, posiadł całą mądrość i spryt tego świata i korzysta z nich zgodnie z regułą, ku większej chwale Boga, ale nie czuje radości z ich stosowania ani nienawiści wobec tego, co w nich złe, tylko obraca nimi, w zdecydowanym odruchu posłuszeństwa; i mimo tej milczącej służby wydawało się, że wcale nie kocha mistrza, a trochę tylko, jeśli w ogóle, cele, którym służy. *Similiter atque senis baculus*, był taki, jak tego chciał założyciel – niczym kostur w ręku starca, który można odstawić do kąta, wziąć ze sobą jak towarzysza w daleką podróż po zapadnięciu zmroku albo gdy aura nie sprzyja, położyć obok bukietu damy na ławeczce w ogrodzie lub wznieść w geście groźby.

Prodziekan wrócił do ognia i pogłaskał się po brodzie.

– Kiedy możemy się spodziewać pańskich przemyśleń na temat tych kwestii z estetyki? – zapytał.

– Moich przemyśleń? – zdziwił się Stephen. – Jeśli mi szczęście sprzyja, mam jakąś nową myśl nie częściej niż raz na dwa tygodnie.

– To są bardzo głębokie kwestie, panie Dedalus – rzekł prodziekan. – Jak spoglądanie ze skał Moheru w odmęt. Wielu schodzi w te odmęty i nigdy z nich nie wraca. Jedynie doświadczony nurek może się w nie zanurzyć i zbadać je, i wrócić na powierzchnię.

– Jeśli księdzu chodzi o intelektualne rozważania – odparł Stephen – to sądzę, że nie ma czegoś takiego jak wolna myśl, w takiej mierze, w jakiej każdą myśl ograniczają jej prawidła.

– Ha!

– Na własny użytek mogę w tej chwili pracować przy świetle jednej czy dwu idei Arystotelesa i Akwinaty.

– Rozumiem. Dobrze rozumiem pańskie stanowisko.

– Idee te potrzebne mi są do moich prac. Naprowadzają mnie, dopóki w ich świetle nie dojdę do czegoś samodzielnie. Jeśli lampa kopci lub wydziela nieprzyjemną woń, próbuję przyciąć jej knot. Jeśli jej światło mi nie wystarcza, sprzedaję ją i kupuję inną.

– Epiktet także miał lampę – wtrącił prodziekan – którą po jego śmierci sprzedano za jakąś niebotyczną cenę. To przy niej pisał swoje filozoficzne rozprawy. Zna pan Epikteta?

– To ten stary dżentelmen – odburknął Stephen – który powiedział, że dusza przypomina kubeł wody.

– W swoim charakterystycznie bezpretensjonalnym stylu – ciągnął prodziekan – opowiada nam, jak to postawił lampkę żelazną u stóp posągu jakiegoś bożka i pewien złodziej mu ją ukradł. I co na to nasz filozof? Otóż stwierdza on, że w naturze złodzieja leży to, że kradnie, postanawia więc kupić na drugi dzień glinianą lampkę w miejsce lampki żelaznej.

Zapach roztopionego łoju doleciał ze świeczki prodziekana i stopił się w świadomości Stephena z pobrzękiem słów: kubeł i lampka, lampka i kubeł. Również w głosie księdza słyszał tę twardą, pobrzękującą nutę. Myśl Stephena zastygła instynktownie w bezruchu, powstrzymana przez ten dziwny dźwięk i ten obraz, i przez samą twarz księdza, która skojarzyła mu się z niezapaloną lampką lub reflektorem nieogniskującym światła. Co kryje się za tą twarzą, co kryje się w niej samej? Niewyraźne jakieś odrętwienie duszy lub niewyraźny kształt chmury burzowej, z której posypią się grzmoty, naładowanej myślą i przenikniętej Boskim mrokiem?

– Mam na myśli inną lampkę, proszę księdza – rzekł Stephen.

– Niewątpliwie – odparł prodziekan.

– Jednym z problemów w dyskusji estetycznej – powiedział Stephen – jest ustalenie, czy słowa używane są zgodnie z tradycją literacką czy też zgodnie z zasadami obowiązującymi na ulicy. Pamiętam zdanie z Newmana, które mówi o Najświętszej Maryi Dziewicy, że przychodzi ona zawsze w ciężkiej potrzebie. Słowo to używane na ulicy ma odmienne znaczenie: „mam nadzieję, że nie mówię bez potrzeby".

– Ależ skąd, proszę mówić, to bardzo interesujące – powiedział uprzejmie prodziekan.

– Nie, nie – uśmiechnął się Stephen – chodzi mi…

– Ach tak, tak, rozumiem – odparł szybko prodziekan. – Już wiem, o co panu chodzi: potrzeba.

Wysunął do przodu dolną szczękę i odkaszlnął krótko i sucho.

– A wracając do lampy – powiedział. – Również jej napełnianie jest ciekawym problemem. Trzeba wybrać czystą naftę i zachować ostrożność podczas napełniania, żeby nie przepełnić zbiorniczka i nie wlać więcej, niż pomieści lejek.

– Jaki lejek? – zapytał Stephen.

– Lejek, którym wlewa się naftę do lampy.

– Ach to to? – zdziwił się Stephen. – To się nazywa lejek? Czy to raczej nie trychter?

– A co to takiego trychter?

– No właśnie to. To… ten lejek.

– To się w Irlandii nazywa trychter? – zapytał prodziekan. – Nie słyszałem takiego słowa, jak żyję.

– Nazywa się to trychter w Lower Drumcondra – zaśmiał się Stephen – a tam mówią najlepszą angielszczyzną.

– Trychter – zamyślił się prodziekan. – Wyjątkowo interesujące słowo. Muszę to sprawdzić. Słowo daję, muszę to sprawdzić.

Jego uprzejme maniery zabrzmiały nieco fałszywą nutą i Stephen spojrzał na tego angielskiego konwertytę takim samym wzrokiem, jakim w biblijnej przypowieści mógł spoglądać na syna marnotrawnego jego starszy brat. Zdawało się, że ten pokorny naśladowca podążający śladem krzykliwych nawróceń[6], ten biedny Anglik w Irlandii, wstąpił na scenę jezuickiej historii, kiedy ta dziwna sztuka, pełna intryg, cierpienia, zawiści, walk i upokorzenia, właśnie dobiegała końca – spóźniony, opieszały duch. Skąd wyruszył? Może urodził się i wychowywał pośród poważnych dysydentów[7], którzy jedynie w Chrystusie widzieli zbawienie i gorszyli się próżnymi ceremoniałami państwowego Kościoła. Czy poczuł potrzebę bezwarunkowej wiary w samym sercu sekciarskiego zamętu i w bełkocie jego burzliwych schizmatycznych odłamów: mężów sześciu zasad, wybrańców, baptystów nasienia i baptystów węża, supralapsariańskich dogmatyków? Czy odkrył prawdziwy Kościół z nagła, nawijając jak bawełnianą przędzę na szpulę jakąś nazbyt wysublimowaną nić rozumowania na temat tchnienia, nakładania rąk czy pochodzenia Ducha Świętego? A może Chrystus Pan dotknął go i kazał iść za sobą, wzorem tego ucznia, który siedział w komorze celnej, jak on siedział u drzwi jakiejś pokrytej cynkowym dachem kaplicy, ziewał i przeliczał swój kościelny grosz?

Prodziekan powtórzył to słowo:

– Trychter! No, no, bardzo interesujące!

– Pytanie, które ksiądz zadał mi przed chwilą, wydaje się bardziej zajmujące. Czym jest to piękno, które artysta próbuje z mozołem wyrazić w glinianej grudzie? – zapytał chłodno Stephen.

To drobne słowo skierowało jego wrażliwość niczym ostry rapier przeciw prodziekanowi, temu uprzejmemu i czujnemu wrogowi. Poczuł przygnębiający ból, kiedy uświadomił sobie, że człowiek, z którym rozmawia, jest rodakiem Bena Jonsona.

Pomyślał: język, którym właśnie mówimy, jest wpierw jego językiem, a dopiero później moim. Jakże różne są słowa: „dom", „Chrystus", „piwo", „mistrz" w jego ustach i w moich! Ilekroć wypowiadam czy zapisuję te słowa, budzi się w mej duszy niepokój. Jego język, taki swojski i taki obcy, już na zawsze pozostanie dla mnie językiem nabytym. Nie stworzyłem ani nie zatwierdzałem słów tego języka. Głos mój broni się przed nimi. Dusza moja dręczy się w cieniu jego mowy.

– A także, jaka jest różnica między pięknem a wzniosłością – dodał prodziekan. – Albo różnica między pięknem moralnym a pięknem materialnym. I wreszcie pytanie, jaki rodzaj piękna jest właściwy dla każdej ze sztuk. To przykładowe problemy, którymi moglibyśmy się zająć.

Stephen, którego stanowczy, suchy ton prodziekana zbił z tropu, nie odzywał się. Prodziekan też milczał. A przez tę ciszę przebijał się z klatki schodowej daleki odgłos wielu butów i bezładnej plątaniny głosów.

– Oddając się jednak tym rozważaniom – podsumowywał prodziekan – narażamy się na niebezpieczeństwo tak wielkiego wycieńczenia, że możemy ulec samounicestwieniu. Najpierw musi zrobić pan dyplom. Proszę uznać to za cel podstawowy. A potem, krok po kroku, pójdzie pan własną drogą. Mam na myśli drogę w sensie drogi życiowej i rozwoju intelektualnego. Początkowo przypominać to będzie pedałowanie pod górkę. Niech pan spojrzy na przykład na pana Moonana. Dużo czasu zajęło mu, zanim znalazł się na szczycie. Ale znalazł się tam.

– Być może brak mi jego talentów – powiedział cicho Stephen.

– Tego nie wiadomo – rozpromienił się prodziekan. – Nie wiemy, co tak naprawdę w nas tkwi. Radziłbym nie upadać na duchu. *Per*

aspera ad astra.

Odszedł pospiesznie od kominka i skierował się na półpiętro, by poczekać na nadejście studentów przygotowujących się do egzaminów na koniec drugiego roku.

Stephen, oparty o kominek, słyszał, jak prodziekan wita się energicznie, nie wyróżniając nikogo, z każdym studentem tej grupy, i prawie widział te nieukrywane uśmieszki co bardziej nieokrzesanych. Na jego tak łatwo gorzkniejącej duszy zaczęła osiadać niczym rosa nasycona smutkiem litość dla tego wiernego sługi rycerskiego Loyoli, dla tego przyrodniego brata wszystkich duchownych, którego mowa sączy silniejszą niż oni truciznę, którego duch bardziej niż oni jest nieprzejednany, a którego nigdy nie nazwałby swym ojcem duchowym; i pomyślał, że człowiek ten i jego towarzysze uzyskali miano panów doczesności nie tylko od tych, co nad innym światem cieszą się władztwem, ale także od tych, których królestwo z tej ziemi jest, za to, że przez całe swoje dzieje wstawiali się przed sądem Bożej sprawiedliwości za duszami niedbałymi i oziębłymi, i rozważnymi.

Wejście profesora poprzedziło kilka rund ognistego tupotu wykrzesanego z ciężkich buciorów tych studentów, którzy siedzieli na najwyższej galerii ponurej sali wykładowej pod szarymi, pokrytymi pajęczyną oknami. Rozpoczęło się odczytywanie listy obecności, a odpowiedzi na wyczytywane nazwiska padały we wszystkich możliwych tonacjach, aż czytający dotarł do nazwiska Petera Byrne'a.

– Obecny!

Głęboki, basowy głos dobiegł w odpowiedzi z górnej galerii, po czym z ławek rozległ się wyrażany pokasływaniem sprzeciw.

Profesor przerwał na chwilę odczytywanie listy, lecz po chwili wypowiedział kolejne nazwisko:

– Cranly!

Brak odpowiedzi.

– Pan Cranly!

Uśmiech pojawił się na twarzy Stephena, kiedy pomyślał o studiach przyjaciela.

– Niech pan poszuka go na torze w Leopardstown! – odezwał się głos z ławki w tylnym rzędzie.

Stephen podniósł szybko wzrok, ale ryjkowata twarz Moynihana, zarysowana na tle szarego światła, nie wyrażała niczego. Podano jakiś wzór. W szeleście zeszytów Stephen odwrócił się znowu i powiedział:

– Daj mi, na rany Boskie, trochę papieru.

– Tak bardzo cię przypiliło? – zapytał Moynihan, szeroko się uśmiechając.

Wyrwał kartkę z notatnika i podał ją, szepcząc:

– W razie konieczności może to zrobić osoba świecka lub kobieta.

Wzór, który posłusznie zapisał na kawałku papieru, profesorskie wyliczenia, które zwijały się i rozwijały, widmowe symbole siły i szybkości, fascynowały i nużyły umysł Stephena. Niektórzy, jak słyszał, mówili, że stary profesor jest ateistą i wolnomyślicielem. Och, jaki szary, nudny dzień! Wydawał się otchłanią bezbolesnej, cierpliwej świadomości, przez którą mogłyby wędrować dusze matematyków i rzutować długie, smukłe struktury z płaszczyzny na płaszczyznę w coraz rzadszym i bledszym półmroku promieniejącym szybkimi falami do ostatnich krańców wszechświata, coraz rozleglejszego, dalszego, coraz bardziej nieuchwytnego.

– Musimy więc poczynić rozróżnienie między elipsą a elipsoidą. Może któryś z panów zaznajomiony jest z dziełem pana W. S. Gilberta. W jednej z pieśni opowiada o oszuście bilardowym, którego skazano na taką grę:

Na suknie, co źle leży,
kijem krzywym uderzy
w eliptyczną kulę.

– Chodzi mu o kulę w kształcie elipsoidy, o której głównych osiach przed chwilą mówiłem.

Moynihan nachylił się do ucha Stephena i wyszeptał:

– Och, moje eliptyczne jaja! No, która z pań mnie złapie, jestem kawalerzystą!

Wulgarny humor kolegi przeszedł jak powiew wiatru przez ten klasztor, jakim był umysł Stephena, i pobudził do wesołego życia bezwładne księżowskie szaty, które wisiały na ścianach, rozkołysał je i rozhasał w anarchicznym szabacie. Z poderwanych powiewem szat wyłoniły się postacie profesorskiego grona: prodziekan do spraw studenckich, korpulentny, rumiany kwestor z czapą siwych włosów, kanclerz, księżyna z włosami jak ptasie piórka, pisujący pobożne wierszyki, przysadzista wieśniacza postać profesora ekonomii, wysoki młody wykładowca nauk o świadomości roztrząsający z uczniami na półpiętrze kwestię sumienia jak żyrafa skubiąca wysokie liście pośród stada antylop, ponury zatroskany prefekt sodalicji, tęgawy krągłogłowy profesor włoskiego o spojrzeniu łotrzyka. Szli w podskokach i obrotach, wywijali młynki, kominki, koziołki, przeskakiwali jeden przez drugiego, podkasując sutanny, popychali się nawzajem, wybuchali głębokim, nieszczerym śmiechem, klepali się po tyłkach, chichotali ze swych niewyszukanych psikusów, obrzucali się wyzwiskami, w nagłym przypływie godności obrażali się za jakieś ostre słowo i szeptali po kryjomu w parach, zasłaniając dłonią usta.

Profesor podszedł do szklanych gablot przy bocznej ścianie, z półki zdjął zestaw cewek, w kilku miejscach zdmuchnął kurz, zaniósł je ostrożnie do stołu, położył na nich palec i kontynuował wykład. Wyjaśnił, że druty we współczesnych cewkach zrobione są ze stopu zwanego platynoidem, odkrytego niedawno przez F. W. Martino.

Wypowiedział bardzo wyraźnie inicjały i nazwisko odkrywcy. Moynihan wyszeptał zza pleców:

– Fagas Wrednej Martyny.

– Zapytaj go – wyszeptał mu Stephen w odpowiedzi, siląc się na dowcip – czy chciałby kogoś porazić prądem. Zgłaszam się na ochotnika.

Moynihan, widząc, że profesor pochyla się nad cewkami, wstał z ławki i strzelając bezgłośnie palcami prawej ręki, zaczął krzyczeć

głosem śliniącego się urwisa.

– Panie psorze! Panie psorze! Ten chłopiec powiedział właśnie brzydkie słowo, panie psorze.

– Platynoid – mówił dalej z namaszczeniem profesor – jest lepszy niż alpaka, cechuje go bowiem mniejszy współczynnik zmienności oporu przy zmianach temperatury. Drut platynoidalny ma izolację, jest to jedwabna powłoka nałożona na ebonitowy korpus w miejscu, w którym trzymam palec. Gdyby powleczono go tylko raz, w zwojach indukowałby się prąd poboczny. Korpus tej cewki nasycony jest gorącą parafiną…

Głos o ostrym ulsterskim akcencie odezwał się z ławki poniżej Stephena:

– A będą pytania z wiedzy stosowanej?

Profesor zaczął z powagą żonglować dwoma terminami: nauka czysta i nauka stosowana. Korpulentny student w okularach w złotych oprawkach wpatrywał się ze zdumieniem w pytającego. Moynihan wyszeptał coś z tyłu swoim naturalnym głosem.

– Ledwo widać tego MacAlistera, a szatan pierwsza klasa, co?

Stephen spojrzał chłodno w dół na podłużną czaszkę porosłą zmierzwionymi włosami przypominającymi w kolorze sznur konopny. Głos, akcent i umysł pytającego wzbudziły w nim odrazę, która z kolei wywołała w nim świadomie nieprzyjazną myśl, że ojciec studenta lepiej by zrobił, posyłając syna na studia do Belfastu, bo tym samym oszczędziłby na przejazdach koleją.

Podłużna czaszka poniżej nie odwróciła się do Stephena, by przyjąć na siebie tę myśl niczym strzałę, a jednak strzała wróciła do cięciwy, z której ją wypuszczono: ujrzał bowiem przez chwilę bladą jak serwatka twarz studenta.

To nie moja myśl, szybko powiedział do siebie w duchu. Zrodziła się w umyśle tego zabawnego siedzącego za mną Irlandczyka. Cierpliwości. Czy można twierdzić z całą pewnością, kto przehandlował duszę tego plemienia i zdradził jego wybrańców – ten, który spytał, czy ten, który szydził? Cierpliwości. Przypomnij sobie Epikteta. Zapewne leży to w jego naturze, że zadaje takie pytanie w takiej chwili, i takim tonem i wypowiada słowo „nauka”, jakby miało dwie sylaby.

Buczący głos profesora nie przestawał owijać się powoli wokół cewki, o której mówił, podwajał, troił, czterokrotniał swoją usypiającą wszystkich energię, gdy tymczasem cewka zwielokrotniała omy własnego oporu.

Głos Moynihana odezwał się za plecami niczym echo jakiegoś dalekiego dzwonu.

– Proszę panów, zamykamy!

Sień frontowa wypełniła się ludźmi i huczała od rozmów. Na stoliku obok drzwi leżały dwie oprawione fotografie, a między nimi długa rolka papieru, na której rozwijała się nieregularna lista podpisów. MacCann chodził pospiesznie tam i z powrotem między studentami, dyskutując zawzięcie, odpowiadając na zaczepki i prowadząc tego lub owego do stolika. W drugiej sieni prodziekan stał pogrążony w rozmowie z młodym wykładowcą, głaszcząc się delikatnie po brodzie i kiwając głową.

Stephen, którego tłum zablokował w drzwiach, zatrzymał się niezdecydowanie. Spod szerokiego, opadającego ronda miękkiego kapelusza przyglądały mu się ciemne oczy Cranly'ego.

– Podpisałeś? – zapytał Stephen.

Cranly zacisnął szerokie usta o wąskich wargach, na chwilę zagłębił się w sobie i odparł:

– *Ego habeo.*

– Po co?

– *Quod?*

– Po co?

Cranly odwrócił bladą twarz do Stephena i powiedział, beznamiętnie i gorzko:

– *Per pax universalis.*

Stephen wskazał zdjęcie cara i rzekł:

– Ma twarz odurzonego Chrystusa.

Pogarda i wściekłość, jakie odezwały się w jego głosie, ściągnęły na siebie spojrzenie Cranly'ego, oddające się spokojnemu badaniu ścian w sieni.

– Złościsz się? – zapytał.

– Nie – odparł Stephen.

– Jesteś w podłym humorze?

– Nie.

– *Credo ut vos copulantus mendax estis* – powiedział Cranly – *quia facies vostra monstrat ut vos in cholero malo humore estis.*

Moynihan, w drodze do stolika, szepnął Stephenowi do ucha:

– MacCann jest w świetnej formie. Gotów przelać ostatnią kroplę krwi. Nowy wspaniały świat. Precz z używkami, a suki do urn!

Stephena rozbawił styl tego zwierzenia, a po odejściu Moynihana odwrócił się i spojrzał Cranly'emu w oczy.

– Może mi powiesz – zapytał – czemu wlewa mi do uszu tak obfite strumienie swej duszy. Wiesz czemu?

Na twarzy Cranly'ego pojawił się grymas pogardy. Chłopak wpatrywał się w stolik, przy którym Moynihan pochylił się i wpisywał swoje nazwisko na listę, po czym stwierdził:

– Pinda!

– *Quis est in malo humore* – zapytał Stephen – *ego aut vos?*

Cranly nie odpowiedział na tę drwinę. Zadumał się cierpko nad wygłoszoną oceną i powtórzył tym samym beznamiętnym tonem:

– Cholerna, psiakrew, pinda, to cały on!

Takie było jego epitafium dla wszystkich zmarłych przyjaźni; Stephen zastanawiał się, czy takim samym tonem Cranly podsumuje pamięć o nim. Ciężki, bryłowaty epitet tonął powoli, ginąc z pola słyszenia, niczym kamień tonący w grzęzawisku. Stephen widział, jak on tonie, podobnie jak wiele innych zdań, i czuł, że jego ciężar przygniata mu duszę. W mowie Cranly'ego, w odróżnieniu od Davina, nie było ani rzadkich zwrotów w elżbietańskiej angielszczyźnie, ani dziwacznych odmian irlandzkich idiomów. Jej przeciągane samogłoski brzmiały jak echo dublińskich nabrzeży, któremu odpowiada ponury, podupadający port morski, a jej energia zadźwięczała echem świętej elokwencji Dublina, które rozbrzmiewa z ambony w Wicklow.

Grymas niezadowolenia zniknął z twarzy Cranly'ego, kiedy MacCann szybkim krokiem zbliżył się do nich z przeciwległego krańca sieni.

– Tu jesteście! – powiedział radośnie.

– Jak widzisz – odparł Stephen.

– Jak zwykle się spóźniacie. Nie możecie pogodzić swoich postępowych poglądów z szacunkiem dla punktualności?

– Tego zagadnienia nie ma w porządku obrad – powiedział Stephen. – Proszę o następne.

Jego roześmiane oczy utknęły w owiniętej w sreberko tabliczce mlecznej czekolady, która wystawała z kieszeni na piersiach agitatora. Słuchacze ustawili się w niewielkim kole, by posłuchać tego pojedynku dwu błyskotliwych umysłów. Szczupły student o oliwkowej cerze i rzadkich, prostych, czarnych włosach wcisnął twarz między ich obu, spoglądając to na jednego, to na drugiego, kiedy wymieniali celne słowa, i wydawało się, że łapie każde z tych słów w swoje otwarte, wilgotne usta. Cranly wyjął z kieszeni małą, szarą piłeczkę i zaczął przyglądać się jej uważnie, obracając ją w dłoniach.

– Następny punkt programu? – zapytał MacCann. – Hmm!

Kaszlnął głośno ze śmiechu, roześmiał się szeroko i dwukrotnie pociągnął za słomkową brodę, która zwisała mu z kwadratowego podbródka.

– Następnym punktem jest złożenie podpisu pod oświadczeniem.

– A zapłacisz mi, jak podpiszę? – zapytał Stephen.

– Myślałem, żeś idealista – powiedział MacCann.

Student o wyglądzie Cygana rozejrzał się wokół i przemówił do zebranych niewyraźnym, bekliwym głosem.

– Do diabła, co za dziwaczne stanowisko. Doprawdy, godne najemnika.

Jego głos rozpłynął się w ciszy. Nikt nie słuchał jego słów. Zwrócił swoją oliwkową, końską twarz do Stephena, nakłaniając go, by znowu przemówił.

MacCann zaczął mówić płynnie i energicznie o reskrypcie carskim, o Steadzie, o ogólnym rozbrojeniu, arbitrażu w sporach międzynarodowych, znakach czasu, nowym człowieku i nowej ewangelii życia, według której obowiązkiem wspólnoty jest zapewnienie możliwie najmniejszym kosztem jak największego szczęścia jak największej liczbie ludzi.

Student o cygańskim wyglądzie zareagował na koniec tego przemówienia okrzykiem:

– Po trzykroć hurra dla powszechnego braterstwa!

– No, dawaj, Temple – powiedział krępy, rudowłosy student stojący obok niego. – Postawię ci później piwo.

– Wierzę w powszechne braterstwo – powiedział Temple, rozglądając się wokół czarnymi, migdałowymi oczyma. – Marks to chrystepański kawalarz.

Cranly chwycił go mocno za ramię, by powstrzymać przed dalszą wypowiedzią, uśmiechnął się niepewnie i powtórzył:

– Spokojnie, spokojnie, spokojnie!

Temple próbował wyrwać się z uścisku, ale mówił dalej, a na usta wystąpiła mu gruba warstwa piany:

– Podwaliny pod socjalizm położył pewien Irlandczyk, a pierwszym człowiekiem w Europie, który głosił wolność myśli, był Collins. Dwieście lat temu. Ten filozof z Middlesex potępił duchowieństwo. Po trzykroć hurra dla Johna Anthony'ego Collinsa!

Jakiś cieniutki głosik z obrzeża grupy wykrzyknął:

– Cycuś! Picuś!

Moynihan wyszeptał Stephenowi do ucha:

– Zapomnieli o biednej siostrzyczce Johna Anthony'ego:

Lottie Collins majteczki posiała;
Podaruj jej gatki swoje.

Stephen się roześmiał, a Moynihan, zadowolony z efektu, znowu wyszeptał mu do ucha:

– To co? Postawimy po piątaku na tego Johna Anthony'ego Collinsa?

– Czekam na twoją odpowiedź – rzekł szybko MacCann.

– Ta sprawa zupełnie mnie nie obchodzi – odparł znużony Stephen. – Wiesz o tym dobrze. Czemu więc robisz z tego problem?

– Dobra! – powiedział MacCann, cmokając głośno. – Jesteś więc reakcjonistą?

– Myślicie, że to wywijanie drewnianą szabelką robi na mnie jakieś wrażenie? – zapytał Stephen.

– Metafory! – żachnął się MacCann. – Wróćmy do faktów.

Stephen się spłonił i odwrócił głowę. MacCann pozostał przy swoim i rzekł z gorzkim humorem:

– Pomniejsi poeci, jak przypuszczam, są ponad takimi trywialnymi sprawami jak kwestia powszechnego braterstwa.

Cranly uniósł głowę i jakby na znak pokoju wyciągnął rękę z piłką między dwóch studentów, mówiąc:

– *Pax super totum copulantum globum.*

Stephen odsunął gapiów, gniewnym wzruszeniem ramienia wskazał portret cara i powiedział:

– Zatrzymajcie sobie tę ikonę. Jeśli mamy mieć jakiegoś Jezusa, lepiej, żeby to był prawomocny Jezus.

– Do diabła, świetnie powiedziane! – odezwał się student o wyglądzie Cygana do stojących koło niego kolegów. – To świetne powiedzenie. Bardzo mi się spodobało.

Przełknął ślinę, jakby przełykał słowa, i miętosząc daszek tweedowej czapki, odwrócił się do Stephena i powiedział:

– Kolega wybaczy, ale co kolega rozumie przez wyrażenie, które teraz padło?

A czując, że studenci próbują go odepchnąć, powiedział do nich:

– Bardzo mnie ciekawi, co też miał on na myśli, tak się wyrażając.

Odwrócił się do Stephena i wyszeptał:

– Wierzy kolega w Jezusa? Ja wierzę w człowieka. Ja oczywiście nie wiem, czy kolega wierzy w człowieka. Podziwiam kolegę. Podziwiam umysł człowieka wolnego od wszystkich religii. Czy takie ma kolega zdanie na temat umysłu Jezusa?

– No dalej, Temple – rzekł krępy, rudy student, wracając, jak to miał w zwyczaju, do pierwszej swej myśli. – Czeka na ciebie piwo.

– Jemu się wydaje, że jestem kretynem – wyjaśnił Temple Stephenowi – ponieważ wierzę w moc umysłu.

Cranly wziął pod rękę Stephena i swojego wielbiciela i powiedział:

– *Nos ad manum piłkum jocabimus.*

Stephen, wyprowadzany, dostrzegł zarumienioną, toporną twarz MacCanna.

– Mój podpis nie ma znaczenia – powiedział grzecznie. – Masz prawo robić, co chcesz. Pozwól mi robić to, co ja uważam za stosowne.

– Dedalus – odparł żywo MacCann – wierzę, że z ciebie porządny człowiek, ale musisz się jeszcze nauczyć, czym jest godność altruizmu i odpowiedzialność jednostki ludzkiej.

Jakiś głos się odezwał:

– Lepiej, żeby ci pokręceni intelektualiści nie przyłączali się do naszego ruchu.

Rozpoznawszy ostry ton MacAlistera, Stephen nie odwrócił się w stronę, z której dobiegł ów głos. Cranly z namaszczeniem przepychał się przez tłum studentów, trzymając pod ręce Stephena i Temple'a niczym celebrans, któremu w drodze do ołtarza towarzyszą ministranci.

Temple wychylił się skwapliwie przed pierś Cranly'ego i zapytał:

– Słyszeliście, co powiedział MacAlister? Ten młodzieniec czuje wobec was zawiść. Zrozumieliście? Założę się, że Cranly tego nie zrozumiał. Do diabła, od razu się zorientowałem.

Kiedy przechodzili przez sień, prodziekan próbował uwolnić się od studenta, z którym prowadził rozmowę. Nogę postawił na najniższym stopniu schodów, a żeby łatwiej mu było nań wejść, z niewieścią zapobiegliwością podkasał znoszoną sutannę i, kiwając nieustannie głową, powtarzał:

– Bez wątpienia, panie Hackett! Znakomicie! Bez wątpienia!

Na środku sieni prefekt szkolnej sodalicji ze śmiertelną powagą, cichym, płaczliwym głosem rozmawiał z kierownikiem internatu. Mówiąc, marszczył nieco piegowate czoło i w przerwach między zdaniami obgryzał niewielki, kościany ołówek.

– Mam nadzieję, że przyjdą wszyscy immatrykulowani. Możemy liczyć na pierwszy rok. Na drugi chyba też. Musimy tylko upewnić się co do nowych.

Temple znowu wychylił się przed Cranlym, kiedy przechodzili przez drzwi, i wyszeptał szybko:

– A wiesz, że facet jest żonaty? Chajtnął się, jeszcze zanim się przechrzcił. Ma gdzieś żonę i dzieci. Do diabła, niezły numer, co?

Jego szept przemienił się w szelmowski rechot. Kiedy tylko znaleźli się za drzwiami, Cranly schwycił go ostro za kark, wstrząsnął nim i powiedział:

– Ty pieprznięty, popaprany patafianie. Klnę się na czekające mnie ostatnie namaszczenie, że nie ma, psiakrew, większego niż ty kretyna w całym, psiakrew, popieprzonym świecie.

Temple próbował wywinąć się z uścisku, nadal rechocząc w szelmowskim zadowoleniu, a Cranly powtarzał beznamiętnie przy każdym ostrym wstrząśnięciu:

– Popieprzony, psiakrew, popaprany kretyn.

Razem przeszli przez zachwaszczony ogród. Z naprzeciwka jedną ze ścieżek szedł ku nim kanclerz, owinięty ciężką, luźną peleryną, i czytał brewiarz. Na końcu ścieżki zatrzymał się, potem skręcił i podniósł wzrok. Studenci go pozdrowili, a Temple jak poprzednio niezdarnie pogmerał przy czapce. Szli dalej w milczeniu. Kiedy zbliżyli się do alei, Stephen usłyszał głuche uderzenia rąk graczy i mokre plaśnięcia piłki, i głos Davina wykrzykującego z przejęciem po każdym uderzeniu.

Trójka studentów zatrzymała się przy skrzyni, na której przysiadł Davin, żeby obejrzeć mecz. Po kilku minutach Temple przysunął się do Stephena i rzekł:

– Przepraszam, ale chciałem zapytać, czy kolega uważa, że Jan Jakub Rousseau był człowiekiem szczerym?

Stephen wybuchnął śmiechem. Cranly podniósł leżącą w trawie u jego stóp pękniętą klepkę z beczki, odwrócił szybko głowę i powiedział surowo:

– Temple, klnę się na Boga żywego, że jeśli powiesz choć jedno słowo, do kogokolwiek, na jakikolwiek temat, zabiję cię, wiesz, *super tutam et teram*.

– Był pewnie taki jak ty – powiedział Stephen. – Uczuciowy.

– Do diabła z nim, niech go ziemia pochłonie! – wykrzyknął Cranly. – Nie rozmawiaj z nim. Mógłbyś równie dobrze gadać sobie z popieprzonym nocnikiem. Spadaj do domu, Temple. Na miły Bóg, spadaj.

– Gwiżdżę na ciebie, Cranly – odparł Temple, usuwając się z pola rażenia uniesionej klepki i wskazując Stephena. – Ten facet to jedyny gość w całej tej instytucji, który posiada indywidualność.

– Instytucja! Indywidualność! – wykrzyknął Cranly. – Spadaj do domu, niech cię, jesteś popieprzonym, psiakrew, jołopem.

– Jestem człowiekiem uczuciowym – powiedział Temple. – Trafnie powiedziane. I jestem dumny z tego, że jestem uczuciowcem.

Wycofał się chyłkiem aleją, z szelmowskim uśmieszkiem. Cranly odprowadził go nieobecnym, pozbawionym wyrazu wzrokiem.

– Spójrzcie na niego! – rzekł. – Widzieliście kiedy takiego, pożal się Boże, płaza?

Określenie to wywołało dziwaczny śmiech studenta, który stał oparty o ścianę; miał czapkę z daszkiem zsuniętą na oczy. Śmiech ten, dobyty w wysokim rejestrze, dochodzący z tak muskularnego ciała, zabrzmiał niczym rżenie słonia. Ciało studenta trzęsło się jak galareta, a żeby ulżyć swojemu rozbawieniu, pocierał radośnie dłońmi o genitalia.

– Lynch się przebudził – rzekł Cranly.

Lynch w odpowiedzi wyprostował się i wypiął pierś.

– Lynch wypina pierś – powiedział Stephen. – To jego krytyczna opinia o życiu.

Lynch rąbnął się z hukiem w klatkę piersiową i zapytał:

– Ktoś ma coś do mojej klaty?

Cranly odpowiedział na to wyzwanie i zaczęli się szarpać. Kiedy twarze zaczerwieniły się im od tej walki, rozłączyli się, ciężko dysząc. Stephen nachylił się nad Davinem, który, zaabsorbowany walką, nie zwracał uwagi na rozmowę pozostałych.

– A jak tam moja gąska domowa? – zagadnął. – Też podpisałeś?

Davin przytaknął i zapytał:

– A ty, Stevie?

Stephen pokręcił głową.

– Straszny z ciebie człowiek, Stevie – powiedział Davin, wyjmując krótką fajkę z ust. – Zawsze osobny.

– Teraz, kiedy już podpisałeś odezwę wzywającą do powszechnego pokoju – rzekł Stephen – pewnie spalisz tę

książeczkę, którą widziałem u ciebie w domu.

Ponieważ Davin nie odpowiedział, Stephen zaczął cytować:

– Biegiem, *fianna*[8]! Skręt w prawo, *fianna*! *Fianna*, kolejno, *salute*, raz, dwa!

– To co innego – powiedział Davin. – Jestem przede wszystkim irlandzkim patriotą. Ale to cały ty. Urodzony z ciebie prześmiewca, Stevie.

– Kiedy rozpętacie kolejne powstanie z ludźmi zbrojnymi w kije hokejowe – powiedział Stephen – i będziecie szukać nieodzownego donosiciela, dajcie mi znać. Znajdę kilku na tej uczelni.

– Ni w ząb cię nie rozumiem – odparł Davin. – Raz krytykujesz literaturę angielską. Teraz kpisz sobie z irlandzkich donosicieli. No, ale z twoim nazwiskiem i twoimi poglądami… Czyś ty w ogóle Irlandczyk?

– Chodź ze mną do biura heraldycznego, a pokażę ci drzewo genealogiczne mojej rodziny – powiedział Stephen.

– No to przyłącz się do nas – rzekł Davin. – Czemu nie chcesz nauczyć się irlandzkiego? Czemu po pierwszym spotkaniu przestałeś chodzić na zajęcia Ligi?

– Jednego powodu pewnie się domyślasz – odparł Stephen.

Davin odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się.

– No, daj pan spokój – rzekł. – Z powodu pewnej młodej damy i ojca Morana? Co ty sobie ubrdałeś, Stevie? Oni tylko gawędzili ze sobą i żartowali.

Stephen przerwał i w przyjaznym geście położył rękę na ramieniu Davina.

– A pamiętasz – zapytał – jak się poznaliśmy? Tego dnia rano poprosiłeś mnie, żebym ci pokazał, gdzie się idzie na zajęcia z immatrykulacji, i na dodatek akcentowałeś wyraźnie drugą sylabę. Pamiętasz? A potem zwracałeś się do jezuitów *per* ojcze, pamiętasz? A ja pytałem się w duchu: czy on jest równie niewinny jak jego mowa?

– Prosty ze mnie gość – powiedział Davin. – Wiesz przecie. Kiedy tego wieczoru opowiedziałeś mi na Harcourt Street o swoim prywatnym życiu, klnę się na Boga, Stevie, żem nijak nie mógł

przełknąć obiadu. Czułem się podle. Przez długi czas nie mogłem zasnąć tej nocy. Czemu żeś mi o tym powiedział?

– Dzięki – rzekł Stephen. – Sugerujesz, że ze mnie potwór.

– Nie – odparł Davin – ale wolałbym, żebyś mi tego nie mówił.

Stephen był nastawiony przyjaźnie, ale pod spokojną powierzchnią zaczęła wzbierać w nim fala.

– Stworzył mnie ten naród i ten kraj, i to życie – powiedział. – I będę wyrażał się zgodnie z tym, kim jestem.

– Przyłącz się do nas – powtórzył Davin. – W sercu jesteś Irlandczykiem, ale twoja duma jest silniejsza.

– Moi przodkowie porzucili swój język i przyjęli obcą mowę – powiedział Stephen. – Dopuścili do tego, by podporządkowała ich sobie garstka obcokrajowców. Czy tobie się wydaje, że przez całe życie, całą swoją osobą, będę spłacał długi, które zaciągnęli? A niby z jakiej racji?

– W imię naszej wolności – odparł Davin.

– Nie znam żadnego człowieka, od czasów Tone'a do czasów Parnella, żadnego człowieka honoru i powagi – powiedział Stephen – który ofiarowałby wam życie, młodość i serce, a którego byście w zamian nie sprzedali wrogom, nie porzucili w potrzebie, nie obrzucili błotem lub nie zamienili na innego. Ty zaś namawiasz mnie, bym stał się jednym z was. Wolałbym, byście sczeźli.

– Oni polegli za nasze ideały, Stevie – powiedział Davin. – Nasz dzień jeszcze nadejdzie, wierzaj mi.

Stephen, zatopiony we własnych myślach, przez chwilę się nie odzywał.

– Dusza – powiedział na pół przytomnie – rodzi się najpierw w takich chwilach, o jakich ci mówiłem. Jej narodziny są powolne i mroczne, okryte większą tajemnicą niż narodziny ciała. Ale w tym kraju, kiedy rodzi się dusza człowieka, zarzuca się na nią sieci, by nie mogła wzlecieć. Prawisz mi o narodzie, języku, religii. Spróbuję wzlecieć mimo tych sieci.

Davin strząsnął popiół z fajki.

– Za głębokie, jak dla mnie, Stevie – powiedział. – Ale ponad wszystko i przede wszystkim jest twój ojczysty kraj. Irlandia jest

ponad wszystkim, Stevie. Potem możesz być sobie poetą czy mistykiem.

– A wiesz, czym jest Irlandia? – zapytał Stephen z chłodną obojętnością. – Irlandia to stara maciora, która pożera własny pomiot.

Davin powstał ze skrzyni i podszedł do graczy, smutno kiwając głową. Ale smutek opuścił go w jednej chwili, wdał się bowiem w żarliwą dyskusję z Cranlym i dwoma graczami, którzy skończyli mecz. Namawiano się teraz na mecz w czwórkę, Cranly jednak nalegał, by grano jego piłką. Odbił ją ręką raz czy dwa od ziemi, po czym uderzył kijem mocno i szybko w stronę alejki, wykrzykując w odpowiedzi na to głuche uderzenie:

– Diabłu w oko!

Stephen poczekał z Lynchem, aż wynik zacznie rosnąć. Wtedy szarpnął go za rękaw, próbując odciągnąć na stronę. Lynch posłuchał i powiedział:

– Azali chodźmy, jak mówi Cranly.

Stephen uśmiechnął się na ten rzucony mimochodem docinek. Przeszli przez ogród i sień, w której rozdygotany portier wywieszał na tablicy ogłoszenie. Zatrzymali się u stóp schodów, a Stephen wyjął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował towarzysza.

– Wiem, że ci się nie przelewa – powiedział.

– A niech cię cholera z tą twoją soloną bezczelnością – odparł Lynch.

Ten drugi dowód kultury Lyncha wywołał ponowny uśmiech na twarzy Stephena.

– Wielki dzień nastał dla europejskiej kultury – powiedział – kiedy postanowiłeś przeklinać na słono.

Zapalili papierosy i skręcili w prawo. Po chwili ciszy Stephen zaczął:

– Arystoteles nie zdefiniował litości i przerażenia. Ja to zrobiłem. Twierdzę, że…

Lynch zatrzymał się i bez ogródek oznajmił:

– Dość! Nie będę tego słuchał! Chce mi się rzygać. W nocy byłem na solonej popijawie z Horanem i Gogginsem.

Stephen jednak mówił dalej:

– Litość to uczucie, które przykuwa umysł stający wobec wszystkiego, co w ludzkim cierpieniu poważne i trwałe, i łączy go z człowiekiem cierpiącym. Przerażenie to uczucie, które przykuwa umysł stający wobec wszystkiego, co w ludzkim cierpieniu poważne i trwałe, i łączy go z ukrytą przyczyną.

– Powtórz – poprosił Lynch.

Stephen powoli powtórzył definicję.

– Kilka dni temu w Londynie pewna dziewczyna wsiadła do dorożki – mówił. – Jechała odwiedzić matkę, której nie widziała od lat. Na rogu ulicy dyszel wozu rozbił szybę dorożki, czyniąc w niej otwór w kształcie gwiazdy. Długa, ostra igła pękniętego szkła przebiła serce dziewczyny. Zginęła na miejscu. Dziennikarz napisał, że była to śmierć tragiczna. Ale nie była to śmierć tragiczna. Daleko jej do litości i przerażenia, zgodnie z określeniami z mojej definicji.

Uczucie tragiczne to w rzeczywistości twarz spoglądająca w dwie strony, ku przerażeniu i ku litości, oba uczucia są jego etapami. Jak widzisz, użyłem słowa „przykuwać". Chodzi mi bowiem o to, że uczucie tragiczne jest statyczne. A raczej uczucie dramatyczne. Uczucia wywołane przez niewłaściwą sztukę są kinetyczne, to pożądanie i odraza. Pożądanie skłania nas do posiadania czegoś, do udania się po coś. Odraza skłania nas do odrzucenia, do odejścia skądś. To są uczucia kinetyczne. Sztuki, które je wywołują, sztuki pornograficzne czy dydaktyczne, są przeto sztukami niewłaściwymi. Uczucie estetyczne, a używam tu tego terminu w jego ogólnym sensie, jest przeto statyczne. Umysł jest przykuty, albowiem wzniósł się ponad pożądanie i odrazę.

– Mówisz, że sztuka nie może wzbudzać pożądania – zauważył Lynch. – A opowiadałem ci, jak pewnego dnia w muzeum podpisałem się ołówkiem na pośladkach Wenus Praksytelesa? To nie było pożądanie?

– Ja mówię o normalnych naturach – odparł Stephen. – Powiedziałeś mi też, że kiedy byłeś chłopcem w tej uroczej szkole karmelickiej, objadałeś się suchymi plackami krowiego łajna.

Lynch znowu zarżał ze śmiechu i potarł po udach dłońmi, ale nie wyjął ich tym razem z kieszeni.

– No właśnie, tak było! Tak było! – krzyknął.

Stephen odwrócił się do towarzysza i odważnie patrzył mu przez chwilę w oczy. Lynch, który już doszedł do siebie po tym wybuchu wesołości, odwzajemnił się spojrzeniem swoich upokorzonych oczu. Długa, smukła, spłaszczona czaszka pod obcisłą czapką z daszkiem wywołała w myślach Stephena obraz zakapturzonego gada. Te oczy również były gadzie, w błysku i w wyrazie. A jednak w tej chwili oczy te, upokorzone i czujne, rozjaśniał jeden malutki, ludzki punkt, okno wyschniętej duszyczki, bolesnej i zgorzkniałej.

– Jeśli już o to chodzi – skomentował grzecznie Stephen – wszyscy jesteśmy bydlętami. Ja też jestem bydlęciem.

– Ano jesteś – potwierdził Lynch.

– Ale teraz przebywamy w świecie myśli – ciągnął Stephen. – Pożądanie i odraza, wywołane użyciem niewłaściwych środków estetycznych, to tak naprawdę uczucia nieestetyczne, nie tylko dlatego że są z natury kinetyczne, ale także dlatego że są zaledwie fizyczne. Ciało nasze wzdryga się na widok tego, czym się brzydzi, i odpowiada na bodziec wysłany przez przedmiot, którego pożąda, czysto odruchowym działaniem systemu nerwowego. Nasze powieki zamykają się, zanim uzmysłowimy sobie, że za chwilę mucha wpadnie nam do oka.

– Nie zawsze – skomentował krytycznie Lynch.

– Na tej samej zasadzie – mówił Stephen – twoje ciało odpowiedziało na bodziec, którym była naga rzeźba, ale to, jak mówię, tylko odruchowa reakcja nerwów. Piękno, które wyraża artysta, nie może wzbudzać w nas uczuć kinetycznych ani też doznań, które byłyby czysto fizyczne. Wzbudza ono, albo powinno wzbudzać, wywołuje, albo powinno wywoływać, estetyczny bezruch, idealną litość lub idealne przerażenie, pewien stan bezruchu, wytworzony, przedłużony, a w końcu zakończony w wyniku działania tego, co nazywam rytmem piękna.

– A co to dokładnie takiego? – zapytał Lynch.

– Rytm – powiedział Stephen – jest podstawowym estetycznym stosunkiem formalnym, w jakim pozostają do siebie części w dowolnej estetycznej całości albo też estetyczna całość do jednej ze

swoich części bądź do wielu takich części, albo też dowolna część do estetycznej całości, której jest częścią.

– Jeżeli tym jest rytm – powiedział Lynch – to chciałbym teraz usłyszeć, co nazywasz pięknem. I pamiętaj, że choć kiedyś rzeczywiście wrąbałem placek krowiego łajna, podziwiam tylko piękno.

Stephen uniósł czapkę jak na powitanie. Po czym, rumieniąc się nieco, położył dłoń na grubym tweedowym rękawie Lyncha.

– My mamy rację – powiedział. – Inni błądzą. Rozprawiać o tych rzeczach i próbować zrozumieć ich istotę, a zrozumiawszy ją, próbować powoli, z pokorą i nieprzerwanie wyrażać i wyciskać ten obraz piękna, które udało się nam pojąć, w formach z nieszlachetnej gliny lub w tym, co z niej pochodzi, w dźwiękach i kształtach, i barwach, które są więziennymi bramami naszej duszy – tym właśnie jest sztuka.

Doszli do mostu nad kanałem, zboczyli trochę z drogi i szli pod drzewami. Surowe szare światło, które odbijało się w stojącej wodzie, i zapach mokrych gałęzi nad ich głowami zdawały się toczyć wojnę z argumentacją Stephena.

– Ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie – zauważył Lynch. – Czym jest sztuka? Czym jest to piękno, któremu daje wyraz?

– Chyba przysypiasz, biedaku. To była pierwsza definicja, którą ci podałem – powiedział Stephen – kiedy sam dla siebie próbowałem przyjrzeć się temu zagadnieniu. Pamiętasz ten wieczór? Cranly nie wytrzymał i zaczął paplać o wicklowskim boczku.

– Pamiętam – rzekł Lynch. – Opowiadał nam o tych popapranych świniakach, spasionych jak diabli.

– Sztuka – mówił Stephen – to dokonane przez człowieka rozmieszczenie elementów zmysłowych i pojęciowych w celu osiągnięcia określonego estetycznego celu. To zapomniałeś, a świnie pamiętasz. Jesteście pożałowania godnym duetem, ty i Cranly.

Lynch skrzywił się, patrząc na surowe szare niebo, i powiedział:

– Jeśli mam słuchać twojego filozofowania, to kopsnij przynajmniej jeszcze jednego skręta! Mam to gdzieś. Nawet babki mam gdzieś. Do cholery z tobą, psiakrew, do cholery z tym

wszystkim. Potrzeba mi tylko roboty za pięćset funciaków rocznie. A tej mi jej nie zapewnisz.

Stephen podał mu paczkę papierosów. Lynch wziął ostatniego, który w niej został, i powiedział po prostu:

– No to dawaj dalej!

– Akwinata twierdzi – zaczął Stephen – że piękne jest to, czego postrzeganie sprawia przyjemność.

Lynch pokiwał głową.

– Pamiętam to – powiedział. – *Pulchra sunt quae visa placent*.

– Użył słowa *visa* – wyjaśniał Stephen – w znaczeniu estetycznego postrzegania, w różnych jego rodzajach, czy to przez wzrok, słuch, czy na jakiejkolwiek innej drodze. Słowo to, choć nieostre, jest na tyle czytelne, by wykluczyć dobro i zło, które pobudzają pożądanie i odrazę. Wiąże się z pewnością z bezruchem, nie z kinezą. A co w takim razie z prawdą? Prawda także doprowadza umysł do bezruchu. Nie podpisałbyś się ołówkiem na przeciwprostokątnej trójkąta prostokątnego.

– Nie – przyznał Lynch – wolę przeciwprostokątną Wenus Praksytelesa.

– A więc prawda jest statyczna – ciągnął Stephen. – To bodaj Platon powiedział, że piękno jest świetnością prawdy. Podejrzewam, że sens stwierdzenia Platona sprowadza się do tego, iż prawda i piękno są spowinowacone. Prawdę poznaje intelekt, który znajduje zaspokojenie w przynoszącym największą satysfakcję układzie rzeczy pojęciowych; piękno poznaje wyobraźnia, która znajduje zaspokojenie w przynoszącym największą satysfakcję układzie rzeczy zmysłowych. Pierwszym krokiem na drodze do poznania prawdy jest zrozumienie budowy i zasięgu samego intelektu, pojęcie samego aktu rozumienia. Cały system filozoficzny Arystotelesa wyrasta z księgi o psychologii, a ta z kolei, jak sądzę, wyrasta z jego stwierdzenia, że jeden i ten sam atrybut nie może w tym samym czasie i w tym samym związku należeć i nie należeć do tego samego przedmiotu[9]. Pierwszym krokiem na drodze do poznania piękna jest zrozumienie budowy i zasięgu wyobraźni, pojęcie samego aktu estetycznego postrzegania. Czy to jasne?

– Ale czym jest piękno? – zapytał zniecierpliwiony Lynch. – Daj no jakąś definicję. Coś, co widzimy i co się nam podoba! Czy tylko na tyle stać ciebie i tego twojego Akwinatę?

– Weźmy kobietę – powiedział Stephen.

– O tak, weźmy! – wtrącił ochoczo Lynch.

– Grek, Turek, Chińczyk, Kopt czy Hotentot – mówił Stephen – każdy z nich zachwyca się innym typem kobiecego piękna. Wydaje się, że to labirynt, z którego nie sposób się wydostać. Widzę jednak dwa wyjścia. Pierwszym z nich jest następująca hipoteza: każda cecha fizyczna, którą mężczyźni zachwycają się w kobiecie, wiąże się bezpośrednio z wieloma funkcjami kobiety służącymi do podtrzymywania gatunku. Tak może być. Świat ten, jak sądzę, jest bardziej przyziemny, niż nawet tobie, Lynch, może się wydawać. Jeśli o mnie chodzi, to rozwiązanie wzbudza we mnie niesmak. Prowadzi bowiem do eugeniki, a nie estetyki. Wyprowadza nas z labiryntu do nowej, odmalowanej w krzykliwe kolory sali wykładowej, w której MacCann, z jedną dłonią na dziele *O powstawaniu gatunków…*, a drugą na Nowym Testamencie, mówi ci, że zachwycasz się szerokimi biodrami Wenus, ponieważ czujesz, że urodzi ci krzepkie potomstwo, a podziwiasz jej olbrzymie piersi tylko z tego powodu, że zapewnią dobre mleko waszym wspólnym dzieciom.

– W takim razie MacCann to siarczyście solony łgarz – rzucił z oburzeniem Lynch.

– Jest jednak jeszcze jedno wyjście – dodał Stephen i zaśmiał się.

– To znaczy? – zapytał Lynch.

– Ta hipoteza… – zaczął Stephen.

Zza rogu szpitala sir Patricka Duna nadjechała długa platforma załadowana złomem, zagłuszając końcówkę wypowiedzi Stephena przenikliwym hałasem pobrzękującego i grzechoczącego metalu. Lynch zatkał sobie uszy i miotał przekleństwa, aż platforma odjechała. Potem bezceremonialnie odwrócił się na pięcie. Stephen też się odwrócił i odczekał chwilę, aż z towarzysza ujdzie zły humor.

– Hipoteza druga – powtórzył Stephen – to kolejne wyjście: a mianowicie, że choć ten sam przedmiot może nie wszystkim wydawać się piękny, wszyscy ludzie, którzy podziwiają piękne

przedmioty, znajdują w nich pewne zadowalające ich układy, które pokrywają się z etapami estetycznego postrzegania. Te układy elementów zmysłowych, które ja widzę w jednej formie, a ty zobaczysz w innej, muszą być tym samym koniecznymi cechami piękna. A teraz możemy wrócić do naszego starego przyjaciela, świętego Tomasza, po kolejną porcyjkę mądrości.

Lynch zaśmiał się.

– Bawi mnie to niepomiernie – powiedział – kiedy słucham, jak go co chwila cytujesz niczym jakiś rubaszny, pulchny braciszek. Pewnie po cichu się z niego naśmiewasz.

– MacAlister – odpowiedział Stephen – nazwałby moją teorię estetyczną tomizmem stosowanym. Jeśli chodzi o ten obszar estetyki, Akwinata będzie mi cały czas przewodnikiem. Kiedy jednak przejdziemy do zjawisk artystycznego poczęcia, brzemienności i rozmnażania się, potrzebne mi będą nowa terminologia i nowe osobiste doświadczenie.

– Oczywista – powiedział Lynch. – Przecież Akwinata, mimo swego intelektu, był poczciwym, pulchnym braciszkiem. Ale o tym nowym osobistym doświadczeniu i nowej terminologii opowiesz mi kiedy indziej. Pospiesz się i dokończ część pierwszą.

– Kto wie – uśmiechnął się Stephen – a może Akwinata zrozumiałby mnie lepiej niż ty? Sam był przecież poetą. Napisał hymn na Wielki Czwartek. Zaczyna się od słów *Pange lingua gloriosi*. Mówią, że to największe osiągnięcie poezji hymnicznej. To skomplikowany i kojący hymn. Podoba mi się, ale żaden hymn nie dorównuje tej żałobnej i majestatycznej procesjonalnej pieśni *Vexilla Regis* Wenancjusza Fortunata.

Lynch zaczął śpiewać cicho i poważnie głębokim basem:

Impleta sunt quae concinit
David fideli carmine
Dicendo nationibus
Regnavit a ligno Deus.

– Świetne! – wykrzyknął rozanielony. – Świetna muzyka!

Skręcili w Lower Mount Street. Kilka stóp za rogiem jakiś tęgi młodzieniec w jedwabnym szaliku pozdrowił ich i przystanął.

– Znacie już wyniki egzaminów? – zapytał. – Griffin polał. Halpin i O'Flynn są na liście służby krajowej. Moonan jest piąty na indyjskiej. O'Shaughnessy czternasty. Wczoraj wieczorem Irlandczyki od Clarke'a zaprosili ich na niezłą wyżerkę. Wszyscy jedli curry.

Z jego bladej, opuchniętej twarzy dało się wyczytać niegroźną złośliwość, kiedy zaś dzielił się kolejnymi wiadomościami o sukcesach kolegów, jego małe, okolone tłuszczem oczka stawały się niemal niewidoczne, a słaby, świszczący głos – niesłyszalny.

Jednak w odpowiedzi na pytanie Stephena jego oczy i głos wyłoniły się ze swych kryjówek.

– MacCullagh i ja – odparł. – On wybrał matematykę teoretyczną, ja historię konstytucyjną. Jest dwadzieścia przedmiotów. Będę zdawał też z botaniki. Wiesz, że należę do kółka przyrodniczego.

Dostojnym krokiem oddalił się nieco od pozostałych chłopców i położył tłustą, odzianą w wełnianą rękawiczkę dłoń na piersi, z której dobył się natychmiast stłumiony, świszczący śmiech.

– Kiedy wyjedziecie w teren, przywieź trochę rzepy i cebulę – powiedział sucho Stephen – a przyrządzimy gulasz.

Gruby student zaśmiał się pobłażliwie i odparł:

– Kółko przyrodnicze to towarzystwo bardzo szacowne. W zeszłą sobotę pojechaliśmy w siódemkę do Glenmalure.

– Z kobietami, Donovan? – zapytał Lynch.

Donovan znowu położył dłoń na piersi i oświadczył:

– Naszym celem jest zdobywanie wiedzy.

Po czym szybko dorzucił:

– Jak słyszę, piszesz esej z estetyki.

Stephen zaprzeczył niewyraźnym gestem.

– Goethe i Lessing – rzekł Donovan – niemało na ten temat napisali, no wiecie, szkoła klasyczna, szkoła romantyczna i tak dalej. *Laokoon* bardzo mnie zainteresował, kiedy go czytałem. Choć jest to oczywiście takie idealistyczne, germańskie, supergłębokie.

Chłopcy nie odezwali się. Donovan elegancko pożegnał się z nimi.

– Muszę już iść – powiedział cicho i dobrodusznie. – Mam silne przeczucie, graniczące niemal z pewnością, że siostra usmaży dziś placki na obiad dla całej rodzinki Donovanów.

– Do widzenia! – krzyknął za nim Stephen. – Nie zapomnij o rzepie dla mnie i dla mojego kolegi.

Lynch odprowadził go wzrokiem, wykrzywiając powoli usta w pogardliwym grymasie, aż jego twarz zamieniła się w diabelską maskę.

– I pomyśleć, że ta solona plackożercza kupa obejmie wkrótce tak pyszną posadkę – odezwał się wreszcie. – A ja muszę kopcić te marne fajki.

Skierowali się ku Merrion Square i przez chwilę szli w ciszy.

– A wracając do moich rozważań o pięknie – powiedział Stephen – przynoszące najwięcej zadowolenia stosunki między elementami zmysłowymi muszą tym samym odpowiadać koniecznym etapom postrzegania artystycznego. Jeśli je poznasz, poznasz też cechy powszechnego piękna. Akwinata mówi: *ad pulchritudem tria requiruntur, integritas, consonantia, claritas*[10]. Tłumaczę to w ten sposób: „do piękna konieczne są trzy rzeczy, pełnia, harmonia, świetlistość". Zapytajmy, czy odpowiadają one etapom postrzegania. Nadążasz za mną?

– Ma się rozumieć – odparł Lynch. – Jeśli ci się wydaje, że mam gównianą inteligencję, to biegnij do Donovana i niech on cię wysłucha.

Stephen wskazał kosz, który chłopak od rzeźnika założył sobie na głowę do góry dnem.

– Widzisz ten koszyk? – zapytał.

– Widzę.

– Żeby zobaczyć ten koszyk – mówił Stephen – twój umysł musi najpierw wyodrębnić go z pozostałych elementów całego widzialnego świata, które koszykiem nie są. Pierwszym etapem postrzegania jest więc nakreślenie granicznej linii wokół koszyka, który ma stać się przedmiotem tego postrzegania. Dzieło sztuki przedstawia się nam albo w przestrzeni, albo w czasie. To, co

pojmujemy słuchem, przedstawia się nam w czasie, a to co widzialne – w przestrzeni. Ale dzieło sztuki, czy to czasowe, czy przestrzenne, jest wpierw jasno postrzegane jako przedmiot ograniczony i samowystarczalny na tle niezmierzonej przestrzeni lub niezmierzonego czasu, które nim nie są. Postrzegasz je jako jeden przedmiot. Widzisz jako jedną całość. Postrzegasz jego pełnię. To jest właśnie *integritas*.

– Trafiony, zatopiony! – zaśmiał się Lynch. – Dalej.

– Potem przechodzisz od punktu do punktu, idąc po formalnych liniach tego przedmiotu. Postrzegasz jego część, którą równoważy inna część w obrębie jego granic; wyczuwasz rytm jego struktury. Innymi słowy, po syntezie percepcji bezpośredniej następuje analiza spostrzeżenia. Wpierw czujesz, że to jeden przedmiot, a następnie, że jest to przedmiot. Postrzegasz go jako złożony, zwielokrotniony, podzielny, wydzielony i zestawiony z części, jako części tych efekt i ich sumę, jako przedmiot harmonijny. Tym właśnie jest *consonantia*.

– Znowu trafiony i zatopiony! – powiedział rozbawiony Lynch. – Jak wyjaśnisz mi teraz, co to *claritas*, wygrywasz cygaro.

– Skojarzenia związane z tym słowem – rzekł Stephen – nie są do końca jasne. Akwinata używa terminu, któremu, jak dla mnie, brakuje precyzji. Długi czas nie mogłem go rozgryźć. Termin ten mógłby sugerować bowiem, że Akwinata ma na myśli symbolizm lub idealizm: najwyższym przymiotem piękna jest światło z jakiegoś innego świata, idea, której cieniem zaledwie jest materia, rzeczywistość, której jest ona symbolem. Ja rozumiałem to tak, że według niego *claritas* jest artystycznym odkryciem i odwzorowaniem Boskiej celowości we wszystkim, co istnieje, albo też siłą uogólnienia, dzięki której dzieło estetyczne staje się uniwersalne, a jego blask przyćmiewa właściwe mu przypadłości. Ale to tylko literackie gadanie. Ja to rozumiem inaczej. Kiedy już spostrzegłeś ten koszyk jako jeden przedmiot, a potem dokonałeś jego analizy zgodnie z jego formą i spostrzegłeś go jako przedmiot, dokonujesz jedynej syntezy, jaka jest logicznie i estetycznie dopuszczalna. Widzisz, że przedmiot ten jest tym, czym jest, i niczym innym. Świetlistość, o której mówi filozof, to scholastyczna *quidditas*,

istność rzeczy. Artysta rozpoznaje ten najwyższy przymiot, kiedy w jego wyobraźni poczyna się dzieło estetyczne. Umysł przeżywający tę tajemniczą chwilę Shelley porównuje pięknie do gasnących węgielków. Chwila, w jakiej ten najwyższy przymiot piękna, ten czysty blask dzieła estetycznego, postrzegany jest w sposób jasny przez umysł, który przykuła pełnia tego dzieła i zafascynowała jego harmonia, jest świetlistym, milczącym bezruchem przyjemności estetycznej, stanem duchowym bliższym temu stanowi serca, który włoski fizjolog Luigi Galvani, w słowach niemal równie pięknych co słowa Shelleya, nazwał zauroczeniem serca.

Stephen przerwał, a choć rozmówca nie odzywał się, czuł, że jego słowa wywołały ciszę, która ich obu zauroczyła.

– To, co przed chwilą powiedziałem – ciągnął dalej – odnosi się do piękna w szerszym tego słowa znaczeniu, które słowo to ma w tradycji literackiej. Na ulicy ma sens zgoła odmienny. Kiedy mówimy o pięknie w tym drugim znaczeniu, nasz sąd pozostaje przede wszystkim pod wpływem samej sztuki i formy tej sztuki. Dzieło, to jasne, musi tkwić między umysłem lub zmysłami artysty a umysłem lub zmysłami innych. Jeśli będziesz o tym pamiętał, zrozumiesz, że sztuka z konieczności dzieli się na trzy formy przechodzące jedna w drugą. Te trzy formy to: forma liryczna, czyli forma, w której artysta przedstawia swoje dzieło w bezpośredniej relacji do siebie samego; forma epicka, czyli forma, w której przedstawia on swoje dzieło w zapośredniczonej relacji do siebie samego i do innych; a wreszcie forma dramatyczna, czyli forma, w której przedstawia swoje dzieło w bezpośredniej relacji do innych.

– O tym mówiłeś mi kilka dni temu – powiedział Lynch – kiedyśmy zaczynali tę naszą wielką dyskusję.

W domu mam pewną książkę – rzekł Stephen – a w niej zapisałem pytania zabawniejsze niż te, które mi zadałeś. Poszukując na nie odpowiedzi, stworzyłem teorię estetyczną, którą właśnie próbuję ci przybliżyć. Oto niektóre z pytań, które sobie zadałem: „Czy krzesło wykonane po mistrzowsku jest tragiczne czy komiczne? Czy portret Mony Lizy jest dobry, jeśli pragnę go zobaczyć? Czy popiersie sir Philipa Cramptona jest liryczne, epickie czy dramatyczne? Czy

ekskrementy, dziecko, wesz mogą być dziełami sztuki? A jeśli nie, to dlaczego?".

– No właśnie, dlaczego? – zaśmiał się Lynch.

– „Jeśli jakiś człowiek w ataku furii zacznie rąbać kawałek drewna" – ciągnął Stephen – „i stworzy wizerunek krowy, to czy ten wizerunek będzie dziełem sztuki? A jeśli nie, to dlaczego?"

– Śliczne pytanko – znowu zaśmiał się Lynch. – Trąci najprawdziwszą scholastyką.

– Lessing – powiedział Stephen – nie powinien był pisać swojego traktatu na przykładzie rzeźby grupowej. Sztuka ta, jako gatunek pośledni, nie przedstawia form, o których mówiłem, że są względem siebie wyraźnie wyodrębnione. Nawet w literaturze, tej najdoskonalszej i najbardziej uduchowionej ze sztuk, formy często mieszają się ze sobą. Forma liryczna, na przykład, jest w rzeczywistości najprostszą szatą słowną dla chwilowej emocji, rytmicznym okrzykiem sprzed wieków, którym mężczyzna wiosłujący na łodzi lub toczący kamienie po zboczu góry pomaga sobie przy pracy. Ten, kto ją wypowiada, bardziej jest świadomy owej chwilowej emocji niż siebie samego jako podmiotu, który tę emocję odczuwa. Najprostsza forma epicka wyłania się z literatury lirycznej wtedy, kiedy artysta zatrzymuje się i zamyśla nad sobą jako ośrodkiem epickiego wydarzenia, a forma ta rozwija się do momentu, gdy środek emocjonalnej ciężkości znajdzie się w takiej samej odległości od artysty jak od innych. Narracja przestaje być wtedy czymś czysto osobistym. Osobowość artysty wkracza do samej narracji i niczym żywe morze opływa jej postaci i wydarzenia. Rozwój ten możesz bez trudu dostrzec w starej angielskiej balladzie *Turpin bohater*, która zaczyna się od pierwszej osoby, a kończy na trzeciej. Formę dramatyczną osiąga się wtedy, kiedy żywotność opływająca i obmywająca każdą postać wypełnia ją siłą tak przemożną, że zaczyna ona żyć sobie właściwym i nieuchwytnym życiem estetycznym. Osobowość artysty, będąca z początku zaledwie okrzykiem lub kadencją, lub nastrojem, a wreszcie potoczystą i błyskotliwą narracją, oczyszcza się w końcu z wszystkiego, co wiąże ją z rzeczywistością, i, by tak rzec, ubezosabia się. Dziełem sztuki w formie dramatycznej jest życie

w wyobraźni człowieka oczyszczone i z niej ponownie wydobyte. Tajemnica twórczości estetycznej, podobnie jak materialnej, dopełnia się. Artysta, jak Bóg Stwórca, pozostaje wewnątrz swojego dzieła lub za nim, lub obok niego, lub ponad nim, niewidzialny, oczyszczony z wszystkiego, co wiąże go z rzeczywistością, i obojętnie obcina sobie paznokcie.

– Próbując je też oczyścić z wszystkiego, co wiąże je z rzeczywistością – powiedział Lynch.

Z wysokiego, zamglonego nieba zaczęło kropić; skierowali się do parku Duke's Lawn, by dojść do gmachu Biblioteki Narodowej, zanim rozpada się na dobre.

– Do czego zmierzasz – zapytał Lynch opryskliwie – prawiąc o pięknie i wyobraźni na tej nieszczęsnej, zapomnianej przez Boga wyspie? Nic dziwnego, że artysta, który ma na sumieniu ten tu oto kraj, schronił się gdzieś wewnątrz swego dzieła lub za nim.

Deszcz padał coraz silniej. Kiedy przeszli przez pasaż obok gmachu Kildare'a, ujrzeli gromadę studentów, którzy schronili się pod arkadami biblioteki. Cranly, oparty o filar, dłubał w zębach zastruganą zapałką i przysłuchiwał się rozmowom kolegów. U drzwi wejściowych stały dziewczęta. Lynch szepnął do Stephena:

– Twoja luba tu jest.

Stephen zajął po cichu miejsce na stopniu poniżej grupy studentów, nie zważając na deszcz, który rozpadał się już na dobre, i raz po raz popatrywał w jej stronę. Ona też stała w milczeniu w gronie koleżanek. Nie ma tu księdza, z którym mogłaby poflirtować, pomyślał z nieskrywaną goryczą i wspomniał chwilę, kiedy widział ją ostatnio. Lynch miał rację. Jego umysł, oczyszczony z teorii i odwagi, zapadł znowu w błogą obojętność.

Słyszał, o czym rozmawiają studenci. Mówili o dwu przyjaciołach, którzy zdali końcowe egzaminy medyczne, o szansach znalezienia posady na oceanicznych liniowcach, o praktykach nędznych i popłatnych.

– Przecież to funta kłaków warte. Lepsza praktyka na irlandzkiej wsi.

– Hynes harował dwa lata w Liverpoolu i mówi to samo. To koszmarna dziura, powiada. Tylko położnictwo. Za psie pieniądze

z opieki.

– Chcesz powiedzieć, że lepiej użerać się tutaj, na jakimś wiejskim zadupiu, niż w takim bogatym mieście jak Liverpool? Znam człowieka…

– Hynes ma sieczkę w głowie. Udało mu się, bo zakuwał, ordynarnie facet zakuwał.

– Co się nim przejmujesz! W dużym przemysłowym mieście można zgarnąć wielką forsę.

– Zależy od praktyki.

– *Ego credo ut vita pauperum est simpliciter atrox, simpliciter cholerius atrox, in Liverpoolio.*

Ich głosy dochodziły go jakby z daleka w przerywanym, pulsującym rytmie. Zbierała się do odejścia z koleżankami.

Przelotny, drobny deszczyk już ustawał, zostawiając po sobie diamentowe kiście zawieszone na krzewach na dziedzińcu, gdzie poczerniała ziemia zionęła oparami. Dziewczęta, których zgrabne botki nie przestawały plaskać, stały na stopniach kolumnady i rozmawiały cicho i wesoło, spoglądając na chmury, trzymając parasole pod odpowiednim kątem, by uchronić się przed kilkoma ostatnimi kroplami deszczu, a potem zamknęły je i skromnie uniosły spódnice.

A może osądził ją za surowo? Może jej życie było zwyczajnym różańcem godzin, życiem zwyczajnym i dziwnym jak żywot ptaka: radosne nad ranem, niecierpliwe za dnia, znużone o zmierzchu? Jej serce zwyczajne i uparte jak serce ptaka?

* * *

Obudził się tuż przed świtaniem. Och, słodycz tej muzyki! Dusza rosą przemokła. Fale światła, blade i chłodne, przetoczyły się nad jego uśpionymi członkami. Leżał nieruchomo, a dusza spoczywała jakby wśród chłodnych wód, świadoma dalekiej, słodkiej muzyki. W umyśle budziła się powoli płochliwa, poranna przedwiedza, poranne natchnienie. Wypełnił go duch, czysty jak woda najczystsza, słodki jak rosa, tkliwy niczym muzyka. A jak zwiewnie

z każdym wdechem go przenikał, jak beznamiętnie, jakby owiewał go oddech samych serafinów! Dusza budziła się powoli, w lęku, że rozbudzi się cała. Była to pora bezwietrzna świtu, kiedy na ofiarę swą czyha szaleństwo, a dziwna roślinność rozwiera się ku światłu i ćma ku niemu w ciszy pośpiesza.

Zauroczenie serca! Noc cała zauroczona. We śnie, w widzeniu poznał ekstazę seraficznego życia. Czy była to tylko chwila zauroczenia czy też długie jego godziny, dni, lata, wieki?

Tę chwilę natchnienia odzwierciedlały zewsząd obłoczne, mrowiące się szczegóły tego, co się wydarzyło lub co mogło się wydarzyć. Chwila ta niczym punkt świetlny rozbłysła, a potem kształt jakiś błędny, z niejasnych, piętrzących się obłoków zlepiony, stłumił w ciszy swój pobrzask. Ach! W dziewiczym łonie wyobraźni słowo ciałem się stało. Gabriel serafin do komnaty dziewicy zawitał. Pogłębił się pobrzask w duszy jego i wystrzeliła dusza białym słupem płomienia, ogniem coraz głębszym, aż w różane i ogniste światło uległ przeobrażeniu. To różane i ogniste światło było jej dziwnym, niezłomnym sercem, dziwnym, gdyż żaden mąż go nie poznał i żaden nie pozna, niezłomnym sprzed początku świata; a wabione tą poświatą różową i ognistą spadały z niebios na ziemię chóry serafinów.

Czy dawnych dróg już nie masz dosyć,
Upadłych serafinów czaru?
O cudnych dniach już nie mów, proszę.

Wersy te spłynęły mu z myśli na usta, powtarzał je sobie szeptem, czuł, jak przetacza się przez nie rytmiczny takt villanelli. Różowa poświata słała promienie rymu: czaru, żaru, oceanu, darów. Jego promienie prażyły świat, trawiły serca ludzi i aniołów: promienie z róży, którą było jej uparte serce.

Wolę mężczyzny twoje oczy
Niewolą blaskiem swego żaru.
Czy dawnych dróg już nie masz dosyć?

A potem? Rytm dogasł, dobiegł kresu, po czym znów odżył i od nowa pulsował. A potem? Dym, kadzidło, co wznosi się z ołtarza tego świata.

Nad płomień modlitw dym się wznosi
Z brzegu do brzegu oceanu.
Czy dawnych dróg już nie masz dosyć?

Dym szedł w górę z powierzchni ziemi, z oceanów oparami obleczonych, dym, który cześć jej składał. A ziemia była niczym czasza kadzielnicy rozkołysanej, rozkolebanej, rozkopconej, niczym kula kadzidlana, kula elipsoidalna. Rytm sczezł, zgasł raptownie; załamał się krzyk serca. Usta szeptać poczęły pierwsze wersy, raz po raz, a potem potykały się na półwersach, plątały i gubiły, po czym zgasły. Załamał się krzyk serca.

Ta skryta, bezwietrzna godzina minęła, a za szybą nagiego okna zbierało się poranne światło. Z dala dobiegało nikłe bicie dzwonu. Zaświergotał ptak; dwa ptaki, trzy. Dzwon i ptaki ucichły; a zamglone blade światło rozlało się daleko na wschód i na zachód, pokrywając oblicze ziemi, pokrywając różany blask w jego sercu.

Bał się, że wszystko zapomni, wsparł się na łokciu, by poszukać kartki papieru i ołówka. Ale nie znalazł ich na stole; tylko talerz, z którego zjadł ryż na kolację, i lichtarz z opadającymi kosmykami łoju, osłonięty papierowym, okopconym od dogasającego płomienia abażurem. Wyciągnął znużoną rękę ku nogom łóżka i poszperał w kieszeniach wiszącej tam marynarki. Palce odnalazły ołówek, a po chwili także paczkę papierosów. Położył się, rozerwał paczkę, ostatniego papierosa odłożył na parapet i zaczął zapisywać strofy villanelli drobnymi, starannymi literami na szorstkiej, tekturowej powierzchni.

Zapisał je, po czym położył głowę na wypchanej poduszce, szepcząc je znowu do siebie. Grudki zmierzwionych, bawełnianych kłaczków pod jego głową przypomniały mu grudki zmierzwionego końskiego włosia w otomanie w jej saloniku, a była to otomana, na której często siadywał, uśmiechał się lub twarz przyoblekał

w powagę i pytał siebie samego, czemu się tu znalazł, doznając rozczarowania i nią, i sobą, spłoszony widokiem oleodruku z Sercem Przenajświętszym nad pustym kredensem. Widział ją, jak podchodzi do niego w przerwie rozmowy i błaga, by zaśpiewał jedną ze swych kunsztownych pieśni. Potem zobaczył siebie przy starym fortepianie, jak z upstrzonych plamkami klawiszy dobywa ciche akordy i śpiewa pośród toczących się rozmów, które ponownie wypełniły salonik, i czyni to dla tej, która stoi wsparta o gzyms nad kominkiem, śpiewa pieśń wytworną z czasów elżbietańskich, smętną i słodką zarazem pieśń pożegnalną, wezwanie do odjazdu, pieśń zwycięstwa pod Azincourt, radosną melodię o lady Greensleeves. A kiedy on śpiewa, a ona go słucha lub udaje, że słucha, spokojnym rytmem bije jego serce; kiedy jednak kończą się te urocze pieśni z lat dawnych, a on znowu słyszy głosy rozbrzmiewające w salonie, przypomina sobie sarkastyczną uwagę, którą poczynił: to dom, gdzie nazbyt wcześnie mówi się do młodzieńców po imieniu.

Były chwile, kiedy zdawało mu się, że wzrok jej ufnie wybiega mu naprzeciw, ale czekał na próżno. Teraz przeszła tanecznym krokiem przez jego pamięć tak, jak ją zapamiętał z owego wieczoru, podczas balu karnawałowego: uniosła białą sukienkę, a biała gałązka dygotała w jej włosach. Tańczyła lekko kadryla, tańczyła ku niemu, a kiedy się zbliżała, jej wzrok przed nim jakby umykał, a na jej policzku rozlewał się ledwo widoczny rumieniec. Kiedy stanęli w tańcu naprzeciwko siebie, jej dłoń wsunęła mu się do dłoni, na jedno mgnienie – miękka szarfa atłasu.

– Trudno cię spotkać wśród ludzi.

– Tak. Mam naturę mnicha.

– Boję się, że raczej heretyka.

– A bardzo się boisz?

W odpowiedzi oddaliła się od niego tanecznym krokiem wzdłuż łańcucha rąk, tańcząc zwiewnie i rozważnie, nie dając się prowadzić żadnemu mężczyźnie. Biała gałązka drgała w rytmie jej tanecznych kroków, a gdy spowił ją cień, pogłębił się szkarłat rumieńca na jej policzku.

Mnich! Wyłonił się przed nim jego własny wizerunek – świętokradcy w klasztorze, heretyckiego franciszkanina, który chce służyć i służyć nie zamierza, jak Gherardino da Borgo San Donnino, co przędzie wiotką pajęczynę sofistyki i szeptem się wkrada do niewieściego ucha.

Nie, to nie był jego wizerunek. Przypominał raczej wizerunek młodego księdza, w którego towarzystwie widział ją ostatnio, na którego spoglądała gołębim wzrokiem, przewracając kartki swych irlandzkich rozmówek.

– O tak, tak, przyłączają się do nas także panie. Widzę to codziennie. Panie są z nami. To najcenniejsze wspomożenie dla naszego języka.

– A Kościół, ojcze Moranie?

– Kościół też. Też się przyłącza. Tam też odchodzi robota. O Kościół niech cię głowa nie boli.

Ba! Dobrze zrobił, wychodząc z sali z pogardą. Dobrze zrobił, nie pozdrawiając jej na schodach biblioteki. Dobrze zrobił, że zostawił ją, gdy flirtowała ze swym klechą i igrała z Kościołem, z tą pomywaczką chrześcijańskiego świata.

Gwałtowna, brutalna fala gniewu zmyła z jego duszy ostatnie resztki chwilowej ekstazy. Roztrzaskała w kawałki jej piękny wizerunek i rozniosła go na wszystkie strony. Ze wszystkich stron wypaczone obrazy jej postaci zaczęły osaczać jego pamięć: kwiaciarka w łachmanach, o wilgotnych, zmierzwionych włosach i łobuzerskim spojrzeniu, która nazwała się jego dziewczynką i prosiła, by kupił od niej pierwszy bukiecik; pomoc kuchenna z sąsiedniego domu, która śpiewem próbowała przebić się ponad szczęk talerzy, zaciągając jak wiejska śpiewaczka pierwsze takty *Tam gdzie wzgórza i jeziora Killarney*, dziewczyna, która wybuchła radosnym śmiechem na widok jego niezdarnego potknięcia, gdy pęknięta podeszwa jego buta utknęła w żelaznej kratce na drodze niedaleko Cork Hill; dziewczyna, na którą spojrzał, zwabiony jej dojrzałymi usteczkami, kiedy wychodziła z fabryki biszkoptów Jacoba i krzyknęła do niego przez ramię:

– Też żeś se pan mnie upatrzył, a toć włosy mam jak druty i brwi jak kłaczyska!

A jednak czuł, że choćby szargał jej wizerunek i drwił sobie z niego, jego gniew był także hołdem jej składanym. Wyszedł z sali z pogardą, która nie do końca była szczera, czuł bowiem, że być może tajemnica jej plemienia tkwi tuż za czarnymi oczyma, na które jej długie rzęsy rzucają ulotny cień. Powtarzał sobie z goryczą, snując się uliczkami, że ucieleśnia ona kobiecość swego kraju, że jest podobną do nietoperza duszą, która się budzi, siebie świadoma, w mroku nocy, w tajemnicy, w samotności, przebywa przez chwilę, bezmiłosna i bezgrzeszna zarazem, ze swym mdłym kochankiem, po czym porzuca go, by szeptać o niewinnych występkach do okratowanego ucha swego spowiednika. Gniew, jaki do niej czuł, znalazł ujście w wulgarnych szyderstwach z jej kochanka, którego imię i głos, i rysy były obrazą dla jego zdezorientowanej dumy: uksiężony wieśniak, którego jeden brat jest policjantem w Dublinie, a drugi pomocnikiem barmana w Moycullen. Przed nim to obnaża ona wstydliwą nagość swej duszy, przed tym, którego nauczono jedynie, jak dopełniać pustych obrzędów, a nie przed nim, kapłanem nieśmiertelnej wyobraźni, który przemienia chleb powszedni doświadczenia w promienne ciało wiecznego żywota.

Promienny obraz Eucharystii połączył znowu na chwilę gorzkie i rozpaczliwe myśli, a krzyk ich wzleciał w nieprzerwanym hymnie dziękczynienia:

Urwany płacz nasz, smutne głosy
Eucharystycznym hymnem wstają.
Czy nie masz dawnych dróg już dosyć?
Kiedy ofiarne ręce wznoszą
Kielich, po brzegi pełną czarę,
O cudnych dniach już nie mów, proszę.

Powtarzał na głos te wersy, od pierwszego poczynając, aż muzyka i rytm wypełniły mu umysł, wzbudzając gotowość cichej zgody na wszystko; a następnie wersy te skrupulatnie zapisał, by móc je zobaczyć i odczuć tym pełniej. Potem oparł się znów o zagłówek.

Poranne słońce świeciło już pełnym blaskiem. Ciszy nie mącił żaden dźwięk, ale Stephen wiedział, że świat wokół niego przebudzi się i rozbrzmi zgiełk pospolity, chrapliwe głosy, senne pacierze. Wzdrygał się na to życie, odwrócił się do ściany, z koca zrobił mnisi kaptur i wpatrywał się w wielkie, wybujałe, szkarłatne kwiaty na postrzępionej tapecie. Próbował rozgrzać swą gasnącą radość w ich szkarłatnym żarze; z miejsca, gdzie leżał, wyobrażał sobie drogę różaną wiodącą w górę, ku niebu, a cała wyścielona była szkarłatnym kwieciem. Znużenie! Potworne znużenie! On także miał dawnych dróg już dosyć.

Stopniowo narastająca ciepłota i ociężałe znużenie przebiegły przez jego ciało, od szczelnie zakapturzonej głowy w dół. Czuł, jak schodzą wzdłuż kręgosłupa, a widząc siebie w pozycji leżącej, uśmiechnął się. Niedługo zaśnie.

Po dziesięciu latach znowu składał dla niej wiersze. Lat temu dziesięć nosiła szal, owinięty wokół głowy niczym kaptur, rozlewała w wieczornym powietrzu woń ciepłego oddechu, jej obcasy stukały rytmicznie po szklistej nawierzchni. To był ostatni tramwaj; wychudzone brązowe chabety wiedziały o tym dobrze, wydzwaniały dzwoneczkami w klarownym mroku wieczoru ku przestrodze spóźnionym pasażerom. Konduktor gawędził z woźnicą, obaj raz po raz kiwali głowami, zanurzeni w zielonej poświacie lampy. Oni zaś stali na stopniach powozu, on na wyższym, ona na niższym. Wstępowała na jego stopień wielokrotnie, między zdaniami, i schodziła znowu, a raz czy dwa zostawała obok niego, jakby zapominała zejść, i dopiero po chwili schodziła: Dosyć już! Dosyć!

Dziesięć lat dzieli tę wiedzę dziecięcą i jego szaleństwo. A gdyby wysłać jej wiersze? Czytano by je przy śniadaniu do muzyki łyżeczek stukających o skorupki jajek. Prawdziwe szaleństwo! Jej bracia rykną śmiechem i silnymi, stwardniałymi paluchami będą wyrywać sobie kartkę. Przymilny ksiądz, jej stryjek, zanurzony w fotelu, odsunie rękę z kartką daleko od oczu, przeczyta ją z uśmieszkiem i pochwali literacki kunszt autora.

Nie, na pewno nie: to zwyczajne szaleństwo. Nawet gdyby wysłał jej wiersze, nie pokazałaby ich nikomu. Nie, na pewno nie:

nie mogłaby tego zrobić.

Poczuł, że wyrządził jej krzywdę. Świadomość, jak bardzo jest niewinna, wzruszyła go, aż zaczął się nad nią nieomal litować; ta niewinność, której nigdy nie rozumiał, aż do owej chwili, kiedy poznał ją poprzez grzech; niewinność, której i ona nie rozumiała, kiedy była niewinna lub zanim to dziwne upokorzenie, jakie sprowadza na nią niewieścia natura, przytrafiło się jej po raz pierwszy. Wtedy to jej dusza zaczęła żyć takim samym życiem, jakie po pierwszym grzechu stało się udziałem jego duszy; i czułe współczucie wypełniło mu serce, kiedy wspomniał jej wątłą bladość i jej oczy, którym mroczny wstyd z kobiecej natury płynący niósł tylko smutek i upokorzenie.

A kiedy jego dusza przechodziła od ekstazy do znużenia, gdzież ona była? Czy to możliwe, że w zgodzie z tajemniczymi prawami duchowego życia dusza jej w tychże samych chwilach czuła, że on składa jej hołd? Możliwe.

Żar pożądania ponownie zamigotał mu w duszy, rozniecił się i wypełnił sobą całe ciało. Świadoma jego pożądania, budziła się z wonnego snu, kusicielka z jego villanelli. Oczy jej, czarne, z wyrazem tęsknego wyczerpania, otwierały się na jego oczy. Jej nagość oddawała mu się, promienna, ciepła, wonna i wieloręka, ogarniała go jak obłok świetlisty, ogarniała jak woda płynnym życiem; i jak obłok mglisty lub jak wody w przestrzeni krążące płynne litery mowy, symbolizujące żywioł tajemnicy, przepłynęły nad jego umysłem.

Czy dawnych dróg już nie masz dosyć,
Upadłych serafinów czaru?
O cudnych dniach już nie mów, proszę.

Wolę mężczyzny twoje oczy
Niewolą blaskiem swego żaru.
Czy dawnych dróg już nie masz dosyć?

Nad płomień modlitw dym się wznosi

Z brzegu do brzegu oceanu.
Czy dawnych dróg już nie masz dosyć?

Urwany płacz nasz, smutne głosy
Eucharystycznym hymnem wstają.
Czy nie masz dawnych dróg już dosyć?

Kiedy ofiarne ręce wznoszą
Kielich, po brzegi pełną czarę,
O cudnych dniach już nie mów, proszę.

A wciąż tęsknotę naszą głosi
Twój wzrok omdlały, bujność darów.
Czy dawnych dróg już nie masz dosyć?
O cudnych dniach już nie mów, proszę.[11]

* * *

Jakie to były ptaki? Stał na stopniach biblioteki i wpatrywał się w ptaki, wspierając się ze znużenia na jesionowej lasce. Krążyły nieprzerwanie wokół wystającego skrzydła domu na Molesworth Street. Powietrze późnomarcowego wieczoru uwydatniało ich lot, ich czarne, śmigłe i drżące ciałka szybowały wyraźnie na tle nieba jak na tle zarzuconej niedbale sukni w kolorze przyćmionego, subtelnego błękitu.

Obserwował ich lot; ptak za ptakiem; ciemny błysk, skręt, znowu błysk, wzlot, zakręt, śmignięcie w bok i trzepot skrzydeł. Próbował je policzyć, zanim te wszystkie śmigłe, drżące ciałka znikną: sześć, dziesięć, jedenaście; zastanawiał się, czy jest ich parzysta czy nieparzysta liczba. Dwanaście, trzynaście: dwa kolejne zleciały bowiem, wirując, z górnych rejonów nieba. Latały wysoko i nisko, ale zawsze wokół, po prostych i zakrzywionych torach, zawsze z lewa na prawo, okrążając powietrzną świątynię.

Słuchał ich krzyków, które brzmiały jak piski myszy za boazerią: ostry, dwutonowy dźwięk. Ale dźwięki te były długie,

ostre, wibrujące, niepodobne do pisków tych drobnych gryzoni, opadały o tercję lub kwartę, niosły się jazgotliwym trelem, kiedy dzioby w szybkim locie przeszywały powietrze. Ich krzyk był ostry, czysty, wyrazisty i opadał niczym nić jedwabistego światła, co rozwija się z wirującej szpuli.

Ta nieludzka wrzawa koiła mu uszy, w których natarczywie rozbrzmiewał szloch mamroczącej matki i jej nieustanne wyrzuty; a te ciałka ciemne i kruche, i drżące, które krążyły i trzepotały, i kreśliły pętle wokół powietrznej świątyni przejrzystego nieba, koiły mu oczy, przed którymi miał wciąż obraz matczynego oblicza.

Czemu spoglądał w górę ze stopni ganku, czemu słuchał ich piskliwego, podwójnego krzyku, czemu wpatrywał się w ich lot? Szukał wróżby dobrego czy też złego losu? Jakieś zdanie z Korneliusza Agrypy przemknęło mu przez myśl, a potem błyskały w niej szybko bezkształtne słowa ze Swedenborga o podobieństwie ptaków i przedmiotów intelektu i o tym, jak te powietrzne istoty zdobywają wiedzę i skąd wiedzą o czasie i porach roku, ponieważ, w przeciwieństwie do człowieka, istnieją w porządku własnego życia, w porządku, którego rozum nie zmącił.

A człowiek od wieków spoglądał w górę, tak jak on przygląda się tym ptakom w locie. Kolumnada nad jego głową wzbudziła w nim nieostrą myśl o starożytnej świątyni, a jesionowa laska, na której się wspierał znużony, o krzywym kiju augura. Uczucie strachu przed nieznanym poruszyło się w samym sercu jego znużenia; strachu przed symbolami i znakami; przed człowiekiem o sokolej naturze, którego imię nosił i który na skrzydłach splecionych z wierzbowych witek wyrwał się z niewoli; przed Totem, bogiem pisarzy, co trzciną na tabliczce pisze, a na wąskiej, ibisowej głowie rogaty księżyc nosi.

Uśmiechnął się na myśl o wizerunku tego bóstwa, wywołała w nim bowiem skojarzenie z butlonosym sędzią w peruce, nanoszącym przecinki w jakimś dokumencie trzymanym na odległość wyciągniętego ramienia, i wiedział, że nie zapamiętałby zapewne imienia tego boga, gdyby nie było ono jednocześnie irlandzkim przekleństwem. Czyste szaleństwo. Ale czy przez wzgląd na to właśnie szaleństwo ma zamiar porzucić na zawsze ten dom

modlitwy i roztropności, w którym się urodził, i ten porządek życia, z którego wyszedł?

Wróciły z piskliwym krzykiem zza wystającego skrzydła budynku, lotem mrocznym na tle gasnącego nieba. Jakie to były ptaki? Pomyślał, że pewnie jaskółki, które wróciły z południa. W takim razie on też musi odejść, ptaki te przylatują bowiem i odlatują nieustannie, budują nietrwałe domy pod strzechami ludzkich domostw i nieustannie porzucają je, by dalej wędrować.

Schylcie oblicza, Uno i Alilu.
Im się bowiem przyglądam, jakbym był jaskółką,
Co patrzy na gniazdo ukryte pod strzechą, nim
Wyruszy w podróż za krzykliwe wody.[12]

Fala cichej, szklistej szczęśliwości niczym szum wielu strumieni przetoczyła mu się przez pamięć i doświadczył w sercu cichego spokoju tych milczących przestrzeni gasnącego, przejrzystego nieba nad taflą wody, tej oceanicznej ciszy i jaskółek szybujących przez nadmorski zmierzch nad płynącymi wodami.

Fala cichej, szklistej szczęśliwości przetoczyła się przez słowa, tam gdzie ciche, długie samogłoski zderzały się bezgłośnie, po czym opadały, chlupocząc, odpływając, podzwaniając nieustannie białymi dzwoneczkami swoich spienionych fal, w niemym pobrzęku, w niemym pogłosie, w cichym, niskim i omdlewającym zgiełku; i poczuł, że wróżba, której szukał w tych śmigłych krążących w górze ptakach i w bladej przestrzeni niebios, wyleciała z jego serca niczym ptak z wieżyczki, szybko i bezgłośnie.

Symbol rozstania czy samotności? Wiersze, które nuciły jego pamięci do ucha, przywołały wkrótce przed pamiętającymi oczyma scenę w sali z owego wieczoru, gdy otwarto Teatr Narodowy[13]. Był sam, z boku na balkonie, przyglądał się znudzonym wzrokiem tej kulturze Dublina, która rozsiadła się w miejscach na parterze, i tandetnym kostiumom, i ludzkim lalkom na scenie, w świetle oślepiających lamp. Siedzący za nim krzepki policjant pocił się obficie, wydawało się, że lada chwila wkroczy do akcji. Gwizdy

i tupot, i prześmiewcze okrzyki dobiegały z rozproszonych po widowni miejsc, na których siedzieli jego koledzy, i roznosiły się w obscenicznych porywach po całej sali teatru.

– Antyirlandzki paszkwil!

– Germański towar!

– Bluźniercy!

– Nie zdradzimy wiary ojców!

– To potwarz dla irlandzkich kobiet!

– Nie chcemy tu bezbożnych amatorów!

– Buddyści do budy!

Niespodziewany, szybki syk doszedł jego uszu od strony wysokich okien i Stephen domyślił się, że w czytelni włączono elektryczne lampy. Skierował się do sali kolumnowej, już łagodnie oświetlonej, wspiął się po schodach i przeszedł przez terkoczące obrotowe drzwi.

Cranly siedział przy słownikach. Gruba księga, otwarta na stronie tytułowej, leżała przed nim na drewnianym pulpicie. Siedział oparty wygodnie na krześle i, jakby był spowiednikiem, nadstawił ucha do ust studenta medycyny, który z jakiegoś pisma czytał mu o pewnym problemie szachowym. Stephen usiadł przy nim po prawej, a ksiądz siedzący po drugiej stronie stołu zatrzasnął z wściekłym hukiem swój egzemplarz *The Tablet* i wstał z krzesła.

Cranly odprowadził go obojętnym, mglistym wzrokiem. Student medycyny czytał dalej, lecz już nieco ciszej.

– Pionem na czwarte przed króla.

– Lepiej chodźmy stąd, Dixon – ostrzegł go Stephen. – Poszedł ze skargą.

Dixon złożył pismo i powstał z godnością, mówiąc:

– Odwrót naszej armii przebiegł zgodnie z planem.

– Z armatami i bydłem – dodał Stephen, wskazując stronę tytułową księgi Cranly'ego, na której widniały słowa: *Choroby wołu*.

Kiedy szli przejściem między stołami, Stephen przerwał milczenie.

– Cranly, chciałbym z tobą porozmawiać.

Cranly nie odpowiedział ani się nie odwrócił. Położył księgę na ladzie i wyszedł, jego elegancko obute stopy stukały głucho po

podłodze. Na schodach zatrzymał się i patrząc nieobecnym wzrokiem na Dixona, powtórzył:

– Pionem na to skubane czwarte przed króla.

– Można tak to wyrazić, jeśli wola – powiedział Dixon.

Głos jego był bezbarwny i cichy, maniery miał nienaganne, a na palcu pulchnej, czystej dłoni błyskał od czasu do czasu sygnet.

Kiedy przechodzili przez hol, jakiś mężczyzna o karlej posturze szedł w ich kierunku. Nieogoloną twarz pod kopułą miniaturowego kapelusza rozjaśnił uśmiech radości, po czym uszu ich dobiegł jego szept. Oczy miał melancholijne jak małpa.

– Dobry wieczór, kapitanie – pozdrowił go Cranly, przystając.

– Dobry wieczór panom – odparła zarośnięta szczeciną, małpowata twarz.

– Ciepło jak na marzec – rzucił Cranly. – Dziś pootwierano na górze okna.

Dixon uśmiechnął się i przekręcił sygnet na palcu. Czarniawa, wykrzywiona jak u małpy twarz zacisnęła swoje ludzkie usta w przypływie lekkiej rozkoszy, a głos wymruczał:

– Jak na marzec pogoda iście cudowna. Po prostu cudowna.

– Tam na górze, kapitanie, są dwie ślicznotki, które nie mogą się wprost doczekać – powiedział Dixon.

Cranly uśmiechnął się serdecznie i oznajmił:

– Kapitan ma tylko jedną miłość – sir Waltera Scotta. Nie mylę się, kapitanie?

– A co pan teraz czyta, kapitanie? – zapytał Dixon. – *Narzeczoną z Lammermoor*?

– Kocham starego Scotta – odparły ruchliwe usta. – Jak dla mnie, pisze prawdziwe cudowności. Żaden pisarz nie umywa się do sir Waltera Scotta.

Kiedy wygłaszał tę pochwałę, chudą, skurczoną i opaloną dłonią wykonał delikatny ruch, a jego cienkie powieki zatrzepotały kilkakrotnie nad smutnymi oczyma.

Smutniejsza jednak dla uszu Stephena była jego mowa: mówił wytwornie, cicho, afektowanym językiem zeszpeconym błędami; a słuchając tej mowy, Stephen zastanawiał się, czy prawdziwa jest historia, którą o nim słyszał, i czy płynąca w tym skurczonym ciele

cienka krew naprawdę jest szlachetna i z miłości kazirodczej poczęta?

Drzewa w parku były ciężkie od deszczu, a deszcz padał uporczywie, padał nieustannie na taflę jeziora, które leżało szare niczym tarcza. Nadleciało stado łabędzi, ich zielono-białe odchody mąciły wodę i podwodny brzeg. Objęli się delikatnie, ponaglało ich szare deszczowe światło, mokre, milczące drzewa, czujne, okrągłe jak tarcza jezioro, łabędzie stado. Objęli się bez radości, bez namiętnego żaru, ramieniem otoczył szyję siostry. Szary wełniany płaszcz okrywał ją do bioder, a jej piękna główka pochylała się w przyzwalającym wstydzie. On miał rozpuszczone, kasztanowe włosy i czułe, kształtne, silne, piegowate dłonie. Twarz. Twarzy nie było widać. Twarz brata nachyliła się nad jej pięknymi, pachnącymi deszczem włosami. Ta dłoń piegowata, i silna, i kształtna, i czuła, była dłonią Davina.

Zagniewany zmarszczył brew na ten widok i na myśl o tym pokurczonym homunkulusie, który scenę tę wywołał. Pamięć przywołała słowa ojca, ośmieszającego bandę z Bantry. Odegnał je od siebie i pochylił się niepewnie nad własnymi myślami. Dlaczego nie były to dłonie Cranly'ego? Czy prostota i niewinność Davina dręczą go bardziej, niż się spodziewał?

Szli przez hol z Dixonem, zostawiając w tyle Cranly'ego, by ten w odpowiednio wyszukany sposób pożegnał się z karłem.

Pod kolumnadą stał Temple z gromadką studentów. Któryś z nich krzyknął:

– Dixon, podejdź no tu, coś usłyszysz. Temple jest w świetnej formie.

Temple skierował na niego swe czarne, cygańskie oczy.

– Z ciebie, O'Keeffe, jest ordynarny obłudnik – powiedział – a Dixon to śmiechur. Niech cię diabli, co za literackie wyrażenie.

Zaśmiał się przebiegle, spojrzał Stephenowi w twarz i powtórzył:

– Niech mnie diabli, udało mi się słówko. Śmiechur.

Pewien korpulentny student, stojący na niższym stopniu, powiedział:

– No, Temple, wróćmy do tej kochanki. Chcielibyśmy posłuchać.

– Jak Boga kocham, miał kochankę – powiedział Temple. – Był też kiedyś żonaty. I wszyscy księża chodzili się u nich stołować. Niech was diabli, jak sobie oni wszyscy swawolili.

– Powiedzmy, że jeździli na chabecie, by oszczędzić ogiera – skomentował Dixon.

– Powiedz no nam, Temple – wtrącił O'Keeffe – ile żeś kufli porteru w siebie wlał?

– W tym zdaniu zawarłeś całą głębię swojej duszy rozumnej, O'Keeffe – powiedział Temple z nieskrywaną pogardą.

Przeszedł, powłócząc nogami, na drugą stronę grupy i zapytał Stephena:

– A kolega wie, że Forsterowie to królowie Belgii?

Z drzwi do holu wyłonił się Cranly, kapelusz miał zsunięty na kark i z wielką starannością dłubał w zębach.

– A oto nasz mądrala – powiedział Temple. – Wiedziałeś o Forsterach?

Przerwał, czekając na odpowiedź. Cranly starą wykałaczką wygrzebał z zębów ziarno figowe i przyglądał się mu z uwagą.

– Rodzina Forsterów – mówił Temple – wywodzi się od Baldwina I, króla Flandrii. Nazywał się Forester. Forester i Forster to to samo nazwisko. Potomek Baldwina I, kapitan Francis Forster, osiedlił się w Irlandii i poślubił córkę ostatniego wodza Clanbrassil. Są też Blake'owie Forsterowie. Ale to inna gałąź.

– Od Balona, króla Flandrii – rzucił Cranly, grzebiąc znowu skrupulatnie w lśniących, obnażonych zębach.

– Skąd wytrzasnąłeś tę historię? – zapytał O'Keeffe.

– Znam też całą historię twojej rodziny – powiedział Temple, odwracając się do Stephena. – A kolega wie, co o twojej rodzinie powiedział Giraldus Cambrensis?

– Czy on także wywodzi się od Baldwina? – zapytał wysoki student, suchotnik o czarnych oczach.

– Od Balona – powtórzył Cranly, cmokając.

– *Pernobilis et pervetusta familia* – powiedział Temple do Stephena.

Korpulentny student, który stał stopień niżej, pierdnął krótko. Dixon odwrócił się do niego i zapytał ze spokojem:

– Czyżby anioł przemówił?

Cranly też się odwrócił i rzucił gwałtownie, ale bez gniewu:

– Wiesz, Goggins, jesteś najskubańszym, najbardziej obmierzłym diabliszczem, jakie w życiu spotkałem.

– Właśnie sam miałem ci o tym powiedzieć – odparł niewzruszenie Goggins. – Chyba nikt przez to nie ucierpiał, co?

– Mamy nadzieję – powiedział uprzejmy aż do przesady Dixon – że nie był to okaz gatunku znanego nauce jako *paulo post futurum*.

– A nie mówiłem, że to śmiechur? – rzekł Temple, zaglądając w twarze kolegów. – To ja go tak nazwałem, co nie?

– Co tak. Nikt z nas nie jest głuchy – powiedział wysoki suchotnik.

Cranly nadal patrzył spod oka na korpulentnego studenta stojącego stopień niżej. Po chwili, wydając z siebie pomruk obrzydzenia, zepchnął go brutalnie ze schodów.

– Spadaj stąd – powiedział grubiańsko. – Spadaj, ty śmierdzielu. Boś zwykły śmierdziel.

Goggins zeskoczył na żwirową ścieżkę, ale natychmiast, w doskonałym humorze, powrócił na swoje miejsce. Temple znów zwrócił się do Stephena i zapytał:

– Wierzysz w prawo dziedziczności?

– Wstawiłeś się, chłopie, czy co, bo nie wiem, czy serio pytasz? – rzekł Cranly, oglądając się z wyrazem zadziwienia.

– Zdanie o niezrównanej wprost głębi – powiedział Temple z zapałem – znajdziecie na końcu podręcznika zoologii. Rozmnażanie jest początkiem śmierci.

Szturchnął lekko Stephena w łokieć i zapytał:

– Czuje kolega tę głębię? Jesteś przecież poetą.

Cranly wycelował w niego długi palec.

– Spójrzcie na tego człowieka! – powiedział pogardliwie do pozostałych. – Spójrzcie tylko na tę nadzieję Irlandii!

Zaśmiali się na jego słowa i gest. Temple nie stracił rezonu, odwrócił się do niego i powiedział:

– Cranly, zawsze robisz sobie ze mnie jaja. Myślisz, że nie widzę? Ale nie jestem gorszy od ciebie. A wiesz, co mi przychodzi na myśl, kiedy porównuję się z tobą?

– Mój drogi – odparł Cranly z wyszukaną elegancją – jesteś całkiem, ale to całkiem niezdolny do myślenia, kapujesz? Absolutnie niezdolny do myślenia.

– A wiesz – ciągnął dalej Temple – co sądzę o tobie i o mnie, jeśli nas porównać?

– No dawaj, Temple! – krzyknął ze schodów korpulentny student. – Wyrzuć to z siebie, po kawałku!

Temple odwrócił się w lewo, potem w prawo, a kiedy mówił, robił nieznaczne gesty ręką.

– Dupa ze mnie – powiedział, kręcąc głową w rozpaczy. – Wiem o tym. Wiem, że ze mnie dupa. Przyznaję się do tego.

Dixon poklepał go lekko po ramieniu i powiedział łagodnie:

– To bardzo dobrze o tobie świadczy, Temple.

– Ale on – dokończył Temple, wskazując Cranly'ego – on jest taką samą dupą. Tyle że on, proszę kolegów, nie ma o tym pojęcia. I to jedyna różnica, choćby się zapierał rękoma i nogami.

Wybuch śmiechu zagłuszył jego słowa. Ale Temple znowu odwrócił się do Stephena i powiedział w nagłym przypływie podekscytowania:

– To wyjątkowo ciekawa forma. Rzadki przypadek liczby podwójnej w naszym języku. Wiedziałeś o tym?

– Naprawdę? – odparł obojętnie Stephen.

Patrzył na wyrazistą, obolałą twarz Cranly'ego, którą rozjaśniał uśmiech wymuszonej cierpliwości. Grubiańskie wyzwisko ściekło z niej jak pomyje wylane na stary, kamienny posąg cierpliwie znoszący odniesione rany; kiedy mu się przyglądał, zauważył, że Cranly uchyla przed kimś kapelusza i odsłania czarne, sztywne włosy sterczące mu nad czołem niczym diadem królewski z żelaza.

Wyszła z przedsionka biblioteki i mijając Stephena, skłoniła się w odpowiedzi na pozdrowienie Cranly'ego. On też? Czy na policzku Cranly'ego nie pojawił się choćby cień rumieńca? A może to skutek słów Temple'a? Światło przygasło. Nic nie widział.

Czy tu tkwi powód milczącej obojętności przyjaciela, jego ciętych komentarzy, niespodziewanych wulgarnych wtrętów, którymi tak często niweczył żarliwe, kapryśne wyznania Stephena? Stephen mu wspaniałomyślnie wybaczał, gdyż to grubiaństwo,

którym raczył go Cranly, odkrył też w sobie samym. I wrócił pamięcią do tego wieczoru, kiedy zsiadł z pożyczonego, skrzypiącego roweru, żeby pomodlić się do Boga w lasku niedaleko Malahide. Uniósł w górę ramiona i przemawiał w ekstazie do mrocznej nawy drzew; i wiedział, że święte jest to miejsce i święta godzina. A kiedy dwu konstablów pojawiło się zza zakrętu na ciemnej drodze, przerwał modlitwę i zaczął głośno gwizdać jakąś melodyjkę z najnowszego wodewilu.

Zniszczonym końcem jesionowej laski stukał o podstawę kolumny. Czy Cranly go nie słyszy? Dobrze, może poczekać. Rozmowa na jego temat chwilowo się skończyła; a z okna nad głową dobiegł go znowu cichy syk. W powietrzu nie dało się słyszeć innego dźwięku, a jaskółki, których lot śledził rozleniwionym wzrokiem, posnęły.

Przeszła tędy o zmierzchu. Zatem cisza głucha zaległa bezwietrzne powietrze, poza samotnym sennym sykiem, który uszu jego doszedł i zgasł. Zatem przestały paplać wokół niego języki. Zapadał mrok.

Z nieba mrok na ziemię pada.[14]

Radość rozedrgana, rozsiewając światełka ulotne, harcowała wokół niego jak drużyna niespokojnych duszków[15]. Lecz czemu? Bo przeszła w mroczniejącym powietrzu, a może to przez wers ten o czarnych samogłoskach i dźwięku początkowym bogatym i śpiewnym jak lutnia?

Wszedł niespiesznie w głębszy cień na krańcu kolumnady, laską uderzał cicho o kamienie, by swój sen na jawie ukryć przed kolegami, od których się oddalił; a w myślach przywołać epokę Dowlanda, Byrda i Nasha.

Oczy, rozwarte od mroku pożądania, oczy, co przyćmiły rodzący się świt. Czymże był ich powab omdlały, jak nie słodyczą wszeteczeństwa? A czymże skry ich, jak nie skrzącą się pianą, która powlekła szumowiną dworskie szambo jakiegoś śliniącego się Stuarta? I smakował na języku pamięci wina ambrowe, konające

kadencje pieśni słodkich i dumną pawanę; a oczyma pamięci widział nadobne białogłowy w Covent Garden, co ze swoich balkonów ssącymi usteczkami kusiły, i francą przeżarte kurwy w tawernach, i młode mężatki, co radośnie gwałtownikom ulegały, obściskując ich i obłapiając.

Obrazy, które przywołał, nie sprawiły mu przyjemności. Wywiedzione z podziemia, rozpalały zmysły, lecz nie przyćmiły jej obrazu. Tak nie można o niej myśleć. Tak nawet on sam o niej nie myślał. Czyż zatem umysł jego nie może sobie ufać? To stare zdania – słodkie są tylko od wygrzebanej spod ziemi słodyczy, jak to ziarno figowe, które Cranly wydłubał ze swych lśniących zębów.

Nie była to ani myśl o niej, ani wizja, choć wiedział niejasno, że postać jej wraca do domu ulicami miasta. Wpierw niejasno, później coraz wyraźniej poczuł zapach jej ciała. W krwi jego wrzał świadomy niepokój. Tak, poczuł zapach jej ciała – zapach dziki i ospały; oziębłe członki, nad którymi jego muzyka przetaczała się pożądliwie, i tajemną, miękką bieliznę, którą wonią i rosą nasycało jej ciało.

Wesz pięła się po jego szyi. Sprawnie wsadził kciuk i palec wskazujący pod poluzowany kołnierzyk; złapał ją. Wałkował przez chwilę kciukiem i palcem wskazującym jej ciałko, miękkie, ale kruche jak ziarenko ryżu, po czym je strącił, i zastanawiał się, czy wesz jeszcze żyje. Przypomniał sobie ciekawe zdanie z Korneliusa à Lapide, jakoby wszy, wylęgłe z ludzkiego potu, nie zostały przez Boga stworzone wraz z innymi istotami w ów dzień szósty stworzenia. Ale swędzenie skóry na szyi było tak dokuczliwe, że umysł zaognił się i piekł do żywego. Na myśl o żywocie, jaki wiodło jego ciało, nieodziane, niedokarmione, pokąsane przez wszy, zamknął powieki w nagłym przypływie rozpaczy; a w ciemności ujrzał kruche, lśniące ciałka wszy, które spadają z nieba, obracając się wielokrotnie w swym locie. Tak, i to nie mrok spadał z nieba. Lecz blask.

Z nieba blask na ziemię spada.

Nawet nie pamiętał, jak brzmi dokładnie ten wers z Nasha. Wszystkie obrazy, które w myślach wywołał, okazały się fałszywe. Umysł jego był wylęgarnią robactwa. A myśli jego to wszy wylęgłe z potu gnuśności.

Wrócił szybko wzdłuż kolumnady do gromadki kolegów. No dobrze, niech sobie robi, co chce, i do diabła z nią! Niech pokocha jakiegoś wysportowanego czyściocha, który co dzień rano będzie mył się do pasa, porośnięty na piersiach czarnym owłosieniem. Niech sobie robi, co chce.

Cranly wyciągnął jeszcze jedną suszoną figę z zapasów, które mieściły się w jego kieszeni, i żuł ją powoli i głośno. Temple usiadł na podstawie kolumny, oparł się o nią plecami, a czapkę nasunął na zaspane oczy. Z przedsionka wyszedł przysadzisty młodzieniec, niosąc pod pachą skórzaną teczkę. Zbliżał się do grupy marszowym krokiem, stukając o płyty chodnika obcasami i metalowym szpicem ciężkiego parasola. Po chwili uniósł parasol w pozdrowieniu i powitał wszystkich.

– Dobry wieczór panom.

Jeszcze raz stuknął w płytę i zachichotał, a głowa zatrzęsła mu się nerwowo. Wysoki suchotnik, Dixon i O'Keeffe rozmawiali po irlandzku i nie odpowiedzieli mu na powitanie. Odwrócił się więc do Cranly'ego i powiedział:

– Dobry wieczór panu w szczególności.

Wskazał parasolem, do kogo kieruje pozdrowienie, i znowu zachichotał. Cranly, zajęty przeżuwaniem figi, odparł, głośno mlaszcząc:

– Dobry. Racja. Dobry ten wieczór.

Przysadzisty student spojrzał na niego z powagą i nieznacznie pokiwał parasolem na znak nagany.

– Czuję, że za chwilę wygłosisz jakąś oczywistą prawdę.

– Uhm – odparł Cranly, wyciągnął resztkę przeżutej figi i rzucił ją w kierunku ust przysadzistego studenta, dając mu do zrozumienia, że powinien ją zjeść.

Przysadzisty student jej nie zjadł, ale dając upust swojemu poczuciu humoru, powiedział z udawaną powagą, nadal chichocząc i popychając zdanie parasolem:

– Czy aby intencją twoją…

Przerwał, wskazał obojętnie na przeżuty miąższ figi i rzekł głośno:

– Do tego czynię aluzję.

– Ehe – odparł Cranly tonem jak poprzednio.

– Czy aby intencją twoją – pytał przysadzisty student – było powiedzieć to *ipso facto*, czy też, powiedzmy, by tak rzec?

Dixon odwrócił się od grupy i rzekł:

– Goggins tu na ciebie czekał, Glynn. Poszedł do Adelphi szukać ciebie i Moynihana. Co tam chowasz? – zapytał, klepiąc teczkę pod pachą Glynna.

– Prace egzaminacyjne – odparł Glynn. – Co miesiąc zadaję im coś do napisania, żeby się przekonać, czy z tych moich wykładów cokolwiek wynoszą.

Uderzył w teczkę, zakaszlał cicho i uśmiechnął się.

– Z wykładów! – parsknął Cranly. – Mówisz pewnie o tych bosonogich dzieciakach, które uczy taki popaprany małpiszon jak ty. Niech Bóg się nad nimi zlituje!

Odgryzł kawałek figi i wyrzucił resztkę.

– Pozwalam dziatkom, żeby przyszły do mnie – powiedział przyjaźnie Glynn.

– Popaprany małpiszon – powtórzył Cranly z naciskiem. – Co więcej, popaprany małpiszon bluźnierca.

Temple wstał, odsunął Cranly'ego i stanął przed Glynnem:

– To zdanie, które przed chwilą wygłosiłeś, pochodzi z Nowego Testamentu. Pozwólcie dziatkom przyjść do mnie.

– Wracaj w kimono, Temple – powiedział O'Keeffe.

– No dobra – ciągnął dalej Temple, mówiąc do Glynna – a skoro Chrystus pozwolił dzieciom, by przychodziły do Niego, to czemu Kościół wysyła je wszystkie do piekła, jeśli są nieochrzczone? Czemu tak się dzieje?

– A ty, Temple, chrzczony jesteś? – zapytał suchotnik.

– A czemu mają iść do piekła, jeśli Jezus powiedział, że wszystkie mają do niego przyjść? – zapytał Temple, świdrując Glynna wzrokiem.

Glynn zakaszlał i powiedział cicho, z trudnością powstrzymując nerwowy chichot w głosie i dźgając parasolem po każdym słowie:

– A zatem, jak raczyłeś zauważyć, skoro jest właśnie tak, to pytam z naciskiem, skąd ten stan rzeczy?

– Ponieważ Kościół jest okrutny jak wszyscy zatwardziali grzesznicy – powiedział Temple.

– W tej kwestii, Temple, nie jesteś chyba całkiem prawowierny? – zapytał Dixon z przesadną grzecznością.

– Święty Augustyn powiedział, że niechrzczone dzieci idą do piekła, bo sam był okrutnym, zatwardziałym grzesznikiem – odparł Temple.

– Chylę przed tobą czoło – rzekł Dixon – ale wydawało mi się, że dla takich przypadków jest limbus.

– Nie spieraj się z nim, Dixon – przerwał mu brutalnie Cranly. – Nie gadaj z nim, nie gap się na niego. Poprowadź go na postronku do domu, tak jak prowadzi się beczącego kozła.

– Limbus! – wykrzyknął Temple. – Pierwszorzędny wynalazek! Jak piekło.

– Ale bez jego nieprzyjemności – dopowiedział Dixon.

Odwrócił się, śmiejąc, do pozostałych i rzekł:

– Myślę, że mówię to w imieniu wszystkich tu obecnych.

– Masz rację – powiedział Glynn pewnym tonem. – W tej kwestii cała Irlandia mówi jednym głosem.

Uderzył szpicem parasola o kamienną posadzkę kolumnady.

– Tak, piekło – powiedział Temple. – Mogę uszanować ten wynalazek siwej narzeczonej Szatana. Piekło jest rzymskie i – podobnie jak rzymskie mury – mocne i ohydne. Ale czym jest limbus?

– Wsadź dzidzię do wózeczka, Cranly – wykrzyknął O'Keeffe.

Cranly zrobił szybki krok w stronę Temple'a, ale zatrzymał się, tupnął nogą i krzyknął jak do kury:

– Sio!

Temple usunął się zwinnie.

– A wiesz, czym jest limbus? – krzyknął. – Wiesz, jak nazywamy tego rodzaju pojęcia w Roscommon?

– Sio! Idź do cholery, psiakrew! – krzyczał Cranly, klaszcząc w dłonie.

– Nic, ni dupa, ni cyc! – krzyknął Temple pogardliwie. – Tym właśnie jest dla mnie limbus.

– Dawaj no ten kijek – zażądał Cranly.

Bezceremonialnie wyrwał jesionową laskę z ręki Stephena i zeskoczył ze schodów: ale Temple, jak tylko usłyszał, że Cranly próbuje go dopaść, uciekł w mrok jak dziki stwór, zwinny i rączonogi. Ciężkie buciory Cranly'ego dudniły, kiedy biegł za nim po dziedzińcu, po czym wróciły ociężale, zacierając trop i rozsypując żwir przy każdym kroku.

Krok jego był gniewny, gniewnym, nagłym ruchem wsadził Stephenowi laskę do ręki. Stephen czuł, że jego gniew ma inną przyczynę, ale z udawaną cierpliwością dotknął lekko jego ramienia i powiedział cicho:

– Cranly, mówiłem, że chciałbym porozmawiać. Chodźmy na stronę.

Cranly popatrzył na niego przez chwilę i zapytał:

– Teraz?

– Tak, teraz – powiedział Stephen. – Tu nie możemy rozmawiać. Chodźmy stąd.

Bez słowa przeszli razem przez podwórze. Ktoś gwizdał cicho ptasi trel z *Zygfryda*, a melodia ta biegła za nimi ze stopni przedsionka. Cranly odwrócił się, a Dixon, który gwizdał, wykrzyknął:

– Dokąd się, koledzy, wybieracie? Zapomniałeś o meczu, Cranly?

W dookolnej ciszy krzykiem zaczęli się umawiać na partię bilardu w hotelu Adelphi. Stephen szedł dalej sam, aż znalazł się na spokojnej Kildare Street. Stanął naprzeciw hotelu Maple'a i czekał cierpliwie. Nazwa hotelu na bezbarwnym, lakierowanym drewnie i bezbarwny, spokojny fronton ugodziły go jak pogardliwe, choć grzeczne spojrzenie. Zajrzał z gniewem do lekko oświetlonego salonu, w którym wyobraził sobie zadomowionych w tej cichej oazie irlandzkich patrycjuszy wiodących swój próżniaczy żywot. Rozmyślali o posadach wojskowych i zarządców ziemskich; kłaniali się im wieśniacy stojący wzdłuż wiejskich gościńców; znali nazwy

francuskich potraw, a dorożkarzom wydawali polecenia piskliwym głosem, który przebijał się przez ich przyciasny, prowincjonalny akcent.

Jak mógłby wstrząsnąć ich sumieniami, jak mógłby cieniem położyć się na wyobraźni ich córek, nim zapłodni je jakiś fircyk, by wydały na świat plemię mniej nikczemne niż oni sami?
W pogłębiającym się mroku poczuł, jak myśli i aspiracje tego plemienia, do którego sam należał, przelatują niczym nietoperze nad mrocznymi wiejskimi drogami, i pod drzewami na brzegach strumieni, i nieopodal nakrapianych bajorami torfowisk.
W drzwiach stała jakaś kobieta, a kiedy przez wieś przechodził Davin, poczęstowała go kubkiem mleka, nieomal zwabiła go do pościeli, bo Davin miał łagodne oczy człowieka, który umie dochować tajemnicy. Ale jego nie wabiły nigdy żadne oczy niewieście.

Ktoś złapał go mocno za ramię i rozległ się głos Cranly'ego:

– Azali chodźmy.

Szli w kierunku południowym, bez słowa. Po chwili Cranly przerwał ciszę:

– Ten Temple to kretyn do kwadratu! Klnę się na Mojżesza, że kiedyś tę francę, o, tymi rękami uduszę.

Ale głos jego nie zdradzał już gniewu; w Stephenie zrodziło się podejrzenie, że Cranly rozmyśla teraz o jej pozdrowieniu spod drzwi bibliotecznego przedsionka.

Skręcili w lewo, szli jak dotychczas. Kiedy przebyli już pewien odcinek, Stephen powiedział:

– Cranly, dziś wieczorem wdałem się w nieprzyjemną sprzeczkę.

– W rodzince? – zapytał Cranly.

– Z matką.

– Na temat religii?

– Tak – odparł Stephen.

Po przerwie Cranly zapytał:

– A ile lat ma twoja matka?

– Nie jest stara – odparł Stephen. – Chce, żebym na Wielkanoc poszedł do spowiedzi.

– I pójdziesz?

– Nie pójdę.

– A czemu? – zapytał Cranly.

– Nie będę służył – odparł Stephen.

– Już to ktoś kiedyś powiedział. Przed tobą – rzekł spokojnie Cranly.

– Więc ja powtórzę po nim – odparł Stephen stanowczym głosem.

Cranly ścisnął ramię Stephena i rzekł:

– Bez nerwów, mój drogi. Gość z ciebie narwany jak cholera, wiesz o tym?

Zaśmiał się nerwowo, mówiąc te słowa, po czym spojrzał w twarz Stephena ruchliwymi, przyjaznymi oczyma i zapytał:

– Wiesz, że jesteś narwańcem?

– Jestem, ani chybi jestem – zaśmiał się Stephen.

Ich umysły, które w ostatnim czasie stały się sobie obce, teraz zbliżyły się do siebie.

– Wierzysz w Eucharystię? – zapytał Cranly.

– Nie – odparł Stephen.

– A więc nie wierzysz w nią?

– Nie. Nie mogę powiedzieć, że w nią wierzę ani że w nią nie wierzę – odparł Stephen.

– Kupa ludzi ma wątpliwości, nawet wierzący, ale potrafią je przezwyciężyć albo odsunąć od siebie – powiedział Cranly. – A jak poważne są twoje wątpliwości w tej kwestii?

– Nie mam zamiaru ich przezwyciężać – odparł Stephen.

Cranly, zbity z tropu, wyciągnął z kieszeni kolejną figę i już miał ją zjeść, kiedy Stephen go powstrzymał:

– Nie rób tego, proszę. O tych sprawach nie można rozmawiać z ustami pełnymi przeżutych fig.

Cranly przyjrzał się bacznie fidze w świetle lampy, pod którą się zatrzymali. Potem powąchał owoc, podstawiając go pod nozdrza z lewej i prawej strony, odgryzł kawałeczek, wypluł i gwałtownym ruchem rzucił figę do rynsztoka. A zwracając się do niej, powiedział:

– Idź precz ode mnie, przeklęta, w ogień wiekuisty[16]!

Schwycił Stephena za ramię i ruszyli dalej.

– Nie boisz się, że te słowa zostaną wypowiedziane do ciebie na Sądzie Ostatecznym?

– A co mam do stracenia? – zapytał Stephen. – Radosną wieczność w towarzystwie prodziekana?

– Pamiętaj – odparł Cranly – że zostanie przyjęty do chwały Pana.

– Jasne – powiedział Stephen z pewną goryczą w głosie – i będzie promienny, zwiewny, beznamiętny, a przede wszystkim subtelny.

– A wiesz, że to dziwna sprawa – rzekł beznamiętnie Cranly – jak bardzo umysł twój nasycony jest wiarą, którą, jak mówisz, odrzucasz. Wierzyłeś, kiedy chodziłeś do szkoły? Założę się, że tak.

– Wierzyłem – odparł Stephen.

– No i co? Byłeś wtedy szczęśliwszy? – zapytał cicho Cranly. – Szczęśliwszy niż, na przykład, teraz?

– Często byłem szczęśliwy – odparł Stephen. – I często nieszczęśliwy. Byłem wtedy kimś innym.

– Co to znaczy kimś innym? Co masz na myśli?

– Chodzi mi o to, że nie byłem wtedy sobą, nie byłem taki, jaki jestem dzisiaj, jaki musiałem się stać.

– Nie taki jak dzisiaj, nie taki, jaki musiałeś się stać – powtórzył Cranly. – Pozwól, że zadam ci pytanie. Kochasz matkę?

Stephen powoli pokręcił głową.

– Nie rozumiem twoich słów – powiedział po prostu.

– Nigdy nikogo nie kochałeś? – zapytał Cranly.

– Masz na myśli kobiety?

– Nie o tym mówię – odparł Cranly chłodniejszym tonem. – Pytam, czy kiedykolwiek czułeś, że kogoś kochasz. Lub coś.

Stephen szedł u boku przyjaciela, wbijając ponuro wzrok w ścieżkę.

– Próbowałem kochać Boga – odparł po dłuższej chwili. – Wydaje mi się jednak, że poniosłem porażkę. To bardzo trudne zadanie. Próbowałem godzić moją wolę z wolą Boga, w każdej chwili. W tym nie zawsze ponosiłem porażkę. Może nadal mógłbym to robić.

Cranly przerwał mu pytaniem:

– A twoja matka miała szczęśliwe życie?

– Skąd mogę wiedzieć? – odparł Stephen.

– Ile miała dzieci?

– Dziewięcioro lub dziesięcioro – odpowiedział Stephen. – Niektóre umarły.

– Czy twój ojciec… – Cranly przerwał w pół zdania, a po chwili powiedział – nie chcę wścibiać nosa w sprawy twojej rodziny. Ale czy twój ojciec należał do ludzi w miarę zamożnych? Wiesz, chodzi mi o okres twojego dorastania.

– Tak – odpowiedział Stephen.

– A kim był? – zapytał Cranly po chwili.

Stephen bez zająknięcia wymienił zawody ojca.

– Był studentem medycyny, wioślarzem, tenorem, aktorem nieprofesjonalnym, krzykliwym politykiem, kamienicznikiem, drobnym inwestorem, pijaczyną, dobrym kumplem, gawędziarzem, czyimś sekretarzem, kimś tam w gorzelni, poborcą podatkowym, bankrutem, a obecnie jest chwalcą własnej przeszłości.

Cranly zaśmiał się, ściskając mocniej ramię Stephena, i powiedział:

– Ta gorzelnia, psiakrew, brzmi świetnie!

– Chcesz się jeszcze czegoś dowiedzieć? – zapytał Stephen.

– A teraz wam się powodzi?

– A na to wygląda? – burknął Stephen.

– W takim razie – Cranly ciągnął dalej swoje rozważania – jesteś pan w czepku urodzony.

Wypowiedział te słowa przeciągle i głośno, często bowiem używał idiomatycznych wyrażeń tak, jakby chciał przekonać rozmówcę, że używa ich bez przekonania.

– Twoja matka musiała wiele przecierpieć – powiedział. – Nie chciałbyś oszczędzić jej dodatkowego cierpienia, choćby za cenę… Nie chciałbyś?

– Gdybym tylko mógł – odparł Stephen. – Niewiele by mnie to kosztowało.

– No to spróbuj – powiedział Cranly. – Zrób, czego chce. To dla ciebie małe piwo. I tak nie wierzysz. To tylko gest; nic więcej. A ukoisz jej niepokój.

Skończył, a skoro Stephen nie odpowiadał, nie przerywał milczenia. Po chwili jednak, jakby dając upust nurtowi swoich myśli, odparł:

– Jeśli w tej kupie śmierdzącego gówna, jaką jest świat, cokolwiek może jeszcze nie wzbudzać wątpliwości, to jest to z pewnością miłość matki. Matka wydała cię na świat, a wpierw nosiła w swoim ciele. Cóż my wiemy o jej uczuciach? Są, jakie są, ale muszą być prawdziwe. Muszą być. Jakie my mamy idee, jakie ambicje? Śmiechu warte. Idee! Wiesz, ten pieprzony, pierdzący kozioł, Temple, on ma idee. I MacCann ma idee. Każdy osioł, co łazi po ulicach, sądzi, że ma idee.

Stephen, który przysłuchiwał się niewypowiedzianym słowom ukrytym za słowami Cranly'ego, odparł z udawaną obojętnością:

– Pascal, jeśli dobrze pamiętam, nie pozwalał matce na pocałunek, bo bał się kontaktu z jej płciowością.

– Pascal był świnią – rzucił Cranly.

– Alojzy Gonzaga miał chyba podobne wątpliwości – powiedział Stephen.

– W takim razie też był świnią.

– A Kościół nazywa go świętym – zaprotestował Stephen.

– Mam w dupie, kto jak kogo nazywa – przerwał mu arogancko i stanowczo Cranly. – Dla mnie jest świnią.

Stephen, starannie wyszukując w myślach odpowiednie słowa, mówił dalej:

– Także Jezus, jak się wydaje, nie traktował matki z należną uprzejmością przy ludziach, a Suarez, jezuicki teolog i hiszpański szlachcic, usprawiedliwił zachowanie Jezusa.

– Czy kiedykolwiek naszła cię myśl – zapytał Cranly – że Jezus nie był tym, za kogo się podawał?

– Pierwszą osobą, którą naszła taka myśl – odparł Stephen – był sam Jezus.

– Chodzi mi o to – zapytał Cranly, a głos jego spoważniał – czy kiedykolwiek naszła cię myśl, że był wyrachowanym obłudnikiem lub, jak nazywał Żydów swoich czasów, pobielanym grobem? Albo mówiąc prościej, że był szubrawcem?

– Nigdy mi to nie przyszło na myśl – odpowiedział Stephen. – Ale rad byłbym wiedzieć, czy próbujesz mnie nawrócić czy siebie już całkiem przewrócić?

Stanął twarzą w twarz z przyjacielem, ujrzał na jego obliczu surowy uśmiech, któremu jakaś siła woli próbowała nadać subtelne znaczenie.

A Cranly nagle zadał mu pytanie spokojnym, rzeczowym tonem:

– Powiedz mi prawdę. Czy to, co powiedziałem, wstrząsnęło tobą choć trochę?

– Trochę – odparł Stephen.

– A dlaczego tobą wstrząsnęło – nie ustawał w dociekaniach Cranly, zachowując ten sam ton – skoro wydaje ci się, że nasza religia jest fałszywa, a Jezus nie jest Synem Bożym?

– Tego nie jestem pewien – powiedział Stephen. – Jest bardziej synem Bożym niż synem Maryi.

– I z tego właśnie powodu nie przystąpisz do komunii świętej? – zapytał Cranly. – Bo nie jesteś tego pewien? Bo wydaje ci się, że hostia może być jednak ciałem i krwią Syna Bożego, a nie tylko Chlebem w postaci opłatka? Bo się pan boisz, że tak może być?

– Tak – odparł spokojnie Stephen. – Tak mi się wydaje i tego właśnie się boję.

– Rozumiem – powiedział Cranly.

Stephen, którego w głosie kolegi uderzył ton kończący dyskusję, natychmiast ją otworzył ponownie, mówiąc:

– Boję się wielu rzeczy: psów, koni, broni palnej, morza, burz z piorunami, maszyn, wiejskich dróg po zmroku.

– A czemu boisz się kawałka chleba?

– Wyobrażam sobie – odparł Stephen – że za tymi rzeczami, których się boję, jest jakaś wroga rzeczywistość.

– Boisz się więc – zapytał Cranly – że Bóg rzymskich katolików mógłby razić cię śmiertelnym gromem i skazać na potępienie, gdybyś świętokradczo przystąpił do komunii?

– Bóg rzymskich katolików mógłby zrobić to nawet teraz – odpowiedział Stephen. – Bardziej niż gromu obawiam się tego chemicznego procesu, który rozpocznie się w mojej duszy, kiedy

złożę symbolowi fałszywy hołd, bo za tym symbolem stoi murem dwadzieścia wieków poważania i czci.

– A gotów byłbyś – pytał Cranly – popełnić to szczególne świętokradztwo w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa? Gdybyś żył na przykład w ubiegłym stuleciu, kiedy prześladowano katolików?

– Nie mogę ręczyć za przeszłość – odparł Stephen. – Chyba nie.

– Zakładam – powiedział Cranly – że nie masz zamiaru przejść na protestantyzm?

– Powiedziałem, że straciłem wiarę – odparł Stephen. – Nie powiedziałem, że straciłem szacunek do samego siebie. Bo jaka to byłaby wolność, gdybym odrzucił absurd, który jest logiczny i spójny, a przyjął absurd, który jest nielogiczny i niespójny?

Udali się w stronę przedmieścia Pembroke, a kiedy szli powoli alejami, drzewa i rozproszone światełka w willach koiły ich umysły. Wokół roztaczał się zapach bogactwa i spokoju, który wydawał się łagodzić ich niedolę. Za wawrzynowym żywopłotem migotała jakaś lampka w kuchennym oknie i dobiegł ich głos służącej, która śpiewała przy ostrzeniu noży. Śpiewała w krótkich, urywanych taktach *Rosie O'Grady*.

Cranly zatrzymał się, żeby posłuchać, i rzekł:

– *Mulier cantat*.

Aksamitne piękno tych łacińskich słów tknęło czarownym dotykiem mrok wieczoru, dotykiem lżejszym i bardziej nieodpartym niż dotyk muzyki czy kobiecej dłoni. Niepokój, który nurtował ich umysły, został ugaszony. Niewieścia postać, jaką znał z liturgii Kościoła, przeszła w milczeniu przez ciemność: postać w białe szaty zdobna, niska i smukła jak chłopiec, z paskiem zsuniętym na biodra. Głos jej, lekki i wysoki jak u chłopca, rozbrzmiał z dalekiego chóru, intonując pierwsze żeńskie słowa, które przebiły się przez smutek i lament pierwszego pasyjnego śpiewu:

– *Et tu cum Jesu Galilaeo eras*.

I tknięte zostały wszystkie serca, i zwróciły się ku jej głosowi, a ten zalśnił niczym Gwiazda Zaranna, i jaśniej promieniał, gdy głos wzniósł się na proparoksytonie, a słabiej, kiedy wybrzmiewała kadencja.

Śpiew dobieg końca. Szli dalej razem, Cranly powtórzył koniec refrenu w wyrazistym, miarowym rytmie:

Kiedy przed ołtarz pójdziemy,
Radość mnie porwie niemała,
Bom Rosie O'Grady pokochał,
A Rosie mnie pokochała.

– Proszę, to jest prawdziwa poezja – powiedział. – To jest prawdziwa miłość.

Zerknął kątem oka na Stephena, dziwnie się uśmiechając, i zapytał:

– Uważasz, że to poezja? A wiesz, co te słowa znaczą?

– Najpierw musiałbym się spotkać z tą Rosie – powiedział Stephen.

– Nietrudno ją znaleźć – odparł Cranly.

Kapelusz zsunął mu się na czoło. Poprawił go, a w cieniu drzew Stephen zobaczył bladą, otuloną mrokiem twarz Cranly'ego i jego wielkie, mroczne oczy. Tak. Była to twarz urodziwa, a ciało miał silne i jędrne. Mówił o matczynej miłości. A więc wie, czym jest cierpienie kobiety, czym słabość jej ciała i duszy; gotów był bronić jej silnym i zdecydowanym ramieniem i ukorzyć przed nią swój umysł.

Tak więc w drogę: czas iść. Jakiś głos przemówił cicho do samotnej duszy Stephena, wzywał go w drogę i mówił, że przyjaźń dobiega kresu. Tak – wyjedzie. Nie będzie walczył z innymi. Zna swoje miejsce.

– Prawdopodobnie stąd wyjadę – oznajmił.

– Dokąd? – zapytał Cranly.

– Dokądkolwiek – odparł Stephen.

– No tak – powiedział Cranly. – Życie tutaj może się teraz okazać dla ciebie trudne. I z tego właśnie powodu wyjeżdżasz?

– Muszę wyjechać – odparł Stephen.

– Bo przecież – ciągnął dalej Cranly – jeśli nie chcesz wyjeżdżać, nie musisz uważać się za wygnańca, którego ktoś stąd wypędza, ani za heretyka, ani za osobę wyjętą spod prawa. Wielu uczciwych,

pobożnych ludzi myśli tak samo jak ty. Dziwi cię to? Kościół to nie kamienna budowla, to nawet nie duchowieństwo ani jego dogmaty. To cała rzesza tych, którzy w Kościele się urodzili. Nie wiem, co chciałbyś dalej w życiu robić. Czy może to, o czym mówiłeś mi tego wieczoru, kiedy zatrzymaliśmy się przed dworcem na Harcourt Street?

– Tak – odparł Stephen i uśmiechnął się, jakby wbrew sobie, zaskoczony tym, jak pamięć Cranly'ego kojarzy myśli z miejscami. – Tego wieczoru, kiedy przez cały czas spierałeś się z Dohertym o najkrótszą drogę z Sallygap do Larras.

– Jołop! – powiedział Cranly ze spokojną pogardą. – A cóż on wie o drodze z Sallygap do Larras? Albo w ogóle o czymkolwiek? A łeb ma jak wielka, cieknąca bania!

Wybuchł głośnym, długim śmiechem.

– No i? – zapytał Stephen. – Pamiętasz, co było potem?

– To znaczy o czym mi mówiłeś, tak? – odparł Cranly. – Tak, pamiętam. Chodzi o to, by odkryć formę życia lub sztuki, dzięki której duch twój będzie mógł wyrażać się w sposób nieograniczenie wolny.

Stephen uniósł kapelusz, potwierdzając jego słowa.

– Wolność! – powtórzył Cranly. – A ty jeszcze nie jesteś dość wolny, by popełnić świętokradztwo. Powiedz mi, obrabowałbyś kogoś?

– Prędzej bym żebrał – odparł Stephen.

– A gdybyś nie miał niczego, obrabowałbyś?

– Oczekujesz ode mnie wyznania – odparł Stephen – że prawa własności mają charakter doraźny i że w pewnych okolicznościach kradzież nie byłaby przestępstwem. Każdy chciałby działać w takim przeświadczeniu. Tak więc nie uzyskasz ode mnie tej odpowiedzi. Zgłoś się do jezuickiego teologa Juana Mariany de Talavery, a on ci wyjaśni, w jakich okolicznościach można, nie gwałcąc prawa, zgładzić króla i czy lepiej podać mu truciznę w kielichu, czy posmarować nią szaty lub łęk siodła. Zapytaj mnie raczej, czy ze spokojem zniósłbym, gdyby mnie ktoś napadł lub, gdyby tak się stało, czy podniósłbym na niego to, co, jak mniemam, nazywa się surowym ramieniem świeckiej sprawiedliwości.

– Zrobiłbyś to?

– Sądzę – odparł Stephen – że gdybym to zrobił, bolałoby mnie to tak samo, jak gdybym padł ofiarą napaści.

– Rozumiem – rzekł Cranly.

Wyjął zapałkę i zaczął dłubać nią w szparach między zębami. Po chwili zapytał jakby od niechcenia:

– A powiedz mi, czy mógłbyś na przykład rozprawiczyć dziewicę?

– Wybacz – odrzekł grzecznie Stephen – ale czy nie jest to ambicją większości dobrze urodzonych młodzieńców?

– Jaki jest więc twój pogląd na te sprawy? – zapytał Cranly.

Jego ostatnie pytanie, cierpkie jak zapach dymu palącego się węgla i zniechęcające, pobudziło umysł Stephena, nad którym zawisły gęste opary.

– Posłuchaj, Cranly – powiedział. – Zapytałeś mnie, co bym zrobił. I czego bym nie zrobił. Dobrze, powiem ci, co zrobię i czego nie zrobię. Nie będę służył temu, w co już nie wierzę, obojętne, czy zwie się to moim domem, moją ojczyzną czy moim Kościołem; i będę próbował wyrazić siebie w jakiejś formie życia lub sztuki w sposób możliwie wolny i pełny, a dla obrony sięgnę po jedyny oręż, jakiego gotów będę użyć – milczenie, wygnanie i spryt.

Cranly pochwycił go za łokieć, obrócił go tak, by poprowadzić z powrotem do Leeson Park. Zaśmiał się niemal chytrze i ścisnął ramię Stephena z uczuciem, jakim dorosły darzy dziecko.

– Spryt, w rzeczy samej! – powiedział. – I ty to mówisz? Biedny poeto!

– Zmusiłeś mnie, żebym ci się zwierzył – odparł Stephen, podniecony tym uściskiem. – Podobnie jak wcześniej zwierzałem ci się w wielu różnych sprawach, prawda?

– Tak, mój synu – odparł Cranly, nadal tryskając wesołością.

– Zmusiłeś mnie do wyznania ci lęków, które mnie prześladują. Ale powiem ci także o tym, czego się nie lękam. Otóż nie lękam się, że zostanę sam, że będą mną gardzić za cudze przewiny, że porzucę to wszystko, co muszę porzucić. Nie lękam się własnych pomyłek, nawet wielkich pomyłek, pomyłek o skutkach trwających przez całe życie, a może i dłużej, przez wieczność.

Cranly, który znowu spoważniał, zwolnił kroku i powiedział:

– Sam, całkiem sam. Nie lękasz się samotności. A wiesz choć, co to słowo znaczy? Nie tylko że żyjesz z dala od innych, ale że nie masz choćby jednej przyjaznej duszy.

– Podejmę to wyzwanie – powiedział Stephen.

– To także znaczy, że nie masz tej jednej jedynej osoby, która byłaby kimś więcej niż przyjacielem, nawet kimś więcej niż najszlachetniejszym i najprawdziwszym przyjacielem, jakiego może mieć człowiek.

Słowa te zdawały się uderzać w najgłębszą strunę jego natury. Czy mówił o sobie? O sobie, jakim jest, a może jakim chciałby być? Stephen milczał i przez chwilę przyglądał się jego twarzy. Malował się na niej zimny smutek. Mówił o sobie, o swojej samotności, której się lękał.

– O kim ty mówisz? – zapytał po dłuższej chwili Stephen.

Cranly nie odpowiedział.

* * *

20 marca. Długa rozmowa z Cranlym na temat mojego buntu. Popadł w górnolotność. Ja – uprzedzająco grzeczny i giętki. Napadł na mnie z powodu miłości do matki. Próbowałem wyobrazić sobie jego matkę: bez powodzenia. Powiedział mi kiedyś, w porywie bezmyślności, że kiedy się urodził, jego ojciec miał sześćdziesiąt jeden lat. Widzę go. Typ silnego wiejskiego gospodarza. Płaszcz w jodełkę. Płaskie stopy. Broda zmierzwiona, posiwiała. Pewnie lubi polowania z nagonką. Płaci, co trzeba, regularnie, choć bez przesady, ojcu Dwyerowi z Larras. Czasami po zmroku ucina sobie pogawędkę z dziewczynami. Ale matka? Młodziutka czy stara?

Chyba to drugie. Gdyby było inaczej, Cranly nie mówiłby w ten sposób. A więc stara. Chyba tak. I zaniedbana. Stąd też rozpacz w duszy Cranly'ego: to dziecię znużonych lędźwi.

21 marca, rano. Przyszło mi to na myśl wczoraj, kiedy leżałem w łóżku, ale rozleniwiłem się i czułem się zbyt wolny, żeby rozwinąć tę myśl. Wolny, tak jest. Te znużone lędźwie to lędźwie Elżbiety

i Zachariasza. A więc on jest prekursorem. *Item*: jada przede wszystkim słoninę i suszone figi. Czytaj: szarańczę i miód leśny[17]. A dalej: kiedy o nim myślę, widzę zawsze odciętą głowę o surowym spojrzeniu albo maskę pośmiertną, jakby odciśniętą na szarej zasłonie lub chuście świętej Weroniki. W owczarni mówią na to *decollatio*. Dziwi mnie przez chwilę postać świętego Jana u Bram Łacińskich. Bo co widzę? Ścięty prekursor próbuje wytrychem otworzyć zamek.

21 marca, wieczór. Wolność. Wolność duszy i wolność wyobraźni. Niech martwi grzebią martwych. Tak. I niech martwi martwych poślubiają[18].

22 marca. W towarzystwie Lyncha łaziłem za olbrzymiastą siostrą szpitalną, depcząc jej po piętach. Pomysł Lyncha. Ohyda. Dwa wychudzone, wygłodniałe charty w pościgu za jałówką.

23 marca. Nie widziałem jej od tamtego wieczoru. Chora? Pewnie siedzi przy kominku, z szalem mamuśki na ramionach. Ale nie jest zła. A może miseczkę owsianki? No zjedźże, zjedz.

24 marca. Dzień zaczął się od utarczki z matką. Temat: NMP. Ma przewagę, ze względu na moją płeć i młodość. Próbowałem się z tego wyrwać i uczepiłem się więzi Jezusa z Tatką w odróżnieniu od więzi Marii z synem. Powiedziałem, że religia to nie szpital położniczy. Pobłażliwość matki. Mówi, że mi się w głowie pomieszało i że za dużo się naczytałem. Nieprawda. Przeczytałem mało, a zrozumiałem jeszcze mniej. Potem mówi mi, że na pewno wrócę do wiary, bo mam niespokojny umysł. A to by znaczyło to samo, co wyjść z kościoła tylnymi drzwiami grzechu i wrócić doń świetlikiem skruchy. A we mnie nie ma skruchy. Tak jej powiedziałem i poprosiłem o szóstaka. Dostałem trzy pensy.

Potem do szkoły. Kolejny spór z tym mikrusem, jajogłowym Ghezzim o hultajskich oczach. Tym razem na temat Bruna z Noli. Zaczęło się po włosku, skończyło łamaną angielszczyzną. Powiedział, że Bruno to straszliwy heretyk. A ja, że straszliwie go spalono. Zgodził się, choć z niejakim żalem. Potem dał mi przepis na coś, co nazwał *risotto alla bergamasca*. Wymawiając miękkie „o", robi dzióbek tymi swoimi pełnymi, mięsistymi wargami, jakby całował tę samogłoskę. Całował kiedyś? I odczuwał skruchę? Tak, odczuwał.

I wylał dwie okrągłe, łotrowskie łzy, jedną z lewego, drugą z prawego oka.

Kiedy szedłem przez Stephen's Green, czyli przez własny park, przypomniałem sobie, że to nie moi ziomkowie, a jego wymyślili to, co Cranly nazwał owego wieczoru „naszą religią". Kwartet jego ziomków, żołnierzy z dziewięćdziesiątego siódmego regimentu piechoty, siedział u stóp krzyża i rzucał kością o szaty ukrzyżowanego.

Poszedłem do biblioteki. Próbowałem przeczytać trzy pisma. Na próżno. Jeszcze nie wychodzi z domu. Powód do niepokoju? Ona? Że już nigdy nie wyjdzie.

Blake pisał:

Ciekawym, czy skona William Bond,
Bo ani chybi, złożon niemocą.

Ach, biedny Williamie!

Oglądałem kiedyś dioramę w rotundzie. Na końcu portrety grubych ryb. Wśród nich William Ewart Gladstone, który dopiero co umarł. Orkiestra grała *O Willie, jak bardzo nam ciebie brak*.

Plemię kmiotków!

25 marca, rano. Niespokojna noc pełna snów. Chcę je z siebie wyrzucić.

Długie, kręte krużganki. Z posadzki wznoszą się filary mrocznych oparów. Gnieżdżą się tu baśniowi królowie, wykuci w kamieniu. Dłonie złożone na kolanach w geście znużenia, oczy pociemniałe, gdyż ludzkie błędy snują im się przed oczyma nieustannie jak mroczne opary.

Dziwne postaci wychodzą z jaskini. Są niższe niż ludzie. Zdają się zlewać ze sobą. Twarze fosforyzują, poprzecinane ciemniej-

szymi smugami. Wpatrują się we mnie, a oczy jakby mnie o coś pytały. Milczą.

30 marca. Dziś wieczorem Cranly był w przedsionku biblioteki, zadał zagadkę Dixonowi i jego bratu. Przez nieuwagę matki dziecko wpadło do Nilu. Wciąż aluzje do matki[19]. Krokodyl porywa dziecko.

Matka błaga o litość, oddaj mi dziecko. Krokodyl, że w porządku, ale wpierw mi powiedz, co zamierzam zrobić: pożreć je czy nie.

Tego rodzaju umysłowość, jak powiedziałby Lepidus, wylęga się z waszego mułu dzięki działaniu waszego słońca[20].

A moja? Ona tak samo? A więc hajda z nią do nilowego mułu!

1 kwietnia. Nie podpisuję się pod tym ostatnim zdaniem.

2 kwietnia. Widziałem, jak pije herbatę i je ciasteczka u Johnstona, Mooneya i O'Briena. A w zasadzie to bystrooki Lynch ją zobaczył, kiedy przechodziliśmy ulicą. Mówi, że brat zaprosił tu Cranly'ego. Przyszedł ze swoim krokodylem? To on jest teraz gwiazdą najświetlistszą? Cóż, to ja go odkryłem. Zaklinam się, że ja. Świecił cicho pod korcem wicklowskich otrębów[21].

3 kwietnia. Spotkałem Davina w trafice naprzeciwko kościoła Findlatera. Miał na sobie czarny sweter, a w ręku kij do hokeja. Pyta, czy to prawda, że wyjeżdżam i czemu. Mówię mu, że najkrótsza droga do Tary wiedzie przez Holyhead[22]. Wchodzi mój ojciec. Przedstawiam ich. Ojciec grzeczny, czujny. Pyta Davina, czy może postawić mu jednego. Davin nie ma czasu, spieszy się na spotkanie. Już na ulicy ojciec mówi, że Davin ma dobre, szczere oczy. Pyta, czemu nie wstąpiłem do klubu wioślarzy. Kłamię, że jeszcze się namyślam. Potem opowiada, jak urządził kochanego Pennyfeathera. Chce, bym zdawał na prawo. Mówi, że mam wrodzone predyspozycje. Im więcej mułu, tym więcej krokodyli.

5 kwietnia. Wiosna w pełnym rozkwicie. Chmury z wiatrem płynące. Och, życie! Czarny wirujący strumień bagnistej wody, który jabłonie osypały swym kruchym kwieciem. Wśród liści oczy dziewcząt. Skromnisie i figlarki. Wszystkie jasnowłose lub kasztanowate: brak czarnych. Tym czerwieńsze ich rumieńce. Hopla!

6 kwietnia. Na pewno wraca pamięcią do minionych lat. Lynch mówi, że to typowe dla kobiet. Zatem wraca pamięcią do lat swego dzieciństwa. I mojego dzieciństwa, jeśli kiedykolwiek byłem dzieckiem. Przeszłość trawi chwila obecna, a chwila obecna żyje tylko po to, by wyłonić z siebie przyszłość. Posągi kobiet, jeśli Lynch ma rację, zawsze i w pełni winny być okryte; a jedną dłonią muszą, niestety, trzymać się za tyłek.

6 kwietnia, później. Michael Robartes wspomina zapomniane piękno, a kiedy otacza ją ramieniem, obejmuje całą urodę, która dawno ze świata zniknęła[23]. Nie o to chodzi. Zupełnie nie o to. Pragnę otoczyć ramieniem urodę, która jeszcze na świat nie przyszła.

10 kwietnia. Z oddali, pod osłoną gęstej nocy, w ciszy miasta, co po sennych marzeniach pogrążyło się w sen marzeń wyzbyty, niczym znużony kochanek, którego nie poruszy żadna pieszczota, cichy tętent kopyt na ulicy. Coraz głośniejszy, gdy zbliżają się do mostu, a w chwili gdy mijają szereg zaciemnionych okien, ciszę jak strzała przeszywa larum. Teraz słychać je już z oddali: kopyta, co pośród gęstej nocy lśnią jasno niczym diamenty, pospieszają przez pospane pola, ku jakiemu celowi podróży? – ku jakiemu sercu? – niosąc jakie to wieści?

11 kwietnia. Przeczytałem wczorajsze zapiski. Niejasne słowa niejasnych uczuć. Jej by się spodobały? Chyba tak. Więc i mnie się powinny podobać.

13 kwietnia. Ten trychter od dawna nie dawał mi spokoju. Przejrzałem słowniki: to angielskie słowo; stare, dobre, proste angielskie słowo. Do diabła z prodziekanem i jego lejkiem! Po co tu przyjechał? Żeby nas uczyć naszego języka czy żeby się go od nas nauczyć? Do diabła z nim, tak czy siak!

14 kwietnia. John Alphonsus Mulrennan wrócił właśnie z zachodniej Irlandii (do gazet Europy i Azji: wiadomość niezastrzeżona). Mówi, że w górskiej chacie spotkał sędziwego starca. Starzec miał kaprawe oczy i ćmił krótką fajeczkę. Mówił po irlandzku. Mulrennan też mówił po irlandzku. Potem starzec i Mulrennan mówili po angielsku. Mulrennan opowiadał mu o wszechświecie i gwiazdach. Starzec siedział, słuchał, ćmił fajeczkę, spluwał. A po chwili rzecze:

– Hmm, na tych najdalejszych krańcach świata musi żyją stworki jakieś fikuśne i przeokropne.

Boję się go. Boję się jego kaprawych i zrogowaciałych oczu. To z nim muszę się mocować noc całą, aż po świt, dopóki martwy nie padnie, on albo ja, dopóki nie schwycę go kurczowo za żylastą szyję, aż… aż co? Aż mi ulegnie? Nie. Nie chcę nikogo krzywdzić.

15 kwietnia. Spotkałem się z nią, twarzą w twarz, na Grafton Street. Tłum poniósł nas ku sobie. Przystanęliśmy. Pyta, czemu jej nie odwiedzam, mówi, że słyszała o mnie najróżniejsze historie. Gra na czas. Pyta, czy piszę wiersze. Więc ja pytam: A o kim? To ją zbija z tropu i robi mi się przykro, i czuję się podle. Zakręcam więc od razu ten kurek i uruchamiam duchowo-heroiczną chłodziarkę, którą wynalazł i opatentował na wszystkie kraje Dante Alighieri. Powiedziałem szybko kilka słów o sobie i swoich planach. Na nieszczęście wykonałem wtedy nagły gest rewolucyjnej natury. Musiałem wyglądać jak chłopak rzucający całą garść grochu w powietrze. Ludzie zaczęli się nam przyglądać. Chwilę później podała mi rękę, a na odchodnym wyraziła nadzieję, że zrobię, co powiedziałem.

Nazwałbym to pełną życzliwością, mam rację?

Tak, dzisiaj mi się podobała. Trochę czy bardzo? Nie wiem. Podobała mi się, a to chyba nowe dla mnie uczucie. Zatem, w takim razie, wszystko inne, wszystko to, co myślałem, że myślę, i co czułem, że czuję, wszystko to, co było do tej pory, to w rzeczy samej… Och, daj spokój, stary. Prześpij się, to przejdzie.

16 kwietnia. Wyjechać stąd! Wyjechać!

Czar ramion i głosów: białe ramiona dróg, obietnica serdecznych uścisków, czarne ramiona strzelistych statków na tle księżyca, ich opowieści o dalekich ludach. Wyciągają się, by mówić: jesteśmy same. Przyjdź. A głosy mówią wraz z nimi: jesteśmy twoimi krewnymi. Kłębią się w przestworach i wołają do mnie, do krewniaka, szykującego się do drogi, i trzepoczą skrzydłami wniebowziętej i przerażającej młodości.

26 kwietnia. Matka robi porządek w moich nowych używanych ubraniach. Mówi, że się modli, bym w samodzielnym życiu, z dala od domu i przyjaciół, poznał, czym jest serce i co czuje. Amen. Niech tak będzie. Witaj, życie! Jak milion razy wcześniej, ruszam naprzeciw prawdziwemu doświadczeniu, by wykuć w kuźni duszy niestworzone dotychczas sumienie mojego plemienia.

27 kwietnia. Praojcze, artysto sprzed wieków, bądź mi ostoją, teraz i na zawsze.

Dublin 1904
Triest 1914

—

[1] Trinity College – protestancki uniwersytet założony w 1591 roku przez Elżbietę I w celu propagowania idei reformacji w Irlandii. Przez lata był niedostępny dla katolików, a pod koniec XIX wieku irlandzcy hierarchowie Kościoła katolickiego zakazali wiernym studiowania na tej uczelni bez specjalnej dyspensy (zakaz zdjęty w 1970 roku).

[2] W mitologii irlandzkiej Firbolgowie to dawni mieszkańcy Irlandii, nieokrzesani i rubaszni. Milezjanie to inni legendarni przodkowie Irlandczyków o artystycznej i poetyckiej naturze.

[3] Michael Cusack był założycielem Celtyckiego Towarzystwa Sportowego (1884), którego celem było propagowanie tradycyjnych sportów irlandzkich i rozwijanie świadomości narodowej.

[4] Gęś domowa – aluzja do tzw. dzikich gęsi, czyli irlandzkich żołnierzy, którzy po klęsce katolików w 1690 roku wyemigrowali do Francji.

[5] Wolfe Tone (1763–1798) – irlandzki działacz niepodległościowy, republikanin i rewolucjonista. Zaplanował kilka nieudanych prób inwazji francuskiej na Anglię i Irlandię i doprowadził do nich. Został schwytany, oskarżony o zdradę i skazany na śmierć. Na krótko przed egzekucją popełnił samobójstwo.

[6] Po głośnym przejściu kardynała Newmana na katolicyzm w 1845 roku wielu anglikanów, zwłaszcza związanych z Ruchem Oksfordzkim, poszło w jego ślady.

[7] Dysydenci (nonkonformiści) – odłam protestantów, którzy występowali przeciwko Kościołowi anglikańskiemu, zwanemu też „państwowym", uważając, że do zbawienia nie potrzeba żadnych instytucjonalnych pośredników.

[8] *Fianna* (wojownicy) to zawołanie bojowe fenian.

[9] „To samo nie może zarazem przysługiwać i nie przysługiwać temu samemu i pod tym samym względem", Arystoteles, *Metafizyka*,

IV, 3 (przeł. Kazimierz Leśniak).

[10] *Ad pulchritudem…* – Tomasz z Akwinu, *Summa theologiae*, cz. I, qu. 39, art. 8.

[11] Przeł. Bohdan Zadura.

[12] W. B. Yeats, *Księżniczka Kasia* (przeł. Jan Kasprowicz).

[13] Irlandzki Teatr Narodowy, Abbey Theatre, otwarto 8 maja 1899 premierą *Księżniczki Kasi* Yeatsa. Premiera skończyła się skandalem wywołanym przez środowiska narodowo-katolickie, które zarzucały poecie szkalowanie Irlandii.

[14] Wolny cytat z wiersza elżbietańskiego poety Thomasa Nashe'a *A Litany in Time of Plague*.

[15] Zob. Wergiliusz, *Eneida*, ks. II, 682: „język płomienia ulotny/ Zdał się rozsiewać światło" (przeł. Zygmunt Kubiak).

[16] Mt 25, 41.

[17] Mt 3, 4.

[18] Łk 9, 59.

[19] William Shakespeare, *Hamlet*, II, 2, 188 (przeł. Stanisław Barańczak).

[20] Shakespeare, *Tragedia Antoniusza i Kleopatry*, II, 7, 29 (przeł. Maciej Słomczyński).

[21] Mt 5, 14.

[22] Tara to mityczna siedziba królów dawnej Irlandii. Holyhead to port w Walii, do którego zawijają liczne statki z Dublina – jest to najkrótsza droga morska z Irlandii do Anglii.

[23] W. B. Yeats, *Poeta wspomina zapomniane piękno* (przeł. Ludmiła Marjańska).

Posłowie

Pod ostatnim zdaniem powieści Joyce najlapidarniej zapisał jej historię: „Dublin 1904"; i poniżej: „Triest 1914". Książka powstawała więc dość długo. Ryzykując przeliczanie objętości na czas, można by powiedzieć, że są to absolutnie najpowolniejsze strony Joyce'owskiego dzieła. Trzeba jednak pamiętać o trudach europejskiej tułaczki, o kłopotach z wydaniem *Dublińczyków*, przede wszystkim zaś o podwójnym starcie tej powieści. Pierwszą wersję, *Stephen Hero*, autor zarzucił. Podejście drugie też nie obyło się bez kłopotów. Część rękopisu chciał nawet Joyce spalić, na szczęście, jak, już uspokojony, relacjonował w liście, zapisane strony zostały „uratowane przez rodzinną brygadę strażacką". Przynajmniej częściowo. Nowa książka kontynuowała idee pierwszej, ale była też prozą zasadniczo odmienną, która – jako *A Portrait of the Artist as a Young Man* ukazała się w grudniu 1916 roku w Nowym Jorku.

Kilkanaście lat później rozpoczęła się polska historia tej książki. W roku więc 1931 Towarzystwo Wydawnicze „Rój" (firma Melchiora Wańkowicza i Mariana Kistera) wprowadziło do obiegu *Portret artysty z czasów młodości*. Jak można przeczytać na stronie tytułowej, „z upoważnienia autora przełożył Zygmunt Allan". Zapewne formuła to raczej konwencjonalna niż najkrótszy zapis jakiejś szczególniejszej relacji mającej łączyć tłumacza z pisarzem; w każdym razie tajemniczemu (gdyż doprawdy trudno znaleźć jakiekolwiek informacje na jego temat) autorowi przekładu zawdzięczamy nie tylko pierwszą rodzimą translację tej powieści, lecz także tytułowe wyrażenie, które, po wielokroć przywoływane i parafrazowane, dobrze umościło się w polszczyźnie. Mam dwa egzemplarze tego wydania. Wtórnie oprawiony należał niegdyś do Bibljoteki (jeszcze przed reformą ortograficzną) Związku Zawodowego Pracowników Zakładów Gazowych; jak widać, niezłe rzeczy czytali wówczas gazownicy. Po raz drugi książkę zaś kupiłem dla zachowanej oryginalnej broszurowej okładki.

Już po wojnie i, co ważne, przełomie październikowym *Portret artysty* pojawił się w księgarniach powtórnie: w 1957 PIW opublikował tom Joyce'a w istotnej serii Powieści XX Wieku. Ta sama oficyna wznowiła dzieło dwadzieścia lat później, tym razem w cenionej i popularnej serii kieszonkowej, edycję konsultował Zbigniew Lewicki. Na wydanie następne trzeba było czekać do roku 1992, wtedy bydgoskie Pomorze wydało książkę, tyle że w postaci nieledwie chałupniczej. Dwa lata później wręcz przeciwnie: Wydawnictwo Dolnośląskie w (cokolwiek przesadnie efektownej) Bibliotece Klasyki przygotowało nową edycję *Portretu artysty* z posłowiem Egona Naganowskiego, bez którego kultura polska wiedziałaby o Joysie znacznie mniej.

Na tym, przynajmniej jak dotąd, kończy się historia wydań tłumaczenia Allana. W 1995 roku natomiast zaczęły się ukazywać dzieła zebrane Joyce'a w przekładzie Macieja Słomczyńskiego. Ze spisu planowanych tomów wynika, że słynny translator *Ulissesa* zamierzał wziąć na warsztat również pierwszą powieść Irlandczyka; co ciekawe, w nowej wersji miała nosić tytuł *Portret młodego artysty*. Tak po prostu? Wydając Shakespeare'a, Słomczyński preferował rozbudowane wersje tytułów dramatów… Tłumacz zmarł w roku 1998; nic nie słychać o pozostawionych choćby fragmentach *Portretu*.

W roku 2005 Jerzy Jarniewicz wydał w Znaku *Portret artysty w wieku młodzieńczym*, dodając do własnego przekładu przypisy i posłowie. Już nowy tytuł jawi się jako podwójny sygnał: z jednej strony zastąpienie „czasów młodości" „wiekiem młodzieńczym" jest radykalną innowacją, z drugiej zaś przymiotnik po określanym rzeczowniku wykorzystuje tradycyjne wzorce literackie o proweniencji francuskiej. Zadecydowała najpewniej prozodia: „w wieku młodzieńczym" brzmi nieporównanie lepiej niż „w młodzieńczym wieku".

W przypadku Joyce'a nie da się, na dobrą sprawę, mówić o szczególności jakiegoś dzieła (bo wszystkie cztery jego główne książki są tak czy inaczej szczególne). Stephen Dedalus z *Portretu* powróci w *Ulissesie*, błędem byłoby jednak pisać na przykład o rozwinięciu, skoro już pierwsza powieść jest arcydzielnym

spełnieniem. Oczywiście, *Portret artysty* doczekał się olbrzymiej bibliografii. Nie zaszkodzi wynotować tu parę uwag, które wybieram, żeby na ich podstawie wypunktować powinności tłumacza, czyli różne kłopoty piętrzące się przed nim nieskończenie.

John Paul Riquelme mówi więc o stylistycznej polifonii *Portretu* i, podobnie jak inni komentatorzy, podkreśla bardzo precyzyjne związki łączące poszczególne części powieści. Tę łączność i zarazem procesualność od nieco innej strony kapitalnie ujęła Jeri Johnson: „Jak rozwija się artysta, tak rozwija się styl". Według tej badaczki „doprawdy, nigdy przedtem język powieści nie był w sposób tak silny i osobisty związany ze szczególnym punktem widzenia, z mentalnymi i językowymi zachowaniami postaci tam przedstawionej". Tak, powieść Joyce'a dzieje się od niemal gaworzenia do dumnej deklaracji dojrzałego artysty, bohatera i autora. Johnson i inni podkreślają relację ustanowioną i wygrywaną przez Joyce'a, polegającą na oscylowaniu pomiędzy silnie indywidualizowaną perspektywą a trzecioosobową narracją. Pojawia się złożona ironia. Seamus Deane uznał powieść za „częściowo czuły, częściowo ironiczny" autoportret Joyce'a, „jako (bardzo) młodego człowieka".

I, już na zakończenie tych wstępnie wystawianych tłumaczowi obligów, jeszcze jedno spostrzeżenie Deane'a, według którego – obok modernisty Yeatsa – Stephen (nawet nie Joyce!) jest postmodernistą. Ta kwestia, przy całej komplikacji, jest, mimo wszystko, dość łatwa do przyjęcia: gdyby bowiem Joyce nie współbrzmiał z ponowoczesnością, to tak bardzo i tak namiętnie by nas dzisiaj nie obchodził.

Tłumacz działa więc w takiej sytuacji, kulturalnej, a zatem też: językowej. Powinien poza tym znaleźć taki język przekładu, który byłby i konsekwentnie jednorodny, i stylistycznie wielokrotny. Powinien może nawet zagrać (sobą) bohatera, mocno trzymać się w tej roli, a jednocześnie wyznaczać perspektywę ironiczną.

No to zobaczmy, jak poradził sobie Zygmunt Allan. Zanim jeszcze pierwsza wigilijna wieczerza Stefana stanie się przerażającą kłótnią, jego matka zwraca się do męża: „Szymku, powiada Mrs Dedalowa, nie dałeś sosu Mrs Riordan". Koledzy Stefana spierają się:

„Ty, Thunder, gówno wiesz o tem!". Jeden zaś z pobudzonych erotycznie studentów zawoła: „Na mnie lećcie, kobietki, jestem ułan!". Pod koniec powieści wreszcie Stefan zapisuje w dzienniku odgłosy, które „biją skrzydłami swej straszliwie junackiej młodości".

Zgoda, wyjaskrawiam, cytując polszczyznę z początku lat trzydziestych minionego wieku. Ale też dobrze w tych drobiazgach widać, jak szybko ewolucja języka postarza przekład. Zajrzyjmy do następnego wydania, z roku 1957. Jeszcze zatem wtedy Stefan „zaczął oblizywać sobie z tłuszczu usta i wargi". I nawet dwadzieścia lat później „rozgorączkowany prefekt już pędził przed sobą chłopców jak stadko gęsi przez zakrystię". Co gorsza, problemu nie sposób sprowadzić do lapsusów ani redakcyjnych niedoróbek.

Owszem, Jarniewicz uhonorował swojego poprzednika: „Polszczyzna starego tłumaczenia jest wyborna, to żywy, jędrny, idiomatyczny język". Zaraz jednak, w tym samym wywiadzie, sformułował podstawowy zarzut. „Allan ułatwił trochę zadanie polskiemu czytelnikowi – wygładził styl tej powieści. A przecież u Joyce'a mamy prawdziwe święto języka, całą gamę stylów, od bajki dziecięcej, przez gwarę uczniowską i studencką, język homilii i kazań, dyskurs filozoficzny, język melodramatycznych powieści miłosnych, estetyzujący styl przełomu wieków, intymny styl dziennika". Jakby tego było mało, „dużo tu aluzji do języków wielkich mistrzów stylu: Dantego, Miltona, poetów elżbietańskich czy kardynała Newmana".

Przywoływałem już wcześniej opinię Jeri Johnson o paralelności rozwoju bohatera i stylu powieści. Jarniewicz, w posłowiu do swojego przekładu *Portretu*, analogicznie podchodzi do kwestii: „Każda z dziewiętnastu części tego dzieła napisana jest innym językiem, a każdy z tych języków jest portretem innego Stephena, Stephena w określonym czasie".

Z takiego odczytania powieści – niezwykle wrażliwego stylistycznie, a także porządnie ugruntowanego wiedzą joyce'ologiczną – Jarniewicz wyciągnął wnioski dla swojego przekładu. Jak każdy tłumacz dzieła oddalonego w czasie, także i on miał do rozstrzygnięcia pierwszorzędnej wagi dylemat: czy tłumaczyć „historycznie", czy też, w miarę potrzeb i możności, zbliżać

się do „współczesności" polszczyzny. Zostawiam na boku znany translatologom problem braku równoległości w rozwoju różnych języków, niemniej, gdyby Jarniewicz, respektując całą stylistyczną polifonię, celował w polszczyznę dekady 1904–1914, wykorzystując literaturę polską tamtych lat i rekonstruując możliwe wtedy różne poziomy języka, to i tak, w najlepszym wypadku, stworzyłby udany literacki zabytek. Nie, absolutnie nie przyłączam się w tej chwili do łatwiutkich szwoleżerów, szarżujących na Młodą Polskę. Idzie o coś innego. Otóż tłumaczenie kogoś takiego jak Joyce, na ile to możliwe, powinno próbować nawiązać kontakt także z dzisiejszymi rejestrami polszczyzny, także z tymi bliskimi potoczności. I to jest jedna z wielu przekładowych sytuacji, w której bardzo łatwo przeholować. Gdyby więc (na przykład) uczniowie czy studenci używali u Jarniewicza żargonu *stricte* dzisiejszego, byłaby to duża wpadka. Oczywiście, młodzi ludzie mówią swobodnie, niektórzy starają się o kolokwialne efekty, ale nie ma się wrażenia ani historycznej rekonstrukcji, ani anachronicznej aktualizacji.

Autor przekładu umiejętnie łączy stylistyczną wielość z nadrzędnym stylem własnym, tłumacza. Lub dokładniej: istnieje dominujący język własny, będący odniesieniem dla poszczególnych, zmiennych języków przekładu. Można by powiedzieć, że pisarsko-translatorska osobowość Jarniewicza nadaje tym zróżnicowanym składnikom (niezbędny) uspójniający kształt. I, oczywiście, wcale nie chodzi tu o upraszczające wyrównywanie.

I jeszcze jedna zaleta *Portretu artysty w wieku młodzieńczym*, dość trudna do opisania. Spróbuję więc okrężnie, przypominając funkcjonujące w polszczyźnie pojęcie skończonego arcydzieła. Otóż zaryzykowałbym dla przekładu Jarniewicza miano arcydzieła nie domkniętego. Nie w tym sensie, że można tam jeszcze coś skorygować (każdy przekład zawsze uruchamia nieskończoną serię, to jedno z podstawowych praw translatologii). Myślę o niedomknięciu jako o otwarciu: język Joyce'a, zaproponowany przez Jarniewicza, pozostaje tu – przy całej artystycznej nieprzezroczystości – otwarty w tym znaczeniu, że wrażliwość współczesnego czytelnika szybko się z tym językiem uzgadnia.

Adam Poprawa